

Jerzy Grundkowski

Lancelot znad Renu

powieść historyczno - fantastyczna

SOLARIS

Olsztyn 2001



„Lancelot znad Renu”

Copyright © 2001 by Jerzy Grundkowski

Copyright for the first edition © 2001

by Agencja „Solaris”, Olsztyn

ISBN 83-88431-11-0

Projekt graficzny serii *Tomasz Wencek*

Redaktor serii *Wojtek Sedeńko*

Skład *Helena Malyszko*

Wydanie I

Agencja „Solaris”

ul. Gen. Okulickiego 9/1, 10-693 Olsztyn

Box 933

Tel. (0-89) 541-31-17

e-mail: apk-solaris@poczta.wp.pl

www.solaris.net.pl

Druk i oprawa „AG-BART”, Białystok, ul. Grottgera 6a

SPIS TREŚCI

CZEŚĆ PIERWSZA: Ojciec Narodu.....	5
ROZDZIAŁ I	5
ROZDZIAŁ II.....	7
ROZDZIAŁ III	8
ROZDZIAŁ IV.....	13
ROZDZIAŁ V	16
ROZDZIAŁ VI.....	17
ROZDZIAŁ VII	19
ROZDZIAŁ VIII.....	24
ROZDZIAŁ IX.....	28
ROZDZIAŁ X.....	33
ROZDZIAŁ XI.....	39
ROZDZIAŁ XII	41
ROZDZIAŁ XIII.....	45
ROZDZIAŁ XIV	47
ROZDZIAŁ XV.....	50
ROZDZIAŁ XVI	57
ROZDZIAŁ XVII.....	61
ROZDZIAŁ XVIII	71
ROZDZIAŁ XIX.....	73
ROZDZIAŁ XX	76
ROZDZIAŁ XXI	81
CZEŚĆ DRUGA: LANCELOT	91
ROZDZIAŁ I	91
ROZDZIAŁ II.....	101
ROZDZIAŁ III	104
ROZDZIAŁ IV.....	118

ROZDZIAŁ V	124
ROZDZIAŁ VI.....	126
CZĘŚĆ TRZECIA: MISJA	139
ROZDZIAŁ I	139
ROZDZIAŁ II.....	151
ROZDZIAŁ III	161
ROZDZIAŁ IV.....	164
ROZDZIAŁ V	167
ROZDZIAŁ VI.....	177
ROZDZIAŁ VII	193
ROZDZIAŁ VIII.....	205
ROZDZIAŁ IX.....	210
ROZDZIAŁ X.....	229
ROZDZIAŁ XI.....	232
ROZDZIAŁ XII	242

CZEŚĆ PIERWSZA

Ojciec Narodu

ROZDZIAŁ I

Przebudziłem się nieświeży, jakbym miał niedobre sny, choć nic z nich nie pamiętam.

Często tak bywa, że ich treści nie pamiętamy, ale podświadomość podszeptuje nam, maluczkim i niegodnym dobroci Ojca, żeśmy w czymś przewinili.

I rzeczywiście przewiniłem! Na seledynowej powierzchni uniwersalnego identyfikatora lojalności pojawiły się pomarańczowe linie, jeszcze słabe, jeszcze nie czerwone, już jednak mówiące o zagrożeniu...

W przestrichu wytarłem spocone czoło. Ciało tkwiło jak gdyby w kokonie z zimna, dygotały mi członki, żołądek podchodził do gardła, sumienie kąsało jak wściekły pies.

Tak przecierpiałem czas aż do terkotu budzika. Kiedy zadźwiewczał, odważyłem się zerknąć na unidel! I zaraz ulga wstąpiła w moje serce! Zzieleniał unidel; strach uczynił mnie lojalnym. Niechaj będzie błogosławiony człowiek pokorny!

Sprzęgnięty z łóżkiem budzik nie przestawał dzwonić. Marudził tak aż do chwili, kiedy uniosłem się z materaca i spuściwszy najpierw lewą nogę, a następnie prawą, stanąłem na ciepłej, podgrzewanej podłodze, czując przy tym rozkoszne wibracje pobudzające do twórczej pracy.

Dość długo trudziłem się potem przy domowym komputerze, tworząc ekonometryczne modele wahań koniunktury cen, bawiąc się nimi jak dziecko, bo

praca winna być zabawą i przyjemnością, a jeżeli nie jest, to źle.

Przeraźliwy gwizd budzika uprzytomnił mi, że nadszedł czas śniadania. Pożarłem je niby tygrys bengalski, popijając wodociągową wodą.

Pokrzepiwszy ciało, zabrałem się za ćwiczenie ducha. Kilka podróży w głąb siebie... i już mój wskaźnik lojalności poszedł w górę!

Unidel jest skonstruowany tak genialnie, że przy całorocznych rozliczeniach uwzględnia przede wszystkim najwyższy stopień propaństwowych uczuć i jeśli w roku następnym uczucia te są na identycznym poziomie, to obiektywnie spadają, co wiąże się z niejakimi dolegliwościami dla nieudacznika nie czyniącego postępów. Tak więc nie mamy wyboru - musimy się wznosić, lecz w miarę rozsądnie.

O oznaczonej porze budzik przypomniał mi o obiedzie. Otworzyłem puszkę - groch z wołowiną - radośnie skonsumowałem jej zawartość. Na zimno, ale to mi nie pierwszyna. Musimy trochę cierpieć: Ojciec cierpiał nieskończenie bardziej, przynosząc nam później światło postępu.

Po obiadku raczyłem zapoznać się z tym, co przyniosła mi poczta.

Normalnie nie dostaję żadnych listów, nawet z kraju, a co dopiero z zagranicy, tym większe przeto było moje zdumienie, kiedy przekonałem się, że list nosi zagraniczny stempel!

Rozdarłem kopertę. Suchy tekst informował mnie o kongresie orientalistów w Wenecji. Byłem zaproszony na ów kongres. Pojechać?

Wcale nie było to takie proste. Otóż nie wystarczy czegoś pragnąć; trzeba jeszcze mieć możliwości. Ja zaś nie posiadałem paszportu, bo byłem, ani chybi, niegodzien stałego posiadania tego cennego dokumentu.

Bijąc się z myślami wróciłem do mieszkania. Usiadłem do klawiatury, lecz pracowało mi się podle. W tej niewesołej sytuacji postanowiłem poradzić się przyjaciela. Wynajmował on lokum w jednym z tych strzelistych wieżowców, dzięki którym sięgamy nieskończoności.

Przyjaciel otworzył mi drzwi ubrany w szlafrok narzucony na gołe ciało.

Zatrwożyłem się nieco, patrząc na jego różowiący się unidel, ale potrzeba porady była silniejsza od strachu. Wcale nie musiałem zarazić się od niego nielojalnością! Zdradliwe wirusy są wprawdzie wszędzie, oddychamy nimi nawet nie wiedząc kiedy, nie oznacza to jednak jeszcze, iż musimy im ulegać!

Gospodarz powiedział mi, abym usiadł. Usiadłem. Zapytał, czy nie napiłbym się herbaty różanej. Odpowiedziałem, że z przyjemnością. No, więc zrobił mi tę

herbatkę. Sobie też. Popijaliśmy w milczeniu. Po kilku łykach spytał, czy herbatka smakuje. Nie miałem zastrzeżeń. Milczeliśmy, niekiedy spotykając się oczyma. Wreszcie wyłuszczyłem mu cel wizyty.

- Ba - powiedział, rozparty w foteliku. - Znowu nie wiesz, co zrobić. Ja bym wiedział. Wenecja to piękne miasto. Radzę jechać. A że nie można bez paszportu, napisz papier!

- Ale czy sam ten fakt nie zepchnie mnie na bezdroża nielojalności? Mam wysoką zeszłoroczną średnią, nie chciałbym jej tracić.

- Przy twojej pracowitości i wrodzonej lojalności odrobisz to bez wątpienia - pocieszyl mnie przyjaciel. - Jedź!

ROZDZIAŁ II

Radosny i pełen wewnętrznego ognia podążałem kursowym autokarem ku granicy państwowej. Po drodze mijaly nas samochody służbowe i prywatne. Dobrze mi było. W lusterku widziałem, jak szczytów sięga mój osobisty wskaźnik lojalności. Jechałem kilka dni i nocy.

Nie zaznałem żadnych przygód. Ani erotycznych, ani innych.

Stacja graniczna to było parę budyneczków i dużo wojska. Dzielna jest nasza armia... Stale nas broni. Przed kim? To mało istotne!

W holu stał posąg Ojca w astronautycznej pozie. Strzeliste spojrzenie przebijało się przez gwiazdy, docierając do jądra Drogi Mlecznej. (Istnieją sekciarze utrzymujący, iż dociera ON niezawodnym spojrzeniem - przy czym oczy Ojca niczym nie są uzbrojone - do Mgławicy Andromedy, a hiper sekciarze opowiadają nawet o wzroku przebijającym się do drugiego Uniwersum, ale ON własnoręcznie dał odpór owym heretykom, po prostu pisząc prawdę: tylko jądro naszej galaktyki.)

Przeszedłem obok posągu, czci owemu nie oddając, bo Ojciec przeklął bałwochwalców.

Kilku kandydatów na wojaże oczekiwało już w przestronnym pomieszczeniu, dokąd łaskawie mnie skierowano. Po godzinie, może dwóch, zjawił się oficer straży

granicznej i zaprowadził nas do pokoju, gdzie mieliśmy zostać poddani kontroli. Kazał nam rozebrać się do naga. Oczywiście było to śmieszne, ale nikt się nie sprzeciwił.

Strażnicy zabrali nasze rzeczy do worków, pieczętowali - nadmiar emocji związanych z przewidywanym przekroczeniem granicy nie pozwolił nam na należyte przeanalizowanie tego zdarzenia - i z workami znikli.

Gapiąc się na siebie staliśmy w pustym pokoju. Niektórzy już się trzęśli - z zimna lub ze strachu. Potem zaprzestaliśmy wzajemnych oględzin. Tarzanów wśród nas nie było.

Naraz coś się zmieniło. Może nie tak: wewnętrzny głos powiedział, że zaraz coś się zmieni. Ledwie przebrzmiał ów głos, już zmieniło się wszystko, i to radykalnie.

Wszystko, co było, poszło precz.

Znikł sufit, znikły ściany, tylko myśmy nie znikli. Nie dość na tym. Odmaszerowała gdzieś granica, odpłynęły w dal budynki, pola i szosa.

Że jednak rzadko kiedy coś znika tak zupełnie, żeby już nic w zamian się nie pojawiło, strwożonym naszym oczom ukazały się pięknie szumiące drzewa, a na nasze obnażone ciała począł padać deszczyk.

Oby trafił go szlag!

(Oczywiście - deszcz nie umiera. Deszcz jest nieskończenie cierpliwy i ma nas dokładnie gdzieś. I to od zawsze.)

ROZDZIAŁ III

Padło się miłemu jesiennemu deszczykowi! Znieruchomieliśmy w środku polany o kilkudziesięciocentymetrowej średnicy, otoczeni przez szumiące drzewa. Szumiało się im i szumiało pod wpływem chłodnego wiatorku. Było naprawdę zimno.

Pierwszy zaczął trząść się pewien chudzielec. Potem w histerię wpadali coraz to nowi podróżnicy. Muszę wyznać, że to mnie przypadł w udziale zaszczyt opanowania sytuacji.

- Milczeć, skurwiele! - zawołałem, nie bawiąc się w dyplomatyczne subtelności.

- Pysk trzymać, gadziny! Jak będziecie tak wrzeszczeć, to przyjdzie z lasu dziki zwierz i

nas zeźre!

- Wiem! - załkał rudy facet. - To halucynacja! Chcą poddać nas próbie!

- Zamknij się!

- Próbie! - ryczał histeryk, klasycznie przewracając białkami oczu.

- Trzymaj pysk, matole!

Rudy, o dziwo, przestał. Dосkoczył do mnie w wiadomym celu, ale chudzielec prostym podstawieniem nogi zniweczył jego obłąkańcze zamysły.

Wciąż szumiał las i padał deszcz. Chudy rzekł do mnie: - Doktor Ahwer.

Podał mi dłoń. Uścisnąłem. I powiedziałem:

- Doktor Marcin Lipień. Do usług.

Widząc tę wymianę grzeczności, świadczoną sobie wzajemnie przez wysoce cywilizowanych nagusów, pozostali nieszczęśnicy także zaczęli przedstawiać się sobie wzajemnie i jeden tylko poniżony rudzielec raczył grobowo milczeć.

Deszcz nie ustawał; pogoda była prawdziwie zagraniczna.

Uciekliśmy pod drzewa.

Jedni zabrali swoje torby, drudzy nie.

Ci ostatni musieli po nie wrócić - już choćby po to, aby stało się zadość przysłowiu: kto nie ma w głowie, ten ma w nogach.

Ale bez żartów: musieli wrócić, bowiem doktor Ahwer znalazł w swej torbie rulon czegoś, co z grubsza przypominało płaszcz kąpielowy; co też mogło być tuniką, togą, sukmaną, czymkolwiek; na pewno jednak czymś, w co należało się przyodzierać.

Pragmatyk Ahwer ubrał się od razu. Wyciągnąłem ów zbawienny rulon, ale nie rozwinąłem go, gdyż przyciągnął moją uwagę papier włożony w tubę.

- Co to? - zainteresował się Ahwer.

- Wygląda na posłanie - odparłem z namysłem, dość głębokim.

- Dawaj - powiedział głosem nie znoszącym sprzeciwu.

Dopiero teraz dobiegł do reszty furii o czerwonych włosach. Dobiegł i, jakby nic wcześniej się nie wydarzyło, ubrał swój płaszcz, ledwie sięgający połowy uda.

Okryłem się jako ostatni. Ahwer przebiegł wzrokiem papier i okropnie zbladł.

- Posłuchajcie - powiedział. - Oto jest głos Ojca!

- Co ON mówi? - spytałem z emfazą właściwą osobnikom genetycznie lojalnym.

- Zaczyna od wyzwisk. Czytać?

- Tak - powiedziałem. - Wypijmy ten kielich goryczy. Do dna!

- Wypijmy - powtórzyli inni.

- Czytam - obwieścił Ahwer. - „Dranie, dywersanci, skurczybyki!!! Łajdacy, sukinsyny, docenci!!! Nadeszła godzina prawdy!!! Myśleliście, że jako dobry Ojciec dam wam wyjechać bez mojego błogosławieństwa? Myliliście się. Wyjechać wyjechaliście, lecz nie tam, gdzie to sobie uwidziliście, skurwysyny. Nazbyt łaskawy byłem dla was, skoro zachciało się wam opuścić ojczyznę, żeby u wrogów szukać chleba. Już sama chęć wyjazdu była najwyższym aktem nielojalności i powinieniem was za to ukarać, lecz znacie moją niewysłowioną dobroć: nie ukarałem, pozwoliłem wyjechać, wyjechaliście, teraz znajdujecie się dziesięć stuleci od domu, przyjaciół, rodzin i bliskich, dziesięć wieków ode mnie, stale nad wami czuwającego...”

Ahwer przerwał czytanie: - Znowu wyzwiska. Nie mogę tego znieść. Proponuję, dobrym studenckim obyczajem, opuścić tę partię materiału.

- Nie - powiedział ktoś.

Doszedłem do przekonania, że wszyscy moi poddani są nielojalni, że nikomu nie mogę ufać do końca; wiem, że nielojalny jest szef mojej ochrony osobistej oraz komendant tajnej policji; że nielojalni są marszałkowie lotnictwa, marynarki i wojsk lądowych, generałowie broni pancernej i obrony przeciwrakietowej! Ostatnia swołocz! Podobnie ta samorządowa swołocz; po co ja wam dałem odrobinę wolności!

Winą za to obarczam czasy zgniętego liberalizmu. Historycznie patrząc, kiedy już raz się ta zaraza pojawi, nie ma metody, żeby doszczętnie ją wykorzenić!”

Doktor Ahwer przerwał czytanie. Powiedział z niesmakiem:

- Dalej następuje szereg bredni, którymi on zwykł nas stale karmić. Coś o kosmicznej Panspermii, jeśli się nie mylę. Ojciec pod tym Aldebaranem, jak mu się rakietę rozpadła i poczuł się zmuszony do przymusowego lądowania, i w dalszej konsekwencji do bytowania w nieciekawym otoczeniu, dostał nielicznego kręćka, i uważam, że moglibyśmy sobie darować to przedstawienie. Osobiście nie lubię zdartej płyty. A wy?

„... nie jestem zdartą płytą, jak to jeden z was powiedział. Nie sądźcie, że skoro znaleźliście się tysiąc lat ode mnie, przestał się wam przyglądać mój wszytkowidzący wzrok.”

Zadrzał doktor Ahwer. Opanował się jednak i rzekł:

- Nawet Ojcom niekiedy coś wychodzi. „Nielojalność jest wrodzona ludziom dzisiejszym. Ponieważ nie zamierzam się wami, skurczybyki, zadręczać, wpadłem na genialny pomysł, żeby... Tu należy się wam małe wyjaśnienie. Zbudowaliśmy maszynę czasu.”

Lektor otarł pot z czoła. Były powody.

„Ani o tym wiedząc, ani tego pragnąc, znaleźliście się w jej wnętrzu. Zainstalowana została na granicy. Słuszne mi się zdało, żeby ci, którzy tak jawnie obnoszą się ze swoimi zdradzieckimi chuciami, pierwsi doświadczyli jej bezlitosnego działania.”

Ahwer przerwał czytanie i powiedział:

- Zgłodniałem.

Rudzielec rzekł:

- A ja bym się chętnie czegoś napił. Może jest tu woda?

- Zachciewa się koledze źródelka - z przekąsem powiedział tęgawy osobnik, dotąd niczym się nie wyróżniający poza swą tuszą. - Proponuję, żeby kolega poszedł na zwiad.

- Sam idź - syknął rudy.

- Czy w torbach jest coś do jedzenia?

- Nie ma - powiedział gruby. - Sprawdzalem.

- Więc co dalej?

- Na razie czytamy - rzekłem.

- Słuszna i głęboko filozoficzna uwaga - poparł mnie grubas. - Proszę kontynuować, doktorze Ahwer.

Wezwany nie skłonił się, jakby to zapewne uczynił w bardziej normalnych warunkach.

„Jakie jest wasze zadanie, łajdacy? Oto staniecie się nareszcie przydatni!”

- Nie chciałbym - powiedział Ahwer.

„Bunt nic nie pomoże. Posłuszeństwo jest waszą jedyną nadzieją.”

- Człowiek jest wszakże istotą obdarzoną wolną wola, nie? - wyrzekł grubas, ale wypadło to bladziutko.

„Przekonacie się, docenci... - pisał do nas Ojciec. - Będziecie służyć! Co macie robić? Postanowiłem sięgnąć do niewyczerpanego rezerwuaru, jakim jest historia. Do mego celu wybrałem średniowiecze. Nie myślcie bowiem, że każda przeszłość jest jednakowo dobra! Są dobre i złe przeszłości. Jakie jest kryterium, domyślcie się. Hellenistyczna starożytność byłaby na przykład fatalną przeszłością! Co innego średniowiecze. W wiekach średnich król był bożym pomazańcem, jego autorytet był naturalny i bezsporny, umrzeć za swego monarchę było największym marzeniem szlachcica. Nikomu nie mieściło się w głowie, że może istnieć inny rodzaj władzy niż

władza monarsza. Ludzie pochodzący z tej właśnie epoki są dla mnie szczególnie cenni. Będą tak samo wyznawać mój autorytet, jak wyznawali królewski, i moja władza będzie wydawać się im tak samo naturalną, jak władza królewska...”

Doktor Ahwer wstrząsnął się. Cicho szepnął: - Plan iście diabelski. Porywać ludzi z przeszłości, wyciągać ich z czasów, w których żyli, to coś, co ... co... - zabrakło mu słów.

- Przeznaczona nam została rola łapaczy niewolników - powiedział grubas.

- Raczej dostawców janczarów - sprostowałem.

- Jak zwał, tak zwał - powiedział rudzielec. - Po co ta kłótnia? Czyż nie jest to obojętne?

- Nie wzbudza to moralnego wzburzenia u kolegi?

- Może ze mnie taki straszny cynik, ale nie wzbudza.

- Nic, żadnego niepokoju duszy? - dociekał gruby.

- Bardziej niepokoi mnie nasz ohydny brak środków - wyznał adwersarz. - Niby czym będziemy ich łapać?

- Niech się pan nie obawia - rzekł smutnym głosem doktor Ahwer. - ON na pewno o to zadbał.

- Serio? Zawsze wierzyłem w Onego.

- To po co chciałeś wyjechać?

Rudy zasepił się.

- Faktycznie, to był błąd. Ale błąd to jeszcze nie zbrodnia.

- Dla Onego to bez znaczenia - wyjaśnił mu grubas. - Skazał cię na ten sam los, co i nas.

W źrenicach rudzielca ponownie pokazały się furiackie błyski.

- Ale was - słusznie! Ja tu jestem tylko przez chwilę słabości - wy, bo zapracowaliście na to całym swym niegodnym życiem!

- Czytam dalej - powiedział Ahwer.

Nikt się nie sprzeciwił.

„Brać powinniście ludzi stosownych, z klas wyższych, nie ciemniaków, bo prymitywne umysły nie przystosują się do moich wymogów. Krótko mówiąc, muszą być wierni bez granic, lecz nie ograniczeni. Rozumiemy się? Kontyngent nałożony na waszą grupę to dwadzieścia sztuk. Radzę wam porwać więcej, gdyż zawsze można pomylić się co do człowieka... Człowiek to istota niezgłębiona...”

- ON znowu filozofuje - rzekł doktor.

- Opuść to miejsce.

„Teraz odszukacie ścieżkę, która doprowadzi was do zakonspirowanego w przeszłości domku. Tam znajdziecie wszystko, co wam trzeba. Na dostarczenie mi pierwszej partii towaru daję wam trzydzieści dni, licząc od momentu wyjścia z domku i zakończenia programu. Odmaszerować!”

Na to odruchowo się wyprężyliśmy. Tak podziały na nas słowa z przyszłości.

Pierwszy zauważył to Ahwer. Powiedział:

- Pan każe, sługa musi.

Wywołało to naturalną reakcję sprzeciwu. Rudzielec zawołał:

- Nie idziemy na niczym pasku! Polecenie Onego wykonamy z miłości do niego, a nie dlatego, że nam rozkazuje.

- Lecz wykonamy?

- Z miłości.

- Nie ze strachu?

- Nie - upierał się rudy. - Z miłości. Bo go kochamy. Ja go Kocham. Zawsze go kochałem. Droższy jest mi nad... nad... Was nie cenię. Zdradziliście najlepszego Ojca.

- A kolega nie jest zdrajcą?

- Jestem człowiekiem, który uległ słabości. Każdy ulega. Tylko Ojciec Narodu nie ulega. Powinien to zrozumieć.

- Jakoś tego nie czyni.

- W końcu pojmie.

- Idziemy? - zapytałem

Ruszyliśmy ścieżką wijącą się wśród bujnej puszczańskiej roślinności. Zżerał nas lęk.

ROZDZIAŁ IV

Domek zrazu wyglądał na porządną oraz należycie zamaskowaną. Nie odkrylibyśmy go, gdyby nie sygnał dźwiękowy, wstrętne buczenie, nie licujące z puszczańskimi obyczajami.

Ekipa budująca przytulisko grupie specjalnej musiała wszakże mocno się spieszyć, gdyż drzwi ledwie się domykały, a w oknach na piętrze brakowało szyb; sporo było też innych niedoróbek.

Po jakimś czasie okazało się, że zamaskowanie przedstawiało się jednak nieszczęśliwie - domek z jednej strony był doskonale widoczny - ale czyż zdrajcy mogą spodziewać się wygód?

Wręcz nie powinni.

Za to wyposażenie domeczku było dość bogate. Prócz łoży hipnotycznych, świetnie nadających się do przyspieszonej nauki obcego języka, znaleźliśmy jeszcze pistolety gazowe i paralizatory układu nerwowego tudzież żarcie w koncentratkach i wyra bez pościeli. Przypadło też po kocu na głowę zdrajcy, czyli zdrajco głowę (określenie doktora Ahwera, niewyżytego lingwisty).

W tym wszystkim najcenniejsza była INFORMACJA. Tak doktor Ahwer nazwał wystukane drobną czcionką opracowanie historyczne, szkicujące sytuację polityczną i gospodarczą kraju, który mieliśmy spenetrować i pozbawić najzdatniejszych umysłów.

Niestrudzony doktor Ahwer przeczytał INFORMACJE i przy kolacyjce zreferował nam - właśnie zreferował, nie opowiedział - treść dokumentu.

Księstwo Jutlandii powstało dwa wieki wcześniej, drogą podboju. Warstwą rządzącą byli nordyccy Jutowie, przemieszani z Waregami, których jakoś tam wchłonęli. (Waregowie podbijali tę krainę wcześniej i wcale się nie spieszyli.) O autochtonach dokument milczał. Ojciec uznał ich za nieciekawych i mało przydatnych.

Nordyccy zdobywcy zapanowali nad celtyckimi prawowitymi mieszkańcami tej krainy, o ile w historii można w ogóle mówić o jakiejś prawowitości. Prawem na ogół jest nagi miecz.

O gospodarce jutlandzkiej doktor Ahwer powiedział tylko tyle, że dominuje rolnictwo, miasta są słabe i nieliczne. Stolica Jutlenia; pięć do siedmiu tysięcy mieszkańców, główny ośrodek handlu i rzemiosła.

Dużo puszczy, wsie rozdzielone mokradłami, kraina mało wdzięczna i raczej uboga. Rządził w niej książę Otomar Drugi, wnuk Otomara Wielkiego. Moźnowładca opozycja skupiała się wokół brata książęcego, Emelryka. Emelryk był kochankiem książęcej żony, Hermenegildy. Otomar spotykał się po kryjomu z żoną brata, Winifredą. Nie wiedzieliśmy, co o tym sądzić, lecz INFORMACJE zapewniały, że to

ważne i przydatne.

Był jeszcze wuj książęcy etheling, Mercjan, ze sporą domieszką krwi celtyckiej. Ściagała go zemsta rodowa. INFORMACJE sugerowały, by Mercjana odnaleźć i skaptować. Ojciec przeznaczał go na szefa tajnej policji.

Gdyby dobrze wczytać się w treść ojcowskich instrukcji, to wychodziło, że nasze zadanie to bagatelka. Dokument mniej mówił, jak misję wypełnić, więcej, co czynić potem. Optymizm godny uznania!

My widzieliśmy sprawę czarno. Doktor Ahwer, z natury nie najweselszy, z zapamiętaniem gryzł własną brodę. Zrosnięte, krzaczaste brwi nadawały jego posępnemu obliczu jeszcze smutniejszego wyrazu. Naraz odezwał się ponuro:

- Nie damy rady! Przyjdzie zdechnąć nam tutaj, w tych potwornych lasach.

- Doktorze - rzekłem. - Dziwię się panu. Dotąd raczej podtrzymywał nas pan na duchu, dzielnie wywiązując się z roli dobrowolnego rozjemcy, w naturalny sposób objął pan przewodnictwo nad tą zagubioną w zamierzchłej przeszłości gromadką, a teraz wpada pan w rozpacz i nas tym zaraża! Tymczasem tego rodzaju myśli nie powinny mieć dostępu do naszych umysłów, bo jeżeli będziemy tak odczuwać, to już na pewno nie wydostaniemy się stąd i faktycznie tu zdechniemy.

- I nie wykonamy zadania - powiedział rudzielec.

- To problem moralny - powiedział gruby. - Czy wolno nam podjąć taką próbę? Chyba nie! Na pewno nie!

- Trzymajcie mnie, bo zatłukę gadzinę! - zawołał rudowłosy.

Odruchowo spojrzeliśmy na Ahwera, czy nie wkroczy, lecz doktor milczał. Mnie też nie chciało się ich rozdzielać...

Jednakowoż rozsądek zwyciężył i rudy z grubasem nie pobili się na śmierć. Co więcej, wspólnie przyszykowali szczepionkę, igły i strzykawkę. Oprzyrządowanie potrzebne było do uchronienia się przed miejscowymi chorobami zakaźnymi.

- Jak szczepimy?

- W tyłek.

Ktoś parsknął śmiechem.

- Panowie, sytuacja wymaga powagi - orzekł rudzielec. - Nie pora na kpiny.

Zapanowała cisza.

- Kto pierwszy? Może pan? Albo ja. Zacznę od siebie. Kto mi...

- Ja - ofiarował się grubas.

- Pan w żadnym wypadku - powiedział rudy, wręczając złowrogie narzędzie

szpakowatemu mężczyźnie w okularach, który stale milczał tak ponuro, że dobrze sobie zasłużył na określenie „rycerz posępnego oblicza”.

Szpakowaty nie zaprotestował. Ale też się nie zgodził. Nic nie rzekł. Rudy stał z podkasanym płaszczykiem, świecąc gołym zadkiem, i poświęcenie wyglądało na daremne.

- Co pan! Dawaj!

I z jękiem wbił sobie igłę w udo.

- Kto następny?

Jakoś udało mu się nakłonić resztę do tej mało przyjemnej czynności.

Jedynym, który odmówił, był doktor Ahwer.

- A pan co? A obywatel co? Herkules?

Obywatel Ahwer na te zaczepki nie reagował. Był samą wyniosłością.

- Nie, to nie - powiedział kat. - Pierwszy wyciągniesz kopyta, głupcze!

- Doktorze... - przemówiłem łagodnie i bez przekonania.

Ahwer wytrwale milczał. Może zwyczajnie bał się ukłucia. Nigdy do końca nie wiadomo, jaki demon człowieka dręczy.

ROZDZIAŁ V

Lokalnego narzecza uczyliśmy się w dziewięć dni, błogosławiąc technikę.

W sumie nie było lekko - musieliśmy racjonować wodę. Wypadało po pół litra na głowę. Niemal każdy przynajmniej raz w życiu zetknął się z przyjemniejszą formą półlitrówek.

Po tych dziewięciu dniach większością głosów zdecydowaliśmy, że wykonujemy zadanie.

Agenci Ojca zaopatrzyli domek w mapy. Niestety - wątpliwej jakości. Dotarliśmy w południe do jakiegoś gościńca. Nie był w żaden sposób oznakowany. Powstał więc naturalny w tych warunkach spór, przy braku niekwestionowanego przywódcy, w jakim kierunku dalej podążać. Klótnię przeciął tętent końskich kopyt.

Przywarliśmy w drzewach. Ahwer sapał, ale szybko został uciszony. Jeźdźcy

nadciągnęli w sile około pięćdziesięciu chłopów. Według średniowiecznych kryteriów był to spory oddziałek. Coś mnie zaniepokoiło w ich wyglądzie. Niby odziani byli przykładnie, ale śniadość cery i wykwintny ubiór przemawiały raczej za tym, że widzimy orientalne rycerstwo, nie zachodnioeuropejskie.

Innym także to się nie podobało. Rudzielec, po zniknięciu zbrojnego orszaku, wyszeptał strwożony:

- Coś mi nie gra... Wyglądali na Arabów.
- Po jutlandzku już sobie nie pogadamy.
- To w jakim języku będziemy się porozumiewać?

- W arabskim - powiedziałem. - Na szczęście trochę znam. Jestem doktorem orientalistyki. Wybierałem się właśnie na kongres do Wenecji, kiedy...

- Każdy z nas gdzieś się wybierał - uciął rudy. - Nie pora na przechwałki. Dobroć Ojca jest niepodważalna. Skoro tak się składa, że kolega zna język, możemy kontynuować wyprawę.

- Wy nie znacie.

- Będziemy udawać niewolników. Niewolnik pochodzący z odległych krajów ma prawo nie znać języka.

- W istocie, kraj nasz odległy.

- W czasie, kolego, w czasie!

- Bez znaczenia. W czym. Jeżeli chcecie udawać niewolników, musicie słuchać mnie we wszystkim.

- A to czemu?

- Bo będziecie moimi niewolnikami.

- O!

- Dobra - powiedział rudzielec. - Dla obcych będziemy.

Do celu dotarliśmy w następne południe. Miasteczko rozłożyło się na płaskowyżu. W górę wysoko były wieżyczki o przeznaczeniu dla mnie całkowicie jasnym: minarety. W mej głowie zrodziło się straszne przypuszczenie - w tym świecie stało się coś zatrważającego!

ROZDZIAŁ VI

Ustalenia Ojca okazały się być głównie warte, ale w niczym nie umniejszało to jego dobroci i życzliwości. W tym właśnie momencie, patrząc na minarety, myślałem o nim, czuwającym nad nami z tysiącletniego oddalenia. Ojciec jeszcze się nie narodził, a już czuwał...

Kontemplując dziwaczny obraz, przeoczyłem obecność kolegów. Ci zaś niespodziewanie rwali się do czynu. Nie mogłem tego zdzierżyć. Przedstawiłem im moje wątpliwości. Niestety najtrudniej być prorokiem we własnym domu. Najgłośniejszy piskował rudy, aż musiałem go uciszyć, gdyż ani chybi ściągnąłby na nas nieszczęście.

Podczas gdy zabawialiśmy się dysputą, naszło nas zniecka paru napastników.

Bluznął potępieńczy okrzyk, błysnęły kindżały, zawałiła się ziemia. No, może nie do końca, lecz bliscy byliśmy katastrofy. Uratował sytuację kto? Nie da się tego odgadnąć, to trzeba było przeżyć: doktor Ahwer.

Wszystko zdarzyło się tak szybko, że arabscy wojownicy zdążyli nam zakłuć dwóch ludzi, zanim dzielny doktor unieszkodliwił ich z paralizatora. Zdecydował przypadek; Ahwer stał jak wryty, czekał na cios; tamci rzucili się na niego i wówczas on nacisnął spust. Seria ściąła wrogów z nóg. Nowoczesna technika to naprawdę wielka rzecz!

Normalnie zwycięstwo się opija, my jednak porzuciliśmy zgubne przyzwyczajenia, po prostu chyłkiem wynosząc się z tego miejsca.

O mały włos zapomnielibyśmy przy tym o napastnikach, ale powiedziałem, że koniecznie należy ich zabrać. I powstał problem. Unieszkodliwionych zostało aż trzech tuziemców. Nas, ocalałych, było pięciu.

- Ktoś nie wie, co zrobić? - spytał rudy. - Ja podpowiem. Dorznąć choćby z jednego, na chwałę Ojca.

Szatański obmysł natychmiast został odrzucony.

- Macie inny, tak?

Nic nie usłyszał.

- Dorzynam - powiedział rudzielec z zimną zawziętością.

Schwycił kindżał i uniósł go do ciosu.

- Nie - powiedział Ahwer.

Rudy obejrzał się.

- Czemu właśnie ten? - pytał absurdalnie doktor.

Rudy zastanowił się.

- Nie spodobał mi się - rzekł, zadając cios. Trysnęła krew.

ROZDZIAŁ VII

Wehikuł czasu pojawił się w czwartek. Coś bzyknęło i tam, gdzie trzeba, pokazał się świetlisty sześcian. Wracaliśmy też w siódemkę, z tym, że w wyraźnie zmienionym składzie. No i z pewnymi stratami, jak to na wojnie.

I znów ujrzałem granicę - to samo pomieszczenie, te same ściany... Otwarły się drzwi. Wszedł naczelnik stacji. Spojrzał i zawołał: - Gdzie reszta? Miało być trzydziestu!?

- Dwudziestu, panie kapitanie.

- Ach, Dwudziestu! No, musi być uwzględniony margines błędu.

Przyjrzał nam się bardziej uważnie. I aż mlasnął jęzorem:

- Mniej was wróciło, niebożęta?

- Dwóch zginęło. Na chwałę Ojca.

- Chwała Ojcu - burknął.

Pomilczeliśmy chwilę. W końcu, jeśli mowa jest srebrem, to milczenie - złotem.

- Dlaczego tylko dwóch?

Opowiedziałem mu całą historię, uwypuklając nasze poświęcenie oraz wskazując na brak dostatecznego wyposażenia w radykalnie zmienionej sytuacji.

Kapitan pomyślał trochę i powiedział:

- ON nie myli się nigdy. Łżecie.

- Nie! Prosimy o przesłuchanie jeńców.

- Wasze szczęście, że wzięliście języka, inaczej byście już wisieli.

Zadrzałem. Wiszenie to czynność wątpliwej urody, chyba że wisi ktoś inny.

- No, czy nie mówiłem, że będziecie żałować?

- Nie żalowaliśmy, panie kapitanie - odezwał się doktor Ahwer. - Niezmiennie czciliśmy pamięć Ojca. Z ukontentowaniem znosiliśmy wszelkie trudy.

- Cwaniaki!

- Co z nami będzie? - dopytywał się Ahwer.

- A co ma być?

- Zostaniemy wypuszczeni?

- Zwariowaliście? Misja nie wykonana, nie można was wypuścić.

- Nie z naszej winy.

- To się okaże - powiedział naczelnik, wychodząc bez pożegnania. Nie poprawił nam tym nastrojów, ale chyba nawet nie próbował.

Wrócił po długim czasie, z trzema uzbrojonymi strażnikami.

- Do momentu wyjaśnienia wszelkich okoliczności będziecie siedzieć pod kluczem, jasne?

- Tak jest, panie kapitanie!

Wartownicy zaprowadzili naszą piątkę do zamkniętego pokoju, w którym zgubiliśmy poczucie czasu i gdzie nie zatraciliśmy jedynie świadomości przemożnego lęku.

Trudno powiedzieć, ile czasu trwał koszmar. Wreszcie coś się wydarzyło. Strażnicy powiedli naszą sponiewieraną gromadkę zwijającym się jak harmonijka korytarzem. Naczelnik siedział za biurkiem, wygodnie rozparty na krześle. Nogi położył na blacie i spoglądał na nas wzrokiem człowieka zadowolonego. Przed nim stała butelka wody mineralnej. Właśnie unosił ją do ust, powoli, ze smakiem. Było to artystyczne unoszenie! Jakby chciał przez to powiedzieć: dobry filozof nawet w codziennych czynnościach potrafi odkryć emanację Prawdy.

Strażnicy znieruchomieli za naszymi plecami. Czuło się ich nieświeże oddechy.

Naraz dźwięczny głos naczelnika przeciął ciszę.

- No, żałujecie? Żal łagodzi winę. A wy jesteście winni, przyjaciele.

Pożądliwie wpatrywałem się w butelkę.

- Ojciec Narodu zawiódł się na was.

Pożądliwie patrzyłem na jego ruchy.

- Nie wykonaliście zadania. To świństwo. Jeszcze macie czelność narzekać na brak środków... - odstawił butelkę. - Dostaliście, co trzeba... Nieudaczniki!

Podniósł ją do ust, wziął porządnego łyka.

- Dziesięć procent planu minimum. Plan minimum zakładał sprowadzenie dwudziestu przyzwoitych ludzi, którzy zastąpią takich wywrotowców i skurczybyków jak wy.

W butelce została ledwie połowa zawartości.

- Durnie!

Upił.

- Pajace!

Upił.

- Idioci!

Wypił mineralną do końca.

- Spragnieni jesteście?

Nie odpowiadaliśmy.

- Woda życia tkwi w was samych. Nie ma jej w tej butelce. Widzicie? Pusta!

Mówiąc to, podał butelkę najbliższemu. Był nim rudzielec. Przyssał się do cienkiej szyjki i długo nie odstawiał mimo, iż z całą pewnością naczelnik wypił wszystko.

- Daremnie wam powtarzać, że woda życia jest w was samych. Niczego się nie nauczyliście.

Gruby wyrwał butelkę rudzielcowi i jak tamten przyssał się do niej.

- Zniechęcenie człowieka ogarnia, kiedy się na was patrzy!

Gruby cisnął butelkę na dywan.

- Obywatelu, winniście uczyć się samokontroli.

Strażnik zdzielił delikwenta kolbą karabinu w ramię. Zaatakowany zaskowyczał i rzucił się nań, ale pod nieuniknionym wpływem ciosu w brzuch padł na podłogę, zwijając się z bólu.

- Zatrważający brak opanowania. Smutny brak samokontroli. Podnieść.

Uniesiono grubasa.

- Dlaczego nie wykonaliście zadania?

- Panie naczelniku...

- Jeden mówi.

Umilkliśmy.

- Czego się boją? Jeden mówi. Wy?

Pokazał na Ahwera. Doktor zachrypiał:

- Co mogliśmy... zrobiliśmy...

- Dodać: panie kapitanie. Może też być: panie naczelniku.

- Panie naczelniku, zrobiliśmy, co było w naszej mocy.

- Tak się to ładnie mówi, a prawda jest inna. Tylko dziesięć procent planu!

Wynocha!

To było o jeden krzyk, o jedną poniewierkę za dużo. Nie wytrzymałem:

- Dlaczego nie dajecie nam wody i jedzenia? Zagłodzić chcecie?

Silny cios kolbą miał nauczyć mnie rozumu. Nauka jednak poszła w las. Z podłogi zawołałem:

- Jeżeli... natychmiast... to nie pojedziemy!

- Nigdy! - ryknął zdesperowany Ahwer.

- Nigdy więcej! - wybuchnęli pozostali.

Wartownicy rzucili się na nas, by spełnić swój obowiązek, lecz naczelnik powstrzymał swoich oprawców.

- Skąd wiecie, że jesteście jeszcze potrzebni? Tacy nieudacznicy...

- Mamy doświadczenie - powiedziałem. - Nikt inny nie ma.

Naczelnik myślał chwilę. Krótką chwilę. Naczelnicy to ludzie zdecydowani. Działają szybko.

- Odprowadzić! Dać jeść i pić. Ale nie za dużo! Żeby się nie przepili nie przeżarli!

Znowu gdzieś nas zamknęli. Była to mała celka bez okien, z żaróweczką świecącą byle jakim światłem.

- Dranie - mrucał rudy. - Dranie...

- Już nie kochasz Ojca?

- Kocham, grubasie, tylko tych drani nienawidzę. Oni wypaczają ideę.

Nie odzywałem się, zajęty swym bólem.

- Dranie... Sukinsyny...

- Ciągle kochasz Ojca?

- A jakże, tylko tych sukinsynów nienawidzę - powtarzał jak refren rudzielec.

Ból narastał.

- Dranie...

- Wciąż go kochasz, tak?

- Mhm.

- Toś głupi.

Narastał.

- Kto głupi?

- Ty!

Narastał. Ból narastał.

- Ja?

Słyszałem jak przez mgłę.

- Ja?

- Nie klócić się - był to głos doktora, dziwnie przytłumiony. - Oni na to czekają. Omdlało mi się.

Po powrocie do przytomności spostrzegłem, że współtowarzysze niedoli zajęli się mną z braterską solidarnością. Żarówka nadal świeciła słabym światłem. Ujrzałem zydel, a na nim tacę z jedzeniem. Głodówka była zakończona.

Do celki wszedł strażnik, a za nim sanitariusz ze strzykawką. Trzymał ją w sposób zdradzający chęć rychłego użycia.

- Wy, chory!

- On nie może się podnieść.

- To niech leży - rzekł lakonicznie medyk. Wbił igłę w moje odwinęte ramię, schował do torby strzykawkę i odszedł. Strażnik został i patrzył na nas nieprzyjaźnie. Potem również się wycofał, nic nie mówiąc.

- Co to miało znaczyć? - dociekał rudy.

- Dowiesz się, bracie.

- Nie pytałem ciebie o zdanie, grubszy.

- Ale ci odpowiedziałem.

- Ach, ty!

Zastrzyk mnie pokrzepił. Mogłem już się poruszać. Nawet zrobiłem parę kroków. Tamci śledzili moje poczynania z troską. Wreszcie Ahwer powiedział:

- Kolega ma słabą głowę.

- Wypić mogę - odrzekłem.

- Ja nie o tym. Chodzi o odporność na uderzenia.

- Ja tu się nie prosiłem.

- Nikt tu się nie prosił. Ale jedziemy na jednym wózku.

- To znaczy?

- Kolega powinien wzmocnić swą odporność na uderzenia.

Oburzyłem się.

- Kolega pierniczy bez sensu. Jak potłuczony...

Ahwer obraził się na mnie. Umilkliśmy. Pomyślałem, że zdarzają się sytuacje, nawet najzroztropniejszych zamieniające w oszołomów i jakoś zrobiło mi się lżej na duszy.

ROZDZIAŁ VIII

- Spocznijcie - powiedział naczelnik. Sam jak zwykle siedział za biurkiem, z nogami na blacie.

Przyprowadzono mnie i towarzyszy do dużej sali, wyglądającej na konferencyjną. Oprócz nas było paru strażników i kilku nowych delikwentów. Nie wyglądali na wystraszonych. Nie domyślali się, co ich czeka.

- Chcę wam oznajmić wiadomość wagi najwyższej powiedział oficer. - Oto dziś rano Ojciec Narodu przeszedł Przeobrażenie. Zjednoczył się z Kosmiczną Jednią i stał się Ojcem Naszym... Teraz nauczę was modlitwy. Do Ojca będziecie odtąd modlić się przynajmniej raz dziennie, zacznie się to od słów: „Ojcze Nasz, który jesteś w niebie...”

Aż mi zaszumiało w głowie od tak potwornego bluźnierstwa! Naczelnik jakby nie wierzył, że nas przekonał, bo cichutko westchnął:

- Nie zwykłem śmiertelnikowi oceniać Wzloty Ojca... Wykonać!

Rozległo się jakieś mamrotanie. Najgłośniej recytował słowa modlitwy pan kapitan. Wyglądało na to, że tekst opanował przynajmniej na trójkę z plusem.

- Wykonywać!

Modliliśmy się do Ojca. Właściwie jego deifikacja nie powinna dziwić. Ojciec wytrwale do niej zmierzał.

- Z kwestii terminologicznych - rzekł naczelnik. - Wolno w dalszym ciągu nazywać Ojca Onym, modlić się do Onego, prosić o coś Onego... Wolno używać skrótu ON. Nie wolno już posługiwać się zaimkiem „on” w odniesieniu do kogoś innego. Za to idzie się do piekła. Niektórzy z was poznali już czyściec...

Urwał znacząco.

- Nie martwcie się bez powodu. Ojciec chętnie wybacza.

Znowu umilkł. Popił wody mineralnej, co było chyba u niego niebezpiecznym przyzwyczajeniem, i przemówił na nowo:

- Sukinsyny. Wszyscy, jak tu jesteście, będziecie nareszcie robić coś pożytecznego. Niektórzy już to czynili, ci wiedzą, jak jest ciężko, mnie też nie jest lekko, bo przed historią i Ojcem odpowiadam za powodzenie waszej misji. Sukinsyny, jak znowu skrewicie, to nie tylko nogi wam z dupy powyrywam... nie tylko... Oj, biedni będziecie, biedni... Co ja to chciałem powiedzieć? Ach, ON nie zgadza się na przełożenie terminu wyprawy. ON jest nieomylny i wyroki jego są nieubłagane.

Bardzo słusznie. Nie nam, śmiertelnym, o tym rozprawiać. To są wyższe kwestie, niedostępne dla naszych umysłów... Co ja to chciałem powiedzieć? Ach. Wyprawa musi ruszyć niezwłocznie. Bez gadania. Dwaj z was znają trochę arabski. Podszkola się, nabędą dobrego akcentu, pogaworzą z jeńcami i w drogę. Stąd do wieczności. Wieczność czeka. Nie skrewić! Bo wam nie tylko nogi z dupy powyrywam... Materiałów innych nie będzie, tyle że broń dostaniecie lepszą. Czas taki sam. Szczepienia na miejscu. Ojciec powiedział, że wszystko mu jedno, Europa feudalna, chrześcijańska czy arabska, mahometańska. Byleby ludzie byli stosowni. Za to wy odpowiadacie. Wy przede mną, ja... Sukinsyny, jak skrewicie...

Pan kapitan urwał - widocznie ujrzał przed sobą piekło. Aż nim zatrząśło.

- Wykonać!

Wyprowadzono nas z sali. Nowi też rekrutowali się ze spragnionych zagranicznych wojaży. Ten, który miał razem ze mną nabierać akcentu, nazywał się Igmarr. Nazwisko jak każde. Język znał z grubsza. Postępy czynił słabe. I nic dziwnego. Na naukę był aż tydzień. Po tych siedmiu dniach wsadzono nas do maszyny czasu.

My byliśmy już przyzwyczajeni, ale na nowych zrobiło to wrażenie. Miny mieli nietęgę. A tymczasem drzewa szumiały tak swojsko, że aż poczułem się raźniej. Świetlisty sześcian poszedł precz i ponownie dzieliło nas tysiąc lat od teraźniejszości. Zaledwie tysiąc.

Nowi zbledli z przerażenia. Rudy był wyznaczonym przez naczelnika dowódcą. Naprawiony został poprzedni błąd. Choć to nie był błąd, bo ON się nie myli. Więc co to było? Jedyne ON raczy wiedzieć. Rudy dowódca poprowadził swoją drużynę zdobywców tą samą ścieżką, którą szliśmy wcześniej. Zatrzymaliśmy się w zakonspirowanym domku. Stał jeszcze - znaczy nikt go nie odkrył. Ułożyliśmy się do zasłużonego odpoczynku. Rudzielec wyznaczył warty. Uważałem to za absurd, lecz milczałem. Nie milczał gruby osobnik - dostał psią wachtę. Ja miałem go zmieniać. Spałem podle, najwyżej dwie godziny, i to z przerwami. Już w naszych czasach miałem zszargane nerwy, a średniowieczna przeszłość nie podobała mi się za grosz. Obudził mnie delikatny dotyk grubasa. Szepnął: - Wstawaj, Marcin. Twoja kolej.

Nie targowałem się z nim, co uczyniłbym w okolicznościach bardziej sprzyjających. Grzecznie wstałem, przyglądziłem włosy, sięgnąłem po broń i wyszedłem na werandę. Tam usiadłem na stołeczku. Wzrok wbiłem w nieprzeniknioną ciemność - nie przebiłem. Zrobił za to na mnie dobre wrażenie widok rozgwieżdżonego nieba. Pomyślałem, że jutro przynajmniej nie będzie deszczu i w

tym momencie coś usłyszałem.

Muszę wyznać, że wzrok mam słaby, a słuch znakomity. Coś gdzieś trzeszczało. Jakby gałęzie pod stopami. Czyje to stopy? Zwierzęce, człowiecze? Wstałem.

Dobiegł mnie inny odgłos, z drugiej strony domeczku. Pochylony, obszedłem dookoła werandę. Znow coś zaszleściło. Przestałem się wahać. Moim obowiązkiem było obudzenie dowódcy. Od tego jest rudzielec sukinsyński, aby decydować.

Wchodząc, podeptałem trochę starych i nowych eksploratorów, albowiem nasza siedziba była przygotowana na mniejszą ilość osób. Poczęli się budzić. Ktoś zaklął - trudno mieć mu to za złe. Może to był grubas? Dopiero co zszedł z posterunku.

Rudzielec wyszedł ze mną i wspólnie patrzyliśmy na świat boży, który w tym zatrważającym momencie objawiał cechy diabelskie, albowiem noc jest domeną złych duchów.

Spoglądanie owo dało tyle, że dołączyli do nas inni. Hałasu narobili takiego, że z puszczy przestały już dochodzić jakiegokolwiek odgłosy. Zaczęto drwić, że mi się przywidziało. Odpierałem ataki jak umiałem, pytając, czy naprawdę niczego nie słyszeli. Jeden przyznał się, że słyszał, drugi, że nic. Zgodni tylko byliśmy co do tego, że tych ciemności wzrokiem przebić niepodobna.

Skoro nadszedł brzask, zmęczeni i niewyspani ruszyliśmy w dalszą drogę, uginając się pod ciężarem bagaży. Broń naturalnie mieliśmy przygotowaną do strzału. Bez przerwy się zastanawiałem, czemu Ojciec nie wysłał w misję zawodowców. Co do nas, straciłem nadzieję, że jesteśmy choćby utalentowanymi amatorami.

Wciąż szliśmy tą samą ścieżką. Rudy chyba układał jakiś plan, ponieważ zwolnił siebie od niesienia bagaży. Sam też łamałem sobie głowę. Ojcu wydawało się to łatwe, wydał rozkaz, Lecz zapomniał powiedzieć, jak to trzeba zrobić. Kapitan również mówił wykonać, wykonać, i taka to była jego fachowa pomoc. Może więc w tej sprawie nie było fachowców? Podzieliłem się swymi wątpliwościami z dowódcą.

- To jasne - rzekł. - Nowy lek też najpierw podaje się zwierzętom. Jesteśmy doświadczalnymi królikami. Na nas mają się uczyć inni. Nikt nie potrafi przewidzieć, co może zdarzyć się w przeszłości.

- Takiej grupy specjalnej jeszcze nie było?

- Nie. Jesteśmy pionierami. Pionierami postępu.

- Dodaj, przymusowymi.

- Pierwsi kolonizatorzy Australii również składali się z kryminalistów. To oni

przetarli szlak gubernatorom i sędziom, pułkownikom i adwokatom.

Przecieraliśmy ten szlak. Podle był utrzymany, zarastał. Jednak jakoś dotarliśmy do gościńca, nie gubiąc drogi.

Wówczas rudy zapytał:

- Czy nie odnosicie wrażenia, że ktoś nas obserwuje?

Nikt nie chciał się do tego przyznać.

- Bo ja, niestety, odnoszę.

Na to poczęto się przyznawać.

- Przydałoby się podjąć tych gości, co tak wytrwale nam towarzyszą - powiedział dowódca. - Dwóch niech tu zostanie.

- Kto?

- Ahwer i ty.

- To bez sensu - zaprotestowałem. - Jeżeli obserwują nas, to i policzyli.

Dowódca zafrasował się.

- Poczekajcie w tych krzewach pół godziny. Potem do nas dołączycie. Przygotujcie broń, zdajcie bagaże.

Uparciuch rudy nie zamierzał ustąpić; co było począć, zostaliśmy. Tamci poszli, a my dwaj pilnie obserwowaliśmy trakt; ponieważ strach ma wielkie oczy, często coś słyszeliśmy, a doktor Ahwer nawet widział.

On widział, ja nie. Obiektywnie nie było nikogo. Odczekaliśmy pół godziny i różnym krokiem ruszyliśmy w pościg za resztą. Mimo iż marsz był rzeczywiście szybki, nie mogliśmy ich dopędzić!

W pewnym momencie zaczęliśmy nawet truchtać. Ileż jednak mogą przebiec dwaj sterani życiem intelektualiści? Prędko się zadyszeliśmy, nogi odmawiały posłuszeństwa, mózg wysyłał sygnały, by biec, ciało protestowało: nie biec. Konflikt między duchem i materią zakończony został rezultatem łatwym do przewidzenia. Ahwer zwał się na pobocze drogi, zaklął i powiedział, że mogę palnąć mu w łeb, lecz dalej nie pójdzie. Niezwłocznie skierowałem lufę w jego wychudłą pierś. Zadrzał i próbował wstać, ale sił starczyło mu jedynie, żeby klęczeć. Na tych klęczkach poczuł w sobie jakiś przypływ odwagi i zawołał:

- Strzelaj, chuju. Będzie ci w piekle policzone!

Chorobliwym zwyczajem urodzonego mózgowca podjąłem dyskurs, pytając go, czemu przed śmiercią mnie obraża? I czy nie lęka się aby zemsty Ojca?

- Pieprzę go! - ryknął.

Również nie przepadam za Ojcem Narodu, to jest Ojcem Naszym, bluźniercą i uzurpatorem, niemniej jednak doktor Ahwer rozjuszył mnie doszczętnie i naprawdę chciałem go zranić i zostawić na pastwę losu, lecz nie zdążyłem, bo rozległy się strzały.

Ahwer zbladł jeszcze bardziej - biedak wyobraził sobie, że wystrzeliłem i kula zagłębiła się w jego chudym ciele. Przewrócił się na bok i pozostał tak do następnych wystrzałów. Była to już cała kanonada. Odgłosy jej dochodziły z kierunku, w którym winni znajdować się nasi.

Był to sygnał, że jesteście blisko. Zawołałem:

- Wstawaj! Jesteś żywy, tylko poszczałeś się ze strachu!

Na to uniósł się i pobiegliśmy razem.

ROZDZIAŁ IX

Decyzja rudego pozwoliła mi na nie zbrukanie sumienia niewinną krwią. Nasi cynicznie wystrzelali z zasadzki kupiecką karawanę. Ponoć tylko grubas żywił wątpliwości, inni - wcale.

Kiedy nadbiegliśmy z doktorem Ahwerem, nastał już czas kopania dołów i łapania wystraszonych hukiem broni koni i mułów. Dowódca uznał, że znakomicie nadajemy się do tego zadania, absolutnie nie budzącego we mnie entuzjazmu.

Potem zarządził przerwę na odpoczynek i dopuścił podwładnych do głosu. Szło mu o to, aby jak najrychlej sprzedać łupy. Co gorsza, mnie to poruczył. Atoli nie miałem działać sam. Na bazar pójdziemy kupą, oznajmił, lecz to Lipień będzie prowadził pertraktacje, bo dobrze zna język.

- A jeśli nie odszukamy bazaru? - zamartwiał się jakiś idiota.

Następny półgłówek zaś dodał, wtrącając swoje trzy grosze: - Nawet nie wiemy, jak trafić do miasta!

Wściekły rudzielec pouczył malkontenta, że wystarczy trzymać się drogi, którą poruszała się nieszczęsna karawana. - Skądys na pewno jechali - warknął rozeźlony.

Ruszyliśmy owym traktem, pełnym dziur. Jego zaletą było wszelako to, że doprowadził nas do celu. Miasto wyglądało na arabskie, w niebo strzelały minarety. Z

wykładów pamiętam, że w każdym mieście arabskim najważniejszym miejscem była kazalnica, niedaleko której powinien znajdować się bazar. Domów modlitwy mogły być setki, lecz meczet, gdzie odmawiano główną modlitwę piątkową, powinien być tylko jeden.

Przeciskając się wąskimi uliczkami, zadzierałem wysoko głowę, izby go nie przegapić. Zabudowa miasta była oczywiście gęsta, lecz domy - niskie. Kłóciło się to z tym, co opowiadali profesorowie. Ich zdaniem - a „podpierali się” stosownymi cytatami, domy w porządnym muzułmańskim mieście mogły sięgać nawet czternastu pięter wysokości!

Tłum w mieście był wielorasowy. Spotykało się różne typy, także nordyckie: niebieskie oczy, rudawy odcień włosów. Wiadomo pogranicze.

Czarnych za to nie mogłem uświadczyć. Nie wiem dlaczego, ale ich oczekiwałem. Może z tej przyczyny, iż w państwie Abbasydów oraz w krajach rządzonych przez Bujidów i Fatymidów, zawsze można było spotkać pełno osób o tym kolorze skóry, a z czarnych niewiast szczególnie cenione były Nubijki.

Usiłowałem zagadnąć kogoś o bazar: niestety oddalił się w pośpiechu. Pojechaliśmy jeszcze kawałek - wyrósł przed nami pałac, bogato zdobiony w marmur. Pilnowała go straż. Brodaci wojownicy pomknęli ku nam skwapliwie. Coś zagadali w swoim narzeczu; zacząłem się denerwować. Gestami starałem się dać im do poznania, że jestem cudzoziemcem i przybywam z odległych krain. Ich poczynania były jednak nader konsekwentne; musieliśmy się wynieść. Pech. Co dalej?

Minęliśmy pałac, zanurzając się w jeszcze ciaśniejsze uliczki. Doktorowi Ahwerowi jakaś kobieta wylała kubel z nieczystościami na głowę; Ahwer otrząsnął się jak pies wychodzący z wody i dołączył do kompanii, cichutko przeklinając.

Przejechaliśmy przez drewniany most i nareszcie mogliśmy powiedzieć, że dotarliśmy do celu: bazar rozkwitł przed nami jak chińskie sto kwiatów. Kazałem zejść z wierzchowców moim ludziom i dobrze się pilnować, co zdaje się nie było wcale potrzebne. Pilnowali się i bez moich pouczeń. Każdy gdzieś tę spluwę trzymał i przez szaty jej dotykał. Spluwa krzepi.

Ja rozpocząłem handel. Jak przez mgłę pamiętam, iż jednostkami monetarnymi używanymi w imperium kalifów był złoty dinar i srebrny dirham. Nie pamiętałem jednak relacji między nimi, a zresztą na kresach państwa andaluzyjskiego mogły być one odmienne niż w Kordobie, a u Umajjadów inne niż u Abbasydów.

Nie znałem też cen obowiązujących u Arabów. Została mi z wykładów

uniwersyteckich taka mało przydatna informacja, że pewien wezyr sprezentował krewniakowi wspaniały dom wartości stu tysięcy dinarów; żywiłem nadzieję, że tutaj domostwa są nieco tańsze. Złota wyznaczył nam Ojciec niewiele, paręset sztuk, w większości solidów bizantyjskich i weneckich dukatów; trudno zaś było przewidzieć, ile dostaniemy za łupy.

Dogadywałem się z czarnobrodym handlarzem. Chyba pytał, czy ci ludzie to moi niewolnicy. Chętnie bym sprzedał rudzielca, ale obawiałem się, że połapie się w moich zamiarach.

Zaprzeczyłem: to nie są niewolnicy.

Mina mu się wydłużyła. Spojrzał na mnie niechętnie - człowiek jednakże najwyższą jest wartością, wszędzie pożądaną - i zaczął obmacywać pęciny rumaków. Mułami nie interesował się w ogóle. Mieliśmy też dobro zapakowane w jukach, lecz co tam się znajdowało, jeden ON raczy wiedzieć. Konie podobały się Arabowi. Cmokał i wymachiwał ramionami.

Kupiec najchętniej nie zostawiłby nam ani jednego rumaka, wszelako nie mogłem pozbyć się całej stadniny; sprzedałem tylko zbędne wierzchowce, w niebagatelnej ilości szesnastu sztuk.

Za wszystko pragnął dać mi trzysta dirhamów. Na szczęście przypomniałem sobie, że są to psie grosze, albowiem za dinara otrzymywało się piętnaście, osiemnaście srebrnych monet, w zależności od działania prawa popytu i podaży, u Arabów niezmiennie obowiązującego, jako że uznawali oni wolność ekonomiczną.

Krzyczałem nań w moim ojczystym języku, gdyż w taką złość na wydrwigrosza wpadłem, że nie chciało mi się kleić arabskich zdań. Nic nie rozumiał, lecz nie trzeba było rozumieć, aby wiedzieć, o co idzie. Stańło na tym, że za konie - owszem trzysta, ale dinarów.

Teraz kupiec zaczął zawzięcie rozwodzić się nad swoją krzywdą. Brał obecnych za świadków, wzywał gorąco Allaha, wymieniał często imię Proroka, a raz wezwał imienia Alego, lecz spłoszył się przy tym i jakby nawet sapnął ze strachu.

Słabość ta okazała się być chwilową. Znow poszły w niebiosy skargi na niewdzięczność tego oto wstrętnego cudzoziemca! Ja zasię najbardziej byłem zadowolony z tego, że Arab nie pyta, skąd jestem! A nuż będziemy ze sobą w wojennym konflikcie i zechcą nas internować?

Toteż, by zamknąć mu pysk, zgodziłem się na dwieście pięćdziesiąt dinarów. On jeszcze utargował na dwieście i konie przeszły na jego własność.

Wyliczył mi złote monety, rozstając się z każdą bardziej niechętnie niż z ukochaną niewolnicą. Mnie też oczy się świeciły, ponieważ u Ojca zarabiano się dużo, lecz płacili w papierkach, a złoto to złoto.

Wyliczanie trwało i trwało, w pewnym momencie wydało mi się, że niedbalec omylił się w rachunkach, i to na swoją korzyść! Zażądałem powtórnego liczenia. Przystał na to z wielką złością i okazało się, że rachunek się zgadzał. Grzech nadmiernej podejrzliwości? Być może.

Potem zaczęły się rozmowy na temat zawartości juków. On otwierał, przeglądał, ja pokazywałem na palcach, ile chcę dostać, on najczęściej odrzucał moje propozycje, niekiedy je przyjmując, widocznie gdy wyceniłem za nisko. Biednemu zawsze wiatr w oczy wieje, niestety.

Ze szkolnych lektur przypomniałem sobie, jak to Sindbad Żeglarz poradził sobie w finansowych tarapatach! Okradł mianowicie Ptaka Rocha z diamentów, które sprzedał z wielkim zyskiem po powrocie do Bagdadu. Przyszło mi na myśl, aby zrobić to samo, lecz na razie musiałem odłożyć pomysł na lepszą sposobność.

Na bazarze nasze umowne konto wzbogaciło się o trzysta dinarów i dwieście dirhamów. Mieszek był to solidny; przekazałem go rudemu. Wiedziałem, że dowódca forsy nikomu nie odda; prędzej da się zarznąć niż puści sakwę, to nie doktor Ahwer, który w napadzie melancholii podzieliliby się złotem z każdym żebrakiem.

Ale tu nie powinno być zbyt wielu biedaków. Prawo islamskie nakazywało dbać o ubogich. Na te cele ściągany był specjalny podatek, jedyny, jaki płacili prawowierni wyznawcy Mahometa.

Zawróciliśmy inną drogą, bo stara gdzieś znikła. Po prosu zgubiliśmy się w labiryncie uliczek. Przypadkowo zaprowadziła nas na targ niewolników. Jaki był tam wybór niewieściego towaru!

Jedne były zgrabne, śniade, nader urodziwe, o pięknej cerze i czarnych włosach. Inne wąskie w talii i delikatne. Przeważały wśród nich kobiety niskiego wzrostu, niektóre jednak były wysokie. Niewiasty otaczał tłum gapiów.

Gdzieś obok ślinił się staruch, wsparty na ramieniu młodzieńca. Młodzieniec wpatrywał się miłośnie w dziewczynę o gibkim ciele, pięknych kształtach i wydatnych wargach. Włosy miała jasne, wijące się. Biodra mocne, zdatne do wydawania na świat liczne potomstwa. Jej smutny uśmiech mówił o skłonności do posłuszeństwa; inne wyglądały na złośnice, ta była uległa.

Naraz poczułem, jak ktoś trąca mnie w łokieć.

- Kupujemy ją?

To rudzielec sukinyński dostał amoku. Pożerał jasnowłosą wzrokiem; ostro się na nią napalił.

- Oszalałeś?

- Kupujemy - powiedział władczo.

- Kto wie, ile trzeba będzie zapłacić. A my musimy koniecznie mieć dom. Bez bazy operacyjnej nic nie zdziałamy.

- Co za dziewczyna!

- Później ją kupimy, jak dorobimy się na zbójowaniu.

- Do tego czasu zostanie sprzedana. Ona musi być moja.

- Moja też - warknął grubas.

- Ona będzie nasza - rzekł rudy, chytrze uśmiechając się. - Nasza wspólna. Będziemy używać jej solidarnie.

- To absurd - protestowałem.

- Kupuj, Marcin!

Pierwszy raz rudzielec zwrócił się do mnie po imieniu, tak mocno zależało mu na blond bóstwie. Zacząłem handel.

Może i bym nabył ją bez wyraźnego uszczerbku dla naszych finansów, lecz popsuł mi szyki ów zakochany młodzik. Szeptał coś do śliniącego się starego Araba, szarpnął go za ramię, coś mu impulsywnie tłumaczył, a staruch kiwał tylko łysą pałą i ślinił się jeszcze ohydniej! Żeby tylko na tym poprzestał! Nie chciał poprzestać; kwilił niemowlęcym głosem:

- Sto dinarów... Sto dziesięć... Sto dwadzieścia...

Przebujalem go - roztropnie - o pięć sztuk złota, ale staruszek uparty był jak kozioł:

- Sto trzydzieści... Sto czterdzieści...

Przy stu siedemdziesięciu zbuntowałem się; Ojciec na pewno by mnie za to nie zganiał.

Nadto handel żywym towarem obcy jest moim przekonaniom. Wobec kobiet należy żywić szacunek.

Kiedy odmówiłem dalszego udziału w licytacji, rudzielec uniósł woreczek ze złotem, z tą naszą krwawicą, i, nie mogąc wszakże dogadać się głosem z właścicielem panienki, znalazł prosty sposób na zaspokojenie swej żądz; nad głowami gapiów przerzucił mieszek, który wylądował u stóp handlarza.

Arab ze sprawnością mózgu elektronowego policzył złoto i z zachwytem obwieścił: Trzysta dinarów, dwieście dirhamów. Dla dobranej pary, śliniącego się starucha i napalonego młodzika, było to niczym wyrok śmierci. Młodzieniec rzucił mi spojrzenie pełne nienawiści; ja zaś wskazałem palcem rudego i umyłem dłonie jak Piłat Poncki, najślawniejszy z prokuratorów.

Jeszcze wróg mój zaczął szarpać staruszką, jeszcze bohaterstwo nie rezygnował, lecz dowódca był już na podium i bezceremonialnie ściągnął zeń nowego członka naszej wybitnej specgrupy; dosiedliśmy mułów i zaraz opuściliśmy rozkrzyczany bazar.

Z rozpędu wymknęliśmy się aż za miasto, bo wolałem uniknąć kłopotów. Patrzyłem czy młodzik nas nie śledzi, ale zgubił trop. Na odosobnieniu wyznałem rudemu, co myślę o jego polityce finansowej. On na to, bym się nie trapił. Zezłościłem się:

- Jak mam o tym nie myśleć, skoro wszystko przepuściłeś w jednej chwili!
Ojciec ci tego nie wybaczy!

- Nie dowie się.

- Powiem mu.

- Nie radzę.

- Powiem.

- Nie radzę - powtórzył groźnie.

- To może nie powiem, lecz... lecz...

Rudy rzekł:

- Ja jestem dowódcą. Wiem, co robię.

- Skąd weźmiemy pieniądze na dom?

- Istnieje jeszcze prawo pięści - odpowiedział, niby tajemniczo, a na pewno wyniośle.

ROZDZIAŁ X

Ponieważ ośmieliłem się krytykować rozkazy dowódcy, w odwecie polecił mi

poszukanie stosownej kwatery. Do pomocy dostałem Ahwera oraz grubasa.

Musieliśmy zacząć od wybrania stosownego obiektu. Mnie było wszystko jedno: byle dom położony był na odludziu, wolno stojący, niezbyt okazały, aby nie zwracał niczyjej uwagi. Doktorowi Ahwerowi jednak odbiło. Zaczął grymasić. Ten nie za ładny, ten za mały, nie pomieścimy się, jemu potrzeba wygod, dość miał stresów. Przystałem wreszcie na jego sugestie. Pokraczny był to wybór, lecz o to mniejsza. Ulicę akurat patrolowała muzułmańska policja, z długimi nożami w pochwach.

- Będą chodzić tak aż do pierwszej porannej modlitwy - powiedziałem do towarzyszy. - Każdy uciekający przed nimi człowiek może ponoć liczyć na pomoc u mieszkańców, lecz wolałbym, żebyśmy nie wystawiali nikogo na próbę.

- Nie będziemy uciekać - rzekł dumnie Ahwer.

- Żadnych awantur - zaznaczyłem. - To nie piknik.

- Rozumie się, że ostrożność nie zawadzi - poddał się w końcu doktor Ahwer.

- Wkraczamy, nim patrol wróci.

Zbliżyłem się do bramy. Pociągnąłem za sznur. Zrazu nikt się nie odzywał. Potem smutny głos powiedział:

- Czy to ty, Al-Hakimie? Przyjdź jutro. Czuję się znużony medytacjami, a czekają na mnie jeszcze moje umiłowane księgi.

Wyciągnąłem broń i ponownie targnąłem za sznur. Brama otworzyła się nieznacznie. Wystarczyło! Wsadziłem nogę, wdarłem się do środka, celowałem z pistoletu w osłupiałą twarz. Trysnął strumień gazu. Młodzieniec zwałił się na dywan. Ahwer i grubas dyszeli za moimi plecami.

- Dostał?

- Przeszukajcie dom - poleciłem.

- Rozkaz, szefie - zaśmiał się Ahwer. Sukces uskrzydła; doktor z wielką energią rzucił się do drugich drzwi, a gruby pobiegł żwawo po schodach, kierując się na piętro. Długo nie zabawił. Wrócił rozanielony, mówiąc, że dom jest pusty. O tym samym doniósł doktor Ahwer.

Nie dowierzając im - mając takich współpracowników każdy byłby nieufny - postanowiłem sam wszystko obejrzeć.

Przyświecając sobie oliwnym kagankiem, rozpocząłem moją małą odyseję. Zadaszone wejście prowadziło na obszerne czworokątne podwórze, na którym miauczały koty, umykając w popłochu. Lewa strona budynku była węższa od prawej, ale niewiele. Znajdowała się tam główna komnata w kształcie litery T; w jej rogach

umieszczono mniejsze pokoiki. Po prawej stronie odkryłem pomieszczenia gospodarcze oraz łaźnię. Raz jeszcze wróciłem na podwórze i o mały włos nie wpadłem do studni, co radykalnie zakończyłoby moją karierę wybitnego eksploratora w Czasie, gdyż studnia była słusznej głębokości. Nade mną było rozgwieżdżone niebo, zaś moje duchowe wnętrze przedstawiało okropny widok: rozpacz, determinacja, pomieszanie pojęć, totalne zagubienie, słowem piekło na ziemi w klasycznym wydaniu.

Zszedłem też do podziemi, płosząc szczury. Ten akt odwagi opłacił mi się. W jednej z piwnic znalazłem bukłaki z dobrym winem.

Wróciłem z kagankiem wypalonym do połowy. Tamci dwaj siedzieli beczynnie. Właściciel domu leżał na dywanie. Wzburzyłem się tym przejawem znieczulicy. Powiedziałem im coś mało przyjemnego. Zapałali do mnie żywiołową nienawiścią - żadnej skruchy! Nawet bezczelnie dopytywali się, czy sprzyjam Arabom.

Przestałem budzić ich sumienia, bowiem łatwiej byłoby dobudzić umarłego. Zamiast dalej bawić się w moralizatora, kazałem im poszukać jakiegoś sprzętu, na którym mógłby spocząć otumaniony gazem posiadacz posesji. Arab żył i mieszkał lepiej niż my u dobrego Ojca, co sugerowałoby, iż pochodzi z klas wyzyskujących. Poczulem lekką zawiść. Umysł mój zestawiał bowiem moje dawne trzydzieści osiem metrów kwadratowych przestrzeni użytkowej z powierzchnią mieszkalną tego domostwa; porównanie fatalne w skutkach.

Potem jednak zawstydziłem się swych niegodnych myśli i pochyliłem się nad prawowitym właścicielem. Jeszcze oddychał.

- Co ty - powiedział Ahwer. - Pieścisz się z nim?

Wyprostowałem się.

- Nie pieprzyć bzdur - warknąłem. - Zadanie wykonane?

- Nie.

- Co to znaczy?

- Łóżek tu nie ma - odparł grubas.

- Niemożliwe.

- Możliwe, szefie - rzekł doktor. - Chyba śpią jakoś inaczej.

Zafrasowałem się.

- Na skórach? Lamparcich? Niedźwiedzich?

- Raczej niedźwiedzich.

- Wybaczcie, drodzy koledzy - powiedziałem. - Wciąż myślę, że jesteśmy w

Mezopotamii. Ach, piękny Bagdad. Miasto Haruna Al-Raszida! Bajka.

Patrzyli tępo, nie rozumiejąc nic zgoła.

- Tymczasem to państwo andaluzyjskie, rządzone przez Umajjadów. Co jeszcze nie jest najstraszniejsze. Gorzej, że granice tego państwa jakoś absurdalnie przesunęły się na zachód.

- Co to ma wspólnego z naszą misją? - Zapytał Ahwer, lecz nie doczekał się odpowiedzi.

- Proponuję nie łamać sobie tym głowy - rzekł gruby. - Należy powiadomić rudzielca.

- Ty pójdziesz?

- Ja?

- Jasne, że ty. Przecież nie Ahwer. Zjedzą go bez soli. Doktor zadrżał.

- Ciemno jest. Nie znam języka. Mogę zabłądzić.

- Prawda - powiedziałem. - Nie pójdziemy. Niech chłopcy nocują w lesie.

- Rudzielec będzie wściekły.

- Co mi tam! Zresztą, jeśli trudno ci bez niego wytrzymać, idź go szukać. Masz moje błogosławieństwo.

- W ciemnościach? - ponuro dopytywał się grubas.

- Sam widzisz. Szukajmy się lepiej do noclegu. Czuwać będziemy na zmianę. Ja pierwszy, Ahwer ostatni.

Grubas nie zaprotestował przeciw wyznaczeniu mu najgorszej wachty. Może już przywykł.

- Wartę trzymać musimy, ponieważ jesteśmy na wrogim terytorium.

- Bez wątpienia - zgodzili się moi podkomendni.

Ahwer i grubas udali się do głównej komnaty; ja natomiast zapaliłem - rozrzutnym gestem - dwa kaganki od razu; a na skrzyni, która tu była jedynym meblem, położyłem dodatkowo przydziałową latarkę.

Obok niej spoczął mój pistolet gazowy; sam zaś usiadłem na dywanie, przenosząc wzrok z drzwi wejściowych, pięknie rzeźbionych, na twarz pogrążonego we śnie prawowitego lokatora, i z tej smutnej twarzy znowu na owe piękne drzwi. Nad sobą miałem sufit zdobiony mozaikowymi kasetonami o treści niereligijnej. W sobie - znów piekło! Nie potrafiłem wytrzymać w bezczynności. Wstałem, zacząłem chodzić po pomieszczeniu, przeklinając swój los. Żaliłem się nad swoim nieszczęściem, mrużąc pod nosem: - Piekło, parszywe piekło, zapierniczone życie, parszywe piekło; i

tak dalej. W gardle czułem suchość. Nie smakowała mi tutejsza woda. Najchętniej napiłbym się herbaty. Było to jednak niewykonalne. Jeszcze kilka wieków musiało upłynąć, zanim powstanie angielskie imperium zamorskie i na Wyspach pokaże się ten napitek, przez Japończyków uznawany za boski. Myśl moja jeła błądzić wokół tylu spraw, najczęściej kompletnie nie związanych z naszą sytuacją! Przypomniałem sobie zdziwienie biskupa Luitpranda, posła cesarza Ottona, kiedy w pałacu bazyleusa w Bizancjum usłyszał śpiew siedzących na tronie drewnianych ptaków. Grecki władca miał przed tronem pozłacane lwy, od czasu do czasu otwierające pyski i uderzające ogonami o ziemię. Przypomniałem sobie, że w pałacu w Bagdadzie, na środku okrągłego stawu, stało drzewo o gałęziach ze srebra, z których zwisały kolorowe listki, drżące jak prawdziwe liście na wietrze. Tajemniczy Wschód otwierał się przed moją pamięcią... cieleśnie zaś krążyłem po werandzie, wyposażony w śmiertelny pistolet automatyczny z tłumikiem, niczym pierwotny barbarzyńca daremnie usiłujący wydostać się z klatki zła, którą wokół niego zbudowano. Wzbierała we mnie wściekłość. Czułem się osaczony. Człowiek w takim położeniu reaguje albo depresją albo wzmożoną agresywnością; chyba kolejno przechodziliśmy wszystkie te stadia. Tylko rudzielec sukinyński trzymał się w kupie; podtrzymywała go na duchu niezłomna wiara w miłość i dobroć Onego. Ja już nie byłem do tego zdolny. Nie wierzyłem: w nic. Przestałem nawet wierzyć we własne ocalenie. To było straszne. Znowu pomyślałem o srebrnych liściach w pałacu bagadzkich kalifów, o angielskiej herbacie, zdumieniu cesarskiego posła biskupa Luitpranda, ale myśl niepokorna szybko odbiegła od tych bezpiecznych rejonów, pogrążając mnie ponownie w odmętach chaosu! Krzychałbym - gdyby nie podszepty Anioła Stróża, momentami przywracające mi trzeźwość sądu.

Coś usłyszałem. „Duży” hałas! Pistolet błysnął w mej dłoni. Lecz oto... w drzwiach stanął gruby. Nie mógł dostrzec broni wycelowanej w jego pustą mózgownicę. Burkliwie, z pretensją w głosie, rzekł, przecierając oczy:

- Spadłem ze skrzyni... Na podłodze było niewygodnie.

- Po kiego czorta kładziesz się na skrzyni! - ryknąłem na całe gardło.

Zamrugnął powiekami.

- Wrócę na dywan. A ty nie szalej. Wszyscy mamy nerwy zszargane. Ale jakoś musimy sobie radzić. Bo nie przeżyjemy.

Milczałem, targany nierozumną wściekłością.

- Zdawało mi się, że słyszę krzyk.

Milczałem.

- To nie ty?

- Przewidziało ci się.

- Sądziłem, że wzywasz pomocy. Nie wzywałeś?

- Nie.

Pokiwał głową.

- Idę spać - powiedział smutnym głosem. - Spać trzeba. Pistolet schowaj. Na wewnętrznego wroga nie pomoże.

Pozwoliłem mu odejść. Na razie. Na kimś jednak musiałem wyładować swą wściekłość. Arab wciąż spał. Trąciłem go stopą. Nie przebudził się. Nadepnałem mu na rękę: były następstwa.

Jęknął z bólu. Znów przyłożyłem nieborakowi: cichutko się poskarżył... Jakbym usłyszał: - Ratuj, Al-Hakimie...

- Żaden pies niewierny ci nie pomoże! Wstawaj!

Zaczął ruszać się na dywanie; podciągnął kolana pod brodę, przybierając pozycję płodową. Zawołałem:

- To nie ciąg dalszy twoich medytacji, a ja nie Al-Hakim! Podnieś się! Zamorduję, jak nie posłuchasz!

Szepnął:

- O ja nieszczęsny! Wpadłem w łapy demona!

Z jego punktu widzenia tak mogło to wyglądać. Nie zamierzałem go uspokajać, lecz właściwe ludziom Zachodu poczucie honoru nakazało mi zaprzeczyć.

Zatrwożył się jeszcze bardziej:

- Frank... Barbarzyńca... Frankijski demon...

Zaczęło mi się to nawet podobać. Zapytałem:

- Co wiesz o Frankach?

- Nie jesteś Frankiem?

- Jestem.

- Demonem... też? Nagle zapadłem w ciemność. Musisz być demonem. Nic nie pamiętam. Usłyszałem głos Al-Hakima, dlatego otworzyłem...

- Kim jest Al-Hakim? Kadim? Urzędnikiem kalifa? Gadaj!

- Udawalesz głos Al-Hakima. Tylko wysłannik piekieł potrafiłby tak udatnie naśladować jego głos.

- Al-Hakim był sułtanem Egiptu. Ale chyba nie o tego Al-Hakima ci chodzi.

Opowiedz mi o swoim przyjacielu...

Żebyś i jego nawiedził!? Nic nie powiem!

- Uważaj... Policzę ci wszystkie kości.

- Obyś nigdy nie wyszedł z sirdabu!

- Co zacz: sirdab? - spytałem, łapiąc go za chudą gardziel.

- Puść!

- Pytałem cię o coś.

- Sirdab to takie miejsce, o którym Al-Masudi powiada, że nie można tam odróżnić jasności dnia od ciemności nocy. I ty tam się znajdziesz, Franku.

- Kto to jest Al-Masudi? To też twój kompan? A może to kadi?

- On już nie żyje.

- Kręcisz.

- Al-Masudi był literatem. Kalif Al-Muktadir w takim dole trzymał swego wodza eunucha Munisa, kiedy ten stracił jego łaski.

Na moment przerwałem przesłuchanie. Złość częściowo mi przeszła. Uspokoilem się.

- Coś ci powiem, przyjacielu Al-Hakima. Nie jestem Frankiem ani demonem. Jestem kimś groźniejszym od jednego i drugiego! I tak tego nie pojdziesz. Ale wiedz, że jesteśmy potężniejsi od twojego władcy. Kalif jest nikim w porównaniu z nami. Jeśli będziesz nam powolny, ocalisz głowę. Jeżeli nie - zgubisz ciało i duszę.

Aby jednak nierozsądne myśli nie przychodziły ci do łepetyny, zostaniesz związany. Połóż się na brzuchu, ręce do tyłu... Nie poruszaj się... Bo ubiję jak psa!

Młodzieniec był posłuszny. Związałem go. Drżał przy każdym moim dotyku. Czulem się ukontentowany. Bywa, że niewiele potrzebne jest człowiekowi do szczęścia.

ROZDZIAŁ XI

Reszta dyżuru minęła spokojnie. Po obfitym śniadaniu, na które spożyliśmy ćwiartkę jagnięcia, stanął przed nami problem wyboru posłańca..

Zgłosił się grubas. Pouczyłem nieboraka, jak ma się zachować, kiedy głos muezina wezwie do modłów wyznawców Proroka. Powiedziałem, że nie musi udawać prawowiernego, ponieważ islam jest tolerancyjny, chyba że obraża się Mahometa, wtedy już nie jest.

On na to: - Kłopoty to moja specjalność... Poradzę sobie. Mam broń.

- Nie, przyjacielu - rzekłem stanowczo. - Zostawisz ją tutaj.

Oniemiał.

- Zostawisz! - krzyknąłem. - Na Ojca, pójdiesz bez niej!

- Nigdy - warknął. - Nie dam się zarznąć jak cielę!

W żaden sposób nie pozwolił się przekonać. W końcu wyruszył uzbrojony po zęby, z zapasowym magazynkiem w wewnętrznej kieszeni chałata.

Oczywiście, byłem z tego niezadowolony, ale rozumiałem go. Przynajmniej nie czuł się dzięki temu samotny. Broń jest najlepszym przyjacielem mężczyzny. Dzięki niej może na przykład palnąć sobie w łeb. Co do Ahwera i mnie, nie byliśmy zdani na siebie; istniał jeszcze młody człowiek, którego przymusowej gościnności zawdzięczaliśmy nasze wygody.

Ponieważ wolałem towarzystwo wroga od histerycznych wynurzeń Ahwera, złożyłem poranną wizytę jeńcowi, zanosząc mu kawałek mięsiwa i dzban wody. Przyjął mnie przekleństwami, ale na widok żarcia opamiętał się.

Kiedy Arab zaspokoił pierwszy głód, zaproponował mi wysłuchanie kasydy, którą jakoby ułożył przed chwilą!

Odmówiłem.

Za poezją nie przepadam; nadto sądziłem, że będą to ponure strofy, a ja doprawdy nie byłem w najlepszej formie. Młodzieniec uparł się; nie zatkasz takiemu gęby! Wyrecytował wiersz.

Była w nim lekkość poranka i jakieś nostalgiczne oczarowanie. Zdumiony, zapytałem, czy to, że jest więźniem, nie ma wpływu na jego pisanie. Uraczył mnie w odpowiedzi wierszem.

„On nie jest niewolnikiem, lecz uroczym chłopcem, którym obdarzył mnie wieczny, opiekuńczy Bóg. zachwyca doskonałością w spełnianiu rozkazów, jest moją ręką, ramieniem, jest moim przegubem, jest bardzo młody, a jednak bardzo użyteczny, złączyła się w nim słabość z wielką wytrwałością...

Kazałem mu przestać - coś mi to wyglądało na hymn pederastów. Ale to nie on napisał ten wiersz; autorem był Said Al-Chalidi, słynny poeta, opiewający w ten

sposób umiłowanego niewolnika.

- Pokaż mi swą bibliotekę - zażądałem.

- Nie mogę chodzić - rzekł.

Uwolniłem go z więzów. Ruszył pierwszy. Weszliśmy do pomieszczenia, które było gabinetem. Na półkach spoczywały setki zwojów; zdjęty nabożnym szacunkiem, przypatrywałem się z uwagą dorobkowi wieków.

Młodzieniec znów zaczął recytować wiersze: pomyślałem, że jego melancholia jest nieuleczalna.

Zapytał, czy nie cierpię na oczy; posiada cenne traktaty okulistyczne...

Skłamałem, że nigdy na oczy nie chorowałem. Nie uwierzył. Powiedział, że każdy człowiek może być swoim lekarzem; później, że wydał już na księgi tysiąc dinarów, a zamierza wydać jeszcze drugie tyle. Wspomniał swego wuja, posiadacza wielkiej biblioteki, który czytał książki nawet w pewnym ustronnym miejscu... Tenże wuj polecił sługom zaszyć jeden z rękawów swej szaty, a w drugim zawsze trzymał jakiś uczony zwój.

Zrozumiałem, że młody uczony nie nadaje się na janczara! Przestraszyłem się, że rudzielec odkryje to, co i ja odkryłem. A to oznaczało, że nie będzie chciał zachować młodzieńca przy życiu!

Tamten chyba tego się domyślił... Rzekł: - Niecierpliwie czekam chwili, kiedy Bóg powoła mnie do siebie. Obrzydł mi już ten padół łez...

Odpowiedziałem, że nie jestem pewien, czy jego czas się wypełnił.

A potem związałem go znowu.

W porę! Skądys wynurzył się Ahwer.

- Idą nasi - powiedział z grobową miną.

ROZDZIAŁ XII

Wrócili faktycznie, napełniając dom gwarem i przekleństwami. Była z nimi ich muza, tak okrutnie przepłacona. Nie przyglądałem się ślicznotce zbyt długo. Rudzielec natychmiast wsiadł na mnie:

- Byczyliście się pod dachem, gdy tymczasem my spaliśmy pod gołym niebem! Dla siebie tylko dom załatwiliście? Toż to jawna zdrada! Kolektyw się z wami rozliczy. Zebranie, zebranie!

To nie do uwierzenia, ale oni naprawdę zwołali zebranie! W tej głównej komnacie na kształt litery T, bo gdzie indziej nie pomieścilibyśmy się.

Siedem par oczu patrzyło na mnie wilkiem - potworność. Siedzieli na dywanie, z braku krzeseł czy zydl; nawet skrzyni nie było w tej komnacie; przez co zdawała się być ogromna, choć była tylko duża; w takim pomieszczeniu człowiek czuje się zgoła inaczej niż w wypełnionym meblami. Nie tylko inaczej - również po prostu gorzej.

Żeby nie przeciągać sprawy, powiem tylko, że po głosowaniu, które potępiło mnie jednomyślnie, poczułem się w obowiązku złożyć samokrytykę - no i złożyłem. Dowódca jednak nie był zadowolony. Bacznie go śledziłem podczas samooskarżycielskiej mowy - momentami aż nim wstrząsało.

- Kolega chyba z nas zakpił - powiedział, gdy skończyłem. - Albo nie zrozumiał powagi oskarżenia...

- Przysięgam, że nie kpię.

- W służbie trzeba być wytrwałym! - warczał rudzielec. - Najlepszy tego przykład dał nam sam Ojciec, znosząc cierpienia w warunkach międzygalaktycznej próżni, w temperaturze bliskiej zeru absolutnemu!

Tu nie wytrzymałem: diabeł naukowości podkusił mnie, by sprostować nieścisłość; aż tak źle nie było.

- Milczeć! - zawołał w gniewnym uniesieniu dowódca specgrupy. - Kolega prowadzi się skandalicznie... skandalicznie... - smakowało mu to słowo, bo powtórzył je jeszcze parę razy.

- Czy Marcin Lipień wykazał się cnotą wytrwałości? Powiedzcie sami? Wykazał?

- Nie - powiedział zgodny chór potępieńczych głosów.

- Co mogłem zrobić? - spytałem, udając idiotę.

- Powiadomić nas!

- Była noc.

- Głucha i ciemna, tak?

- Tak!

- O tym kolega mówił już wcześniej! Gadanie tchórza!

Wymierzyłem do niego z rewolweru! Zapomniał mi go odebrać! Nie był to

żaden gazowy pistolet, żaden paralizator układu nerwowego, a prawdziwy, staroświecki magnum, ciężki jak wszyscy diabli. I tak samo skuteczny... Trafienie z takiej broni niechybnie zakończyłoby się zejściem śmiertelnym!

Rudy wiedział o tym i zadrzał ze strachu. Wpatrywałem się weń z zimną nienawiścią. Czekałem na dogodny pretekst. Ale on zeszywniał i słowa nie potrafił biedak wykrztusić. Pozostali reagowali z nie mniejszym przerażeniem; jeden wszelako odrobinę poruszył się. Może było mu niewygodnie, atoli...

- Nie wygłupiaj się... Ostrzegam!

- Chyba nie strzelisz? - zapytał przestraszony wiercipięta.

- Nie wiem - odrzekłem, zgodnie z prawdą.

- Grozisz mi?

- Na imię Ojca, nie! To nie jest groźba!

Cały czas jednakowoż nie spuszczałem wzroku z tych siedmiu wspaniałych, zastanawiając się, jak wybrnąć z tej sytuacji.

- Masz mnie zabić, to zabijaj, nie, to schowaj rewolwer - rzekł rudy. - Dłużej nie wytrzymam.

Wielu ludziom wydawało się, że dłużej czegoś nie zniosą, a jednak znosili.

- A czy my możemy wyjść? - zapytał Igmarr, jeden z nowych.

Nowi spojrzeli na mnie z nagle rozbudzoną nadzieją. Wtedy moje obawy rozwiąły się. Jednak musiałem się upewnić. Powiedziałem:

- Dowódca jest mój. Zgoda? Co z nim zrobię, moja rzecz. Obraził mnie, czyli zasłużył na kulę w łeb.

- Tak było - powiedział Igmarr.

Rudy rzucał dookoła rozpaczliwe spojrzenia, lecz specgrupa Ojca składała się chyba z samych Piłatów. Udawali, że rudy już nie żyje.

- Wstawać - rzekłem. - Wy nie! Tylko on. Niech wstaje!

Uniósł się z podłogi. Sapnął.

- Do ściany - powiedziałem.

Usłuchał.

- Stań twarzą do ściany. Twarzą! O ile masz jeszcze twarz!

Najpierw usłuchał, a potem rzekł:

- Nie krępuj się. Mogę patrzeć ci w oczy.

Powiedziałem:

- Sukinsynu, odwracaj się.

- Nie!

Wciąż nie był rozbroiony. Paralizator miał wetknięty za pasek spodni.

- Reszta wychodzi. Spieprzać!

Zerwali się z ziemi.

- Powoli, ruchy łagodne... Bardzo łagodne, bardzo wolne...

Oprzytomnieli; z własnej, nieprzymuszonej woli trzymali ramiona uniesione; taki ze mnie fachowiec, że zapomniałem tego zażądać!

- Co teraz scenariusz przewiduje? Tortury pierwszego stopnia? Lepiej kończ od razu... - bełkotał sponiewierany rudzielec.

- Spieszno ci do Ojca?

- Nie wierzę w jego bajdurzenie o nieśmiertelności.

- Mówiłeś, że go kochasz.

- Bo to prawda. Chciałbym być taki jak On.

- Znać to po tobie.

- Ty byś nie chciał? - rzekł zaczepnie.

- Nie.

Umilkliśmy. Po chwili zażądałem, by się zbliżył. Już nie zapomniałem powiedzieć mu o trzymaniu rąk w górze. I słusznie, gdyż wcale się do tego nie kwapił. Ciągle wierzył w odmianę losu! Czyli - myślał pozytywnie.

- Idź w stronę drzwi - rzekłem.

Weszliśmy do jadalni. Nasi ucichli. Toczyła się przedtem ożywiona rozmowa; może zakładali się między sobą; zamorduje, nie zamorduje, a tu wciąż niź i nic!

Dostojnym krokiem podszedłem do skrzyni. Igmar natychmiast ustąpił mi miejsca - jakże przyjemny objaw spolegliwości! Popatrzyłem po twarzach moich ziomeków. Nie wszystkich dobrze poznałem, ale ci, których zdążyłem już ocenić, wyglądali na przestraszonych.

- Gdzie niewolnica? - wyrwał się grubas.

Ktoś parsknął jak koń, lecz rychło spłoszył się i umilkł.

- Zamknięta z Arabem - mruknął Igmar.

Gruby zerwał się z niespodziewaną determinacją.

- Stój - powiedziałem. - Pośpiech to szatański wynalazek. Doprawdy, mamy parę spraw do omówienia.

- Boję się, że może coś jej zrobić - odparł grubas.

- To idź, ale szybko wracaj.

ROZDZIAŁ XIII

- Najświętniejsi mężowie przyznają - powiedział nasz Arab, czyli Ali - Bakr - że przed przeznaczeniem nie ma ucieczki.

Siedzieliśmy w kucki na dywanie, popijając wino i gaworząc. Arab jako muzułmanin nie powinien trzymać wina w domu; to, że je posiadał, dawało do myślenia. Ali - Bakr tłumaczył się przed nami w następujący sposób:

- Są ludzie, którzy strzegą swych serc przed ścieżkami lekkomyślności; tych nazywamy sufimi. Sufi znosi cierpliwie nakazy i zakazy, nie stara się o ziemskie zaszczyty, nie walczy ze złem i nie przywołuje dobra. Najlepszymi sufimi są kawalerowie. Serca ich wolne są od chorób miłości, natura ich odwraca się od namiętności i grzechów. Bogu trzeba służyć samotnie. Tego, kto Mu służy, prawa nie obowiązują. Sufi, który osiągnął Jednię z Bogiem, który się z Nim złączył, nie musi modlić się ani odprawiać postów. Kto osiągnął najwyższy stopień świętości, ten może czynić wszystko: posiadać cudze żony, pić wino... Wszelkie występki są mu dozwolone.

Zapytałem:

- Osiągnąłeś najwyższy stopień świętości? Tak uważasz?

Zawahał się.

- Jeszcze nie, lecz jestem tego bliski. Kiedyś osiągnę.

- Przeczuwasz to?

- Tak - odpowiedział po krótkim namyśle.

Znów napiliśmy się wina. Właściwie można to było nazwać ucztą pojednania.

- Na długo przed przyjściem na świat każdemu przypisany jest jego los. Nasze upadki tudzież nasze dokonania, zawarte są w księdze przeznaczenia. Walka z nim jest daremna. Ucieczka przed przeznaczeniem jest niczym ucieczka przed śmiercią, która i tak każdego dosięgnie. Wielcy mistrzowie uczą, że jeśli ktoś rankiem zatroszczy się o wieczór, to trzeba mu to policzyć za grzech. Gdyby niebo było z miedzi, ziemia z ołowiu, ja zaś troszczyłbym się o moje przeznaczenie, uznano by mnie za heretyka.

- Nic więc nie da się zrobić? - spytałem ponuro.

- Trzeba oddać się Bogu - odparł Ali - Bakr. - Całkowicie oddać się Jego woli...

- Czy w takim razie istnieje szczęście?

- Człowiek winien na równi cieszyć się swym szczęściem, jak i spotykającym go nieszczęściem, gdyż jedno i drugie zsyła nań Bóg. Musimy być zadowoleni - zawsze i ze wszystkiego. Mędrzec nie ma życzeń. Nie pragnie niczego. W tym objawia się jego duchowe męstwo.

- Nie mogę uwierzyć w tę doktrynę - oznajmiłem.

- Nie możesz czy nie chcesz?

- Nie chcę.

- Czego się obawiasz, Franku?

- Skąd wiesz, że czegoś się obawiam?

- Tak myślę - wycedził muzułmanin, wychylając kielich do dna.

- Obawiam się swego przeznaczenia. Los nigdy nie był dla mnie łaskawy.

- Poddaj się losowi, jak zrobił to derwisz z sufickiej przypowieści. Wpadł on do Tygrysu, Jakiś człowiek zauważył, że derwisz nie umie pływać. Zaofiarował się z pomocą. Derwisz odmówił. Niedoszły ratownik zapytał, czego zatem tamten pragnie. „Tego, czego chce ode mnie Bóg” - odrzekł tonący fatalista.

- To jest dla mnie...

- Niepojęte? - usłużnie podsunął Ali - Bakr.

- Tak.

- Trzeba mieć nadzieję - powiedział Arab.

- Na co, pytam! - krzyknąłem w złości, bowiem byłem już solidnie poirytowany jego pseudofilozoficznym gładzeniem.

Nie czekałem jednak odpowiedzi. Pożegnałem się i wróciłem do swoich. W tym czasie miasto wraz z okolicą penetrowały już dwa trzyosobowe zespoły.

Ważniejszy był zespół pierwszy, z Igmarem na czele. Dowodził on naszym tytułarnym szefem, czyli rudym oraz doktorem Ahwerem. Nie był to olśniewający materiał ludzki, aliści... darowanemu wierzchowcowi w zęby się nie zagląda!

Z pewną rezygnacją oczekiwałem ich powrotu; ucisk na piersiach nie ustępował. Zastanawiałem się, co to jest: serce, czy zapalenie oskrzeli. Opanowało mnie przygnębiające przeczucie, że żywy z tej opresji nie wyjdę.

Piekło melancholii rozwarło się przede mną na nowo; aby jakoś się ratować, poszedłem do komnaty jasnowłosej branki, w oczywistym zamiarze przedyskutowania z nią kilku palących problemów.

ROZDZIAŁ XIV

Zespoły zwiadowcze wnet wróciły i zaczęła się awantura. Rudzielec z Igmarem oskarżali się wzajemnie o nieudolność. Nie miałem ochoty tego słuchać. Wyszedłem na podwórzec. Nagle lunął deszcz. Nie schroniłem się. Kąpiel sprawiała mi przyjemność. Trochę się uspokoilem. Czyste wariactwo; chyba wszyscy byliśmy obłąkani. Wróciłem, spotykając Igmara. Był blady i wystraszony. Zapiał:

- Rudzielec użył rewolweru! Zdemaskowaliśmy się! Co dalej?

Pomyślałem: to był ten piorun głośniejszy od innych! Jakież ze mnie dowódca! Dlaczego moi się nie buntują?

- Stało się co komu? - rzekłem donośnie.

Kiwnął głową.

- Popęlnił samobójstwo? - zapytałem z ulgą.

- Nie.

- Zabił kogoś?

- Tak.

- Kogo?

- Araba.

- Ali - Bakra?

- Tak - odparł Igmara.

Wyciągnąłem broń.

- Co to ma znaczyć? - spytał Igmara.

- Zabiję skurwiela. Gdzie on? Czemu go wcześniej nie zatłukłem!

- Dość jednego wystrzału!

- Ciągłe biją pioruny.

- Nie wygłupiaj się. Impulsywne działanie rodzi błędy.

Ruszyłem na piętro.

- Niepotrzebnie groziłeś mi bronią - gadał Igmara, idąc obok mnie. - Jestem po twojej stronie. Nienawidzę rudzielca. To rzeźnik, prymityw.

W korytarzyku tłoczyła się grupka współtowarzyszy niedoli. Mimo że targany był straszliwymi emocjami, spostrzegłem brak niektórych.

- Gdzie Ahwer i ten nowy, Barakat?

- Doktor stara się odratować Ali - Bakra - odpowiedział grubas.

- A nowy?

Nagle za moimi placami rozbrzmiał głos Igmara.

- Dlaczego nazywasz nas nowymi? Jedziemy przecież na jednym wózku!

Wypraszam sobie podobne traktowanie!

Uznałem Igmara za odważnego; czynienie wyrzutów uzbrojonemu człowiekowi nie jest rzeczą bezpieczną.

- Gdzie Barakat?

- Wyszedł i nie wrócił.

- Co takiego? - ryknąłem.

Zza drzwi dobiegł okrzyk jasnowłosej niewolnicy.

- Kiedy wyszedł?

Niewolnica znowu jęknęła. Czy to możliwe, by rudzielec właśnie teraz jej używał?

- Rozładowuje się - powiedział grubas. - Rznąć moją ukochaną, to po prosu świństwo. Zabij go. Zasłużył. Nie tylko tym. Całym życiem zasłużył na śmierć. I to nawet na gorszą niż od kuli.

Ktoś zaśmiał się nerwowo.

- Arab żyje? - spytałem, nie spuszczając wzroku z drzwi.

- Doktor robi co może, ale pocisk utknął w kręgosłupie. Ahwer nie jest cudotwórcą. Cudem należy nazwać to, że tubylec nie zginął od razu.

Spojrzałem grubemu, jak to się mówi, głęboko w oczy. Zrozumiał.

- Pomogę ci - oznajmił z powagą.

Ze wzruszenia coś ścisnęło mnie w gardle.

- Masz jakiś plan? - dodał po chwili męczącego milczenia.

Rozległy się czyjeś kroki. Błyskawicznie zwróciłem pistolet w tamtą stronę. Doktor Ahwer, jak to on, przestraszył się widokiem wycelowanej w niego lufy.

- Nie strzelać - powiedział z rozpaczą w głosie.

- Żyje?

- Niestety nie. Nic nie mogłem zrobić. Dałem mu zastrzyk morfiny.

- Szkoda narkotyku - rzekł Igmara. - Nie starczy dla nas. W razie czego...

Naprawdę był odważny; wytrzymał moje spojrzenie.

- Proszę nie potępiać mnie pochopnie - powiedział. - Domyślam się, że mocno przeżył pan śmierć tego nieszczęśnika, który wyglądał mi na obiecującego młodzieńca, ale musimy patrzeć na świat realnie. Morfina może jeszcze się przydać.

Zadziwił mnie ten człowiek; wszelako nie było to radosne zdziwienie.

- Zabijając Ali - Bakra, rudzielec tak naprawdę strzelał do mnie - powiedziałem.

- Zgadza się - odparł Igmarr. - Stracił resztki rozumu.

Nastąpiła cisza. Oznajmiłem władczo:

- My dwaj tu zostajemy. Reszta na dół, oczekiwać docenta.

Posłuchali.

Porozumiewaliśmy się z grubym wzrokiem, starając się podsłuchać cokolwiek.

- Mój zamysł jest nieskomplikowany - rzekł. - Zaletą takich planów jest to, że zwykle prowadzą prosto do celu. Wykluczam akcję bezpośrednią, z wyważaniem drzwi i tak dalej. Chyba żeby rudzielec usiłował uciekać. Wówczas nie wahaj się.

- Zastrzelę jak wściekłego psa - wybuchnąłem.

- Wiem. Ale musisz opanować złość. On kiedyś musi wyjść. Sukinkot nie ma tam nic do picia i jedzenia. Będę tu warował.

- Świetnie to obmyśliłeś - pochwaliłem go.

- Zawsze wszystko dobrze wymyślę, kłopoty są tylko z realizacją - odpowiedział.

- Niektóre pomysły zwracają się jednak przeciwko nam...

Zszedłem na parter. Byłem już wtedy znacznie spokojniejszy...

Poznali po moim zachowaniu, że mają przed sobą człowieka zdeterminowanego. Toteż odnosili się do mnie z należytych respektem. Igmarr też okazywał mi szacunek, na swój chłodny sposób.

Po jakiejś godzinie usłyszałem wołanie. Poszedłem na górę zmienić grubego. Odebrałem od niego paralizator i stanąłem w takim miejscu, żeby w razie potrzeby niezwłocznie go użyć. Do wieczora nie wydarzyło się nic. Były to bodaj najdłuższe godziny w moim życiu.

Rozstrzygnięcie zapadło o północy. Niczym mara piekielna pokazał się nasz wróg na korytarzu!

Tam dosięgła go nieubłagana sprawiedliwość. Strzelałem, nie widząc dobrze przeciwnika, a domniemane miejsce, gdzie powinien się znajdować. Ścięło go z nóg. Na szczęście nie zapomniałem o tłumiku. Przyczołgał się grubas świecąc latarką. Strumień światła zatoczył krąg...

Na odgłos padającego ciała nadbiegli inni. Doprawdy, nie podobała mi się ta gorliwość!

- Jak poszło? - zapytał ktoś z ciekawością.

- Dobrze - odrzekł grubas. - Próbował uciekać, musieliśmy go obezwładnić.

- Służyć Ojcu nie jest rzeczą prostą ani bezpieczną - powiedział Igmarr.

Gruby wtargnął do komnaty. I zaraz wyszedł.

- Uduśił ją, skurczybyk - powiedział. W jego głosie rozbrzmiewał nieutulony żal.

- Idźmy spać - rzekł Igmarr. - Jutro ważny dzień. Zmarnowaliśmy już tyle czasu, że szkoda o tym rozprawiać. Pochowamy ich dopiero po śniadaniu. Trzeba nie tylko się wysypiać, ale jeść do syta.

ROZDZIAŁ XV

Ktoś wszedł do mojego pokoju, oświetlił mnie latarką i powiedział:

- Wstawaj. Tylko spokojnie. Bez gwałtownych ruchów.

- Kim jesteś? - spytałem.

- Igmarr. Chyba mnie pamiętasz? Dawałem ci dobre rady.

- Czego chcesz teraz?

- Czego chcecie - odezwał się drugi głos. - Używaj liczby mnogiej, skoro widzisz dwóch ludzi.

- Nie widzę.

Snop światła zatoczył nowy krąg.

- Czego chcecie?

- Żebyś poszedł z nami. Nie zrobimy ci krzywdy. Na razie.

Zaprowadzili mnie do piwnicy. Tak naprawdę był to sirdab, miejsce, o którym Ali-Bakr powiedział, iż niepodobna odróżnić w nim jasności dnia od ciemności nocy. Ali - Bakr życzył mi sirdabu i go wywróżył. Dopadło mnie moje przeklęte przeznaczenie.

Nie odróżniałem odtąd jasności dnia od ciemności nocy, aż do chwili, kiedy piwniczny otwór odsłonił się i poleciało w dół coś ciężkiego.

Krzyknąłem. To były zwłoki. Nie wiedziałem tylko, czyje. Drugie ciało upadło w to samo miejsce. Już wiedziałem! Zrzucano ich obu: Ali - Bakra i rudzielca. A wszystko po to, abym nie zanudził się na śmierć... Bliźni niekiedy potrafi człowiekowi

szczerze i dogłębnie współczuć.

Znów nie rozróżniałem między dniem i nocą, aż usłyszałem znajome chrapanie. Mój kompan grubas przybywał do mnie, acz dam sobie głowę uciąć, że wcale tutaj nie tęsknił.

- Omal nie skręciłem sobie karku - rzekł z obrzydzeniem. - Łajdaki. Powiedzieli, że tu jesteś. I jesteś.

- Od chwały nadziei do nizin upadku - zażartowałem wisielczo.

- Niziny to tu są - odparł.

- Nie skręciłeś sobie stopy?

- Jakoś nie.

- Rozumiem, że dali nam rudzielca do towarzystwa, ofiara i kat, to takie literackie! Ale czemu Arab?

- Też kat i ofiara. Prawo symetrii.

- Jakoś mnie to nie krzepi.

- Ani mnie - odrzekł.

- Na szczęście tu niewysoko.

Jakiś czas milczeliśmy. Potem zapytał:

- Jak długo będą nas tu trzymać?

- Przyszedłeś później, mogłeś się dowiedzieć. Nie byli rozmowni?

- Absolutnie. Zbudzili mnie w środku nocy i wyrazili domniemanie, że chętnie zmieniałbym lokal na chłodniejszy.

- Mnie docent pocieszył, że krzywda mi się nie stanie - rzekłem.

- Dobroduszny.

- Łagodny z wyglądu.

- Igmar nim kieruje. Ciekawe, czego chce.

- Władzy! - wybuchnąłem ze złością.

- To bez sensu.

- Znajdujesz inne wytłumaczenie?

- Nie.

Bez wody trzymali nas tak długo, że gdyby nie towarzystwo grubasa, człowieka o pogodnym usposobieniu, chyba by mnie pokręciło z wściekłości. W końcu otwór odsłonił się i wyszło na jaw, że jest dzień.

- Pić chcecie? To uważajcie! Spuszczam dzban na sznurze.

Naprawdę spuścili, nie była to duchowa tortura.

- Dlaczego nas uwięziliście? - spytałem, kiedy udało mi się trochę zaspokoić pragnienie.

- Za morderstwo - odpowiedział docent.

- To była konieczność.

- O tym rozstrzygnie sąd.

- Jaki sąd? - zawołałem. - Chyba nie zamierzacie nas oddawać pod miejscowy trybunał!

Docent zirytował się.

- W waszej sytuacji nie żartowałbym - powiedział surowo i zasunął klapę. Potem przysłonił ją czymś ciężkim. Słyszeliśmy, jak mozolił się i przeklinał. Niech mu Ojciec da zdrowie.

Odechciało nam się gadania. Każdy o czymś marzył; wreszcie mój towarzysz oznajmił z powagą:

- Jeżeli nas wypuszczą, ucieknę.

Początkowo go nie zrozumiałem.

- Gdzie i po co?

- Jak to gdzie i po co? A ty tego nie chcesz? Wymarzona sposobność! Ojciec daleko, urodzi się dopiero za millenium, w kosmos długo jeszcze nikt nie będzie latał, na razie tylko ptactwo unosi się w przestworzach, nie będzie więc miał gdzie przeżyć swych parszywych objawień, ani nie znajdzie pretekstu do wzięcia nas za mordę...

- Pretekst zawsze się znajdzie. Tak już jest.

- Być może. Ale bez mego udziału. Nie zamierzam umacniać jego władzy. Wszystko, co tu robimy, temu służy.

- Ratujemy nasze życie.

- Za jaką cenę? A poza tym skąd wiesz, że naprawdę ratujemy?

Umilkłem.

- Nie wiesz tego. Chcę stąd wiać! Rozumiesz, stary!?! Jesteś mi potrzebny. Nie znam języka ani tutejszych zwyczajów

- Tu nie da się żyć! W średniowieczu?

- W średniowieczu europejskim żyć by się chyba nie dało. Co innego w państwie andaluzyjskim. Tu jest jakoś inaczej. Sam wiesz. Z tym młodzieńcem arabskim można było porozmawiać. Ta dziewczyna też była niczego sobie. Mnie to starcza.

- Małe masz potrzeby.

- Małe - powiedział. - Tak się jednak głupio składa, że nigdy ich nie mogłem zaspokoić. Widocznie jak człowiek mało pragnie, to mało dostaje.

- A jak dużo pragnie, to nic nie dostaje.

- Nie. Wtedy dostaje mało. Z wyjątkiem niektórych sukinsunów, którzy nigdy nie czynili nic, a zawsze świetnie im się powodziło.

- To kiedyś musi się zmienić.

- Dlaczego musi?

- Wierzę w to - odpowiedział. - A w co mam wierzyć?

- Najlepiej w nic. Przynajmniej nie zdążysz się rozczarować!

- Nihilista!

- Trudno nim nie być.

- Zaiste. Taki wstrętny los. Najgorszy los to się - po prostu - urodzić.

Zamilkliśmy.

- Niewygodnie tu - rzekł. - Przewrócę się na bok.

- Jak teraz leżysz? - zapytałem.

- Opieram głowę na czymś kadłubie. Wierzę, że to nie rudzielec. A jak tobie?

- Ścierpłem - odparłem. - Opieram się o ścianę. Jest wilgotna. Nabawię się reumatyzmu.

Zamilkliśmy na dłużej.

- Uciekniesz razem ze mną?

- Zastanowię się.

- Nie wyczuwam w tobie entuzjazmu.

Odsłonił się otwór. Wrzaskliwy głos powiedział:

- Wyłączyć. Spuszczam sznur.

Wyciągnięto nas na zewnątrz. Długo przyzwyczajaliśmy wzrok do światła. Bolały kości, strzykało w kręgosłupie. Strasznie śmierdzieliśmy. To przez te zwłoki. Docent Barakat trzymał się z daleka.

Wybredny!

Pilnowali się tak, jakby naprawdę istniała w nas jedynie chęć ucieczki i nic prócz niej. Igmara siedział na skrzyni. Trudno powiedzieć, dlaczego, ale przypomniał mi naczelnika, oby On odplacił mu za wszelkie dobrodziejstwa!

Byli wszyscy poza Ahwerem. Najwyraźniej doktor awansował na wartownika.

- Milczeć! - zaryczał bezsensownie Igmara. - Stać prosto.

Czyżbym myślał głośno? Czyżby niechcący coś mi się powiedziało?

- Będziecie sądzeni. Co, ogłuchliście? Odpowiadać!

- Co mamy mówić? - spytałem z pokorą.

Igmar położył dłoń na kolbie pistoletu.

- Macie odpowiedzieć, czy dotarło to do was, czy rozumiecie, że będziecie sprawiedliwie sądzeni?

Chciałbym przytaknąć, lecz mój towarzysz był szybszy. - Nie rozumiemy - odrzekł złośliwie.

Igmar nastroszył się.

- Za krótko siedzieliście w jamie?

- Odwagi - rzekł do mnie grubas. - Jesteśmy mu potrzebni.

- Ty nie - burknął Igmar. - Z tobą są same kłopoty. Żresz za dużo, nie myjesz się.

Sięgnął po broń i wystrzelił. Gruby padł i jął zwijać się z bólu. Świnie zarechotały. Ludzkie świnie. Zwierzęta są bardziej etyczne.

- Kolegę docenta proszę o odczytanie aktu oskarżenia.

Barakat wystękał swoje, krzywiąc się od doznawanej przykrości. Nie żeby rozpaczał nad przydzielonym mu zadaniem; nie w tym kościele dzwony były; docent żałował, iż nie dano mu tyle czasu, by mógł należycie rozwinąć swe talenta.

- Pojęliście? Akceptujecie?

- Co do faktów zgoda. Nie podoba mi się wszak interpretacja. Jest do dupy.

- Chcesz do jamy?

- Nie ma sprawy. Mogę wrócić.

- Dziecko z was, kolego. Ale dojrzejecie. Obecny tu docent opowiedział mi w zaufaniu taką historyjkę: mamusia zaprowadziła go jako siedmioletniego brzdąca pierwszy raz do szkoły: dość mu się spodobało, lecz następnego dnia wracać nie chciał, odpowiadając, że już w szkole był. Myślicie tak samo, drogi doktorze, a przecież wasza młodość przeminęła i nawet z naszej wspólnej panienki nie skorzystaliście, póki jeszcze raczyła oddychać.

- Nie podobało mi się, że została przepłacona.

- Tu nie chodzi o pieniądze, a o ideę. W służbie Ojca nie znamy rozterek.

- Ludzką jest rzeczą błędzić.

- Przyznajecie się do błędzenia?

- Do tego tak. Ale błąd to jeszcze nie zła wola. Tej nie miałem. Usunąłem ruzdzielca w szlachetnym zamiarze podniesienia sprawności naszych działań.

- Tylko dlatego?
- Tylko.
- Dalej jesteście wierni Ojcu?
- Oczywiście!
- I gotowi jesteście kontynuować misję?
- Naturalnie!

- Jasne jest dla was chyba, że skoro wyznaczony przez naczelnika dowódca przepadł bez wieści, to jego obowiązki musiał przejąć ktoś inny.

- Jest to dla mnie jasne.

- Ktoś, kto wyłonił się z tego badziewia drogą naturalnej selekcji, ktoś, kto daje gwarancję wykonania zadania?

- Oczywiście.

- Czyli kto?

Już miałem na języku powiedzieć „wy”, lecz coś mnie powstrzymało. To byłoby zbyt proste. Igmarr wpatrywał się we mnie wzrokiem myśliwego czającego się na zwierzynę.

- Sprawę należy rozstrzygnąć w głosowaniu - powiedziałem.

- Czemu właśnie w ten sposób? - spytał.

- Ponieważ wyłoni ono najlepszego.

- Demokratycznie? Tak?

- Tak.

- Cóż - głosujemy.

- Należy zgłaszać kandydatury - powiedział docent. - Proponuję ...

Wpadłem temu kutasowi w słowo - to jest, przerwałem mu:

- W kwestii formalnej: jawne czy tajne głosowanie?

Popatrzyli po sobie. Udało mi się ich zaskoczyć. Raz - nie zawsze.

- A co kolega sugeruje?

Powiedziałem po namyśle:

- Żeby demokracji stało się zadość, głosowanie winno być tajne. My jednak jesteśmy na stopie wojennej. Toteż optowałbym za jawnym.

- Brawo - rzekł Igmarr. - Oszczędzi to nam czasu.

- Zgłaszam kandydaturę...

Igmarr nie pozwolił mi dokończyć. Powiedział, ze złośliwą intonacją w głosie:

- Ja ze swej strony wysuwam kandydaturę kolegi Marcina. Kolega już się

sprawdził, jakiś czas de facto kierował grupą...

- Lecz nie de jure - wtrąciłem.
- Ważne, że de facto. Kolega się zgadza?
- Ojciec uczył nas odwagi. Zgadzam się.

Igmar aż mlasnął z zadowolenia.

- Ja natomiast zgłaszam kolegę... - urwałem w pół zdania.
- Moją? Niemożliwa!
- Zgłaszam - mówiłem uroczystym głosem - kandydaturę kolegi Igmara.
- Ależ...
- Kolega może przyjąć lub odrzucić...

Igmar głęboko się zamyślił.

- Poprosimy kolegę o przyjęcie na swe barki tego okropnego brzemienia.
- Zgadzam się - bezzwłocznie odparł Igmar.
- Czy są inne kandydatury? Nikt się nie zgłaszał.
- Głosujemy. Kto jest za kolegą dotychczasowym dowódcą de facto?

Pewnie nikt by się za mną nie opowiedział, gdyby nie nagle oprzytomniały grubas. Leżąc na ziemi wydusił z siebie: - Ja. Ja jestem...

Barakat zgromił go śmiercionośnym spojrzeniem, ręka sama opadła mu na kolbę pistoletu.

Igmar nie stracił rezonu:

- Czy ktoś jeszcze? - łypnął wzrokiem dookoła.
- Więcej zwolenników nie znalazłem. Taki już jest los upadłych przywódców.
- A kolega?
- Wstrzymuję się od głosu - powiedziałem.
- W ogóle kolega nie będzie głosował?
- Na razie się wstrzymuję. Potem, kto wie... Może zmienię zdanie?
- Dobra - powiedział docent. - Kto jest za kolegą Igmarem?

Wszyscy byli „za”.

- A kolega? Nadal się wstrzymuje?

- Nie - powiedziałem. - Głosuję na kolegę Igmara. Uważam go za najlepszego kandydata.

- Brawo - ryknął docent. I zaczął strasznie klaskać. Zwycięzca kłaniał się na boki, cały szczęśliwy.

Nie dość, że powiódł mu się zamach stanu, to jeszcze głos ludu oddał mu pełnię

władzy! Swoją drogą, było to pocieszające: pierwszy dowódca zginął śmiercią tragiczną; drugi stracił wolność; dopiero trzeci został obrany demokratycznie, zaledwie przy jednym, mało rozsądnym, głosie sprzeciwu. I to właśnie zwiemy postępowaniem cywilizacyjnym.

ROZDZIAŁ XVI

Ojciec bardzo mądrze powiada, że tkwi w sercach naszego narodu trucizna liberalizmu, tej zgniłości nad zgniłościami. Jedyne pozostałościami starego można wyjaśnić szopkę, zafundowaną nam przez Igmara. Gdyby nie toczył go ów nowotwór, władzę wziąłby bez pardonu, zamiast urządzać przedstawienia.

Przyznać jednak trzeba, że sztuka była dobrze napisana, aktorzy znali role, nie zawiedli, poza grubym, lecz on na scenę dostał się przypadkowo, w rezultacie niedopatrzenia, jakim była zbyt skromna dawka ładunków paralizatora.

Co do samego reżysera oraz pierwszego asystenta, zasłużyli na Oskary. Tak więc, wszyscy już odróżnialiśmy jasność dnia od ciemności nocy! I chwała Ojcu za to - oby się kiedyś narodził.

Wraz z objęciem funkcji dowódczej przez człowieka znającego się na rzeczy, od razu wstąpił w nas nowy duch. Ale Igmara nie był kontent. Jego perfekcjonistyczna natura domagała się skuteczniejszych działań. To, co uprawialiśmy do tej pory, było pospolitym chałupnictwem, powiedział po tygodniu. Czy ktoś ma jakiś pomysł?

Nikt się nie zgłaszał. Jedliśmy śniadanie. Ciągłe było to suszone mięso bez przypraw; Igmara kazał nam wypowiadać się po kolei. Przy stole padały coraz bzdurniejsze propozycje i wyglądało na to, że nie ruszymy z miejsca. Ktoś zasugerował atak na meczet; Igmara nazwał go sklerotykiem. Zgromiony nieuk skulił się i nie podjął rękawicy.

Wybiła moja godzina. Wypaliłem:

- Kupić niewolników i cześć. - Zobaczyłem oblicza pełne zachwyty; pomysł wydał się być genialny!

Doktor Ahwer zatroszczył się o środki na ten zbożny cel; powiedziałem, że

niewolnicy idą po dwieście dinarów, czyli że potrzeba nam czterech tysięcy sztuk złota. Sumy takiej nie posiadaliśmy, wypadło zatem trochę pozbójować.

Prawie już ich przekonałem, gdy wtem zastrzeżenia wysunął sam dowódca. Padły poważne kontrargumenty: zbójowanie jest niebezpieczne, może zdradzić naszą obecność; zbójowanie jest stratą czasu. Obraziłem się i uznałem, że koncept mi się wyczerpał.

Po posiłku Igmar zamknął się z docentem i długo tajemnie obradowali. Barakat przyszedł później do nas, zapowiadając wymarsz za pół godziny. Tylko on był uzbrojony, reszcie broni nie dał.

Podążaliśmy w stronę bazaru. W pewnym momencie obejrzałem się; grubas zniknął. Bezwiednie zwróciłem na to uwagę docentowi. Nie przejął się. Powiedział:

- Nie nasz kłopot. Opuścił grupę - zdechnie. Sam wybrał. Grupa to siła. Samotny człek może się tylko obwiesić.

Dotarliśmy do celu. Tam Barakat wyjaśnił mi moje zadanie. Zachwytu wielkiego we mnie nie wzbudził, ale nie przybyłem tu, aby się zachwycać.

Wypatrzyliśmy bogatego, brzuchatego kupca z miną znawcy oglądającego ładnie zdobiony kindżał.

Kiedy nadszedł stosowny moment, podszedłem doń, przedstawiłem się jako tłumacz wielkiego pana, przybyłego z Northumbrii; wyjawilem, że mój pryncypał ma do sprzedania towary, jakich nie można kupić w całym kalifacie, i kupiec złapał haczyk.

Chcieliśmy, żeby przyszedł do domu Ali - Bakra. Odmówił. Uznał, że to my powinniśmy go odwiedzić. Przekazaliśmy to Barakatowi. Zgodził się.

Powstała jeszcze kwestia znalezienia domu tego kupca. Brzuchacz odpowiedział: - Pytajcie o Al-Chalidziego, a każde dziecko pokaże wam drogę.

Wróciliśmy do siebie. Igmar zgodził się iść z nami.

Al-Chalidzi mieszkał jak Rotschild. Dom posiadał ogród i fontannę. Otaczał go dwumetrowy parkan. Poszliśmy tam we czwórkę. Wszyscy uzbrojeni; mnie przydzielono pistolet gazowy; tylko gazowy!

Jasnowłosy niewolnik oczekiwał przed rzeźbionym portalem. Bił nam pokłony; ofiarowywał się ze spolegliwą pomocą, lecz docent udał, że to go nie dotyczy... Kasztanowce i akacjowe drzewa pięły się ku niebu, ćwierkały ptaki i szemrała woda w fontannie.

Al-Chalidzi, uśmiechając się profesjonalnym uśmiechem, prawił do nas tak

oto:

Nie ma dobra ni potęgi poza Allahem Wiecznym i Mocnym. Witam was, witam. Przybywając z tak odległego królestwa, jesteście pewnie znużeni i złaknieni wypoczynku... mili moi!

Gość był obyty. Tacy potrafią być niebezpieczni!

- Niewolnice obmyją wam stopy... Towar przynieśliście?

- Tak - odpowiedział Igmara sucho.

Weszliśmy do środka. Pojawiły się piękne służebne. Zapowiadało się na niezłą ucztę. Jednego tylko byłem ciekaw: czy podadzą bażanty?

Nagle przyszło mi na myśl, że skoro kupiec wie, gdzie leży nasza rzekoma ojczyzna, to jak potoczyły się losy Anglii, wszak Wilhelm Zdobywca pokonał króla Harolda pod Hastings i zlikwidował resztki niezależności takich małych państweczek, jak Mercja czy Northumbria!

Zamyśliłem się nad przewrotnością historii.

Podano dziczyznę i wino. Było również pełno przystawek, w tym i moje upragnione bażanty. Żarliśmy jak wilki, popijając wino. Najmocniej przypiął się do bukłaka doktor Ahwer. Kupiec uśmiechał się dobrotliwie. Niewolnice zaczęły tańczyć. Pięknie błyszcząły ich naoliwione i obnażone brzuchy. Ja piłem najmniej. Tłumacz ze mnie nie najlepszy; gdybym się urznął, nie mógłbym wypełniać swych obowiązków. Rozmowa nie kleiła się. Myśmy dużo jedli i pili, całkiem po barbarzyńsku wybierając mięso rękami z misy, a gospodarz, postrzegając takie zdziwienie obyczajów, nie śmiał czynić nam uwag, na które z pewnością zasłużyliśmy.

Pojawili się nowi goście. Kupiec przedstawił ich jako zainteresowanych transakcją. Zapytałem Igmara, co on na to. Ledwie zabelkotał. Jakby zebrało mu się na sen.

Naraz doktor Ahwer grzmotnął na ziemię.

Zrozumiałem! Z myśliwych staliśmy się zwierzyną.

Kupiec i jego goście przestali dobrodusznie się uśmiechać. Ich twarze nabrały złowrogich rysów. Wydobyli z zakamarków odzieży długie noże. Docent próbował sięgnąć po broń, ale prawda zawarta w winie była mocniejsza. Pistolet potoczył się po podłodze. Zabrzmiało to jak groźne memento. Nie ma żadnego porównania między człowiekiem uzbrojonym i nieuzbrojonym, zwłaszcza wtedy, gdy w łagodnych przedtem źrenicach arabskich kupców pojawia się żądza mordy.

Dzielny Igmara, w moim pojęciu nieudaczny agent II Oddziału, usiłował jeszcze

wstać, lecz wino okazało się być silniejsze.

Schylił czoła przed zbójceją gościnnością arabskich kupców i taki już pozostał. Ja, doktor Marcin Lipień, wina prawie nie piłem, co teraz wyszło mi na zdrowie, bo wyciągnąłem moją gazową broń i obficie uraczyłem zdradzieckich Arabów zawartością magazynku.

Napastnicy legli pokotem na dywanach, ale rychło pokazali się następni. Jeden dzierżył zakrzywioną turecką szablę, drugi prosty miecz. Rzuciłem w nich już bezużytecznym pistoletem.

Ten z szablą dał wtedy popis sztuki szermierczej. Zamachnął się i trafił w powietrzu we fruwającą broń. Sięgnąłem do pasa oszołomionemu dowódcy. Zwisało tam magnum. Przydał mi się mój dobry refleks. Zdążyłem użyć rewolweru, zanim moja głowa została odłączona od tułowia. Arab padł u moich stóp. Huk uczyniony przez magnum przeraził drugiego napastnika. Zostałem sam na placu boju. Jeszcze niedowierzający, lecz jednak zwycięski. Uratowałem spec grupę od pogromu, a siebie od śmierci.

Kiedy oprzytomniałem, przestraszyłem się, że pół miasta nadbiegnie, by pomścić swoich ludzi. O bracia i siostry w Czasie, co byście zrobili na moim miejscu? Ucieklibyście? A co z resztą? Miałem ich zostawić na łasce losu?

Wreszcie powiedziałem sobie, że to wojna, a na wojnie najgorszy jest brak decyzji.

Za drzwiami nie było nikogo. Na korytarzu i w ogrodzie też nie. Wróciłem do sali biesiadnej. Nic się nie zmieniło; umarli nie zmartwychwstał, oszołomieni ładunkiem gazowym nie podnieśli się z podłogi; moi towarzysze nadal spali snem sprawiedliwych.

Pojąłem, że mam dwie drogi przed sobą: oczekiwać ich przebudzenia, albo ściągnąć odsiecz. Żadna z nich nie obiecywała pewnego ratunku. Co jednak jest pewnego na tym świecie?

Przed bramą wejściową do posiadłości Al-Chalidziego zgromadził się spory tłumek. Ciekawość okazała się być silniejsza od strachu. Na krótko!

Szejtan! - zawołałem. - Czarny, tłusty, wyskoczył ze skrzyni i miota błyskawicami!

Tłum rozpierchł się. Ruszyłem w kierunku domostwa Ali - Bakra, modląc się w duchu, bym zdążył, zanim wieść o pojawieniu się zamorskiego demona dotrze do władz miasta. Te zasię, jak każde władze, zwykły dysponować siłą zbrojną.

ROZDZIAŁ XVII

Jeszcze nie wiedziałem, czy wieść o naszych wyczynach dotarła do niepowołanych uszu, już jednak jasno pojmowałem, że James Bond to ja nie jestem. Biegając ulicami zastanawiałem się, czy istniało lepsze wyjście. Może nie należało odchodzić, a poczekać, aż moi się przebudzą. Zawiodły nerwy, lecz nigdy nie mówiłem, że mam je ze stali.

Pociągnąłem za sznur cztery razy; był to sygnał; otworzył mi szpakowaty. Wprowadziłem nieboraka w nasze obecne położenie, a on w rewanżu wprowadził mnie do przedsionka. Zdaje się, niewiele zrozumiał, a losem kolegów nic się nie przejął. Nawet powiedział:

- To świetnie. Zaaresztują ich za najście cudzej własności, będziemy mieć ich z głowy.

Zdębiałem; objawił własne zdanie?

- Nie myśl, że jestem cyniczny. Patrzę na świat realnie. Igrmar i docent nie podobali mi się od początku. Doktora szkoda, ale jego pociąg do trunków zgubiłby go prędzej czy później; to kraj abstynentów, a kary za popijanie są surowe.

- Do ukamienowania włącznie - wtrąciłem, popisując się swą wiedzą.

Ucieszył się.

- Sam widzisz!

Odebrałem mu jego radość:

- Ale dotyczy to tylko muzułmanów.

- Ahwer jako urodzony oportunistą niechybnie przeszedłby na islam.

- Tak sądzisz?

- Oczywiście. Doprawdy, wielkie to błogosławieństwo losu, że pozbyliśmy się tych drani.

- Jeszcze nie...

- Prawie tak. Wystarczy, jeśli umyjemy ręce.

- Jak Piłat.

- Jak Piłat - powiedział szpakowaty z dumą. - Zawsze to postać historyczna. Należy korzystać ze sprawdzonych wzorców.

- To cynizm.

- Wspólne dobro tego wymaga. Nie powinniśmy się o nich troszczyć. Do czego

niby są nam potrzebni?

- Do wykonania zadania.

- Misja? Pieprzyć misję.

Oniemiałem.

- Gruby dobrze zrobił, że wybrał wolność, ale źle, że nie zaczekał z decyzją.

- A ty odczekałeś...

- Potrafię czekać na swą szansę. Nie widzę żadnego powodu, żeby dalej służyć.

- Grubas uważał, że to, co robimy, jest niemoralne.

Ucieszył się znowu.

- Sam widzisz. Niemoralne. W gównie nie będziemy się więcej babrać.

Nadal byłem w rozterce duchowej.

- Co tu...

Przerwał mi, nim zdążyłem na dobre rozpocząć zdanie:

- Nie martw się. Coś znajdziemy dla siebie. Życie tutaj wcale nie jest złe.

- Zmogą nas choroby. Skończy się okres ochronny szczepionki...

Zniecierpliwiał się.

- Szczepionka to bujda. Zauważyłeś, że Ahwer nie zaszczepił się? I żyje.

Temu nie dało się zaprzeczyć: żył.

- Powrót do Ojca jest bez sensu, ale zmogą nas choroby!

- A u Onego nie zmogą? Głupiego zapalenia oskrzeli nie mogłem wyleczyć z braku antybiotyków. Chodziłem do aptek z receptą i wszędzie mówili mi: niestety, proszę obywatela, jeszcze nie otrzymaliśmy. To kiedy dostawa? - pytałem. - Za dwa tygodnie, ale tego lekarstwa i tak nie będzie! I po co ta cała gadka o nowoczesnej medycynie? Arabowie leczą nas będą ziołami, a środowisko naturalne jest na pewno zdrowsze. Fabryki nie dymią, gleba nie zepsuta; bajka. Bracie, nad czym my się zastanawiamy? Trzyma cię coś w Starym Kraju? Może patriotyzm? Tutaj żadnych przeklętych unideli nam nie przyczepią, nikt ci nie będzie liczył punktów, sam też nie będziesz musiał ich liczyć, żeby cię centrala nie oszwabiła.

- Ojczyzna, groby przodków, ulice, na których się wychowaliśmy...

Rozeźlił się szpakowaty.

- Pierniczenie. Nie zbrzydło ci chodzenie z unidelem na czole? Mnie zbrzydło. Dlatego chciałem wyjechać. Nigdy bym do Ojca nie wrócił, gdyby skurczybyk nie okazał się być sprytniejszy niż ustawa przewiduje.

- O tak, ON jest czujny. A tu wszystko jest odmienne... I straszne.

- Z tym należy się liczyć - rzekł szpakowaty. - Niestety. ..

- Z czego będziemy żyć? - drążyłem dalej.

- Z broni. Nasza przewaga techniczna, nasze bezgłośnie systemy rażenia wroga pozwolą nam na dostatnie życie, pod warunkiem zachowania chwalebnej wstrzeźliwości!

- Zbójowanie... to proponujesz...

- Brzydkie słowo. Zresztą nie musimy wcale nikogo łupić. Możemy kazać sobie płacić za ochronę. Eskorta karawan i takie rzeczy. Misje specjalne. Zamachy stanu. Wybór należy do nas! Będziemy jak bogowie!

- To nie wszystko... - rzekłem. - Musi jeszcze istnieć sens życia.

- To pokaż mi sens życia u Ojca - burknął.

Zamyśliłem się.

- Widzisz. Nie znajdujesz! - ucieszył się mój zacny interlokutor.

- No, nie znajduję!

- Zakochasz się, rodzinę założysz, dzieci spłodzisz i na nie będziesz harował... - judził szpakowaty, uśmiechając się tępo.

- Jako gangster... hm... Praca w takim charakterze średnio uszlachetnia...

- Nasza obecna działalność również niewiele ma wspólnego z Armią Zbawienia - walnął z grubej rury.

- Racja.

- Obawiasz się nieznanego. To jedyne wytłumaczenie. Względy praktyczne przemawiają za pozostaniem.

- A czy nie możemy najpierw wyciągnąć naszych z pudła?

- Będą przeszkadzać. To fanatycy. Poza doktorem, lecz to niedorajda.

- Fanatycy lub agenci II Oddziału.

- Jeżeli tak, to niech ich wieszają! - krzyknął szpakowaty.

- Tu się nie wieszają: ścina.

- Mogę nawet obejrzeć egzekucję. Dla pewności.

Pokręciłem głową.

- Koleżeństwo...

- Igmarr trzymał cię w jamie. Docent celował do ciebie z rewolweru. Wobec takich osobników chcesz być lojalny? Nie przesadzasz z tymi skrupułami?

- Ale Ahwer, Ahwer!

- On jest czysty, fakt! - przyznał szpakowaty.

- Nie możemy zostawić doktora bez pomocy.

- Nie warto ryzykować dla jednego człowieka.

- Trzeba ryzykować nawet dla jednego człowieka! - powiedziało mi się, gdyż akurat przypomniałem sobie zawartość pewnej kretyńskiej książki z zakresu ogólnej pseudohumanistyki.

- Nic do niego nie mam - rzekł szpakowaty - ale jeżeli podejmiemy próbę ratowania Ahwera, ściągniemy na siebie niebezpieczeństwo.

- Trudno. Może trafi się inna okazja... - rzekłem w zamyśleniu.

Szpakowaty ponownie się zezłościł. (Warto zauważyć, iż łatwo go było wkurzyć.)

- Wiesz co powiedział słynny elżbietański korsarz Francis Drake? Cytuję: „okazja raz stracona, stracona jest na zawsze”. A był to profesjonalista wielkiej klasy. Druga taka sposobność nie powtórzy się. Chyba to czujesz?

- Tak... - burknąłem niechętnie.

- No więc?

- Musimy ratować doktora!

- Uparty jak baran! Ty znowu swoje!

- Musimy ratować doktora. W końcu to lekarz. Przyda się.

- W krajach opanowanych przez islam medycyna stała na wysokim poziomie.

- Nie opuszczę go w potrzebie, przykro mi.

- Osioł! - prychnął. - Dobra, spytamy jeszcze innych. Cholera!!!

Owi „inni” byli zrazu za ratowaniem kolegów, lecz kiedy przyszło do konkretnych ustaleń, ich jednomyślność rozwiąła się jak dym unoszący się z komina. Znow zaczęliśmy się sprzeczać, jak zawsze. Stało na tym, aby jednak rozeznaczyć się w sytuacji.

Przewidywałem, że lokalne władze zainteresowały się już niezwykłym wydarzeniem, któremu towarzyszył grzmot pioruna i czarny, tłusty szatan z mej opowieści.

Nie pomyliłem się. Kiedy udaliśmy się na zwiad, rozgorączkowaną gawieź rozganił właśnie gwardziści gubernatora. Jak niepyszni wycofaliśmy się na z góry upatrzone pozycje; dobrze zredagowany komunikat wojenny to połowa sukcesu.

Zebrałiśmy się w minorowych nastrojach w głównej komnacie o kształcie litery T. Zostało postanowione, iż trzeba się dowiedzieć, jaki los spotkał Igmara i spółkę.

Wtem ktoś załomotał do drzwi. Szpakowaty poszedł otworzyć. Wrócił z kim? Z

moim przyjacielem grubasem.

- Wiem, gdzie ich trzymają - rzekł nasz syn marnotrawny. - W lochu.

- Jak się dowiedziałeś?

- Mam swoje sposoby.

- Nie powiesz?

- Skąd takie przypuszczenie? - zaciekawił się.

- Gadaj!

- Sędzia znalazł się w duchowej rozterce. Rzekomi kupcy okazali się być bandą poszukiwanych rozbójników. Al-Chalidzi to w istocie herszt bandy Abu-Sarif. Ścigany daremnie na całym terytorium Umajjadów; ostatnio widziany był w Kordobie. Tutaj swoją aktywność zainicjował napadem na prawdziwego Al-Chalidziego, po czym podszyl się pod zamordowanego, polując na cudzoziemskich kupców, których zwabiał do pałacyku, rabował i zabijał. To samo, domniemuję, chciał uczynić z wami. Sędzia nie wie, jak traktować Igmara, Barakata i Ahwera. Żyją i jęczą w niewoli. Pies z nimi. Sędzia zastanawia się, czy nasi to zbójce czy jednak ofiary! Wyznał mi to wszystko pewien niewolnik, zatrudniony, jeśli wolno się tak wyrazić, w domu sędziego. To przytomny gość, kucharz. Gotuje dobrze. Porozumiałem się z nim łatwo. Niewolnik jest pochodzenia jutlandzkiego. Od razu rzuciły mi się w oczy jego rude włosy, nader rzadkie u wyznawców Proroka. Kucharz jest chrześcijaninem. Mówi, że pan nie wymaga od niego zmiany wiary. Panuje tu ponoć zwyczaj, że odchodzący z tego świata Arab testamentem wyzwala część niewolników lub chociaż jednego, dwóch, żeby zaskarbić sobie łaski u Allaha. Jałmużna wszak jest podstawowym obowiązkiem muzułmanina. A taki wyzwolenieczy akt to swoista forma jałmużny. Znaczy to, że Umajjadzi podbili Jutów. Postaci rzeczy to jednak nie zmienia. Powiedzcie, co Igmara zamierzał przedsięwziąć?

- Ba! - rozłożyłem ręce w geście oznajmującym o bezradności.

- Ty byłeś z nimi - oskarżycielsko rzekł grubas.

- Skąd wiesz?

- Widziano cię wychodzącego. Nie uwierzysz, jak sprawna jest ta średniowieczna policja! Mają twój rysopis i szukają cię. Kucharz ostrzy sobie zęby na nagrodę. Opisał cię dokładnie. Powiedział, że jeżeli dostanie nagrodę, to wykupi się z niewoli. Daj się złapać, zrobisz dobry uczynek. Mówię wam, tutejszy kadi to prawdziwy Eliot Ness. Okrutnie zażarty na rozbójników. Kucharz go podziwia.

- Tylko że ja nie jestem Al Capone - powiedziałem z sarkazmem.

- Nie mnie to będziesz objaśniał. Dajcie jeść.

- Chwaliłeś się przed chwilą właściwymi koneksjami...

- Bez ironii. Obleciałem pół miasta. Głodny jestem jak wilk. Naturalny mój zmysł orientacji nie zwiódł mnie i tym razem. Widziałem tyle różności... Właściwie winniśmy Ojcu wdzięczność. Zaczynam rozumieć rudzielca. Umarło się biedakowi, ale miał charakter. Ja o sobie powiedzieć tego nie mogę. Uciekłem od was, wróciłem do was - praca fizyczna może i uszlachetnia, ale i mocno męczy.

- Pracowałeś fizycznie? - słodko i podstępnie zapytałem. - Opowiedz kolegom, opowiedz...

- Jako tragarz. Tam się nie opowiada, tam się dźwiga. Proszę się nie śmiać! Z czegoś musiałem żyć! Dobrze, że pan naczelnik nauczył nas języka Jutów. Pracują tu jako tragarze albo kucharze. Duże, silne chłopcy; niektórzy służą w wojsku. Armie Umajjadzi mają waleczną. Właśnie wróciła z wyprawy do jednego z frankijskich księstw. Frankowie przegrali bitwę pod Poitiers; przymuszeni okolicznościami zajęli ziemię Sasów. Karol już przeżył swoje panowanie; został jednak nazwany wielkim z racji zupełnie innych czynów, niż tych, o których uczyliśmy się w szkole. Ojciec znów zafałszował historię, raczej z nawyku niż z potrzeby. Ponieważ Karol Wielki przesunął się bardziej na wschód, Sasi i Anglowie nie mieli dość energii, aby zająć Brytanię. Oczywiście nie powstało też państwo normandzkie, toteż Wilhelm Zdobywca, przez wrogów przezywany Bastardem, nie stoczył bitwy swego życia. Istnieją celtyckie Mercja i Northumbria, toczące nieustanne wojny z anglosaską East-Anglią. Po co was zanudzam... Jeść!

Nieco przekąsił, po czym wznowił swój żarliwy monolog:

- Nie myślałem, że praca tragarza jest taka wyczerpująca... Psiamać! W „Księdze tysiąca i jednej nocy” występuje jako pozytywny bohater Sindbad Żeglarz. Za swe opowieści otrzymuje sto miskali złotem. Zapewniam was, że to fantazja. Zarobiłem zaledwie trzy dirhamy. Wybrałem wolność, ale przejadła mi się. Niestety...

- Bo źle zrobiłeś - wtrącił szpakowaty. - Należało dogadać się ze mną.

- On ma plan - powiedziałem.

Grubas podniósł głowę.

- Jaki?

- Sensowny - odparł szpakowaty. Mądrzejszy od twej nierozumnej, impulsywnej decyzji.

- W czym rzecz?

- Lepiej nam powiedz, gdzie jest ten loch - rzekłem.

- W pałacu gubernatora. Tam też urzęduje kadi, ten Ness. Tak go ochrzciłem.

Pałac jest strzeżony dniem i nocą.

- Ile warta jest moja głowa? - zapytałem.

Grubas zarechotał.

- Twoja łepetyna jest dość dużo warta, aż się dziwię.

Sto miskali.

- A jak się ma miskal do dinara?

Grubas zasepił się. Wyglądało to na uczucie nieudawane.

- Człowieku, nie prowadzę kantoru wymiany pieniędzy! Żebym był Genuńczykiem lub Wenecjaninem, to bym ci wszystko wytłumaczył...

- Za jasnowłosą daliśmy chyba więcej. A rudzielec ją udusił.

- Tak, to było świństwo. Taki kapitał zmarnować!

- O zmarłych mówi się dobrze albo wcale - wtrącił szpakowaty.

- Byłbym jednak za tym, żeby ratować kolegów!

- Ty znowu swoje. Igmar brat ci czy swat? Zirytował się grubas.

Trochę ustąpiłem:

- Nie mówię, żeby ratować ich od razu. Nie wiemy jeszcze, jak zabrać się do tego. Niech pocierpią; cierpienie uszlachetnia.

- Wy nie wiecie, ja wiem. Trzeba dać w łapę. Wschód zawsze był przekupny. To Azja, panie!.

- Grubasku, komu dać? Myślisz, że śmierdzimy groszem?

- Policzmy, ile mamy!

Przyniesiono forszę i zaczęło się rachowanie. Złoto to złoto; we wszystkich oczach zaiskrzyły ogniki zgubnej chciwości.

Naliczyliśmy trzydzieści osiem weneckich dukatów i dwieście piętnaście bizantyjskich solidów z czasów Kommenów. Najwięcej było monet z podobizną cesarza Aleksego.

- Tym nikogo nie przekupimy - rzekł grubas.

- Proponuje podzielić się pulą - powiedział szpakowaty.

Nowi podchwycili tę myśl. Zupełnie bez sensu podzieliliśmy złoto; wzdrygnąłem się przed przyjęciem swojej części, lecz ustąpiłem pod presją.

Jako iż racje nieobecnych zawsze są wątpliwe, dla uwięzionych kompanów nie pozostało nic; gdy tylko napomknąłem, aby i dla nich coś odłożyć, od razu mnie

zakrakali; cnota wielkoduszności była im znana jedynie z książek.

Nadal jednak staliśmy w martwym punkcie; upłynęło trzynaście dni od rozpoczęcia akcji, a na naszym koncie było więcej strat niż zysków.

- Mieliśmy przekupić strażników...

- Ty znowu o tym. I tak by nie starczyło.

- Jeżeli się złożymy, to starczy.

- Wariat!

To oni byli szaleńcami; nie wiem, jak chcieli przemycić złote monety przez granicę; napęcznieje kabza pana naczelnika, oj, napęcznieje...

Powiedziałem im o tym.

- Ja nie wracam - rzekł szpakowaty. - Forsa przyda mi się na początek.

Nienawiść odebrała mu rozsądek; uznałem dyskusję za jałową.

- Skoro nie zamierzacie niczego przedsięwziąć, to obejdę się bez waszej pomocy.

- Sam pójdziesz?

- Tak. Magnum otworzy mi drogę. Gruby z dezaprobatą pokręcił głową.

- Wartowniczy sprawdzają, czy nie wnosi się broni.

- Skąd mają wiedzieć, czy to broń?

- Domyśla się. Jak już chcesz się wygłupiać, to idź z gołymi rękami.

Nie podobała mi się ta wredna sugestia.

- Powinna to być misja pokojowa - powiedział grubas. - Przekonamy kadięgo, że nasi byli ofiarami. Poza tym oni mają twój rysopis. Wybrać się tam, to czyste szaleństwo.

Pomyślałem trochę. Ciężko mi było na duszy, lecz w końcu się na coś zdecydowałem.

- Nie zostawię cię - rzekł grubas.

- Protestuję - odezwał się szpakowaty. - Wyprawa do pałacu przyniesie nam pecha.

- Siedź cicho - powiedział grubas. - Ruszajmy. Dość tego gadulstwa!

Fatalnie się czułem bez gnata za paskiem, ale co było począć, takie życie. Straż, oczywiście, nie chciała przepuścić nas bez bakczyszu. Grubas patrzył na mnie, ja oglądałem się na niego. W końcu daliśmy zgodnie po dinarze. Przepuścili.

I co powiecie, drodzy bracia i siostry w Czasie? Wydatek okazał się być całkiem zbyteczny. Kadięgo nie zastaliśmy.

- Nie da rady inaczej - powiedział grubas. - Idziemy z gościnną wizyta do jaskini lwa.

Uczony mąż mieszkał na skraju historycznego centrum miasta. Mijaliśmy łąźnie - nauczyłem się już je rozpoznawać - warsztaty, sklepy, stragany. Na ulicach tłoczyli się przechodnie. Dom kadiego wyglądał na przestronny. Grubas wyjaśnił mi, że niewolnicy przebywają w baraczkach obok. Poszedł tam. Długo nie wracał. Trochę się denerwowałem. W końcu nadszedł, radośnie uśmiechając się.

- Załatwione - rzekł. - Zawdzięczamy to kucharzowi. I przeżyj tu dzień bez znajomości!

Ale kadiemu musiało się nie spieszyć, albo był czymś zajęty, bo jeszcze z godzinę czekaliśmy na dziedzińcu. Moja irytacja rosła. Słońce wyszło zza chmur; jakby na ten znak odźwierny skinął na nas i poprowadził do gospodarza.

Kadi okazał się starszym, zabiedzonym mężczyzną z długą brodą. Nie wyglądał na Eliota Nessa, ale życie uczy nie ufać pozorom. Przyjął nas w bibliotece. Siedział za stołem i mamrotał sury Koranu. Przed nim leżały pergaminowe zwoje. Potem podniósł głowę. Przenikliwy jego wzrok zdawał się docierać do głębi duszy. Odezwał się do mnie:

- Oto człowiek, którego daremnie szukaliśmy. Góra nie chciała przyjść do Mahometa, ale Mahomet sam przyszedł.

Nie wiedziałem, co myśleć o tej wątpliwej metaforze.

- Jesteście chrześcijaninem? - spytał ponurym, starczym głosem.

Przytaknąłem.

- W doktrynie sufich znajduję wpływy chrześcijańskie... - wymamrotał Arab.

Przestraszyłem się; kadi wie o Ali - Bakrze, do niego pije!

- Studiuję ich naukę nie dla jej uroków! - warknął sędzia, marszcząc brwi. - Zgubna jest ona dla islamu, którego czystości strzegę z racji pełnionej godności.

Nic mnie to nie obchodziło, lecz roztropnie milczałem.

- Cała prawda zawarta jest w doktrynie mutazylitów, opartej na dialektyce. Ich nauka o atrybutach Boga przetrwa wieki. Przeczą oni czarom i wszelkiej astrologii; też nie wierzą w czary, aczkolwiek w sprawie Abu-Sarifa jest coś niepojętego. Mutazylici twierdzą, że kiedy dwie strony spierają się, to najczęściej słuszność mają obie. Przesłuchiwałem rozbójników i kupców, odpowiedzi jednych i drugich przyprawiły mnie o turbację. Dlatego sięgnąłem po pisma sufich. Byłobyż moim przeznaczeniem rozwiązanie tej zagadki? Jak rozpoznać przeznaczenie, jak odróżnić znaki Boga od

pokus szejtana? Ogień jest probierzem prawdy. Na nagie ciała winowajców położone zostały tace z rozpalonym węglem. Stali się wielomówni, ale ich odpowiedzi były bez sensu! - umilkł na króciutko. - Jestem mutazylią, bo jestem kadim. Kadi Abd Al-Dżabbar z Ar - Rajj też był mutazylią. Występuję przeciw kadarytom. W ich nauce o wolnej woli dostrzegam wpływ waszego największego teologa, Augustyna, którego Kościół obdarzył świętością... Musicie mi ten wasz dogmat objaśnić. Słucham!!!

Doznałem olśnienia; nareszcie wstąpiłem na kręte ścieżki rozumowania tutejszego Eliota Nessa! Nie wierzył, że pochodzimy z Northumbrii. Nie mogłem przewidzieć, babrając się w tym gnoju, że spłynie na mnie łaska filozoficznej dyskusji, do której niestety nie byłem przygotowany.

- Nie jesteśmy teologami, o dostojny! Handlujemy tym i owym, staramy się zarobić. Czy to źle?

- Największym grzechem jest kłamstwo - powiedział kadi. Największym dobrem - godność. Wśród moich poprzedników było wielu słynnych mężów. Kadi Harbawajhi nie wstawał na przywitanie namiestnika, ponieważ był na to zbyt dumny. Potem namiestnicy kalifa przestali go odwiedzać, atoli on miał to w głębokim poważaniu. Ten kadi był księciem sprawiedliwości. Namiestnika nie raczył nawet tytułować „emirem”, po prostu zwracał się doń po imieniu i sądził, że tamten winien się cieszyć z podobnego aktu poufałości. Doszło nawet do tego, że podczas pewnego procesu zażądał od samego kalifa, żeby przyznał swemu głównodowodzącemu eunuchowi Munisowi świadectwo wyzwolenia z niewoli, bo status Munisa jakoby był niejasny, a jako niewolnik nie mógłby zeznawać w sądzie w charakterze świadka... Kadi ów tak bardzo dbał o swą godność, że nikt nie zobaczył go nawet w trakcie mycia rąk... Wszystko czynił w ukryciu! Wyroki ferował całkowicie według swego uznania. Nie dbał o prawo, dbał o sprawiedliwość. Nikt jednak nigdy nie zwątpił w jego uczciwość. Kadi Bagdadu Al - Isfara'ini powiedział kalifowi Al-Kadirowi, aby nie ważył się usuwać go ze stanowiska, gdyż wystarczy jedno jego pismo do szacha perskiego, iżby kalif stracił tron. Takich wyniosłych miałem poprzedników... I wy, marni robaczkowie, śmiecie mi kłamać, że nie znacie Augustyna?

- Dostojny panie! Jestem tym, którego szukaliście. Zgłosiłem się dobrowolnie. Pragnę ratować moich towarzyszy. Opowiem, co się wydarzyło: rozbójnik Abu-Sarif przedstawił się jako kupiec Al-Chalidzi. Chciał kupić nasze towary. Zgodziliśmy się, aby je obejrzał. Podczas uczty zorientowałem się, że wino jest zatrute. Rzuciłem się do ucieczki. To wszystko, dostojny panie.

- To nie wszystko. Twoja opowieść nie wyjaśnia, czym zostali oszołomieni rozbójnicy, i od jakiej broni zginął jeden z nich. W jego zwłokach odkryto ślady prochu. Proch pochodzi z cesarstwa Chin. Rana była tego rodzaju, że nie mogło jej zadać żadne znane narzędzie walki. Przyznaj się: przybywacie z podziemnego królestwa, z królestwa ciemności, krzywdy i zniewolenia?

- Nie! - zawołałem.

Zasłona poruszyła się. Przedtem jej nie zauważyłem, tak byłem zajęty dyskursem. Na szczęście mój kompan wykazał się większą przytomnością umysłu. Nie czekał, aż pokażą się ukryci zbrojni. Skoczył jak tygrys do drzwi. Zza zasłony wypadł Arab z szablą i chciał ściąć mu głowę, lecz kadi go powstrzymał, krzyżąc: - Żywcem brać!

Grubas zderzył się z innym wojownikiem. Powalił go ciężarem swego ciała i zbiegł. Ja już czułem na szyi ostrze szabli. Odruchowo zamknąłem powieki.

- Wtrącić do sirdabu - powiedział kadi. - I dobrze pilnować. Nie bać się czarów. To nie demon, a jeśli nawet, to jakiś pomniejszy.

ROZDZIAŁ XVIII

Tak poniżony znalazłem się w sirdabie. Kadi zlekceważył moje nadprzyrodzone umiejętności, ale o doczesnych był lepszego zdania: miałem związane ręce i nogi, a nade mną chodził strażnik.

Co tyczy się sirdabu, budowy był nieskomplikowanej. Został wykopany jako dół w ogrodzie i dołem już pozostał. Czyli był pospolitą jamą, zasuniętą metalową, ciężką klapą, którą dla pewności przywalono głazem. Kadi trochę pogadał ze mną, doskonaląc się w szlachetnej sztuce monologu, po czym spuścił mnie z wyżyn nadziei w samą otchłań rozpaczy.

Gruby uciekał, skąd jednak mogłem wiedzieć, jak mu poszło. Młodzi ludzie, służący u kadiego, wyglądali na lepszych szybkobiegaczy. Sam kadi to czort wcielony, że też na takiego musieliśmy się nadziać! Tutejsze budownictwo więzienne, jak się nad tym zastanowić, posiadało niewątpliwe zalety. Tanie jak barszcz, kopiesz dziurę -

i spokój. Więzień spoczywa w całkowitym bezruchu, nie zużywa energii, nie kombinuj; wystarczy dać mu zjeść raz na trzy dni.

Pomyślawszy to, uprzytomniłem sobie jaki jestem głodny. Trudno - trzy dni to tylko siedemdziesiąt dwie godziny. Bywało gorzej. Nie, nie bywało. W moim poprzednim sirdabie siedziałem z gadatliwym kumplem; i był też zdecydowanie przestronniejszy.

Ten nade mną - myślało mi się leniwie - chodzi i chodzi. Ma cierpliwość; odebrał niezłą szkołę. Fatalistycznie patrząc na sprawy, wzorem Ali - Bakra, widocznie powinienem tu siedzieć, skoro zostało mi to przeznaczone na tysiąc lat przed moim urodzeniem!

Nagle!!!

Płyta zaczęła się odsuwać. Spostrzegłem dziwną jasność. Znajomy głos powiedział:

- Wyłaż, na Ojca! Wyłaż! Odpowiedziałem:

- Jestem związany.

Otwór zrobił się wielki jak księżyc w pełni. Wypełniły go nachylone twarze. Ktoś powiedział:

- Naprawdę jest związany. Nie udaje. Skoczę!!!

W mrocznym wnętrzu znalazło się obok mnie ciężkie cielsko grubasa. Sztyletem przeciął mi więzy. Potem zawołał: - Dawajcie sznur!

Wyciągnęli mnie światło dzienne. Zapytałem, co dziś za dzień. Gruby na to: nie czas na pogaduszki. Zaczęli ciągnąć moje zwłoki do wyjścia. Szpakowaty otworzył bramę. Nieopodal spacerowali sobie - bardzo grzecznie - wartownicy... Powalił ich niewidoczny strumień gazu.

Nad naszymi głowami opadały balkony budynków. Gdyby pędzić tu cwałem, istniało ryzyko rozbicia sobie łba.

Kiedy dotarliśmy do bazy, przygotowania do wymarszu znajdowały się już w schyłkowej fazie; konie i muły były objuczone, ośmiu pojmanych nieszczęśliwców siedziało pod strażą w głównej komnacie.

Podano im chyba jakiś narkotyk, ponieważ wyglądali na mocno ogłupionych i nawet zadowolonych ze swego losu.

- Co z tamtymi?

- Nic.

- Szpakowaty jedzie z nami? - zapytałem po chwili refleksji.

- A owszem.

A tak bardzo pragnął zostać...

- Rzadko kiedy możemy czynić to, na co mamy ochotę!

- Co z kadim?

- Uszedł z życiem - rzekł grubas. - Nie znalazłem go w sypialni.

Wyprowadziliśmy jeńców na dziedziniec skąpany w słońcu. Tam nakłoniono ich, aby dosiedli mułów. Gruby ze szpakowatym przywiązali ich do siodeł. Dwaj nowi patrolowali ulicę przed domem. Wspomniałem Ahwera, rudzielca, Ali - Bakra; wspomniałem nawet docenta i Igmara, i nie zrobiło mi się wcale od tego lżej na duszy.

ROZDZIAŁ XIX

Kiedy osiągnęliśmy wzniesienie, z którego rozpościerał się widok na skrzyżowania dróg, gdzie drzewiej wymordowaliśmy pokojową karawanę, ujrzałem za nami duży obłok kurzu, szybko się przybliżający.

Gruby, który wcześniej samozwańczo objął przywództwo, rzekł stanowczo:

- Czekaj nas bitwa. Kadi wysłał za nami wojsko.

Wszyscy zdolni do noszenia broni zajęli stanowiska wzdłuż linii krzewów porastających wzniesienie. Jeden z nowych został oddelegowany jako strażnik jeńców i wierzchowców. Dowódca dokonał w pośpiechu lustracji terenu walki. Wzgórze wyginało się w kierunku pościgu.

Była to okoliczność sprzyjająca. Nie musieliśmy rozpraszać naszych wątkich sił. Podzieleni na dwie grupki, skupiliśmy się na krańcach owej cienkiej zakrzewionej linii, gratulując sobie w duchu, że wróg nie dysponuje bronią palną.

Grubas posłał szpakowatego na południową flankę, a sam objął dowództwo nad północą. Szpakowatemu zaś przekazał, aby nie otwierał ognia zanim usłyszy, że i my strzelamy. Potem przytaszczył granatnik i polecił mi przynieść dwie skrzynki: jedną z czerwonym krzyżem, drugą bez opakowania. Wyjaśnił, że w pierwszej są granaty z gazem paraliżującym układ nerwowy, w drugiej zaś - rozpryskowe.

Przyniosłem te obrzydliwe skrzynki.

Nieprzyjacielski oddział zbliżył się na pół mili. Długi wąż kawalerzystów ciągnął na wprost naszej pozycji. Jeszcze niczego nie przeczuwali. Czekał ich czas próby, dotąd znali tylko miecz, łuk i włócznię; niebawem poznają również granatniki i karabiny. Lekko im nie będzie.

Rycerze minęli zakręt, wzniesając tumany kurzu.

Gruby polecił cofnąć się z granatnikiem do płytkiego wgłębienia. Tkwiąc w owym rowie czekaliśmy na rozkazy, tracąc z oczu konnicę. Dla naszego zdrowia psychicznego była to okoliczność średnio sprzyjająca. Z bezchmurnego nieba lał się żar.

Nagle grubas szepnął ochryple:

- Przygotować granaty ze skrzynki z krzyżem. Walić, jak usłyszycie strzały. Celownik dwieście.

- Nie wiem, jak nastawia się celownik - odważnie przyznałem się do ignorancji.

Dowódca zaklął. Potem usłyszeliśmy:

- Ja też nie wiem, oby to szlag!

Nowy zawzięcie majstrował przy granatniku; nawet Ojciec nie był w stanie nam pomóc. Gruby coś mamrotał do siebie; na tyle cicho, że nie sposób go było zrozumieć.

Dławiące oczekiwanie skończyło się z chwilą, kiedy padły pierwsze strzały. Uruchomiliśmy nasz granatnik; lufę opuszczały pociski, szybując na spotkanie nieprzyjaciela.

Widziany od dołu grubas komicznie podrygiwał przy kaemie. Słysząc było dzikie okrzyki, potem tętent kopyt. Nie wytrzymałem przy granatniku. Wskoczyłem z rowu, padając obok dowódcy.

Zmieniał właśnie magazynek, szarpiąc się z bronią. Zacząłem strzelać z pistoletu. Przedpole usiane było ciałami. Niektórzy z trafionych czołgali się, inni leżeli bez ruchu. Wszędzie kłusowały rumaki bez jeźdźców. Okropny widok.

Nie był to koniec bitwy. Większość nieprzyjaciół podała tyły, ale najodporniejsi zawrócili, z wrzaskiem uderzając na stanowisko zajmowane przez szpakowatego i jego pomocników. Buchnęły stamtąd strzały. Pobiegliśmy mu w sukurs nie bacząc na niebezpieczeństwo. Dowódca, mimo znacznej tuszy, sadził pierwszy wielkimi susami, ledwo mogliśmy za nim nadążyć.

Nagle znikąd pojawili się kawalerzyści andaluzyjscy. To, że zsiadli z rumaków i usiłowali nas zniecka podejść, wykorzystując pofałdowania terenu, wystawia dobre świadectwo taktycznym talentom ich wodza. Strzelałem, nie celując. Gruby rzucił

granat. Upadliśmy. Rozległ się wybuch, głośniejszy niż poprzednie eksplozje.

Trzymając oburącz magnum runąłem do ataku. Z zagajnika wynurzył się Arab z dobytą szablą. Nafaszerowałem go ołowiem i ominąłem zagajnik. Obok mnie świsnęły strzały. Jedna wbiła się w drzewo, obok którego zatrzymałem się dla nabrania oddechu. Padłem na ziemię. W zaroślach, porastających pagórek, usytuowanych po mej lewej ręce, coś się poruszyło. Wygarnąłem tam z magnum. O skutku nie dało się nic pewnego powiedzieć. Przed sobą zobaczyłem mały parów. Mógłbym w nim się ukryć, ale... Rozpaczliwie zacząłem rozglądać się na wszystkie strony! Wszędzie czyhało niebezpieczeństwo! Ciągłe rozglądając się, ruszyłem wzdłuż parowu.

Naraz wynurzył się zeń arabski rycerz. Jego pancerz stał się dla mnie błogosławieństwem! Poruszał się niemrawo, graniczyło z cudem, że w ogóle mógł chodzić. Nic nie pomogła mu zbroja! Pocisk z magnum może powalić słonia. Powoli, ospałym krokiem człowieka, z którego opadło bitewne napięcie, ruszyłem w kierunku wskazanym mi przez wystrzały.

Leżał tam na poboczu ranny Arab w półpancerzyku. Otrzymał postrzał w brzuch. Kiedy nachyliłem się nad nim, zobaczyłem w jego oczach strach. Nie był to jednak strach przed śmiercią. Był to lęk przed Złym. Szepnął: - Nie ma siły ni potęgi poza Allahem Wiecznym i Mocnym... Jeden Bóg na niebie... Przepadnij szejtanie!

Ciężko ranny rycerz, przed przekroczeniem tej jedynej prawdziwej granicy naszego życia, zaklinał nieczyste moce, by nie niepokoiły go za życia, które wszak jest nieustającą pielgrzymką do Mekki zbawienia. Cóż mogłem mu przeciwstawić? Modlitwę do wiarołomnego Ojca Narodu? Po prostu było mi wstyd - wstydziłem się swego bezbożnictwa...!

Doszedłem do skraju wzniesienia, skąd już widziałem pobojuwisko.

Główny plac boju, miejsce pierwszej szarży konnicy, był jednym wielkim polem śmierci. Okazało się, iż wbrew pozorom daleko nie odszedłem od szczytu wzgórza! Po prostu bezsensownie błądziłem.

Moi towarzysze skupili się wokół leżącego człowieka. To był szpakowaty. Strzała przebiła mu gardło. Nie zrealizuje już swych zamysłów. Zamyśliłem się nad przemijalnością naszego żywota; jakże często zachowujemy się w taki sposób, jakbyśmy nie byli nędznymi, śmiertelnymi istotami, przerażonymi przecuciem tajemnicy, której nie umiemy zgłębić.

Ciszę przerwał głos grubasa.

- Dosyć! Zwijamy obóz.

Długa walka o władzę wyłoniła wreszcie najwłaściwszą osobę. Przez to, że nakazał strzelać z granatnika pociskami obezwładniającymi, nie wszyscy arabscy wojownicy zostali zabici. Niektórzy byli zwyczajnie uśpieni, czyli jeszcze przydatni. Czekaliśmy teraz odróżnienie jednych od drugich; poległych zostawiliśmy na żer dla dzikich zwierząt.

Kiedy w końcu uporaliśmy się z tą obrzydliwą robotą, uformowaliśmy kawalkadę i ruszyliśmy naprzeciw przeznaczeniu, jakby to ładnie powiedział Ali - Bakr.

Dowódca nasz zaś rzekł, z nieklamany zadowoleniem:

- Patrzcie! Tyle trudu, tyle starań i nic. A nadeszła jedna dobra bitwa i cały kontyngent janczarów dzierzymy w przysłowiowej garści. Jest sprawiedliwość na tym świecie! Bracia, aż chce mi się żyć!

ROZDZIAŁ XX

Siedzę w domu i zabijam mrówki. Tydzień temu ostatni raz spojrziałem na granicę, której przestrzennie nie udało mi się przekroczyć. Naczelnik nie przyszedł pożegnać się ze mną, nie pozwolił mi na to nawał obowiązków służbowych. Radbym jeszcze raz spotkać się z grubasem, którego też odesłano do cywila, ale i tej przyjemności zostałem pozbawiony. Wsadzono mnie do autobusu i wywieziono ze strefy. Siedzę w domu, walczę z mrówkami i zbijam bąki. A z każdym dniem staję się coraz mniej lojalny. Zżera mnie nostalgia za przeszłością. Cierpię. Dawniej zwano to chandrą...

Wszelako człowiek to istota społeczna i długo cierpieć w samotności nie może. Odwiedziłem przyjaciela. Lub tego, kogo za przyjaciela miałem!

Jak zwykle przyjął mnie z obliczem posepnym. Zapytał, czy napiję się herbaty i czy może być ziołowa. I nie oczekując odpowiedzi jął rozwodzić się nad zaletami niektórych ziół.

- Jeśli herbata, to chińska - rzekłem.

Nastroszył się.

- Czy to aluzja? Zdziwiłem się.

- Aluzja do czego? Spochmurniał jeszcze bardziej.

- Do Azji. Do tego bezmiernego kontynentu, którego fale tylekroć już zalewały nasz stary kontynent.

Wystarczy przypomnieć Mongołów Czyngis - chana. Żyjemy obok tykającej bomby zegarowej.

- Może być herbata indyjska - powiedziałem, jakby nie słysząc jego groteskowych wynurzeń.

- Nie mam - odrzekł.

- W takim razie nasyp ziołowej.

Zrobił to. Wypiliśmy, co trzeba. I podzarliśmy nieco dietetycznych krakersików, z gatunku ultra-light. Po kwadransie ponurego milczenia zaproponował, abysmy udali się na mszę.

- Jaka? - spytałem.

- Taką - rzekł - gdzie czci się Ojca Narodu. Pardon - Ojca Naszego.

Przystąpiłem na to. Nabożeństwo było wzniosłe, acz nudnawe. Nie mówiąc już o tym, że bluźniercze.

Przyjaciel był jakiś nie w sosie. Pożegnałem się z nim, stwierdzając w duchu, że doprawdy niewiele mamy sobie do powiedzenia i z ulgą wróciłem do domu.

Coś zjadłem, niechętnie sprząając okruszki, aby wygłodzić wstrętne mrówki, po czym włączyłem komputer i oddałem się rozkoszom pracy umysłowej, której podczas pełnienia nienawistnej misji byłem w naturalny sposób pozbawiony. Po godzinie uruchomiłem klawisz wysyłający dane do centrum obliczeniowo-rozrachunkowego. I spotkała mnie przykra niespodzianka. Sygnału nie było. Powtórzyłem czynność - bez rezultatu. Za to komputer wyświetlił mi paskudną odpowiedź:

„Koniec. Obywatel został pozbawiony prawa do pracy domotwórczej. Proszę w terminie trzech dni zgłosić się do urzędu zatrudnienia”.

Co tam trzy dni! Od razu pojechałem, pełen płonnej nadziei, że wyjaśnię nieporozumienie.

Urząd to takie miejsce, gdzie pracują urzędnicy; od tego są. Jeden powitał mnie opryskliwym:

- Nie pchać się. Czekać kolejki. Nie widzi, że przerwa? Urzędnik pokazał

okienko obok. Przeszedłem do drugiego. Za pulpitem sterowniczym siedziała ładna, młoda dziewczyna. Malowała paznokcie. Chrząknąłem.

- Nie przeszkadzać - powiedziała.

Wróciłem do poczekalni. Zajęte były nieliczne krzesła; jakiś staruszek kaszłał tak, jakby zaraz miał zejść z tego świata. Nie wdawałem się z nim w dyskurs, choć zdradzał wyraźną ochotę do konwersacji.

Znowu stanąłem przed urzędnikiem. Jadł bułkę.

- Można? - spytałem bardzo grzecznie, nauczony już, że urząd to potęga.

Skinął głową.

- Ja w sprawie pracy.

Przełknął kolejny kęs bułki.

- Zaszło nieporozumienie.

Popił herbatę z termosu.

- Pracowałem domotwórczo, ale dziś rano mój osobisty komputer zwariował.

Urzędnik uniósł brwi.

- Wyświetlił mi informację, że straciłem prawo do pracy domotwórczej.

- Widocznie taki fakt prawny nastąpił - obwieścił oficjalnym tonem, nie zmieniając wyrazu twarzy.

- To na pewno pomyłka.

- Dokumenty proszę - warknął jak zły pies.

Podąłem mu teczkę.

- Zgadza się.

- Jak to możliwe? Jestem lojalnym sługą Ojca.

Urzędnik popatrzył na mnie badawczo.

- Nie mnie oceniać komputer - powiedział.

- Proszę to sprawdzić.

- W porządku.

Wciskał coś i wyświetlał na ekranie. Łączył się z terminalami, czyniąc zamieszanie w całej sieci. Wreszcie rzekł:

- Stracił pan to prawo i podług dekretu już go pan nigdy nie odzyska. Proszę przejść do okienka nr 13.

Nie miałem sił, aby protestować. Powłokłem się do wskazanego okienka.

- Imię, nazwisko?

- Doktor Marcin Lipień.

- O stopień naukowy nie pytałam. Wiek?

- Trzydzieści cztery.

- Samotny, żonaty?

- Kawaler.

Szybkie spojrzenie, błyskawiczna taksacja. Musiała być starą panną.

- Co robił do tej pory?

- Pracowałem domotwórczo.

- Zawód?

- Socjolog, ekonomista, orientalista.

- Czemu przestał?

- Otrzymał zakaz.

- Czemu otrzymał?

- Nie wie.

- A co wie?

- Nic.

Błyskawiczne spojrzenie, niechętna transakcja.

- Proszę przejść do następnego okienka.

Przeszedłem.

- Powód zwolnienia?

- Niewiadomy.

- Powiedzą w okienku nr 17.

W najwyższym stopniu zaintrygowany, z nowo odzyskaną nadzieją, odszukałem owo cudotwórcze okienko, gdzie winienem doznać oświecenia.

- Wiek?

- Trzydzieści pięć.

- Nagle się postarzał?

- Trzydzieści cztery, przepraszam.

- Powód nieznany?

- Nieznany.

- A to źle. Powinien być znany.

- Nie rozumiem.

Powodem decyzji mądrej maszyny była przerwa, ponad miesięczna, w pracy domotwórczej. Tak mi sprawę przedstawiono.

Omam nie rozważyłem szyby jak to usłyszałem. To ja narażam życie dla Ojca, a

ktoś podkłada mi świnię? I nawet nie wiem kto!

- Ja się odwołam!

- Wykluczone - powiedział urzędnik przy okienku nr 17. - Centrum informatyczne działa według raz zaprogramowanej procedury. Odwoływać nie ma się do kogo. Co więcej, dane obywatela zostały przeniesione automatycznie do innych rejestrów, a w poprzednich wszelki ślad został zatarty. Było, nie ma. Exitus.

Po prostu zawyłem - lecz tylko w duchu.

- Obecnie obywatel jest w sytuacji człowieka szukającego pracy po jej uprzednim porzuceniu.

- Co!?

- Porzuceniu.

- To... to...

- Zgodnie z przepisami zacznie obywatel od najniższej stawki godzinowej.

Milczałem.

- Musi obywatel przyjąć jedno z zaproponowanych stanowisk.

- A jeżeli nie przyjmę?

- Wówczas będzie obywatel wciągnięty do rejestru osób uchylających się od pracy.

- Nie mogę szukać na własną rękę?

- Po porzuceniu nie. Przepisy są surowe, lecz sprawiedliwe.

- Niech mi nikt o sprawiedliwości...

Urzędnik wpatrzył się w moje czoło. Rzuciłem się do lustra. To był upadek; w niełatwym aspekcie lojalności poszedłem w dół jak kamień ciśnięty w wodę.

- Oto propozycje: zamiatacz ulic, dziadek klozetowy, rewidor autobusowo-tramwajowy. Trzy stanowiska, zgodnie z obowiązującymi przepisami.

Ciężko, głęboko odetchnąłem.

- Na które obywatel się decyduje?

- Muszę zaraz?

- Nie, ale byłoby to pożądane.

- Rewidor, dziadek, zamiatacz...

- Każde z tych zajęć posiada swoje plusy i minusy - powiedział urzędnik. - Zamiatacz pracuje na świeżym powietrzu, lecz ludzie wytykają go palcami. Dziadek klozetowy tyra w smrodzie, ale przynajmniej na siedząco, byłoby to więc coś zbliżonego do uprzedniej pracy obywatela. ..

- Coś zbliżonego... - jęknąłem.

- Rewidor to praca najbardziej odpowiedzialna, najlepiej opłacana z wymienionych. Niestety najbardziej niebezpieczna. Można dostać po buzi.

Byłem przytłoczony brzemieniem niezасłużonego nieszczęścia.

- Polecałbym obywatelowi pracę dziadka klozetowego. Niewątpliwie jej minusem jest wdychanie smrodów, ale każde doświadczenie wzbogaca.

- A co będzie, jeśli pozwolę wciągnąć się do rejestru uchylających się?

- Będzie obywatel wciągnięty.

- I co dalej?

- Nic.

- Czy będę otrzymywał zapomogę?

- Nie.

- Mogę żyć z oszczędności.

- Proszę bardzo. Jednakowoż dłuższe przebywanie w rejestrze wiąże się z pewnym ryzykiem.

- Czyli?

- Komputer kieruje na reedukację. Merkury, Mars... Dobił mnie tym Marsem.

Powiedziałem:

- Decyduję się od razu, żebyście nie wciągnęli mnie do tego waszego groźnego rejestru. Przyjmuję pracę dziadka.

- Proszę bardzo - powiedział urzędnik z wielką życzliwością. - Jest wolny kibelek na placu Konstytucji. Czynny w godzinach przedpołudniowych. Odlewają się tam ważne osoby. Chwała Ojcu.

Rozumiejąc, że to koniec, wziąłem papiery i opuściłem biuro zatrudnienia. Idąc ulicą myślałem o zemście; ale nie znałem imienia tajemniczego wroga. Skoro nie wie się tak podstawowych rzeczy, trudno cieszyć się życiem...

ROZDZIAŁ XXI

Nigdy, ale to nigdy nie wyjeżdżajcie za granicę! Niech nawet słaba idea takiego

wyjazdu nie zaświta w waszych umęczonych główkach!

Jestem winien; jestem winien bezmyślności i głupoty.

Przechodząc do nowych rozdziałów mej odysei muszę zastrzec, że urzędnik biura pracy nic nie przesadził, opowiadając o smrodzie w kibelku. Śmierdziało w ubikacjach i pisuarze; ja zaś czatowałem w przedsionku, wyciągając dłoń do wychodzących po załatwieniu potrzeby, albowiem lać za darmo nie wolno. Potem cofałem się w swoje zacisze, gdzie zwykle na stoliku leżała rozłożona książka bądź jakieś czasopismo i pogrążałem się w zupełnie innym świecie, świecie ducha.

Do moich obowiązków należało również sprzątanie pisuarów i ubikacji, ale ja to właśnie olewałem, wychodząc z założenia, że w gównie jeszcze nie toniemy. W sumie moja robota nie była uciążliwa i może nawet przywykłym do niej, gdyby nie mój przysłowiowy pech. Pewnego razu wyciągnąłem rękę po pieniążek i kogo widzę? Przyjaciela.

Zdębiał. Nie dziwiłem mu się. Powiedział:

- My się przecież znamy.

Skłamałem:

- Oj, chyba nie.

- To ty! - on na to:

Powstał zator. Klienci wymykali się nie płacąc. Żeby uniknąć finansowej klapy, powiedziałem brutalnie do niego, aby nie zawracał mi głowy i płacił. Niech nie sądzi, że wymiga się od tego.

- Przecież to ty! - zawołał, uśmiechając się nieszczerze.

Zaczęło robić się zbiegowisko. Młodzieniec o wyglądzie nasyconego heroiną narkomana wyszedł chwiejnym krokiem z ubikacji, kierując się do wyjścia. Oburącz chwyciłem się tej szansy. Napadłem na nieszczęśnika, że nie płaci. Narkoman bożył się, że chciał, ale nie zdążył. Niczym nie zrażony, podnosiłem głos, nie ustając w groźbach. Dopiero po odejściu znajomej osoby, dałem spokój młodzieńcowi i przyjąłem odeń drobne.

Kryzys został zażegnany, lecz na krótko. Uświadomiłem sobie, że taka sytuacja może się powtórzyć. W każdej chwili jakiś inny znajomek może odwiedzić mój kibel i znowu doznam psychicznego wstrząsu. Niby żadna praca nie hańbi, ale to bajdurzenie. Ta praca hańbi! Upadek był zbyt bolesny, żeby go przeżyć. Postanowiłem skończyć z sobą.

No, ale nie wyszło. Żyrandol się urwał, gaz odcięli. W rewanzu postanowiłem

się upić. To mi wyszło.

Trzeźwiałem parę dni.

Po tym niespokojnym czasie zgłosiłem się do pracy. Miejsce zastałem zajęte.

- Nie masz tu nic do szukania - powiedział nowy dziadek klozetowy.

Uznałem jego racje. Poszedłem do domu. Idąc zastanawiałem się, czy i z mieszkania mnie wyrzucili, lecz był to już nadmiar pesymizmu, bo naklejki eksmisyjnej na szczęście nie ujrzałem.

Z tej desperacji położyłem się spać. Obudził mnie dzwonek. Powlokłem się do drzwi. Na korytarzu przestępowało z nogi na nogę dwóch osobników. Wyglądali niewinnie - wpuściłem. Obym lepiej truciznę do żył sobie wpuścił!

- Wiemy o pana perypetiach - powiedział jeden z gości. Nie mogłem ich odróżnić. Jednakowy ubiór, jednakowe gesty, te same twarze. Bliźniacy jednojajowi?

- Wolałbym, żeby to się nie rozchodziło - wycedziłem.

- Już się rozeszło.

- Kim jesteście?

- Przyjaciółmi.

- Wszystkie policje świata tak mówią.

- My nie z policji, wręcz przeciwnie.

- Co to znaczy, wręcz przeciwnie? Kontrwywiad? Jestem czysty. Zagranica mnie nie interesuje...

- Odkryjmy karty. Dobrze panu z oczu patrzy.

- Przykro mi z tego powodu.

Umilkli na moment.

- Wiemy, że był pan prześladowany przez reżim Onego.

Było to jak wybuch granatu.

- Utracił pan pracę.

- Z własnej winy.

- Proszę nie wpadać w nadmierny samokrytycyzm. Wiele się mówi o zgubnej pysze, nadmiernej pewności siebie, a niewiele o tym pierwszym. Tymczasem to również prowadzi do zguby.

- Nie sądziłem.

- Tak. Człowiek szukający winy w sobie nie jest skłonny do radości.

- Gadu, gadu, ale pora przejść do sprawy - powiedziałem. - Do czego pijecie?

Wyłożyli karty na stół. Zaproponowali mi przyłączyć się do opozycji! Wydawało

mi się, że śnię. W jaki sposób możliwy jest w ogóle sprzeciw, skoro uniwersalne identyfikatory lojalności są obowiązkowe dla wszystkich i nawet sam Ojciec nie zwolnił siebie od używania unidela?

Wyjaśnili mi to rzeczowo, choć nieszczególnie dokładnie:

- Na każdą broń można znaleźć kontrbroń. Na miecz wynaleziono tarczę, na zbroję - kuszę. Unidel rejestruje i bada myśli. Niby nic już nie można przedsięwziąć, niby jest się skazanym na lojalność lub na kolonię karną! Nieprawda. Wystarczy rozdzielić myśl od słowa i myśl od czynu. Rozumie pan? Życie społeczne to nie fizyka, człowiek to nie Wszechświat. Osoba ludzka jest Kosmosem wyższego rzędu.

- Bardziej złożonym?

- Tak. Obaj cieszymy się posiadaniem wysokiego wskaźnika lojalności, który usuwa nas poza krąg podejrzanych. Nas nie zbawią. Zbawiamy się sami.

- Patrząc na wasze unidele, nie mogę pozbyć się jakże oczywistej myśli, że nie mówicie prawdy. Jak mogę wam wierzyć?

- Komuś trzeba zaufać.

- Dlaczego akurat wam?

- Bo dobrze nam z oczu patrzy.

- To mało.

- To bardzo dużo.

- Mnie nie wystarcza. Poza tym jestem lojalny, zawsze byłem lojalny i chcę takim umrzeć, na co zresztą się zanosi.

- Lojalność wrodzona? Są tacy ludzie. Mają ją we krwi.

- To ja.

- Wszystko można w sobie zmienić.

- Gadać możemy, akurat jestem bezrobotny, mam czas.

- Byt określa świadomość. Warunki uczynią pana nielojalnym.

- To się okaże.

- Jak na pierwszy raz, uważam, że i tak uczyniliśmy niemały postęp - powiedział jeden z bliźniaków. - Pan nie był przygotowany. Pańska psychika musi dopiero nagiąć się do nowej sytuacji. Jeszcze przyjdziemy.

- A jeżeli was zadenuncjuję?

- Nosimy nasze tarcze na czołach. Nie są spreparowane.

Zostawili mnie w wielkim pomieszaniu. Rozważałem różne możliwości. Nie spałem do rana. Skoro świt postanowiłem udać się do urzędu zatrudnienia, bo z

czegoś wypadało żyć. Jałmużników ON skasował, po swojej deifikacji. W urzędzie zastałem tego samego urzędnika. Ucieszyłem się. Urzędnik mniej. Rzekł:

- Czułem, że nie zagrzeje obywatel miejsca. Mogę zaproponować pracę rewidora.

Zacząłem się wymawiać, tłumacząc, że jestem na to zbyt delikatny. Urzędnik bezradnie rozkładał dłonie.

- Tylko to mam dla obywatela - powtarzał.

Zgodziłem się. Czekał mnie szereg formalności do załatwienia. Przesuwałem się z okienka do okienka, a urzędnicy i urzędniczki odsyłali mnie do siebie nawzajem.

Wyszedłem w południe. Świeciło słońce. Spacerowałem po wyludnionej ulicy. Nagle podeszło do mnie dwóch policjantów.

- Obywatel pójdzie z nami - powiedzieli.

Poszedłem.

Wsadzili mnie do pojedynczej, dość przestronnej celi, gdzie doznałem wątpliwej rozkoszy snucia sennych majaków. Do śledczego wezwano mnie następnego dnia, po śniadaniu.

- Siadać.

Nie zaczynało się źle.

- Personalia?

Radośnie podałem.

- Mówić bez śmiechu, tu takich nie lubimy.

Już było gorzej.

- Dlaczego nielojalny?

- Tak jakoś... - wystękałem. - Sam nie wiem...

- Chwila słabości?

- Właśnie.

Policjant poszperał w pomiętonych wydrukach zaśmiecających biurko.

- Skłonni jesteśmy uwierzyć. Obywatel ma wysoką zeszłoroczną średnią lojalności. Strasznie wysoką. Ja przyznam się obywatelowi, że takiej średniej jeszcze nie widziałem. Tylko czytałem, że jest teoretycznie możliwa. Jednak widzieć średnią, a o niej tylko słyszeć, to dwie różne sprawy. Szkoda, że nie spotkałem obywatela wcześniej. Trudno o taki wysoki wskaźnik lojalności, bardzo trudno. Ma obywatel żonę?

- Nie.

- Czym obywatel żył?

- Lojalnością.

- Piękna odpowiedź. I sądząc po zeszłorocznej przeciętnej, nawet prawdziwa.

Policjant przerwał dla nabrania tchu.

- Chcemy pomóc. Każdy może się załamać. Byle na krótko. Długotrwałe załamania są szkodliwe. Prowadzą do wywrotowości. Wywrotowość to zaś ...

Znacząco urwał.

- Wywrotowość to Mars.

Potem dodał:

- Bądź Merkury. Przysługuje prawo wyboru. Ojciec jest litościwy i miłosierny. Najpiękniejsze lata swego życia przeżył w przestrzeni kosmicznej i nie zważając na niedobre uczucia, jakie niektórzy wobec niego żywią, daje im tę samą szansę. Doprawdy, wielkie to dobrodziejstwo. Wielkie.

Zacząłem się wzruszać. Nareszcie ktoś myślał o mnie.

- Niech obywatel weźmie sobie do serca przestrozę. Duch musi być silny i zdrowy.

Wzruszyłem się. Policjant gadał w tym stylu dalej, a mnie zrobiło się niedobrze od tego gadania.

- Co obywatelowi?

Nachylił się nade mną. Leżałem na podłodze, w akcie absolutnej skruchy wierzgając nogami i tocząc pianę. Policjant zawołał:

- Cmentarz złych aktorów niedaleko!

Toczyłem pianę, nieczuły na jego kąśliwości.

- Zaraz wam do mydło z pyska wyciągnę!

Sięgnął ręką do mej gęby i usiłował rozewrzeć mi zęby.

- Auu!

Ugryziony został całkiem solidnie, bo też paroksyzm lojalności nie był tuzinkowy. Takiemu silnemu atakowi skruchy uległem po raz pierwszy. No, ale ostatni. Tak zostałem zbity, że aż mnie od tego olśniło.

Rozumie się, olśnienie nie przyszło w momencie, kiedy tłukli mnie po głowie, lecz później, kiedy zostałem z pogardą wyrzucony na bruk; w ten sposób stałem się przysłowiowym wyrzutkiem. Pojąłem, iż nic tu po mnie. Trzeba jechać. Dokąd? Wiadomo dokąd. TAM było mi lepiej.

Natknąłem się wszakże na kłopot. Brak paszportu. Pograżony we wzniosłych

rozważaniach, zapomniałem o takim drobiazgu.

Lecz... lecz dla chcącego nie ma nic trudnego! Mój plan dojrzał w ciągu kilku minut. Pojechałem do biura zatrudnienia i raz jeszcze zapytałem, czy nie napłynęły inne oferty pracy.

- Przecież obywatel już się zgodził - rzekł urzędnik. - Rewident to ciekawe zajęcie. Najlepiej zacząć od jutra.

I zacząłem. W ten sposób przepracowałem sześć długich dni. Po tygodniu - tyle odczekałem - udałem się do biura paszportowego.

Zaskoczyły mnie kolejki. Spróbowałem na siłę. Usłyszałem:

- Jest lista. Proszę się zapisać.

- Lista? - powtórzyłem.

- Nazwisko? - rzekła owa stanowcza osoba niewiadomej płci, która prowadziła ze mną dyskurs.

- Lipień. Doktor Marcin Lipień.

- Nie trzeba wечно czekać, są dyżury. Proszę przyjść o osiemnastej. Zostanie panu wyznaczony dyżur. Nocne też są. Musimy pilnować kolejki. Krytyczne godziny są przed świtem. Wtedy przychodzą luzacy.

- Kto?

- Luźni, nie zapisani do żadnej kolejki, co bez listy, tanim kosztem, chcą złożyć wnioski.

- Będę o tej godzinie - powiedziałem.

Na szczęście pozwalał mi na to charakter pracy. Tak dobierałem linie autobusowe, by zdążyć na czas. Udało się. O osiemnastej byłem na miejscu. Podwórce wypełniał tłum. Piekło słońce. Z trudem przeciskałem się między rozgniewanymi ludźmi. Ktoś sarkał, ktoś się oburzył, kogoś ja zrugalem. Normalka. O wpół do siódmej wieczorem, kiedy upał zelżał, rozpoczęło się wyczytywanie listy i ustalanie dyżurów.

Każdy brał, co chciał. Wybrałem dyżur między dwunastą a drugą w nocy. I tak nie mogłem wcześniej zasnąć.

Na miejsce dotarłem punktualnie. Noc była chłodna, ale to przewidziałem. Nałożyłem na siebie ciepły sztuczny kożuszek, zdrowszy od naturalnego, i w kułak śmiałem się z ludzi trzymających dyżur w swetrach czy letnich kurteczkach. Przeszepowali z nogi na nogę, dyskutowali na obojętne tematy, szczególną popularnością cieszyły się przyszłoroczne mistrzostwa świata w piłce kopanej. Dyżur

upłynął przyjemnie, do domu wróciłem pieszo. Dziesięć kilometrów spaceru pustymi ulicami miasta nocną porą to najwyższy stopień rozkoszy.

Następnego dnia już nie musiałem stać w kolejce, od czego doznałem szeregu wiernopoddańczych uniesień.

Dzień później nadeszła moja pora złożenia wniosku. Wypełniony druczek włożyłem do nesesera i o wyznaczonej godzinie stawilem się w biurze.

Ponieważ wstrzeliłem się w sam punkt, długo nie czekałem. Pan urzędnik rzucił okiem, nieodmiennie czujnym, na moje podanie, i powiedział:

- Nie możemy przyjąć.

Zapytałem z głupia frant:

- Niby dlaczego?

Nawet mi odpowiedział:

- Wniosek źle wypisany. Nie wolno robić kresek, nie wolno pisać samego „nie”, trzeba pisać „nie ma”, „nie dotyczy”, „nie posiada”. Wypełnić prawidłowo i przyjść ponownie. Taka rada.

Bezradnie popatrzyłem na współobywateli. Musieli silnie odczuć beznadzieję mego położenia, albowiem zgodzili się przepuścić mnie po wypełnieniu.

Na korytarzu wisiał wzór: coś jakby metr paryski. Wypełniałem jak szalony. Po zakończeniu tego zbożnego dzieła stanąłem ponownie przy okienku.

- Coś nie tak? - zaniepokoiłem się, postrzegając marsową minę pana urzędnika...

- A jakże - odpowiedział posepnie. - Obywatel już chyba nigdy nie nauczy się wypełniać wniosków.

Podzielałem jego pesymistyczną ocenę.

Urzędnik, wzorem Onego, okazał mi wówczas miłosierdzie: sam poprawił co było do poprawienia, po czym powiedział:

- Paszport do odbioru dwudziestego. Następny!

Dwa dni przed terminem zapisałem się po odbiór.

Odbyłem nocny dyżur, ale kiedy przyszedłem następnego dnia do biura paszportowego, uraczono mnie wieścią, że lista znikła.

- Jak to - rzekłem. - Była, nie ma?

- Właśnie tak.

- Rozpłynęła się?

- Ulotniła.

- Co teraz?

- Nic. Trzeba od nowa.

Używając wielu brzydkich słów zająłem miejsce na samym końcu kolejeczki. Obliczano ją na siedem godzin. Czekałem dziesięć. Wreszcie, po tylu przejściach, otworzyły się przede mną wrota raju. Pan urzędnik powiedział:

- Podać dokumenty i nie pyskować. Zamknę wcześniej, jak nie będzie spokoju.

Pyskowanie nie dotyczyło mnie osobiście, co najwyżej pośrednio. Jakaś dama wpadła w histerię, kiedy pan urzędnik oznajmił, iż zapomniała pewnego papierka, toteż jest zmuszony odesłać ją do domu.

Podąłem moje dokumenty. Przewertował je.

- Coś nie w porządku? - zaniepokoiłem się.

- Skądże - wycedził.

Odetchnąłem.

- Nie mam.

- Czego?

- Paszportu obywatela.

- Jak to! - podniosłem brzydko głos. - Termin odbioru został przecież wyznaczony na dziś.

Urzędnik zniecierpliwił się, lecz zachował spokój.

- Nie ma - powtórzył.

- Może jeszcze pan sprawdzi.

- Po co?

- Może jest.

- Sprawdzalem.

Zaczerpnąłem powietrze i powiedziałem:

- To niech mi pan powie, kiedy będzie. Termin wyznaczono na dzisiaj. Proszę, kiedy!

Ależ byłem bezczelny, arogancki! Jak można tak bezceremonialnie pytać!

Odpowiedział:

- Nie ma, nie wiem, odwołać się do naczelnika. Przyjmuje w środy.

Jeszcze stałem przy okienku, jeszcze wbijałem się w niego nienawistnym spojrzeniem.

- Obywatel niech nie czeka - powiedział. - Nie ma i już.

Pojąłem swój błąd; szkoda nerwów. Odszedłem stamtąd, ale co natraciłem

zdrowia psychicznego i duchowego, tego nawet ON nie wie.

Po dwóch dniach męczarni doznałem jeszcze jednego olśnienia. Za ostatnie pieniądze kupiłem bilet na pociąg osobowy i pojechałem do znanej mi nadgranicznej stacji.

Pan naczelnik oczywiście mnie zrugął. - Wy ochotnik? Spadać! Ochotników nam nie trzeba.

Przekonałem go prostym argumentem: mam doświadczenie.

- I złe wyniki! - zarechotał.

- Niepowiedziane, że inni będą mogli wykazać się lepszymi.

Zamyślił się.

- Tak może być - powiedział w końcu. - Niech wam będzie. Na bezrybiu i rak rybą.

- Jadę?

- Jedziesz! - zaśmiał się ironicznie. - Powodzenia!

Nie wierzyłem w swoje szczęście.

- Znów ujrzę przepyszny świetlisty sześcian i moich zacnych towarzyszy niedoli?

- Na to wychodzi - rzekł, podnosząc do buzi butelkę z wodą mineralną. Skwar był straszny, ale miłość jego do wody mineralnej mimo to wyglądała mi na uczucie nader zboczzone. Może był trzeźwiejącym alkoholikiem i w ten sposób odreagowywał stres?

CZEŚĆ DRUGA

LANCELOT

ROZDZIAŁ I

Włoczyłem się po lesie, aż zapadł zmierzch. Przypadkiem w kieszeni kaftana odkryłem pudełko zapalek. Poza tym miałem jeszcze kompas. Taki był mój stan posiadania. Ale żyłem, a póki życia, tyle nadziei. Prawie zgasła ona we mnie, kiedy pierwsze próby rozpalenia ognia zakończyły się fiaskiem. Przekląłem mój optymizm, który kazał mi maszerować do upadłego, zamiast zawczasu skupić się na wyszukaniu wystarczająco suchych gałęzi. Teraz było już za późno. Noc spędziłem w strugach lodowatego deszczu. Przeżyć z tym związanych nie da się wyrazić słowami.

Znalazłem duże drzewo, którego gałęzie dawały jakąś ochronę. Trzęsąc się z zimna doczekałem do brzasku.

Skoro świt, ruszyłem dalej. Oprócz chłodu dokuczał mi głód. Dobę nic nie jadłem, zaledwie dobę, a już mnie mdliło. Dawni pustelnicy posilali się tylko liśćmi i korzonkami. Średniowieczni rolnicy na przednówku odżywiali się ziołami, ceniąc sobie szczególnie pokrzywę i majeranek.

Nie umiałem znaleźć ani korzonków ani ziół. Druzus, wnuk cezara Tyberiusza, skazany przez dziadka na śmierć głodową, próbował w celi jeść trawę z materaca, ale ja mogłem szukać i maszerować; czyniłem to, aż do bólu.

Naraz przeraziłem się. Z krzewów wypadło dzikie zwierzę. Przebiegło nieopodal, nie zwracając na mnie uwagi. Nie był to jelen, choć miał rogi. Jelen jest smukły; to zwierzę było raczej przysadziste, potężne. Nie był to także żubr; żubra

widziałem w zoologu. Może był to tur.

Mimo to szedłem odważnie do przodu, w dosłownym i metaforycznym tego słowa rozumieniu. Nie pozostawało mi nic innego. Kiedy jednak z przeciwka wypadło stado domniemanych turów, rzuciłem się do panicznej ucieczki w zarośla. Zwierzęta przebiegły obok, nie zdradzając najmniejszego zainteresowania moją osobą. Musiała istnieć tego przyczyna; coś porządnie je wystraszyło.

Nie wstawałem. Ledwie próbowałem się poruszyć, usłyszałem dźwięk rogów. Potem odgłos końskich kopyt. Jacyś jeźdźcy posuwali się wąskim traktem. Ktoś zadał w trąbę. Z przeciwnej strony odpowiedział taki sam odgłos.

Mój błąd polegał na tym, że zaległem w krzewach za blisko szlaku. Konni zapewne nie spostrzegliby mnie, lecz ich psy nie miały z tym żadnego problemu. Dwa brytany skoczyły mi do gardła. Całe szczęście, że zdążyłem unieść się i zasłonić ramieniem. Jeden pies wszczepił się w ramię, drugi, mniejszy, w nogawkę. Wrzasnąłem z bólu.

Uratowali mnie właściciele tych wściekłych bestii. Ktoś odciągnął psy, racząc je kopniakami. Bardziej zażarty brytan nadal szarpał mi łydkę, choć mój wybawiciel kilkakrotnie zdzielił go batogiem. Jedno z uderzeń trafiło w moje plecy. Znów krzyknąłem, ponieważ zaboląło jak cholera. Rzemień był chyba zwieńczony metalową kulką.

Wreszcie psy zostały odegnane i skierowane na właściwy trop. Wydaje mi się, że to był właśnie zasadniczy cel owej operacji ratunkowej. Mój wybawca odziany był w podróżny kaftan, a uzbrojony w łuk. Coś powiedział do mnie, ale w narzeczu mi nieznanym. I tak nie zdążyłbym odpowiedzieć. Poczulem słabość i łagodnie osunąłem się na murawę.

Przytomność odzyskałem w drodze powrotnej. Leżałem na wozie, sąsiadując z ubitym turem. Ktoś opatrzył mi rany. Złożyłem dzięki Ojcu Naszemu za to, że są jeszcze dobrzy ludzie na świecie!

Powrót łowieckiej drużyny trwał cały dzień. O dziwo nie spadła ani kropla deszczu. Ciemny i ponury zamek rozłożył się na niewielkim wzniesieniu. Nazbyt byłem znużony, by liczyć, iloma pierścieniami murów został otoczony. Czułem się chory i rozbity. Bolało poszarpane ciało. Targały mną dreszcze. Wóz skierowano na wewnętrzny dziedziniec. W jakiejś szopie dostałem garść słomy i coś na kształt pledu do przykrycia. Nie zasnąłem momentalnie, choć jednak prędzej niż w państwie Ojca. W nocy dręczyły mnie koszmary. Centralną postacią był w nich Stephan Igmarr. Śnił

mi się też znikający w mgle Ahwer. Rankiem wyczułem czyjaś obecność. Ciężko mi było otworzyć oczy. Ten ktoś przypominał rudowłosego. Był wszelako znacznie starszy od tamtego. Dotknął moich ran i pomruczał do siebie. Później odsłonił zranione ramię i zmienił mi opatrunek. Zapachniało ziołami. Zanim odszedł, postawił przy barłogu gliniany kubek. Zapadłem w sen.

Obudził mnie rozgardiasz panujący za oknami, a właściwie za jednym wąziutkim okienkiem, przez które wpadało niewiele światła. W zaimprovizowanym lazarecie śmierdziało końskimi odchodami. Kiedyś musiał pełnić rolę stajni. Leżałem nieruchomo kilka godzin, po czym zasnąłem, obojętny na wszystko. Obudził mnie głód. Uznałem to za objaw dochodzenia do sił; może zbyt optymistycznie...

Chciałem wyjść, ale kiedy raz i drugi nadepnałem na jakieś rozłożone na podłodze ciało, odeszła mnie ochota do przechadzek. Wróciłem na swoje łóżko i spokojnie czekałem chwili, aż ktoś ponownie mną się zainteresuje.

Świat przyszedł do mnie w postaci starej, pomarszczonej niewiasty. Miała chyba ze sto lat. Bez sensu było pytać, ile dokładnie wiosen liczy, gdyż w tej epoce mało kto zdawał sobie sprawę, kiedy się narodził, i nawet regent Anglii, Wilhelm zwany Marszałkiem, określał swój wiek w dużym przybliżeniu. W lepszej sytuacji byli urodzeni w purpurze, albowiem za nich rachunki prowadzono. Za Wilhelma nie miał kto tego robić - był młodszym synem niezbyt zamożnego rycerza i swych późniejszych zaszczytów dobił się własnym staraniem.

Niewiastka pochodziła z plemienia celtyckiego; potrafiłem się z nią dogadać. Powiedziała, żebym jej towarzyszył. Spytałem, dokąd pójdziemy; nie uznała za stosowne odpowiedzieć.

Dziedziniec zamkowy zabudowany był gęsto. Kręciło się na nim kilka osób; minęliśmy je bez słowa. Zrozumiałem, że kobieta prowadzi mnie do samego donżonu. Miał cylindryczny kształt i mury grube na kilka metrów.

Stanęliśmy u drzwi wejściowych. Ze względów bezpieczeństwa każdy donżon miał tylko jedno wejście; mieściło się ono na wysokości pierwszego piętra budynku. Wchodziło się doń po drabinie lub po jakimś rusztowaniu. Nie inaczej było i tutaj. Drabina wyglądała na solidną. Powierzyłem się z ufnością jej szczeblom.

Małym i wąskim korytarzykiem przeszliśmy do wielkiej sali, wielkiej nie tylko z nazwy. Rzuciła się w oczy jej wysokość; do sufitu - nie ozdobionego malowidłami - było chyba z dziesięć metrów. Nikt nie mógł tu nabawić się klaustrofobii: rozmiary sali oceniłem na przynajmniej sto metrów kwadratowych. W ścianach wybito kilka

okien. Były to wprawdzie raczej otwory niż okna w naszym rozumieniu, ale były. Przepuszczały wszak tyle dziennego światła, że w sali było nawet jasno. W okiennych otworach zauważyłem kraty. Pod nimi rozmieszczono kamienne ławy; w tej chwili puste. Nikt na nich nie odpoczywał.

- Zaczekaj - powiedziała moja przewodniczka.

Najbardziej uderzający był dominujący chłód, bijący ze ścian i podłóg, i ta wszędobylska wilgoć! Trochę pospacerowałem po ogromnej komnacie, napawając się jej przestronnością. Wreszcie stanąłem przy jednej ze ścian. Spodobał mi się bowiem panujący w tym właśnie miejscu zapach. Ktoś musiał rozsypać pachnące zioła albo aromatyczne rośliny; zastanawiałem się, czy zrobiono to celowo czy z absolutnym przypadkiem.

- Chodź.

Stara kobieta podeszła tak bezszelestnie, że aż drgnąłem na niespodziewany dźwięk jej chrapliwego głosu.

- Dokąd mnie prowadzisz?

- Pan udzieli ci posłuchania. Tylko się nie krzyw.

- Mnie? Czym na to zasłużyłem?

- Pan tego zamku składa Wszechmogącemu dzięki za każdego przybysza. Dusza jego raduje się z widoku gościa.

To by się zgadzało, pomyślałem. Ludzie tej epoki nie znali radia, telewizji, gazet i innych rozweselających wynalazków, cieszyli się więc bardziej niż my kontaktem z żywym człowiekiem, zwłaszcza jeżeli przeczuwali, że mogą dowiedzieć się czegoś nowego i interesującego.

Znów był korytarzyk, wąski i ciemny. Czulem za plecami przyspieszony oddech starej kobiety. Było w nim coś porażającego: jakby tam, za mną, wzbierała żądza!

Promyk słońca przedostał się przez maleńkie okienko przesłonięte pergaminem. Niewiasta weszła pierwsza, na moment znikając w komnacie. Kiedy stanęła na progu, rzekła jedynie - Pan prosi.

Była to równie przestronna komnata, z wielkim, szerokim łóżem stojącym na wzniesieniu. Drewniana konstrukcja tworzyła rodzaj baldachimu, z którego zwisały kotary, zasłaniające spoczywającego za nimi człowieka. Słyszałem tylko ciężkie posapywanie, jakby ten ktoś oddychał z najwyższym trudem. Poczulem strach.

Nie było nawet gdzie się schować! W pomieszczeniu znajdował się tylko jeden kominek, a niedaleko stała skrzynia, najeżona zamkami. Ściany izby pomalowano

czerwoną ochrą. Nad łóżem wisiała tarcza.

Naraz kotara poczęła wolno się odsuwać. Teraz ja z kolei usłyszałem swój własny oddech. Zasłona rozsunała się do końca i ujrzałem groźną, jakby wyostrzoną cierpieniem twarz starego człowieka. Na głowie miał czepek. Odziany był w haftowaną koszulę. Reszta ubrania wisiała na pręcie sterczącym ze ściany, równoległe do łoża. Spozregłem, że jest ono szerokie, właściwie kwadratowe. Z powodzeniem mogłoby pomieścić z pięć, sześć osób.

Starzec brzydko zakasłał, spluwając na podłogę, a potem rzekł:

- Idź już, Ginewro...

- Nie będzie ci ziąb dokuczał, mój panie?

- Idź już.

Kobieta wyszła. Nie przesłyszałem się przecież. Powiedział: Ginewra! Żona króla Artura!

W komnacie rzeczywiście było zimno. Moźnowładca opadł na poduszkę, do złudzenia przypominającą nasze. Jedno, co przez tysiąc lat nie uległo zmianie, na pohybel Heraklitowi! Giną narody, upadają królestwa, a poduszki trwają...

- Kim jesteś?

Opowiedziałem mu historyjkę o Northumbrii i niedobrym kupcu arabskim, który wymordował moich towarzyszy, a mnie puścił z torbami.

- Jak wyglądał?

Opisałem mu Al-Chadźidziego.

- Czy ten pies nie miał małej szramy na policzku?

- Nie.

- Czyli nie ten.

Stary rycerz podparł się na łokciu. W czepku i nocnej koszuli wyglądał groteskowo. Zupełnie nie umiałem wyobrazić go sobie na bojowym rumaku, w kolczudze, z włócznią i mieczem, a przecież nieraz musiał występować w rycerskim rynsztunku.

- Idź już - powiedział nagle, a na jego czole pokazały się kropelki potu.

Zrozumiałem, że jest piekielnie znużony. W korytarzyku czekała Ginewra. Czyhała na mnie! Znów owionął mnie jej oddech; cuchnący i gorący. A przecież marzył o niej cały świat! O niej! Najpiękniejszej z pięknych, najbardziej namiętnej ze wszystkich niewiast. Lancelot zdradził dla Ginewry króla Artura. Lancelot wyrzekł się dla tej kobiety ideałów Okrągłego Stołu... Ta straszna starucha nie mogła być tą

Ginewra! Nie mogła! Przebóg, historia nie może być aż tak szydercza!

- Głodnyś? - wyszeptała. - Chodź ze mną.

Byłem głodny; w zamkowej kuchni spożyłem nędzny posiłek. O dziwo niewiasta więcej mnie nie niepokoiła. Po prostu zostawiła mnie w towarzystwie kucharek, równie obrzydliwie pomarszczonych jak ona sama.

Potem zacząłem niezbyt sensownie błąkać się po okolicy. Upragniona wolność drwiła ze mnie, nikczemnie zakreślając mi granice moich możliwości. Nawet nie byłem specjalnie ciekaw zamku ani podgrodzia. Tutaj zresztą wszystko było zgrzebne i pospolite. Czulo się, wręcz namacalnie, cywilizacyjną niższość! Ten świat był szary i bezbarwny; ludzie jacyś zgaszeni, wręcz otepiali; przedzamcze składało się z mizernych chat, krytych strzechą. Otwory w ścianach były nieliczne i niewielkich rozmiarów; typowy dom posiadał pojedyncze wejście i tylko jedno okieneczko.

Tak zszedł mi czas do zmierzchu. Z nostalgii wyrwał mnie dopiero dźwięk dzwonów. Z chat wyroili się mężowie i niewiasty o prymitywnych gębach. Sądząc po porze dnia, dzwoniono na nieszpory. Przypomniałem sobie, że w tych czasach kolację jadano zwykle między nieszporami a kompletą. A ja ponownie czułem głód; żołądek domagał się swych praw. Odgłos bicia w dzwony nie wywołał więc we mnie żadnej wzniosłej reakcji, nie pobudził do myśli o wieczności, a do czegoś związanego z doczesnym bytowaniem. Przeraziłem się, że nie zostanę wpuszczony do zamku, ale strażnicy byli na tyle ospali, iż łaskawie pozwolili mi wrócić. Donżon zastałem zamknięty. Drabiny już nie było; poszedłem spać do stajni, lecz dobroczynny sen nie nadciągał. Zmrużyłem oko dopiero o brzasku; świtaniem jednak służba zrywała się na nogi i zostałem wypędzony ze swego przytuliska.

Padał deszcz. Czułem, że nienawidzę go bardziej nawet niż tej niby wytęsknionej wolności.

Przekląłem byle jaką gościnność pana tych włości; przypomniałem sobie, opowieść Chretien de Troyes! Jakże wspaniale przyjął Lancelota wasal niższego stopnia; od tego porównania duszę moją okrył smutek.

Uczucie przygnębienia nie opuszczało mnie jeszcze przez kilka dni. Potem warownia ożywiła się. Skądś zaczęli przybywać zbrojni. Terkotały koła wozów przejeżdżających po zwodzonym moście. Twierdza wypełniła się gwarliwymi ludźmi. Przybysze wyrzucali rolników z przedzamcza i zajęli ich skromne chaty. Do mojej stajni także dokwaterowano nowych. Zrobił się straszny ścisk. W nocy, kiedy zamykano drzwi, nie było czym oddychać.

O dziwo, właściciel zamczyska w tym harmiderze przypomniał sobie o mnie. Zostałem poproszony do wielkiej sali donżonu. Ogień buchał już w dwóch kominkach. W środku sali stał bardzo długi stół w kształcie podkowy, nakryty półmiskami z dymiącym jadem. Było to mięso, mięso i jeszcze raz mięso. Popijano je winem czerpanym ze stągiewek. Goście siedzieli tylko z jednej strony stołu; przeciwległa strona była wolna, w celu umożliwienia dostępu usługującym giermkom. Moźnowładca zajmował trzcinowy fotel. Odziany był w bobrowe futro. Siwe włosy przepasał opaską. Z szyi zwisał mu łańcuch, wyglądający na szczerozłoty. Panowała powszechna radość. Pan łaskawie zezwolił mi spocząć niedaleko siebie. Co znaczniejsi goście siedzieli na zydlach. Dumny byłem ze swojej pamięci; wszakże używano wtedy przede wszystkim stołków bez oparcia, prostych i nie rzeźbionych, i tylko właścicielowi przysługiwał sprzęt przypominający nasz fotel.

Senior poprosił mnie, bym opowiedział o moim życiu. Trochę pobajałem, pilnie wpatrując się w twarze zgromadzonych za stołem moźnych. Bez wyjątku były to oblicza niepiękne, ciosane jakby z jednej bryły, bez śladu głębszej myśli, za to znamionujące niesamowitą energię. Większość z gości już szpakowaciała; ale siły było w nich co niemiara! Apetyt też mieli doskonały. Pochłaniali jeden półmisek za drugim, wrywając sobie co smakowitsze kąski.

Pan zamku przedstawił mi niektórych biesiadników. Powiedział, że ten z lewej to Dagobert, jego sąsiad zwie się Oryks, a ten po prawicy to Fulbert. Zrobiłoby mi się nieswojo w tym groźnym towarzystwie, gdyby nie oznaki przyjaźni gospodarza.

Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, odeszło zeń zmęczenie i ból. Pił wprawdzie wyłącznie wino rozcieńczone wodą, lecz i tak cieszył się wybornym humorem. Zgromadzeni w sali goście z zachwytem w ślepiach spijali miód prawdy z jego ust.

Prawił i prawił; opowiadał o wojennych przewagach, łowach na grubą zwierzynę i o swych przewagach miłosnych. Z nadzwyczajną estymą wspominał kobiety arabskie; twierdził, że od dziewczęcych lat szkolone są w trudnej sztuce miłości, toteż noce spędzone na igraszkach z nimi nie mają sobie równych. Wreszcie zniecierpliwiony Dagobert rzekł kąśliwie:

- Nie przesadzasz, Lancelocie? Żyłem już z grecką niewolnicą, zdobytą na pewnym emirze, który zapuścił się tu aż z Kordoby, i wcale nie była taka dobra w łóżu, jak nam opowiadasz.

Lancelot! Niebo nie było niebem, a ziemia ziemią! Stało się coś niesamowitego!

Po jakimś czasie ucztę zakończono i gospodarza z pietyzmem wyniesiono z komnaty biesiadnej. Wszyscy udali się na spoczynek.

Zbudził mnie harmider. Z konieczności opuściłem stajnię. Załoga zamkowa i goście gotowali się do drogi. Tym samym musiałem rozstać się z moim poprzednim przypuszczeniem, iż rycerstwo przybyło na turniej. Przyjechali na wyprawę. Zostałem nader uhonorowany, gdyż pan przysłał sługę z pytaniem, czy nie zechcę im towarzyszyć. Chcieć za bardzo nie chciałem, lecz ciekawość zwyciężyła.

Wojsko zebrało się na błoniach przy zamkowych murach. Nie poznałem Lancelota; odmłodził i ozdrowiał; pierś opinała mu czarna kolczuga. Gdzieśgdzie prześwitywały w niej srebrne płytki. Misiurkę ozdobił zieloną i czerwoną ochrą. Na żółtej tarczy miał wymalowany czerwony krzyż. Jedynym wspomnieniem po chorobie było to, że nie potrafił sam dosiąść wierzchowca i był zmuszony korzystać z pomocy giermków.

Chorażwie wysłuchały mszy świętej, przyjęły powszechne rozgrzeszenie od zamkowego kapelana i tak pokrzepione zagłębiły się w leśny trakt.

Przestał padać deszcz, wyrzało słońce. Przyświecało nam cały czas. Jechałem na najbardziej leniwym koniu, istnym Rosynancie, ale i tak utrzymywałem się na nim z najwyższym wysiłkiem.

W końcu dogadałem się z jakimś służącym, że pojedę na jego wozie taborowym. Było tych wózków kilkanaście; chyba przeznaczono je dla przyszłych rannych. Wyglądało to na konny wypad, wyprawę na cel oddalony najwyżej o dzień marszu. Od razu pomyślałem o mieście opanowanym przez Arabów, w którym przeżyłem tyle przygód.

Wkrótce nasz zwiad przyniósł wieść o nieprzyjacielu. Miał się uszykować do bitwy na skraju dużej polany; tyle się dowiedziałem. Przeciwnikiem tym mogli być tylko mahometanie; nie bez przyczyny kapelan przyrzekł poległym dostęp do nieba. Z tamtej strony z pewnością obiecano żołnierzom bramy raj, hurysy, morze wina i śpiew.

Dowódca nakazał popas. Dopiero po dłuższym wypoczynku dotarliśmy na kraniec polany. Po drugiej stronie istotnie znajdowali się Arabowie. Nad hełmami wojowników powiewał sztandar Proroka.

Rozpościerało się przed nami pole przyszłego starcia. Była to ziemia opuszczona, leżąca odłogiem. Dawno nie tknął jej plóg. Porastały ją krzewy i wysokie trawy; w paru miejscach widniały kępy drzew.

Nie znałem sił wroga, ale jak na moje wyobrażenia o tym, jakie powinny być rozmiary porządnej armii, to myśmy nie istnieli. Armijkę Lancelota tworzyło bodaj stu pięćdziesięciu rycerzy; każdy rycerz przyprowadził trzech - czterech żołnierzy konnych. W sumie: od siedmiuset do ośmiuset wojowników.

Byliśmy nędznie wyposażeni. Nie wszyscy rycerze ochraniali ciało kolczugami. Ich słudzy nosili grube kurtki ze skóry, wzmacniane niekiedy blachami. Nasze hełmy to były zwyczajne garnczki, wyściełane czymś od wewnątrz. Też taki dostałem. Miałem gorzej od rycerzy, albowiem oni nakładali szyszak na kaptur kolczugi, a ja - na gołą głowę. Bogatsi rycerze nałożyli kolczugi okrywające całe ciało; biedniejsza większość poprzestała na samej koszuli z metalowej siatki. Niektórzy nosili tylko żelazny napierśnik, nałożony na pikowany kaftan.

Arabowie wysunęli się zza zarośli. Ustawili pieszych w środku, a jazdę na skrzydłach. Wnet dwa oddziały nieprzyjacielskiej konnicy klusem jęły przybliżać się do naszych pozycji. Lancelot ustawił swoich tak, że rycerze; - o ile godziło się tak ich nazwać - zajęli miejsca w pierwszym szeregu, a zwykli wojownicy stanęli za nimi.

Ciągle jednak nie wydawał rozkazu do szarży. Bo też nie można tu było szarżować. To nawet ja widziałem. Teren był niepewny, mógł kryć zasadzki. Ostatecznie to przeciwnik zaproponował ten plac boju. Trzeba ufać, że nieprzyjaciel pragnie dla siebie dobrze, nie dla nas.

Tamci zatrzymali się w połowie drogi. Piechota arabska nie ruszała się zza drzew. Na pewno byli wśród niej łucznicy.

Naraz ruszyło wraże natarcie... Niespodziewanie, jakby bez powodu... I rozgorzała bitwa.

Na opuszczonej ziemi utworzyły się dwa wielkie kotłowiska ludzi i wierzchowców. Rycerze uderzyli na pierwszy oddział arabski, a tylne szeregi naszych starły się z drugim hufcem, próbującym manewru oskrzydłającego.

Zdumiała mnie łatwość, z jaką ludzie Lancelota przegrupowali się. Pomyślałem o nich, że to prawdziwi zawodowcy; nie na darmo rycerz od pacholących lat ćwiczył się w powodowaniu koniem i władaniu orężem. Już po chwili tumany kurzu przesłoniły widoczność. Lecz nie całkiem. Zobaczyłem, jak z tamtego lasu wynurza się następny huf arabski, jeszcze liczniejszy od już walczącego, i atakując flankowo wdziera się na tyły oddziału Lancelota ...

Przydałby się teraz odwód; dobry strateg zawsze trzyma asa w rękawie. Tak czynił Filip, ojciec Aleksandra Macedońskiego. Tak postępowali Rzymianie,

ustawiający swoich legionistów w trzech rzędach.

Ale Lancelot nie był czarnoksiężnikiem i nie potrafił wyczarować odwodu.

Wszystko, co miał, rzucił już do natarcia. Został na pagórku z garstką może czterdziestu rycerzy! Z taką garsteczką! Coś mi mówiło, że trzeba podjąć decyzję.

Głupio jednak było umykać samotnie. Żaden z taborytów nie wykonał gestu znamionującego przestrah. Przeciwnie, wrzaskami zagrzewali naszych do walki. Arabska konnica otoczyła chrześcijan ze wszech stron. Utworzył się kocioł gorszy od piekielnego. Najtrudniejsze do zniesienia było to, że ognisko bitewne stale się rozszerzało. Jedni wrywali z kotła, drudzy gonili ich i potem wracali, szukając swego suzerena, którego mieli obowiązek strzec jak źrenicy oka. Bitwa przerodziła się w szereg pojedynków, w których rozstrzygające znaczenie posiadało indywidualne męstwo. Na naszych wozach znalazło się już kilkunastu ciężko rannych prostych żołnierzy.

Pierwszym rycerzem, który zjawił się w taborze był znany mi z uczty Dagobert.

Nie wyglądał zbyt dobrze. Krew ciekła mu z lewego ramienia, hełm miał wgnieciony, udo rozerwane oszczepem. Spodziewałem się, że, jako poważnie raniony, zwali się po prostu na ziemię, ale on tak mnie zaskoczył, że aż oniemiałem z wrażenia.

- Wody! - ryknął

Jeden z pachółków podał mu bukłak, Dagobert łapczywie wypił i polecił tamtemu, by napił też rumaka. Wierzchowiec niecierpliwie bił nogami w piach; wyraźnie spieszyło mu się do powrotu.

Dagobertowi spieszyło się z całą pewnością, gdyż porwał nową włócznię i pokłusował na pole walki, zwalając natychmiast kilku nieprzyjacielskich jeźdźców. Byłem niebotycznie zdumiony przebiegiem tych potyczek, toczących się o strzelanie z łuku od obozu! Dagobert zwyciężał tamtych, jakby dopiero co opuścił sypialnię, jakby nie został kilkakrotnie ranny. A on w bitewnym szale chyba nie czuł w ogóle bólu!

Spostrzegłem też - północny wiatr rozpędził kurzawę - że coraz więcej arabskich kawalerzystów wymyka się z pola walki, staje pod lasem i patrzy, co będzie dalej. Tymczasem nasi wojownicy nie próżnowali; żaden nie wycofywał się. Jeżeli przyjeżdżali do obozu, to tylko po łyk wody bądź po nową włócznię. I podobnie jak Dagobert pędzili z powrotem do bitwy.

Nagle ruszyła do ataku nieprzyjacielska piechota. Zdrętwiałem. Była to kolumna liczniejsza od wrażej konnicy. Szli i szli. Maszerowali najeżeni pikami i grotami włóczni; rzekłbyś, jeź idzie.

Na ten widok część spośród już niby całkiem zrezygnowanych rycerzy przeciwnika, poderwała się znowu do czynu. Na bitewne pole podążyły teraz dwa oddziały; konny i pieszy; mahometanie zdawali się być liczni jak ziarnka piasku; odradzali się niczym siedmiogłowy smok; w miejsce głów ściętych pojawiały się nowe.

I wtedy ruszył z pagórka maleńki oddziałek Lancelota. I sam wódz także.

Chorągiewka Lancelota spiorunowała Arabów, przechodząc przez ich szyki jak rozpędzony pocisk. Było to więcej aniżeli tamci mogli znieść! Uroili sobie, że nadciąga oto potężna odsiecz. A było to ledwie kilkudziesięciu wojowników! Konnica muzułmańska poczęła bezładnie pierzchać! Rozległ się wielki krzyk! Wrzask trwogi. Wróg nie wytrzymał impetu natarcia! Rycerze Lancelota rozpoczęli krwawe żniwo. Zabijali i zabijali; trudno im było dosięgnąć konnych, umykających na ścigłych rumakach, lecz arabscy piechurzy padali masowo, wzywając Allaha. Zwyciężyliśmy.

ROZDZIAŁ II

Odwrót miałem odcięty; pani tego zamku przyciskała mnie do ściany. Czulem jej śmierzący oddech.

- Pójdiesz do mojej sypialni - powiedziała. - Musimy się spotkać. Idź przodem, słyszysz!

- Pani, ktoś może nas zaskoczyć w twojej komnacie. I co wtedy?

- Nie dbam o to - syknęła. - Nikt nie przyjdzie. Do mnie nikt nie przychodzi. Jeżeli nie posłuchasz, oskarżę cię o próbę gwałtu. Obetną ci mądy, pyszałku!

- Putyfara! - rzuciłem w bezsilnej złości, rozumiejąc, że moja sytuacja, jako obcego, jest nad wyraz podła.

- Tak! Chcesz zostać Józefem? Wiesz, na ile lat ciemnicy skazał go faraon? Nie będziesz tam odróżniał dnia od nocy.

Już raz nie odróżniałem; do podziemnego lochu wepchnął mnie Stephan Igmara; było to straszne doświadczenie.

Weszliśmy do dużej komnaty. Stało tam wielkie łóżko, przykryte puchową kołdrą. Ginewra oznajmiła, że śpi nago, jedynie w czepku. Koszulę chowa pod

poduszkę. Kiedy się obudzi, zaraz ją ubiera. Musi to robić, bo ziąb tu straszny.

- Przecież pali się ogień.

- Wnet zgaśnie.

Ściany pomalowano czerwoną ochrą. Nad łóżem wisiała makata przedstawiająca młodą niewiastę dojącą krowę.

- Sama ją wyhaftowałam - rzekła. - Czy wiesz, co to znaczy, czekać na powrót męża w wielkiej sali donżonu? A oni stale polują! Bez końca, tylko uganiają się za płową zwierzyną... Czasami idą na wojnę...

- Właśnie zwyciężyli - powiedziałem.

- Zdobył miasto?

- Nie.

- Wiem, że nie zdobył. To już trzecia wyprawa w ostatnich latach. Lancelot jest jak niedźwiedź, jak chory, sterany życiem niedźwiedź. Tylko śpi i choruje. Ciągłe muszę parzyć mu zioła. Kiedyś go otruję! Potem zrywa się z barłogu i rusza na Valterię. Atoli ostrzegł ktoś wroga. Może to ty?

- Brednia!

- Tak, to ty! Przybyłeś nie wiadomo skąd! Musisz mnie słuchać!

Zaczęła się rozbierać. Zrzuciła wpierrw czerwony muślinowy welon, spowijający tors (piersiami tego nie godziło się nazwać!). Potem zdjęła zielonkawą sukienkę, sięgającą do łydek. Zebrało mi się na wymioty. Pod odzieniem wierzchnim miała kamizelę z gronostajów, bogato zdobioną, wyszywaną złotem i perłami. Zdjęła i to. Stała już w samej fałdzistej koszuli, białej jak śnieg.

Najgorsze jednak dopiero nadchodziło! Przeklęta starucha jęła rozdziewać się do naga!

- Pani, kto był twoim pierwszym małżonkiem?

Opuściła ramiona.

- Dlaczego?

- Czy byłaś żoną króla Artura?

Musiałem o to zapytać; zżerała mnie ciekawość; możnaby ją określić jako żądzę poznania; kłaniało się uniwersyteckie wykształcenie, dochodzące do głosu nawet teraz, w okolicznościach wybitnie niesprzyjających urodzonemu humaniście.

- Artur nie był królem - powiedziała. - Skąd ci to... Naraz rzuciła się na mnie!

Uścisk jej był bardzo silny. Może nie liczyła aż stu pięćdziesięciu wiosen? Potem odsunęła się.

- Nie był królem? - dociekałem dalej.
- Bynajmniej - prychnęła ze wzgardą.
- A kim był Artur?
- Panem tego zamku.
- Zwał go Camelot?
- Camelot? - prychnęła. - Aleś głupi! Nijaki Camelot! Berth!!!

Dowiedziałem się tego, czego chciałem. Była naiwna, aczkolwiek namiętna jak...jak... nie znajdowałem porównania. Chretien z Troyes nie kłamał. Opisał wiernie fakty, przydał jeno zamczysku inną nazwę, lepiej brzmiącą dla uszu. Ach, owo nieprzemijające pięknoduchostwo literatury!

Nic dziwnego, że z Artura zrobił pana królestwa; czy to uchodzi, by bohaterem powieściowym był wasal niższego stopnia?

- Jak zginął twój pierwszy mąż?
- W walce.
- W bitwie, w pojedynku?
- Powiedzmy, że był to pojedynek.

A więc nie było żadnej walnej rozprawy, nawet potyczki! Lancelot zapewne ubił go z zasadki. Jeżeli oświadczyła „powiedzmy, że był to pojedynek”, to właśnie tak musiało to wyglądać. Bezksiężycowa noc, samotny jeździec, zbrojni ukryci w zaroślach. Artur niczego się nie spodziewał. Czy ten drugi był przy tym? Jasne! Pańskie oko konia tuczy!

Ginewra błędnie odczytała moje zamyślenie. Zdjęła giezło czyste jak śnieg i rozłożyła się na kołdrze. Suchy, pomarszczony palec wsadziła zaś sobie w krocze; porastały je rude włosy. Gmerała w tych krzaczkach i gmerała. Uda jej były jak dwa piszczele; ich zewnętrzna część pokryta była popękkanymi naczyniami krwionośnymi.

- Chodź do mnie!

Położyłem się z trwogą na skraju łóżka. Chutliwa staruszka rzuciła się na mnie z chrapliwym okrzykiem. To, co zaczęła ze mną wyprawiać, bym stał się jej miłośnikiem, przechodzi wszelkie wyobrażenie! Może i dopięłaby swego, wszelako drzwi od sypialni rozwarły się i ktoś wszedł.

Ten ktoś powiedział zdumionym głosem:

- Gach! Na miłość boską ...

ROZDZIAŁ III

Mądrze prawiała Ginewra; pan tych włości skazał mnie na ciemnicę; nie bez racji. Powiedział, że zamorzy mnie głodem, ale chyba rozmyślił się, bowiem już parę razy odwiedził mnie strażnik z odpadkami kuchennymi.

Wizyty te były nieregularne. Toteż uradowałem się wielce z kolejnego skrzypnięcia odmykanych drzwiczek do loszku. Zerwałem się dość szybko, na tyle, na ile pozwalał mi łańcuch, którym byłem przytwierdzony do belki w ścianie.

To był Lancelot. Stary i zmęczony.

Choć stary i znużony życiem, zaliczał się jednak do herosów. Należała mu się cześć. Ostatecznie przyjemnie oglądało mi się stoczoną przez niego zwycięską potyczkę.

Ginewra wprawdzie miała o tym odmienną opinię, lecz była dziwką.

Co się tyczy tego tematu, to zanim wybrałem się w zagraniczną podróż (skusiła mnie zatopiona Wenecja), wygrałem u Ojca los na loterii, przyznający mi prawo wstępu do AHURAMAZDY.

AHURAMAZDA był to lokal rozrywkowy klasy ekskluzywnej.

„Produkowała się” tam śliczna pieśniarka, w biustonoszu, pończochach i pasie do pończoch. (Reszty stroju zapomniała.) Wszystko to było koloru białego. Sama śpiewaczka odznaczała się śniadą karnacją i czarnymi włosami. W kroczu włosy też miała czarne. Nie goliła łona, co dodawało jej uroku.

Śpiewała i śpiewała, na ogół o miłości, po czym przewracała się na wznak. Dlaczego? Albowiem człowiek pracy musi odpocząć. Przyglądałem się popisom z radością w sercu, którą to radość odczuwałem bardzo intensywnie, podobnie jak inni goście.

Potem mistrz ceremonii zarządził loterię. Każdy się skusił. Okazało się, że to ja wyciągnąłem wygrywający los. Jeszcze wówczas charakter wygranej był tajemnicą. Dopiero kiedy zostałem ogłoszony zwycięzcą, mistrz wyjaśnił, w czym rzecz.

Artystka, leżała na plecach, z rozwalonymi dolnymi kończynami, z mikrofonem w ślicznej dłoni i cały czas dawała głos. Piała teraz o naszym uwielbieniu do Ojca Narodu, wysłużonego astronauty, który zstąpił z nieba, by przynieść nam pokój wewnętrzny, bogactwo duchowe oraz uniwersalne identyfikatory lojalności.

Wygrywający los zyskiwał prawo do odbycia z pieśniarką publicznego

stosunku. Kiedy ogłoszono moją wygraną, nieśmiało wstąpiłem na podium, prowadzony przez konferansjera.

W pewnym momencie osłabłem i chciałem uciec.

Ujął mnie mocniej. Zacząłem się wyrывać. Złapał za aparat komórkowy i coś doń wykrzyczał. Niewiele z tego zrozumiałem. Sala szalała. Hałas przekraczał sto dwadzieścia decybeli. Przesłanie mistrza ceremonii pojęli jednak ci, do których było skierowane.

Rychło zjawili się dwóch barczystych rehabilitantów. Tego, że zajmują się oni fizyczną i duchową odnową potrzaskanych wewnętrznie, zoologicznie nieśmiałych obywateli, stało się dla mnie jasne z chwilą, kiedy wykonali swoje zadanie.

Stałem na wprost artystki.

Znowu upadła i zaczęła wierzgać. Bałem się, że mnie kopnie w jądra. Zasłoniłem przyrodzenie. Publika zawyla.

Naraz zauważyłem, że zza kulis wynurzają się pracownicy lokalu i coś niosą. Był to niewielki przyrząd kształtem przypominający małą teczkę. Oplatały go kable. Przewodami objęto głowę śpiewaczki oraz parę innych części jej sprężystego i grzesznego ciała. Mnie zaś na nią popchnięto. Nie uczyniłem nic. Stałem i bezradnie gapiałem się. Publiczność tupiała.

- Rozumiem! - zawołał mistrz. - Woli blondynki!

Zaraz przyprowadzono zgrabną i śliczniutką jasnowłosą, która padła przede mną na kolana, i zaczęła czynić to, co Atalanta robiła Melangrowi, od czego ów Grek antyczny doznał wielkiej rozkoszy, tak ogromnej, że prawie wyzionął ducha.

Mistrz jednakowoż czuwał. Blondynkę przegonił i pchnął mnie na brunetkę.

Artystka zaczęła rozkosznie pojękiwać, od czego mój zapach wzrósł w trójnasób. Dzieło swoje podyplomowe zgłębiałem wytrwale. Jej ciało drżało. Wystąpiły na nią siódme poty.

Nagle mistrz zawołał potężnym głosem:

- Niewiarygodne! Rozwalił pierdzielomierz! Orkiestra tusz! Brawa!

Jakby tego zdarzenia nie rozpatrywać, był tam obecny pewien szyk i styl, czego nie sposób było rzec o epizodzie z Ginewrą!

Lancelot ponuro warknął:

- Zachciało ci się mojej żony?

- Skąd - odparłem. - To ona! Jak Putyfora, jak ... jakaś...

- Wiesz, że Józef siedział w ciemnicy lat siedem?

- Lecz potem nastąpiło dlań tyleż lat tłustych - podsunąłem drżącym głosem.

- Dla ciebie nastać wcale one nie muszą. Chude lata zaś czekają cię już teraz.

- Za co? - oburzyłem się. - Za niewinność?

- Chociażby. Nie wierzę w gadaninę Ginewry, bo przez tyle lat wspólnego życia zdążyłem się już co nieco o niej dowiedzieć. Atoli nie mogę całkiem obojętnie przejść wobec tych oskarżeń. Sam rozumiesz, nie jest mi łatwo.

- Skądże! - Zaprzeczyłem. - Ostatnią bitwę wygrała wasza wysokość w cuglach. Rozpromienił się.

- Jakoś się udało - rzekł. Potem się poprawił:

- Z Bożą pomocą, naturalnie.

Raz jeszcze wykrzywił swe znękané oblicze w grymasie imitującym uśmiech.

- Skąd jesteś? - zapytał.

- Z Northumbrii - odrzekło mi się.

- Co u was?

- Dzięki Bogu po staremu.

- Bijecie się między sobą?

- Jak zawsze. Ja nie. Zajmuję się kupiectwem.

- Czym handlujesz?

Palnąłem bez namysłu:

- Szukam korzeni!

- O Jezu! - jęknął. - o Jezu!

Po chwili, kiedy oprzytomniał - takie to wywarło na nim wrażenie - wymamrotał:

- Korzenie w wielkiej są cenie ... Nasze jadlo niesmaczne. Wiele dobrego słyszeliśmy o boskim smaku potraw, które zostały odpowiednio przyprawione!

I dodał:

- Krążą po świecie niesamowite opowieści o kupcach posiadających w swych składach całutkie worki pieprzu! Co to za bogacze! Biedny rycerz zre byle co, kontentując się zimą solonym mięsem, a wschodni kupiec ma tyle ziarenek pieprzu, że do końca życia nie zdołałby ich porachować, gdyby do głowy przyszło mu poświęcić się takiemu bezceństwu! I pomyśleć, że starczą trzy malutkie ziarenka, ażeby najgorszą potrawę uczynić ziejącą piekielnym ogniem!

Zadumał się smętnie. Nie przerywałem staremu.

- Świat został niesprawiedliwie urządzone. My tu od wieków męczymy się ze

sprośnymi mahometanami, a tymczasem żyją gdzieś ludzie, którym manna spada z nieba.

- Trzeba im dokopać ... - poddałem myśl tę słodką, uśmiechając się przymilnie.

Połknął haczyk. Może uznał, że na bezrybiu i rak rybą? Gość w dom, Bóg w domu.

- Chcesz handlować pieprzem? - spytał siadając na pieńku.

- Nie tylko. Marzą mi się także goździki i kurkuma, kardamon i imbir. Wiem, że statki nimi wyladowane wypływają z azjatyckich portów, kierując się do Aleksandrii i Konstantynopola.

- O tak, Konstantynopol! Nowy Rzym! Miasto założone przez wielkiego cesarza!

Z drzeniem serca oczekiwałem wiadomości, że i ono padło ofiarą islamu. Ale nie.

Odetchnąłem, bowiem Lancelot wyznał, że wciąż się jeszcze broni, choć straciło już większość swych posiadłości.

Potem zmienił temat i zaczął narzekać na wzrost cen podków. Skarżył się na słabą dostępność przetopionego żelaza, na niską wydajność pieców dymnych (nie używał terminu „wydajność”, lecz na to wychodziło), w następstwie czego koń podkuty jest dwa razy droższy od nie podkutego.

- Trudno zaś wyobrazić sobie - wywodził z zapalem - konny hufiec na wierzchowcach bez podków. Niedaleko zajedzie! I nie zdąży dotrzeć na czas!

Spytałem go niebacznie, ilu może wystawić zbrojnych.

- Kim ty jesteś! - wybuchnął. - Szpiegiem!?

- Nie donoszę nikomu - zaprzeczyłem natychmiast.

- Przypalę, to się przyznasz. Wszyscy, którym kładłem rozżarzone żelazo na gołe ciało, śpiewali jak słowiki.

- Co warte jest takie zeznanie?

- Właściwie powinienem wycisnąć taki znak na zadku Ginewry - nagle uśmiechnął się mściwie. - A kiedyś tak ją miłowałem... Jezu, co się ze mną stało!

- W młodości?

- Teraz też jestem młody! - naburmuszył się. - Nie powiedziałaś mi, czym wy handlujecie w tej Northumbrii.

- Tym czym w całej Brytanii - oznajmiłem z radością w głosie. - Cyną i końmi.

- Cyny mi nie potrzeba, a dobrego brytyjskiego konia jeszcze nie widziałem.

- Z cyny wykonuje się trwałe naczynia...

- Aliści nie umywają się one do garnków Maurów. Te diabły potrafią kłaść na nie kolorową glazurę. My tego nie umiemy. Dziesiątkują nas choroby. Ilu moich przyjaciół odeszło już do wieczności! I wcale nie ginęli od miecza. W południe pod pachami pojawiły im się czyraki, a w nocy oddawali już ducha Panu. To kara za grzechy. W szczególności za grzech lenistwa i grzech kłótności. Nie jesteśmy w stanie zjednoczyć naszych wysiłków. Niewierni stale wznoszą meczety na prastarych chrześcijańskich ziemiach. Ach, spalić choć ze sto!

Rozmarzył się wojowniczy starzec. Żeby przerwać te rojenia, ośmieliłem się zapytać, jak sprawy stoją: źle, bardzo źle czy zgoła beznadziejnie.

W odpowiedzi zaatakował: - A jak ty chcesz ten pieprz pozyskać? Kupić, wziąć siłą, wykraść tajemnicę uprawy? Może i u nas by rósł?

- Nie da się - rzekłem.

- Też sędzę, że się nie da - westchnął. - Nawet winorośl nie chce obrodzić. Musimy żłopać piwo. A wino jest takie przepyszne! Znajdujemy je w łupach wziętych na wrogu. Niestety!

- Czemuż to panie?

- Nasi upijają się - i po wyprawie.

- Skoro im smakuje powinno zachęcać ich to do nowych trudów.

- Dam taki przykład: zdarzyło się, że pobiliśmy w polu wielką armię. Na ich stu przypadają dziesięciu naszych. Mimo to zwyciężyliśmy, z pomocą Boga. Mogliśmy zająć arabskie miasto, lecz moi wojownicy upili się i dopiero po dwóch dniach ruszyli dalej... Przez co zmitrężyliśmy czas, którego nie zmarnował wróg. Zdążył wysłać posiłki z sąsiedniego kasztelu. Kiedy przybyliśmy, znaleźliśmy mury obsadzone łucznikami. Nic już nie mogliśmy zrobić. Nic! Obsypano nas gradem kamieni z katapult... - Zadumał się stary; nie przerywałem mu. Nagle podniósł siwą głowę i rzekł:

- Nie powiedziałaś, dlaczego szukasz pieprzu tam, gdzie go nie ma.

Zaczerpnałem powietrza.

- O panie, słusznie zauważyłaś, że w tutejszym klimacie pieprz nie rośnie, lecz żeby dostać się w upragnione miejsce, należy odbyć długą drogę, trwającą najmniej rok.

- Tak słyszałaś, czy to wiesz?

- Tak słyszałem.

- Nigdy jeszcze nie dotarłeś na Wschód? - zapytał podejrzliwie.

- Nie zaznałem tej przyjemności - odparłem zgodnie z prawdą.

- Doniesiono mi, że cieszyłeś się z mojego triumfu, a przedtem objawiłeś zatroskanie, kiedy wyglądało na to, że islam zwycięża. Nie jesteś przeto szpiegiem. Wszelako jest w tobie coś dziwnego. Pierwszy raz spotykam się z kimś takim.

- Jakim?

- Nie potrafię tego wyjaśnić - przyznał z żalem. - Niewątpliwie jesteś jednak dziwny. Atoli dobrze ci z oczu patrzy i wyciągnę cię stąd.

Skłoniłem głowę na znak wdzięczności, lecz nie padłem przed nim na kolana, jak tego zapewne oczekiwał.

- Dobrze, że nie poniżyłeś się przede mną - rzekł. - To wstrętny azjatycki obyczaj. Wyjaśnij mi, jak zamierzasz się dostać tam, gdzie rośnie ta cenna przyprawa.

- Pieprz pochodzi z ziem znajdujących się za terytoriami zajętyymi przez islam. Arabowie są wyłącznie pośrednikami w tym handlu.

- Coś o tym słyszałem.

- Ziemie te zwą Indiami. Jedwab zaś, który także mnie interesuje, pochodzi z Państwa Środka. Wiedzą o tym kupcy northumbryjscy.

- To oni cię posłali?

- Tak.

- Łądem?

- Morzem. Statek rozbił się o przybrzeżne skały. Długo wędrowałem.

- Hm ... - zamyślił się. - A gdzie ukryłeś złoto?

- Jakie złoto? Okradli mnie wieśniacy przybrzeżni. Powiedzieli, że wszystko im się należy i niechaj mi wystarczy, że uchodzę z życiem!

- Tak, tak ... Jest taki obyczaj, dobry obyczaj ... Choć nie! Człowieku, jak ty bez pieniędzy zamierzasz dotrzeć tak daleko! Przecież to niemożliwe!

Zgodziłem się z tym i powiedziałem, że bardzo liczę na jego łaskawość.

- To znaczy? - spytał z ironią. - Mam odprowadzić cię do morza, kupić statek i może jeszcze zapłacić za wynajem dobrej załogi?

- Nie jestem na tyle zarozumiały, iżby tuszyć, że to wszystko dla mnie uczynisz. Wszelako wierzę w ciebie, dostojny panie.

Lancelot podkręcił wąsa.

- Prawdziwie jestem dobry dla tych, co podporządkowują się mojej władzy. Opornych tępię. Wtedy nie jestem miłosierny. Nie okazuję też nijakiej łaskawości

Arabom i ich poplecznikom. Wielu zdradziło, naprawdę wielu. Nie uwierzyłbyś, ilu chrześcijan służy niewiernym. Nie tylko tutaj, również na Wschodzie, w owej baśniowej krainie, mlekiem i miodem płynącej! Ileż tam rozmaitego dobra do zrabowania! O Boże!

I aż załkał - trapiła go myśl, że są na tym świecie bogactwa, ku którym już nie sięgnie. Potem od łkania przeszedł do rozpaczliwego szlochu. Przyznaję; z niedowierzaniem tego słuchałem, dopóki nie przypomniałem sobie, że ludzie tej epoki z nadzwyczajną łatwością przechodzili z jednego skrajnego stanu emocjonalnego do drugiego. Najbardziej zatwardziali zbrodniarze zalewali się łzami podczas kazań złotoustego Wincentego Feller, a ten sam królewicz, który złapanym w lasku prostytutkom, rozkazywał wypalać pochodniami włosy na wzgórku łonowym, potrafił gorliwie uczęszczać na codzienne msze, chyba głównie dlatego, że prócz zabaw z kurwami umiłował także gregoriańską muzykę, co niezłe świadczyło o jego guście artystycznym!

Wreszcie Lancelot powrócił do równowagi. Mars pokazał się na jego obliczu, a wyblakłe oczy zalśniły szaleństwem!

- To Ginewra powinna tu siedzieć, nie ty! - zawołał. - Narzeka na podagrę; wnet wilgoć by ją całkiem pokręciła! Skończyłoby się wtenczas polowanie na gachów! Oj, ty biedaku! Wiesz, ilu ona już ludzi zgubiła?

Zadrzałem.

- Jak to!?! - krzyknąłem. - Zgubiła?

- A tak to - uśmiechnął się obleśnie. - Stale kogoś ciągnie do łoża. Piczka jej goreje.

Chretien z Troyes opisał Lancelota jako najszlachetniejszego spośród rycerzy Okrągłego Stołu. Tak było. Niby.

Faktem jest, że rycerz ów moralnie później upadł. Atoli nie on jeden... Lancelot ruszył za uczuciem. Ginewra została jego panią. Ma się rozumieć, nie warto pytać o Artura. Gdzieś biedaczysko gnije, może w fosie?

Chrząknąłem.

- No, chcesz coś powiedzieć? - dobrodusznie spytał pan warowni.

- Nie inaczej.

- Słucham tedy - rzekł z ciekawością w głosie.

Nabrałem powietrza.

- Panie, raczyłeś powiedzieć, że twoja szanowna małżonka lubi czasami, w

przyplynie zapewne wisielczego humoru, wyprawiać na tamten świat co poniektórych osobników płci męskiej. Przypadkiem składa się tak, że wcześniej ich przywabia...

- Ale skąd - Lancelot uśmiechnął się szeroko. - Wcale ich nie wabi. Nie za bardzo ma czym. Stara jest, pomarszczona, okropna... Kiedyś próbowała zrobić to i z psem. Zdechł - w wielkim pomieszaniu zmysłów. Serce odmówiło mu posłuszeństwa. Wabił się Mahomet. Jak wiesz, to główny Prorok islamu. Nienawidzę Arabów, walczę z nimi, toteż mój biedny piesek Mahomet zbierał całkiem niezасłużone ciągi. Ilekroć nam nie szło, tłukłem go do krwi, ha, ha... Oczywiście - kochałem go bardzo. Prawie jak kiedyś Ginewrę. Miłość niejedno ma imię. Bywa, że przechodzi w nienawiść...

- To prawda... - szepnąłem.

- Wiesz coś o tym, cudzoziemcze... Aliści nie praw mi o swych przeżyciach, bowiem ani myślę wysłuchiwać twych opowieści. Wszystkie ludzkie nieszczęścia są do siebie... tak rozpaczliwie podobne!

- Będę milczał - obiecałem.

- Ginewra brała ich siłą. Kiedy opierali się, publicznie oskarżała ich o zamiar gwałtu! Byś pękł ze śmiechu, gdybyś miał okazję przyjrzeć się owemu widowisku! Boże, jakie one bywały krotocwilne! Ileż nam dostarczały niekłamanej radości!

I ciałem Lancelota wstrząsnął paroksyzm śmiechu. Przypatrywałem się staremu ze zgrozą.

- Darła włosy i szatę, stawiała na poły obnażona przed mnogim ludem, i krzyczała, krzyczała... - Zarechotał. - Głupi lud zaś wierzył. Vox populi, vox Dei. Lud domagał się głowy zbrojczy. Co miałem począć? Musiałem się zgodzić!

- Panie, chyba nie chcesz przez to dać do zrozumienia, że z moją zacną głową stanie się tak samo?

- A co ma się stać?

- Panie, sam prawileś, że Ginewra ich mordowała!

- Szaleju się napiłeś? Ona słaba.

- Tak, ale...

- Co „ale”?

- Sam to wyznałeś.

- Może się przesłyszałeś... Kto to wie, któż to może wiedzieć!

- Panie, to dla mnie bardzo ważne!

Ponownie zarechotał - złym, fałszywym śmiechem. I wyrzekł te oto słowa:

- Tylko Bóg wie wszystko... Ty pewnie jesteś z tych, co przykładają miarę, do możliwości ludzkiego umysłu? Tacy są mahometanie. Widać po nich, że sądzą, iż pojedli wszystkie rozумы. Szczęją się swymi osiągnięciami. Twierdzą, że rozwinęli naukę. Nie wiem, co to za dziw. Nie ma żadnej nauki, w moim skromnym przekonaniu.

- W moim też.

- Cieszę się. Niby Ginewra ich mordowała, lecz tak naprawdę to ja ich wyprawiałem na łono Abrahama. Co miałem począć? Mąż musi słuchać żony, poślubionej przed Bogiem. Jej życzenie było dla mnie rozkazem.

- Ty, panie...

- Ja.

- W jaki sposób?

- Ach, różny... Na ogół się ćwiartowało. Wszelako bywało inaczej. Niektórych przybijano do drzewa.

- Co za męka!

- Tak, mocno wrzeszczeli - zgodził się Lancelot. - Uszy bardziej wrażliwe nie mogły tego słuchać.

- Chcesz mnie ukrzyżować?

Lancelot okropnie się zirytował:

- Zwariowałaś? Nigdy! Nasz Pan, Jezus Chrystus, umarł na Krzyżu za nasze grzechy. Twoje i moje. I tych, co po nas nadejdą. Byłoby niesłychanym bluźnierstwem wybrać dla kogokolwiek innego taki sam sposób śmierci. Toż nawet Piotr, Księżę Apostołów, Piotr - Opoka, Klucznik Niebiański, kiedy go poganie przybijali do krzyża w Circum Maximum, wyraził życzenie zawiśnięcia głową na dół, albowiem nie mógł umierać tak, jak Chrystus! Nie czuł się tego godzien!

- A więc nie ... - odetchnąłem.

- Nie. Skądże. Przybijam do zwykłej sosny. Sosen u nas dostatek.

- Zgadza się. Widziałem ich wiele ...

- Właściwie oni byli przywiązywani ... Atoli czasami któregoś się przybiło, w pewnym miejscu ...

- W tym, które mąż ceni sobie najbardziej?

Rozpromienił się. I zawołał:

- Przecież my tu nie mamy żadnych rozrywek, zrozum! Zrozum i wybacz!

- Co mam wybaczyć? - spytałem z niepokojem.

- Wybacz nam nasze ułomności, zacny cudzoziemcze ...

- Co ze mną będzie? - drażyłem dalej.

- Nie bądź taki niecierpliwy ... Spieszno ci, aby stracić mądy?

Ciężko, ciężko odetchnąłem.

- Wypuść mnie, Lancelocie - zażądałem, czując że pora przejść do ataku.

- Nie mogę - odparł z żalem.

- Czemuż to?

- Byłoby to nierozumne ...

- Ależ, drogi Lancelocie ... Zapewniam cię, że nic mądrzejszego nie mógłbyś uczynić!

- To ty tak mówisz.

- Ja tak mówię. Ja.

- Czyli kto?

- Kupiec z Northumbrii.

- Nie masz imienia?

- Mam.

- Wyjaw je.

- Jonasz - rzekłem.

- Jonasz ... - zamruczał. - Pechowiec!

Staruch zaczął nagle rzeźić. To było niewiarygodne. Gdzie podział się waleczny rycerz i, co ważniejsze, utalentowany dowódca, potrafiący stawić czoła liczniejszemu wrogowi?

- Wieloryb ... - zachrypiał. - Jonasz ... Jonasz przynosi nieszczęście każdemu, kto z nim się zetknie ... Zali naprawdę tak cię ochrzczono, czy skłamałeś, aby mnie nastraszyć?

- Co ty o tych madach mówiłeś?

- Ja mówiłem ... Ach, prawda ... Między jądra rzekomych miłośników Ginewry wbijany był nóż. Mieli do wyboru, albo odciąć sobie mądy, albo się zabić.

- Co wybierali?

- Różnie.

- A jaki los mnie myślisz zgotować?

Zamiast odpowiedzi wyprowadził mnie z ciemnicy. Czułem się nieswojo, towarzyszyli nam zbrojni. Szliśmy wąskimi korytarzykami, potem wstąpiliśmy na schodki; kręte i niebezpieczne. Tak dotarliśmy do miejsca, gdzie Lancelot, strażników

odprawił, a mnie kazał wejść do komnaty, której drzwi zaryglowane były od zewnątrz.

Ginewra nieruchomo leżała na łożu. Płonął ogień w kominku.

- Poznajesz go!? - ryknął Lancelot głosem mocarnym, jakby mu nagle ubyło lat.

Przekręciła się na bok.

- Tego tu? - zapytała.

- Tak.

- Nie poznaję.

- Oskarżyłaś go o gwałt.

- Nikogo nie oskarżyłam.

- Może nie dobieierałaś się do niego?

- Do takiego nic? Oszalałeś. Tyś już dawno stracił rozum, Lancelocie.

- Masz szczęście, że leżysz, bo bym cię kopniakami zmusił do całowania posadzki.

- Nieraz to robiłeś!

- Zasłużyłaś.

- Ja? Czym?

- Fałszywymi oskarżeniami. Potem niewinnie obwinieni tracili życie bądź męskość.

- Z twojego rozkazu.

- Aliści z twego poduszczenia, Ginewro, suko przebrzydła!

- Nie nazywaj mnie tak!

Musiało ją to mocno dotknąć, gdyż uniosła się, wsparta na ramionach.

- Nigdy więcej nie nazywaj mnie suką! Przebóg, otruję cię, przysięgam!

- Na co? Na swoją wyschlą piczkę czy na rany Chrystusa? Ty różnie przysięgasz, Ginewro. Kiedy jeszcze byłaś młoda i piękna, a twój mąż szalał za tobą, wyznawałaś mi miłość, przysięgając na swe foremne i jędrne piersi ... Ninie taka przysięga zabrzmiałaby jak szyderstwo, przeto powstrzymujesz się od niej, wymyślając inne - co nie znaczy, że warte cokolwiek. Twoje słowa nic nie są warte, dawna miłośnico! Kiedy to było, na miły Bóg! Przecież szaleliśmy za sobą!

- To ty mnie pożądałeś. Ja ciebie - nigdy.

Lancelot obrzydliwie zarechotał.

- W takim razie - dlaczego rzuciłaś Artura i padłaś w moje objęcia?

- Nie kochałam ciebie.

- A kogo? Artura?

- Jego też nie.

- To kogo? Wy zawsze się zakochujecie ... tylko do tego jesteście zdadne!

- Pewnego człowieka - wymamrotała. - Pochodził z gminu, nie mogłam tedy przyznać się przed światem do mojego uczucia. Z tobą zesłam się, boś miał przed sobą przyszłość.

- Jaką?

- Lepszą niż Artur. I nie pomyliłam się. Jeszcze żyjesz i rządzisz, on już ani nie rządzi, ani nie żyje.

- Wiesz, Ginewro, że z władzą łączą się pewne atrybuty? Mogę wsadzić cię do lochu, gdzie zdechniesz.

- Na kogo będziesz wonczas ryczał najdroższy małżonku, panie mój?

Lancelot przysunął sobie stółek i usiadł.

- Niemożliwe - rzekł - abyś szła ze mną do łoża dla korzyści. Miałaś wszystko. Byłaś królową.

- Artur był słaby. Wiedziałam, że przegra.

- Tyś za głupia, żeby wiedzieć cokolwiek. Prawisz tak, czerpiąc wiedzę ze zdarzeń, których w żaden sposób nie można było przewidzieć.

- Intuicja niewieścia mi to podpowiedziała!

Lancelot zerwał się, podszedł do żony i walnął ją w twarz.

- O Jezu! - krzyknęła.

Trzasnął ją ponownie.

- O Jezu! - rozdarła się.

- Ty jesteś szatanem, Ginewro! Zakazuję ci wzywać imienia najświętszego ze świętych!

I tym razem uderzył ją w wynędzniały tułów.

Zawyla. Popatrzył na nią zimnym wzrokiem; do mnie zaś rzekł:

- Ona jest już jedną nogą w piekle i ciągle wierzy, że do niej dołączę ... Co ciekawe, nie odczuwa najmniejszej skruchy. Wyjdźmy! Duszę się tutaj!

Przeszliśmy kawałek. Wtenczas coś mnie podkusiło, by spytać, dlaczego do niej chodzi, skoro jej nie znosi. Nie oburzył się. Odpowiedział od razu, jakby spodziewał się takiego pytania:

- Albowiem miała rację, że jej potrzebuję. A może tak mi się tylko wydaje? Może naprawdę trzeba by zerwać łączącą nas nić nienawiści? Widzisz, nie mam przyjaciół. Moi żołnierze są jeno moimi sługami. Nie mogę otworzyć przed nimi serca.

W przerażającym milczeniu przeszliśmy kilkanaście kroków. Wszędzie panował nieprzyjazny półmrok. Świeciły się tylko nieliczne pochodnie, przytwierdzone do ścian.

- Co ze mną zrobisz? - spytałem.

- Umożliwię ci podróż w głąb ziem zajętych przez mahometan.

- Dzięki, o dostojny. Czyli nie przybijesz mnie za mądy?

- O tym nie może być mowy. Szykuję nową wyprawę. Przydasz się, kupczyku.

- Dokąd? Jeśli wolno o to ... - zadrzałem.

- Wtajemniczę cię w moje obmysły, bom zoczył, żeś człowiek rozumny. Wojowników mam wielu. Brakuje mi jednak ludzi, z którymi mógłbym podzielić się moimi przemyśleniami ...

Zapewne, jako przybysz z daleka, nie znasz dobrze całej sytuacji... Ren jest rzeką graniczną - między imperium islamu a chrześcijańskimi hrabstwami. Mniej więcej graniczą; niestety, po naszej stronie wyrosło parę muzułmańskich enklaw.

- I chcesz je zniszczyć?

- Nie ma takiej możliwości - burknął. - Sam nie dam rady, a niełatwo porozumieć się z sąsiadami. Wystarczy, że arabski namiestnik przyśle im transport wina, a już odehciewa im się wszystkiego.

- Pokojowi ludzie.

- Leniwi i niegodziwi! Pozabijałbym tych ospalców, lecz niestety nie mogę.

- Jeśli Ren jest rzeką graniczną, to co różni Arabów od Rzymian? Cesarstwo też opierało się o tę potężną barierę wodną...

- Aliści barierę do pokonania! - zawołał Lancelot. - Nie sądz, że historia się powtarza. Chyba jako kpina. Szyderstwem wszak są minarety nad Wiecznym Miastem! Nie potrafię tego znieść.

- Chwali ci się twój zapal, panie.

- Wiek nie ma tu nic do rzeczy - odpowiedział, pozornie bez związku. - Arabowie nie ośmielają się mnie zaatakować. Boją się. Prowadzą jedynie wyprawy odwetowe. Co stało się zjedną z takich wypraw, sam widziałeś.

- Ktoś cię ostrzegł, panie?

- Przyjaciół, służących mi za pieniądze, mam wielu - odrzekł, nieco enigmatycznie.

Lancelot przystanął przed wejściem do komnaty z rzeźbionymi drzwierzami i zaproponował, abyśmy weszli, trochę odsapnęli i jeszcze chwilę pogwarzyli.

Odparłem, że jego gościnę przyjmuję z rozkoszą. Pokój był nieoświetlony. Lancelot pociągnął za sznur. Rozległ się metaliczny dźwięk. Nadbiegł sługa z tacą i łuczywem.

- Zapal kaganki - polecił pan tego ponurego zamczyska.

- Wszystkie?

- Głuchyś!?

Zdawało mi się, iż podchwyciłem ukradkowe spojrzenie fagasa, pełne tłumionej obawy.

- Zabawimy się kielichami - rzekł gospodarz. - Co będziesz pił?

- A jaki jest wybór?

- Między winem galijskim a hiszpańskim.

- Nie potrafię ocenić ich zalet.

- Polecam wino galijskie - powiedział. - Cierpkie, ale nie do przesady.

- Zdaję się na gust waszej dostojności. Lancelot nadał się - z pychy. Oczy mu zabłyśły, a na pomarszczonej twarzy zagościł wymuszony uśmiech.

- Prawdziwie mam wyborny gust i jestem też obdarzony artystycznymi zdolnościami, czego ta dziewczka Ginewra nigdy nie chciała przyznać.

Oczekiwałem nowego wybuchu, lecz ów nie nastąpił. Wyraźnie zdążył już wcześniej wyrzucić z siebie całą złość.

- Żalność mnie ogarnia na myśl, że Galia została utracona... Taka piękna prowincja! Perła zachodniego świata!

- Nie Hiszpania, nie Italia?

- Skądże! Galia, Galia, jeszcze raz Galia! Umiesz czytać?

Aż się zachnąłem.

- Naturalnie - powiedziałem.

- Byłem o tym przekonany, odkąd tylko na ciebie spojrzałem. Pewien typ umiejętności łatwo jest rozpoznawalny, drogi przyjacielu...

Nazwał mnie przyjacielem! Zawarta jednak była w tym tak poważna doza uszczypliwości, iż nabrałem podejrzeń co do jego rzeczywistych intencji.

- Jeden jest zdatny do walki orężnej, drugi - niekoniecznie.

- Nie przeczę. Używam raczej swego umysłu niż siły ramienia.

- Nie inaczej. Ktoś taki jak ty musi umieć czytać i pisać!

Pociągnął za dzwonek. Nadszedł pokojowiec. Lancelot powiedział, aby przytargał księgę.

- Cezara czy Augustyna?

- Cezara.

Rychło na moich kolanach znalazły się „Komentarze”, zaczynające się od nieśmiertelnych słów: „*Galia est omnis divisa in partes tres*”.

Kazał mi czytać, a potem podsunął pergamin, wręczył gęsie pióro i polecił we własnych słowach streścić to, co przeczytałem na głos. Jakoś wywiązałem się z tego zadania. Każdy profesor oblałby mnie za to na egzaminie, lecz Lancelot okazał się być znacznie bardziej liberalny.

- Przepytałem cię - powiedział - bo ktoś musi opisać moje czyny; te przeszłe i te, których jeszcze dokonam. Na dziś dosyć. Jutro się obaczymy. Po śniadaniu będziemy gaworzyć, a na wieczór otrzymasz butelkę wina, tudzież przybory do pisania.

Znów przywołał służącego. I rzekł doń:

- Sługo dobry i wierny... Przyszykujesz mojemu gościowi zacną komnatę z dobrym kominkiem i zadbasz o jego potrzeby.

ROZDZIAŁ IV

Ani komnata nie była „zacną”, ani fagas zbyt o mnie, gościa groźnego Lancelota, nie raczył zadbać. Pokój był poważnie wyziębiony. Oczywiście ówczesne standardy cieplne były zgoła odmienne. Ale chyba nie aż tak, by nie wskazać palcem na winowajcę! Zasnąłem nad ranem. Ledwie zamknąłem powieki, już sędziwy gospodarz wtargnął do mojej komnaty z twarzą wykrzywioną grymasem bólu.

Sądząc po jego sposobie poruszania się, ból ów zinterpretowałem jako podagryczny, aczkolwiek choroba była zaawansowana Lancelot trzymał się krzepko, a w bitwie przypominał młodzieniaszka.

- Dnieje, kogut pieje, a ty chrapiesz! - wrzasnął nad moją głową. - Co z ciebie za ospalec! Czy wy w Northumbrii wszyscy tacy jesteście? Pewnie nie; twoi kompani zaiste wybrali najgorszego! Aż dziw bierze: do misji tak delikatnej! Człek, który zechciałby jej podołać, musi mieć żołądek z miedzi, a głowę - ze spiżu! Musisz umieć

spać na stojąco, albo w ogóle obywać się bez snu! A ty co!?! Rzekniesz może, iż dopiero co przytuliłeś się do poduchy?

- Zgadza się - odparłem głosem chrapliwym, czując pieczenie w przełyku.

- Dopiero co? - powtórzył.

- Nie inaczej.

- To co czyniłeś cały czas? Grzeszyłeś sam ze sobą? A może nawiedziła ciebie moja małżonka o pomarszczonej piczce?

- Nie mogłem zasnąć z powodu chłodu - odpowiedziałem.

Uniósł ramiona w teatralnym geście, a twarz wykrzywiła mu się jeszcze bardziej.

On uniósł ramiona, a ja poczułem - znowu - pieczenie w przełyku.

- Przełykanie śliny sprawia mi kłopot - powiedziałem ponuro, spoglądając w powałę. Sufit był bez kasetonów, brudny i przyczerniały. Uderzało ubóstwo siedziby Lancelota, prostota sprzętów znajdujących się na wyposażeniu zamkowym oraz panujący wszechwładnie brud, któremu, co gorsza, towarzyszył nielichy smród. Niby powinienem zdawać sobie z tego sprawę przed przybyciem do tej na poły barbarzyńskiej krainy, aliści co innego zdawać sobie z czegoś sprawę, a inna rzecz - doświadczać tego na własnej skórze. Tym było to boleśniejsze, że u Arabów pachniało przyjemniej. Wprawdzie jak weszliśmy do miasta, to również zaatakował nas uliczny smród, następstwo lokalnych problemów z siecią wodnokanalizacyjną; wszelako, ani w domostwie Ali - Bakra, ani w rezydencji kadiego, smrodu się nie czuło. U Alego pachniało olejkiem różanym, u kadiego - sandałowcem.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - spytał podejrzliwie.

- Będę chory. Już jestem.

- Co ci jest?

- Boli mnie gardło i odczuwam dreszcze.

- Przeziębienie to nie choroba. Wszyscy kichamy i siorbiemy. Niektórzy nawet spluwają flegmą podczas posiłków. Wstajesz na śniadanie?

- Wolalbym, aby mi je przyniesiono.

- Jesteś cokolwiek kłopotliwym gościem - warknął.

- U mnie dzionek wygląda tak: skoro świt - wstajemy i pędzimy dokoła murów. Pytasz, po co? Aby ożywić zdechłego ducha i przystosować ciało do trudów dnia. Wiedz, northumbryjski kupczyk, czy kim tam jesteś, żeś przybył do urodzonych wojowników, bezustannie znajdujących się w stanie wojny. Nawet jeżeli akurat nie

wojujemy z Arabami, czy z sąsiednimi chrześcijańskimi marchiami; to i tak jesteśmy w stanie wojny! Albowiem czas pokoju to taki czas, w którym nikt na nikogo napaści nie szykuje; my zaś albo czyjąś napaść odpieramy albo sami przygotowujemy się do zadania ciosu! Przebóg, nie ma nic przyjemniejszego od skoczenia wrogowi do gardła! Uwielbiam zapach krwi i widok rozłupanych czaszek!

- Też to kocham - przerwałem mu, bo miałem już dosyć jego wynurzeń.

- Wątpię.

- Lubię skoczyć wrogowi do gardła - powtórzyłem.

- Wydaje mi się, że nie - rzekł po krótkim namyśle. - Wyczuwam wprawdzie w tobie jakąś nienawiść, potrzebującą jednak silnego wstrząsu, iżby się objawić.

- Wtedy jestem straszny - zaznaczyłem, unosząc palec. Palec prawej dłoni.

- Chcesz czegoś? - zapytał ze zdumieniem, tak właśnie interpretując mój gest.

- Abyś wezwał sługę - odparłem. - Niech wreszcie rozpali w kominku.

- Szkoda drewnien.

- Na mnie nie szkoda - zaznaczyłem z dumą. - Jestem twoim gościem.

Lancelot spochmurniał.

- Jakiś ty uciążliwy! Może jednak każę cię przybić za jądra?

- Lancelocie, tego nie możesz uczynić, boś jeszcze nie skończył swej opowieści!

Rozpromienił się.

- Prawda! - zawołał. - Zdaje się, że wspomniałem o bieganiu wokół zamczyska?

- Byłeś łaskaw o tym właśnie rozprawiać.

- Kiedy tak biegamy, kiedy inni biegają, gdyż ja stoję i pilnuję tych ospalców, którzy zrządzeniem Opatrzności trafili pod moje opiekuńcze skrzydła, przynoszą mi równocześnie wieści zwiadowcy, ustawicznie dozorujący las okoliczny, nawet w nocy, choć tego strasznie nie lubię, gdyż noc domeną jest diabła. Jednakowoż zmuszam ich do pilnowania warowni nawet wtedy, albowiem tuszę, iż moi wrogowie skumali się z największym nieprzyjacielem ludzkiego rodzaju, a rozzuchwaleni, świadomością posiadania sojusznika tak potężnego, mogą pokusić się o próbę podejścia nas w ciemnościach, czego nigdy by nie próbowali w innych warunkach, ha, ha...

Później wszyscy śniadają, zapijając jadło piwem. Po śniadaniu nastaje czas ćwiczeń. Ci, co nie ćwiczą, udają się na łowy względnie zapuszczają się hen daleko, obserwując ruchy strony przeciwnej. Wszystkich zaś obowiązuje jutrznia. Niegodziwców, którym nie chce się modlić, pozbawiam obiadu. To na ogół wystarcza.

Na obiad jemy mięso i jarzyny, ale głównie mięso. Na śniadanie - takż.

Wieczere również są mięsne. W Wielkim Poście spożywamy ryby i zioła. Czy wy w Northumbrii przestrzegacie postów?

- Naturalnie - odparłem skwapliwie.

- Wyrodki zdarzają się i u nas ... - uśmiechnął się chytrze.

- Lancelocie, chcesz powiedzieć, iż nie przechodziłeś obojętnie wobec podobnej niegodziwości, w dodatku dziejącej się na twoich oczach?

Ponownie się rozpromienił.

- Wybijalem im zęby ... acz dawno nikomu nie wybiłem ... nie uwierzysz, jak zaraźliwy potrafi być dobry przykład! Tobie też każę wybić, jeśli przewinisz!

- Bądź spokojny, nie wystawię na próbę twojej cierpliwości.

- Nie noszę jej w sobie. Mój przewodnik duchowy, anachoreta, który przybył do nas z Hibernii, często mi o tej mojej przypadłości przypomina, na co mu odpowiadam, że cierpliwość wojownikowi nie przystoi. On na to, że wódzem, nie zwykłym rycerzem, a ja wtedy tak się gniewam, że najchętniej zrobiłbym z nim to samo, co z miłośnikami Ginewry.

Pokiwał siwym łbem. Potem wezwał sługę. Ten przybył - ze spuszczoną głową. Coś przeczuwał.

Pan warowni tym razem nie przemówił doń słodkim głosem, ani nie użył uprzejmych określeń. W ogóle nie było mowy o „słudze dobrym i wiernym”, ani o niczym temu podobnym. Dużo było za to połajanek, wrzasków, nawet kopniaków. Na koniec trzasnął go w pysk.

- Ty leniwy wieprzu! Czemu nie napaliłeś?

- Ależ, panie ...

Zdawało mi się, że możnowładca mruga do służącego, acz równie dobrze mógł być to trick nerwowy.

- Rozpalaj, jako żywo...! Wieprzu!

Sługa stał już przy drzwiach.

- Przyniesiesz mojemu gościowi śniadanie do łoża. Żywo! Wszystko to musisz zrobić w trzy pacierze!

Pachoł rad był wielce z tego, że może zejść z oczu rozzłoszczonemu panu.

Lancelot rzekł do mnie:

- Kiedy już się nasycisz i dojdiesz do siebie, pogadamy.

Faktycznie: krótko po tym, jak się posiliłem, nawiedził mnie znowu, uśmiechając się i raźnie przytupując, na znak, że nie jest tu jeszcze ciepło; odebrałem

to jako akt przyjaznej spolegliwości.

- Prawda, że zimno? - zapytałem.

- Huncwot nie napalił? Napalił! Ogień wesoło syczy i syją się iskry. Bardzo to lubię. Przypominają mi się młode lata spędzone na Wyspach. Może dlatego wyciągnąłem cię z lochu, że pochodzisz z tamtych stron? Nigdy nie byłem w Northumbrii! Zaliż kraina to mlekiem i miodem płynąca?

- Przykro mi, atoli aż tak dobrze nie jest - odpowiedziałem z boleściwą miną, gdyż jak żywy stanął mi przed oczyma obraz tych wszystkich upokorzeń, jakich doznałem u Ojca Narodu.

Lancelot posmutniał.

- Wiem, wiem. Życie to mordega. Przemija postać świata... Wczorajsza róża, różą jest już tylko z imienia, a na Forum Romanum, gdzie niegdyś zbierał się lud rzymski, pasą się dziś kozy, jak rozprawiał pewien muzułmański imaniec... Pan Zastępów srodze nas doświadcza... Nie potrafię przeboleć, że miasto, w którym spoczywają szczątki Księcia Apostołów, znajduje się ninie w mocy niewiernych... Biskup Rzymu jest na ich usługach... Wprawdzie muzułmanie nie wtrącają się do kwestii następstwa po świętym Piotrze, lecz cierpnie mi skóra na samą myśl o tym, że gdyby chcieli, mogliby się w to wmieszać... a my, chrześcijańscy wojownicy, byłibyśmy bezradni!

- Ale, na szczęście, niewierni się w te sprawy... nie wtrącają...

- Zaiste, na szczęście. Powiem więcej. Ich obchodzi tylko to, czy podatki wpływają na czas. Odpowiedzialność za to spada na zwierzchnika gminy chrześcijańskiej w danym mieście. Papież w roli głównego poborcy podatków! Boże, Boże, jak mogłeś do tego dopuścić!

Na ów okrzyk starego możnowładcy i mnie samemu zrobiło się smutno na duszy. Leon nie włożył (i już nie włoży) korony cesarskiej na głowę Karola, który w ten sposób nie zostanie frankijskim cezarem, pierwszym od stuleci imperatorem Zachodu. Sam Karol albo się nie narodził jako władca, albo zginął w jakiejś bezsensownej potyczce.

- My w naszej wyspiarskiej krainie jesteśmy dość oddaleni od muzułmanów i dlatego aż tak mocno ich nie nienawidzimy. Jest bowiem tak, że odległość sprzyja wygaszaniu uczuć: i tych wzniosłych, i tych bardziej przyziemnych.

- Chyba mądrze prawisz, bo co jeno zoczę Ginewrę, to bierze mnie ochota ją poćwiartować. Kiedy zasię jej nie widzę, złość mi przechodzi. I nawet wtedy pamięć

podsuwa mi wspomnienie młodzieńczych, wspaniałych, arturiańskich czasów! W starości młodzieńcze, w starości najgorsze jest to, że pamięta się nieokiełznaną, dziką młodość!

Jak na moje pojmowanie sprawy, Lancelot nadal był dziki i nieokiełznany, czyli, że w ogóle duchowo się nie zestarzał.

- O co pytałeś? - burknął.

- Czy pazerni są Arabowie.

- Bardzo, bardzo są łasi na złoto. Kiedy kalifowi bagdadzkiemu nie spodobały się łupy, jakie przyniósł mu gubernator Afryki Musa, kazał go uwięzić, pozbawiając wcześniej wszelkiej godności. Tak to ten, z którego poduszczenia zdławione zostało królestwo Wizygotów, zmarł w biedzie, samotności i poniżeniu. Wątpliwą osłodą ostatnich dni było mu wspomnianie ongiś zażywanej chwały.

- Raczej go to bolało.

- Im wyżej się wdrapiesz, tym upadek bardziej raniący duszę. Aliści mnie władzy nikt nie wydrze!

- Niechaj tak się stanie, mężny Lancelocie... Obyś rządził do śmierci.

- Człowiek to niby istota rozumna, lecz w rzeczy samej - gorsza od bydłęcia. Stale o tym pamiętam i stosownie do tego postępuję. Sieję dokoła postrach, ludzie drżą przede mną i dlatego powinienem spać spokojnie. Acz często tak nie jest. Dręczą mnie koszmary, niechybnie zsyłane przez szatana, który nie może znieść mojego oddania prawdziwej wierze. Mówiłem ci już, jak się staram, żeby moja trzódka przestrzegala Bożych praw?

- Raczyłeś to uczynić, panie.

- Kiedyś nawet karałem srożej, lecz teraz nie ma już potrzeby.

Odwrociłem wzrok.

- Dlaczego nie patrzysz mi prosto w oczy? - zapytał gwałtownie. - Co knujesz?

- Nic nie knuję - odpowiedziałem spokojnie.

- To dobrze - rzekł nagle - bo chcę cię zabrać na wyprawę.

- Nową wyprawę?

- Zaatakujemy nadreński kasztel. Szpiedzy przynieśli wieść, że nie ma licznej załogi. Zaś Arabowie nie będą spodziewać się napaści... Wiem to na pewno. Nie jesteś ciekaw, dlaczego nie będą?

- Jestem, a jakże.

- Albowiem atak pójdzie z ziem hrabiego Bellaforta, z którym malik Ibu Raszid

żyje w zgodzie.

- A kasztel należy do Ibu Raszida?

- Rzekłeś. Oczywiście, to rzymska warownia, nieco odnowiona. Znajdą się jednak dziury, przez które się przeciśniemy.

- Alibo nas przez nie dobrzy ludzie przeprowadzą, czyż nie tak, waleczny Lancelocie?

Zaśmiał się urągliwie.

- Jestem nie tylko waleczny, także przebiegły! Ty zresztą też! Udałeś mi się, kupczyku!

Zupełnie nie wiedziałem: weselić się czy smucić z tych pochwał. A dlatego nie wiedziałem, ponieważ w każdej wypowiedzianej przez niego kwestii wyczuwałem drugie dno; przeznaczenie - o którym mówił przed śmiercią Abu-Bakr, młodzieniec subtelny i biegły we wszelakich naukach - zetknęło mnie z człowiekiem, którego życie nauczyło nie ufać nikomu.

ROZDZIAŁ V

Lancelot przygotował niewielki oddział, złożony ze stu jeźdźców. Dokładnie policzyć wojowników się nie dało, bowiem ruszyliśmy nocą. Marsz był wyczerpujący i szybki. Trwał dwie doby. Stale siąpił deszcz. Kiedy dotarliśmy do rzeki, brzegi Renu spowijała mgła. Jej opary przesłaniały widoczność. Pozostawało nam jedynie wierzyć, że przewodnicy nie zawiedli.

- Jak się przeprowadzimy? - zapytałem, kiedy wódz raczył do mnie się przy siąść.

- O zmięchu nadpłyną łodzie. Pomyślałem o wszystkim.

Nadpłynęły rzeczywiście - w sporej ilości. Stary zostawił dwudziestu ludzi, by pilnowali konie. Reszcie przykazał zająć miejsca w łódkach. Mnie również.

- Nie wiem, czy będę skuteczny w walce - ośmieliłem się wysunąć zastrzeżenie, delikatnie sugerujące, by przydzielił mi zadanie mniej odpowiedzialne.

- Chcę, żebyś opisał moje czyny. Ktoś to powinien zrobić.

Odetchnąłem.

- Do tego celu wystarczy, jeżeli opowiesz mi potem o swych przewagach.

- Właśnie, że nie - zaprzeczył zdecydowanie. - Nie odczujesz tego na własnej skórze. Musisz zobaczyć krew, poznać, co to bitewny zgiełk i strach. Mój hibernański spowiednik opowiedział mi historię pewnego rzymskiego młodzieńca. Brzydził się on gwałtem i przemocą, za nic w świecie nie chciał iść do Koloseum, gdzie dzień w dzień umierały setki gladiatorów. Poganie to potrafili wyprawiać igrzyska! Cesarze uważali, że ludowi to się należy; poza tym lubili być chwaleni... O czym to ja rozprawiałem? Ach, o młodzieńcu... Kiedyś trafił do Koloseum, zaciągnięty siłą przez złych kompanów. I wiesz, co z nim się stało? Zaczął tam przychodzić z własnej woli! Tak zasmakował w krwawym widowisku, że nie umiał się bez niego obyć. Musiał poczuć zapach krwi; to samo będzie z tobą...

- Niebezpieczeństw zaznałem już dosyć... - Lancelot nie słuchał. Kiwnął na jednego z wojowników. Ten stanął za mną. Zrozumiałem. Nie było to zresztą trudne.

Spływaliśmy z nurtem rzeki, prawie nie wiosłując, otoczeni ciemnością. Ci z kasztelu dotąd nas nie spostrzegli. W duchu modliłem się, by dalej byli ślepi i głusi. Element zaskoczenia rokował pewne szanse na powodzenie, a jako specjalista od Orientu wiedziałem, że zbici z tropu muzułmanie skłonni są popaść w fatalistyczne nastroje i ulec bez walki. Zdaje się, że na to również liczył nasz despotyczny przywódca.

Szczyście dopisywało nam cały czas. Wylądowaliśmy w niewielkiej zatoczce, łodzie kryjąc w przyjaznym sitowiu. Do pilnowania tego cennego dobytku starzec wyznaczył dziesięciu żołnierzy. Mnie niestety nie przydzielili do straży.

W jaki sposób przewodnikom udało się znaleźć odpowiednią ścieżkę i z niej nie zboczyć, pozostanie na zawsze ich słodką tajemnicą. Pewne jest tylko, że doprowadzili nas do celu.

Lancelot długo nie zwracał się do mnie, cichym głosem wydając dyspozycje innym. Żywiłem już nadzieję, że zapomniał o mej skromnej osobie, co by nie dziwiło, zważywszy na jego wiek, lecz myliłem się.

- Wraz z kilkoma innymi obejdiesz kasztel i spróbujesz wedrzeć się do niego od strony bocznej furty. Powinna być niedomknięta.

- Jakaś mała zdrada? - spytałem.

- Tym się nie kłopotcz. We wszystkim słuchaj swego dowódcy.

Lancelot przedstawił mnie temu wojownikowi. Uczynił to tak niewyraźnie, że nie dosłyszałem jego imienia.

Dali mi szyszak oraz miecz, i kazali iść za sobą. Skradaliśmy się w kierunku zabudowań, korzystając z osłony wysokich traw. Dawna rzymska warownia trwała w błogiej ciszy. Nie przerywał jej nawet śpiew ptaków czy szum drzew. Sprawiało to dość niesamowite wrażenie, zwłaszcza, gdy miało się świadomość, że wnet rozpocznie się krwawy bój. Skóra cierpła mi ze strachu na myśl o walce.

Furta rzeczywiście dawała się odemknąć, co niestety nie obyło się bez hałasu. Wraz z innymi wpadłem do środka warowni. Znaleźliśmy się na ciemnym dziedzińcu przypominającym studnię. Przemknęła mi przez głowę, że to znakomite miejsce na zasadzkę - okazała się prorocza!

Sypnęły się kamienie i rozległ dźwięk zamykanych wrót. Znaleźliśmy się w pułapce. Nad nami trwał wróg, zaś drogę odwrotu mieliśmy odciętą.

- Poddajcie się! - krzyknięto z góry.

Co było począć, cisnęliśmy broń na wybrukowany otoczkami dziedziniec kasztelu. Aż żałość brała, gdy słyszało się przejmujący, bolesny dźwięk uderzających o kamienie mieczy, tarcz i włóczni.

- To już wszystko?

- Tak - odpowiedział ktoś.

- Jeśli ktoś zapomniał, zetniemy mu łeb.

Rozległ się jeszcze jeden ponury odgłos: to był mój własny sztylet, którego dopiero teraz się pozbyłem.

ROZDZIAŁ VI

Ktoś chlusnął wodą, wylewając na mnie cały kubel. Przebudzony tak brutalnie, natychmiast otwarłem powieki, czując pulsowanie w czole, w miejscu, gdzie ugodziła mnie pałka, co zdarzyło się na krętych schodach, na które kazano nam wejść po oddaniu broni.

- Co tak się krzywisz? Woda z Renu niedobra?

Chciałem obmacać twarz, by przekonać się, czy nie doznałem ubytków w uzębieniu, lecz trudno raczej to zrobić związanymi dłońmi.

- Nic nie mówisz ... - rzekł Arab z przyganą w głosie. - Jakiś markotny osobnik nam się trafił ...

Zakaślałem, by po chwili wyksztusić: - Rozwiążcie mnie ...

W lochu znajdowało się dwóch prześladowców; ten rozmowniejszy był tak smukłej budowy, że wydawał się być wysoki (choć później przekonałem się, że jest niższy ode mnie); drugi natomiast był szeroki jak szafa; wyczuwało się w nim jakąś potworną, pierwotną siłę.

Arab zaśmiał się śmiechem zwyczajcy.

- Abyś krzywdę sobie zrobił? - parsknął. - Niedoczekanie twoje, niewierny!

Nie chciało mi się wyprowadzać go z błędu i objaśniać mu istotę moich przekonań; raz, że by mi nie uwierzył; a gdyby nawet, to nie zrozumiałby; a po trzecie - sam nie za bardzo wiedziałem, w co właściwie wierzę.

- Boli .. i zesrałem się ...

- Nic jeszcze nie czujemy. Prawda?

Osilek kiwnął głową. Obaj trzymali łączywa i było to jedyne oświetlenie w owym wątpliwej urody pomieszczeniu, ani chybi nie odnawianym od czasu Cesarstwa. Kasztel i tak miał szczęście, że nie padł ofiarą wojennej pożogi, jaka trwała tu dwa stulecia, aż do owego słynnego roku czterysta szóstego, kiedy to Wizygoci z dziecinną łatwością przedarli się przez nadgraniczny limes. Być może atakowali w innym miejscu; albo załoga poddała się, lękając szeroko już wtedy znanej germańskiej furii?

- Rozwiążemy cię i okażemy wszelką łaskawość, jeżeli wyznasz całą prawdę.

Muzułmanin nawet nie podejrzewał, jak skomplikowana potrafi być prawda!

- Co mam powiedzieć? Wszystko?

- Bardzo prosimy - rzekł szyderczo.

- Najpierw uwolnijcie mnie z tych wstrętnych sznurów. Wpijają mi się w przeguby.

- Wiemy - powiedział Arab ostro, z pewną niechęcią. - Sami cię wiązaliśmy.

W tonie jego głosu wyczułem coś, co mnie zmroziło, jednocześnie przestrzegając przed zbytnią wielomównością.

- Przybywam z Northumbrii - oznajmiłem. - Jestem brytyjskim kupcem. Podróżuję do Chin.

- Dokąd?

- Do Chin - powtórzyłem, dodając, że jest to punkt optymalny, ale niekoniecznie muszę dotrzeć aż tak daleko.

- A co już by cię zadowoliło?

- Myślę, że byłbym szczęśliwy, gdyby udało mi się znaleźć w jednym z portów nad Zatoką Perską, do których przybywają kupcy handlujący pieprzem.

- Interesują cię przyprawy korzenne? Tak?

- Tak. My w Brytanii jadamy obficie, acz niestety jałowo. Mięso solimy bądź suszymy... Nie jest to najsmaczniejsze jadlo. Ten, kto przyprowadzi na wyspę statek z drogocennym ładunkiem, będzie miał zapewniony byt do kresu swych dni.

- Hm... Zdajesz chyba sobie sprawę, że nie ma nic za darmo?

- Domyślam się, że pieprz musi być drogi.

- I jest. A ty nie miałeś przy sobie nawet sztuki srebra!

- Inni kupcy wysłali mnie nie po to, żebym dla nich kupował, lecz abym zbadał możliwości prowadzenia takiego handlu.

- No tak, tak ... Kupiec z hordą chrześcijan wdzierający się do muzułmańskiego kasztelu! Co cię naszło? Zachciało się zbójowania?

Wyczułem, iż muszę się jakoś wytłumaczyć, i to w miarę wiarygodnie.

- Pewien człowiek - rzekłem - udzielił mi pomocy, gdym znalazł się w biedzie. Zrobiłem to, o co mnie poprosił, aby nie być niczym dłużnikiem. Nie za bardzo się paliłem ... po prawdzie zostałem do tego zmuszony ...

- Pod karą gardła?

- No nie. Ale była to prośba nie do odrzucenia!

- Nie mogłeś mu odmówić?

- I nie mogłem, i nie chciałem, choć wielkiej ochoty nie objawiałem, bom spokojny kupiec, a nie - wojownik.

- Nie chciałeś, nie mogłeś, wielkiej ochoty nie zdradzałeś ... to jak w końcu było? Poszedłeś z nim dobrowolnie czy nie? Kim on był?

- Zapomniał się przedstawić - skłamałem. - Zapewne nie uznał mnie za zbyt znaczną osobę.

- Nie był to niejaki Lancelot, zwany Wędrowcem?

- Nie poznałem jego imienia. Wybaczenie.

- Czy bardzo przypadł ci do gustu?

Tym razem zgodnie z prawdą odrzekłem, iż człowiek tak trudnego charakteru nie może liczyć na natychmiastową sympatię.

- Przeto nie polubiłeś go i jeno z obowiązku wzięłeś udział w tej wyprawie?

- Nie tylko z obowiązku. Przymusił mnie.

- Jednak przymusił?

- Tak.

- Przeto nic mu nie jesteś winien?

- I tak, i nie.

- Wyrażaj się jaśniej.

- Nic mu nie jestem winien, poza wdzięcznością za darowany żywot. Mógł zabić od razu, nie zabił.

- Taką samą wdzięczność jesteś winien i nam. Również mogliśmy zgładzić cię natychmiast, a nie uczyniliśmy tego.

- Na to wychodzi.

- Skoro nic nie jesteś winien Lancelotowi, to wyjaw, co o nim wiesz!

- Jest stary, waleczny, apodyktyczny, czasami szalony. Ma żonę, którą niby nienawidzi, atoli żyć bez niej nie potrafi. Przywykł już do niej.

- To wszystko wiemy. Ilu ludzi orężnych utrzymuje w warowni? W jaki sposób rozstawia warty? Kiedy się zmieniają? Czy mury zamczyska Lancelota mają słabe punkty, a jeżeli, to w jakim miejscu?

Zasypał mnie gradem pytań dotyczących spraw militarnych, a ja z przykrością musiałem przyznać się do swej ignorancji.

- Być nie może! - uniósł się złością. - Wiesz! Kat dobędzie z ciebie prawdę!

- Przysięgam!

Daremnie zaklinałem się na wszystkie świętości; niezwłocznie wykręcili mi ramiona, dociągnęli sznury i zaprowadzili do izby tortur. Tam opuściły mnie resztki odwagi, a strach złapał za gardło i nie puszczał.

Bo też było czego się lękać! Nie znałem szczegółowego przeznaczenia narzędzi męki, lecz ich widok - na niektórych nie zaschła jeszcze krew - mógł przerazić najmężniejsze serce!

Niezwłocznie rozciągnęli mnie na stole. Bronilem się; wtedy dowodzący kompanią okrutników Arab wezwał do pomocy innych ceklarzy. Uległem przewadze liczby i brutalnej siły. W starciu z nimi byłem bez szans.

- Zaraz sobie przypomnisz - powiedział mój prześladowca z sadystycznym uśmiechem. - Musimy się tam dostać i ty nam w tym pomożesz.

Powziąłem decyzję: nakłamię ile się da - uniknę wtedy tortur i zobaczę przynajmniej świat boży, bo będą musieli zabrać mnie ze sobą.

Nagle otwarły się drzwi i stanął w progu jakiś mąż. Wezwał Araba, na skutek

czego przesłuchanie przerwano. Wyszli wszyscy. Zostałem sam, na pastwę rozszalałych myśli.

Wrócili po niewiadomym czasie. Weszło trzech, z „moim” Arabem na czele. Na ich widok tak się wściekłem, że zacząłem wyzywać ich - wszelako nie po arabsku, tak że nie mogli tego pojąć - od najgorszych łotrów, złoczyńców i bandytów. Wreszcie, kiedy już należycie się wykrzyczałem, powiedziałem Arabowi, że Lancelot trzymał mnie w ciemnicy, po zamku nie oprowadzał i pomóc im w niczym nie potrafię, mimo najszczerzej chęci.

Czyli - zaprzeczyłem sobie. Złość wzięła górę nad rozsądkiem. Naprawdę byłem wściekły. Za dużo było już tych przeciwności losu. Po prostu - nie wytrzymałem napięcia.

- To twoje ostatnie słowo? - spytał oprawca.

Nie wypadało mi co rusz zmieniać zdania; przytaknąłem.

Uniół ręce ku górze. - Na Allaha, nie pożyczysz długo!

- Kiedy egzekucja? - spytałem, z pewnym zniecierpliwieniem w głosie.

- Bez obawy, dowiesz się.

Pożegnał mnie niezbyt miłym spojrzeniem i opuścił izbę, zabierając ze sobą tamtych dwóch. Czas oczekiwania na ponowne przybycie ceklarzy spędziłem trzęsąc się ze strachu.

Wyprowadzili mnie wreszcie na ów przypominający studnię dziedziniec. Wszystko było już przygotowane: był pień, był kat (zakapturzony, a jakże!); a dookoła stali zbrojni.

Ja tylko nie byłem gotowy na opuszczenie tego padołu łez.

Co skazaniec czyni? Wyrywa się, walczy o życie! Stawia rozpaczliwy i mało sensowny opór. Racje rozumu ustępują przed prawami instynktu, pierwotnego instynktu... I ja walczyłem, szarpałem się z moimi prześladowcami! Zaś ci nędznicy prawie że pokładali się ze śmiechu, rechocząc obelżywie i obrzydliwie! Przyciśnięty do pieńki, czekałem na decydujący moment, nadludzkim wysiłkiem starając się unieść głowę, aby raz jeszcze ujrzeć kamienne mury średniowiecznego świata, który pokochałem! Widziałem jednak tylko nogawice stojącego przede mną kata!

- Zmów ostatnie modlitwy - polecił mi głos z tyłu.

Nie mogłem skorzystać z okazanej łaski, bo w głowie miałem taki zamęt, że nie potrafiłem zebrać myśli. Prawdą jest, że człowiek przed śmiercią widzi całe swoje życie!

- Zmówiłeś?

Nic nie odrzekłem. Naraz, kiedy już nadzieja całkiem mnie odstąpiła, poczułem, jak nienawistny nacisk na mój kark ustępuje. Zerwać się jednak nie mogłem, gdyż nadal przytrzymywany byłem za ramiona.

Uniosłem głowę. Kata widziałem teraz do wysokości pępka. W prawicy dzierżył wielki bojowy topór.

- Puśćcie go - rozkazał nowy głos.

Oprawcy usłuchali. Powoli zacząłem wstawać z klęczek. Kat ściągnął kaptur. Wyjrzało spod niego nader znajome oblicze. Lancelot!!! On sam! Mistrz forteli! Rzekł:

- Twoje szczęście, żeś nie uległ pokusie. Wytrwałeś do końca. Wynagrodzę cię za to sownie.

Nie starczyło mi sił na wyrażenie wdzięczności. Z nadmiaru emocji straciłem przytomność.

Kiedy doszedłem do siebie, zobaczyłem tego samego Araba, który odgrywał wcześniej rolę głównego inkwizytora. Szczrzył zęby w pospolitym uśmiechu, znamionującym rozradowanie. Stan jego uzębienia pozostawiał wiele do życzenia; pod względem estetycznym był to widok przerażający: czerń i żółć wyraźnie przeważały nad poszarzałą bielą. Z mściwą satysfakcją pomyślałem, że musi cierpieć na fluksję.

- Zęby nie bolą? - spytałem.

- Nigdy - odrzekł stanowczo. - Co to za pytanie! Medyk?

- Nie, aliści trochę znam się na tym.

- Dziwne.

- Czemu?

- Medycyna u chrześcijan właściwie nie istnieje. U nas zaś rozkwita w najlepsze. Chodziłem do najlepszego lekarza w Kordobie. Pobierał on nauki w samym Bagdadzie! Praktykują w nim najznakomitsi medycy. Bagdad to także skupisko największych mędrców i najlepszych poetów. Zaś ceny domów osiągają wysokości niebotyczne! Piękna rezydencja to wydatek rzędu stu tysięcy dinarów! Pospolity zaś dom kosztuje od pięciu do piętnastu tysięcy dinarów! O tym wszystkim opowiadał mi człowiek, który leczył moje zęby! I dobrze leczył, bowiem nie czuję nijakiego bólu!

Pomyślałem, że albo mu je zatrzał na amen (co doktora obchodził dalszy los uzębienia pacjenta!), albo mój rozmówca cierpi na jakąś szczególną wadę genetyczną.

Arab ponownie zaczął się rozwodzić nad wspaniałością stolicy imperium

islam.

- Miasto jest baśniowe i bajkowe! - krzyczał, płynąc na fali entuzjazmu. - Piękniejsze niż Bizancjum, potężniejsze niż ongiś Rzym, ninie będący jedną wielką ruiną i wstrętnym złomowiskiem gruzów! Przemija oblicze tego świata; odwieczna to i najprawdziwsza z ludzkich prawd; nie tyczy to jednak miasta kalifów! Perłą pozostanie ono po wsze czasy!

Przerwałem mu, bo nieco mnie zezłościł: - Taki jesteś tego pewien? Skąd to wiesz? Zaglądasz w lustro przyszłości? Kumaszą się z czarownikami? Niewiele oni wiedzą. Tylko udają.

- Nie mów mi o tych zakalach rodu ludzkiego - odrzekł niezwłocznie, z irytacji się czerwieniąc - bo nie warto. Gdybyś kiedykolwiek widział to najcudowniejsze z miast Wschodu, nie żywiłbyś wątpliwości. Bagdad nie przeminie. Ręczę za to. Własną głową!

- Przemawiasz niczym prawowierny wyznawca Mahometa.

- Jestem nim, acz przyznaję, że u Franków zdarza mi się zapominać o przepisanych Koranem modłach. Doprawdy, życie w takiej ciemnocie, tkwicie w mgle tak niewyobrażalnego barbarzyństwa, że wprost niepodobna uchronić się przed wpływem owego grzęzawiska wszelakiej nędzy! A bagno człowieka wciąga ... Złudzeniem jest wyobrażać sobie, że da się pozostać czystym i nieskalanym! Wszystko oddziałuje na wszystko; spływający z niebios deszcz wyziębia nie tylko ciało, także duszę; złe słowo usłyszane od człowieka, którego uważaliśmy za nastawionego przyjaźnie, zmienia nasz sposób postrzegania świata i innych ludzi!

Chrząknąłem.

- Co więc porabiasz u Lancelota? On walczy z islamem!

- Jestem kimś, kogo można wynająć - rzekł szorstko - osoba wynajmująca płaci, ja wiernie służę. Chciałbym być inny, ale nie jestem.

Atakowałem dalej:

- Czemu nie jesteś?

- Takim już mnie Wszechmocny stworzył ... Lancelot wziął mnie do niewoli, i zachwycony moją walecznością, oznajmił, że daruje mi życie, jeżeli wstąpię na jego służbę... Pomyślałem, że jeżeli chrześcijanie służą u wyznawców Proroka i dochodzą nawet do znacznych godności, to może być też na odwrót...

- Powiedziałeś, że moi współwyznawcy dochodzą u was do znacznych godności... Zaciekawilo mnie to, młody człowieku. Mógłbyś rzec mi o tym coś więcej?

- Z przyjemnością, skoro cię to ciekawi.

- Bardzo.

- Chrześcijanie, judaisci i zoroastrianie zaliczeni zostali do wyznań chronionych. Pierwsi i drudzy to ludzie Księgi. Pewne prawa przyznał już im Mahomet. Zakazał on nawracania siłą na islam. Nawrócenie musi być aktem szczerym i dobrowolnym. Możliwa jest u nas zmiana religii, lecz tylko na islam. Zmiana wiary przez muzułmanina karana jest karą główną. Winowajcę się zabija, atoli nie od razu. Kadiemu Ibn Numanowi doniesiono onegdaj, że pewien chrześcijanin, który wcześniej, jeszcze za młodu, przyjął islam, wyrzekł się prawdziwej wiary w wieku lat osiemdziesięciu. Były przeto okoliczności łagodzące winę - niechybnie temu człowiekowi klepki w głowie przekreśliły się ze starości. Kadi wezwał go, aby się zmienił, lecz staruszek odmówił. Sprawa doszła do kalifa. Kalif zlecił rozpatrzenie jej stróżom prawa. Naczelnik policji zażądał czterech świadków, którzy uczestniczyliby w ponownym nawróceniu. Gdyby uparty osiemdziesięciolatek przyszedłby do rozumu, skazano by go jedynie na grzywnę. A że nie przyszedł - trafił do Nilu, gdzie pożarły go krokodyle. Nic im nie przeszkadzało, iż obwiniony był kościsty. Krokodyl to niewybredna bestia.

- Czy często zdarzają się konwersje?

- Tak, ale jak powiedział jeden z naszych poetów: „chrześcijanin przyjmuje islam z chciwości, a nie z miłości”. Dam taki przykład: pewnego metropolite oskarżono o pederastie. Zmienił wtedy wiarę i na dworze namiestnika oczerniał swych dawnych współwyznawców. Innego kościelnego dostojnika oskarżono o rozpustę. Oskarżenie wysunęli jego własni diakoni. Chciano złożyć go z urzędu, zmienił więc wiarę i zadawał się z wieloma kobietami. Marnie jednak skończył - jako żebrak. Niektórzy wasi współwyznawcy zostają nawet wezyrami!

- Czyli kim?

- Prawdziwie jesteście nieoświeceni. Wezyr to najwyższy urzędnik. Naznaczył go kalif. Nosi się na czarno. To jego urzędowy kolor. Wstaje o świcie i nim jeszcze zrobi się jasno, odmawia przepisane prawem modlitwy. Potem przyjmuje ludzi, którzy pragną go powitać. Następnie wsiada na koń i jedzie do pałacu kalifa, ażeby złożyć mu sprawozdanie. Później wraca do siebie, je obiad i drzemie. Po przebudzeniu zajmuje się tym, do czego został powołany: finansami państwa.

- Znaczy: zastanawia się nad tym, ile i komu ukraść.

Arab wybuchnął szczerym, młodzieńczym śmiechem. Walił się po udach,

podskakiwał i zdradzał wszelkie objawy niepohamowanej wesołości.

Przyglądałem się temu ze zdumieniem. Nie sądziłem, że moja niewinna uwaga przyniesie aż taki skutek!

- Trafiełeś w środek tarczy! Zdarzają się tacy, co nie kradną, aliści większość myśli jedynie o napełnieniu swej kabzy. A jacy są pyszni! Wezyr Ibn Abbad wezwał swego pisarza, aby przyniósł mu księgę rachunkową. Kiedy urzędnik przedłożył dostojnikowi owoce swej mrówczej pracy, wezyr ledwie przebiegł dokument wzrokiem i natychmiast zaczął urągać nieszczęśnikowi. Krzyczał: To ma być rozliczenie!? To ma być to, czego żądałem od twej pustej łepetyny? Na Allaha! Gdybym nie wychował cię w moim domu, gdybym nie znał twojego ojca, kazałbym ci najpierw zjeść ten papier, a potem oblać naftą i podpalić! Obyś szczęśliwy, nieuku! Czy kogoś takiego jak ja można oszukać? Już sam ten zamysł jest wielce zbrodniczy! Rozpuściłeś się, bo nie zwracałem uwagi na twe przywary! Popraw co napisałeś! I zapamiętaj raz na zawsze, że nie można mnie oszukać! Wiedz, że byłeś już martwy! Wracasz z zaświatów, nikkzemniku! Podły psie, módl się i dawaj większą jałmużnę! I nigdy już nie polegaj na swym sprycie! Wynoś się, bo psami poszczuję!

- Srodze go zbeształ - rzekłem. - Snadnie zasłużył.

Mój rozmówca lekceważąco machnął ręką.

- Ależ skąd! Pisarz wrócił do domu, podśmiewając się po drodze. Nic się groźbami nie przejął. Na Boga! - pomyślał sobie. - Znam jego bredzenie. Dokładnie zdaję sobie sprawę z jego ignorancji w dziedzinie rachunków. Coś muszę pozmieniać, poskreślać, żeby wyglądało na to, że mocno się napracowałem!

- I tak rzeczywiście zrobił? - spytałem uprzejmie, domyślając się odpowiedzi.

- Naturalnie. Po pewnych przeróbkach przyniósł dzieło wezyrowi z powrotem. Mimo iż nie zmienił w nim nic istotnego, dostojnik ów natychmiast go pochwalił i dodał: świetnie! Niech Allah da ci dużo dzieci. Tego właśnie pragnąłem. Gdybym ci za pierwszym razem pofolgował, za drugim nie byłbyś czujny!

- Prawdziwy głupiec.

- Po godność wezyra sięgali jeszcze gorsi ludzie.

Najwięcej nakradł Ibn Al-Furat. Kiedy policzono mu jego bogactwa, wyszło na to, że zbierał dziesięć milionów dinarów. Wiedz, że roczny trybut z najbogatszej prowincji islamu jest tylko dwakroć większy od tego, co zgromadził Ibn Al-Furat! Jedno trzeba mu przyznać: nie był skąpy. Dwór utrzymywał z niespotykanym nigdzie rozmachem! Miesięcznie wypłacał pięć tysięcy pensji! Najwyższe sięgały aż stu

dinarów! Po paru latach służby u tego wezyra można było stać się bogaczem! W jego kuchni dzień w dzień zarzynano dziewięćdziesiąt baranów, trzydzieści jagniąt oraz po dwieście kur, gołębi i kuropatw! Pałac Ibn Al-Furata był rozległy jak miasto; mieściła się tam pijalnia, gdzie stały wielkie pojemniki schłodzonej wody! W Bagdadzie woda jest cenniejsza od złota! Każdy, kto miał pragnienie, mógł się napić do woli. Sprowadzano ją akweduktami. Służący podawali soki owocowe i obdarowywali petentów papierusem. I całe to oszałamiające bogactwo pochodziło z kradzieży! Podczas rekwizycji jego majątku znaleziono u niego worki z pieniędzmi, na których widniała jeszcze pieczęć prywatnego skarbnika kalifa! Jeden z urzędników wezyra opowiadał, że uczynił tylko dziesięć kroków, aby ukraść siedemset tysięcy dinarów! Dla Ibn Al-Furata sprawowanie władzy było równoznaczne z kuglarstwem. Jak nikt przed nim, znał się na wszystkich urzędniczych sztuczkach. Lubił powtarzać: „Kiedy masz sprawę do wezyra, a możesz załatwić ją z jego sługą, wtedy idź do sługi!”

- Ten przynajmniej wyglądał mi na człowieka rozumnego - powiedziałem.

Zdarzali się i wezyrowie okrutni, zwłaszcza, jeżeli chodziło o finanse. Pieniądze z ludzi wymuszano torturami. Pod paznokcie wbijano ostrą trzcinę, a ofiary bito palkami. Postępowano tak nawet wobec osób niegdyś znacznych. Pewien wezyr potraktował tak matkę swego poprzednika. Podejrzewał, że tamten w jej majątku zakopał swe skarby. Nie wierzył, że nie kradł, bo znał go trochę, a zresztą kradną wszyscy, a jeśli nie kradniesz, to jesteś bardzo biedny. Bić cię będą tak długo, aż oddasz to, czego nie masz!

- Jak to możliwe?

Arab tylko wzruszył ramionami.

- Opowiedziałem ci co nieco o wezyrach, rządzących w imieniu kalifów. Kalif jest najwyższym zwierzchnikiem wiernych. Niegdyś cieszył się posiadaniem wielkiej władzy. Dziś niestety...

Przerwałem mojemu zacnemu interlokutorowi, tyleż wojowniczemu, co gadatliwego:

- Wybacz, drogi przyjacielu, lecz czy to, co czynisz teraz, czynisz z własnej woli, czy może dlatego, że ktoś ci to polecił?

Arab nieco się nastroszył.

- Z własnej - odpowiedział.

Nagle rozwarły się dębowe drzwi i do naszej izdebki wtargnął pan tego maleńkiego świata. Arab drgnął. Jego twarz pojaśniała w wymuszonym uśmiechu.

Lancelot podpierał się kosturem. Zauważyłem, że kuleje na prawą nogę.

- Pogadaliście sobie? - zagaił bez żadnych wstępów. - Wyjaśniłeś mi wszystko?

- Jeszcze nie - odparł Arab nieśmiało, jakby w poczuciu winy.

- Dlaczego?

- Sam kazałeś wprowadzić Bryta w sprawy islamu. Zabrało mi to sporo czasu...

- Niestety - rzekł starzec z wyraźną złością. - W tej dziczy nie można nikomu ufać! Ani na nikogo liczyć!

- O przepraszam - powiedziałem. - Wystawiłeś mnie na próbę i wyszedłem z niej obronną ręką.

- Chciałbym wierzyć, że tak było - burknął były rycerz króla Artura.

- Powinieneś!

- Niech i tak będzie - Lancelot przystąpił do masażu chorego kolana. - Powiem krótko: pojedziecie do Bagdadu. Tam spotkacie się z pewnym uczonym mężem. Człowiek ów zna dobrze wezyra, który jest zaprzańcem. Zdradził Jezusa dla Mahometa! Nikt o tym nie wie, poza moim przyjacielem. Wszedł on w posiadanie niezbitych dowodów zdrady owego dostojnika.

U muzułmanów jest tak, że można przechodzić na islam, lecz trzeba przyznać się do tego, że było się kiedyś chrześcijaninem. A wezyr się nie przyznał. Ujawnienie tajemnicy może zrujnować jego karierę. Będzie więc nam powolny i zrobi to, czego odeń zażądacie. A zmusicie go, żeby pchnął wszystkie siły Abbasydów przeciw Umajjadom na Zachodzie! Oni się nawzajem nienawidzą. Gdyby Arabowie byli zjednoczeni, nic by nas nie uratowało. Umajjadzi podbili prawie całe dawne zachodnie Cesarstwo, poza Ilirią i Panonią! Ma się rozumieć, sama niechęć to niewystarczający powód do wielkiej wojny. Trzeba ja podsycić, rozniecić. Iskrą, która może skrzesać ogień, będzie pewien dokument. Wynika zeń, iż kalif Al-Hakam z Kordoby, panujący na Zachodzie, zamierza podporządkować sobie wschodni kalifat i że trwają już przygotowania do inwazji na Azję. Jasne jest, że Bagdad tak łatwo nie uwierzy. Wyśle szpiegów. Ci zobaczą, że Zachód istotnie zbiera siły. Kalif pisze listy do emirów galijskich i italskich, zaciąga najemników, ćwiczy wojska, zbroi się. Wschód zawsze był podejrzliwy! Wysłannicy kalifa z Bagdadu nie dadzą wiary zapewnieniom Umajjadów, iż wyprawa szykowana jest przeciw nam. A tak właśnie wygląda rzeczywistość! Al-Hakamowi znudziły się małe pograniczne wojenki. Kordobański kalif chce zadać nam decydujący cios. To niesłychane, aby bibliofil, miłośnik książek i pięknych chłopców, żywił tego rodzaju tęsknoty! Niechybnie roi mu się wiekopomna

sława. Za dużo czytał. Niebezpieczne zajęcie... W ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat zbliżyliśmy się do Renu, w niektórych punktach rzekę przekraczając, choćby dzięki zdobycia takich kaszteli, jak ten tutaj! Po przegranej bitwie pod Poitiers, gdzie padł Karol Młot, a jego wojska poszły w rozsypkę, sytuacja wyglądała doprawdy tragicznie. Niewiele brakowało, żeby armia Tarika dotarła do Bałtyku i nawróciła na islam nawet Słowian! Powstrzymały ją wszelako nieprzebyte bory... i zniechęciło to, że nie można było spodziewać się tam łupów. Cofnęli się więc - zadowoleni z tego, co osiągnęli. A osiągnęli więcej niż Rzymianie! Zdaje się, że wiem, czemu Al-Hakam pragnie wytepić wszystkich barbarzyńców. Czytał na pewno Tacyta i Marcellina; z ksiąg rzymskich historyków dowiedział się o najazdach Germanów. Wyczytał, iż August odwołał Tyberiusza, który nie zdążył ujarzmić Germanów do końca. Ammian Marcellinus zapewne ubolewał nad niedopatrzeniem cezara. W końcu stale miał do czynienia z frankijskimi plemionami. Nie Frankowie zniszczyli Zachodnie Cesarstwo, lecz to oni właśnie wyciągnęli największe korzyści z jego ruiny, budując na gruzach rzymskiej cywilizacji swoje galijskie państwo. Kalif Al-Hakam, miłośnik słowa pisanego, posiadacz ogromnej biblioteki, bodaj największej na świecie, wie, że nie ma już Franków, a Galia jest arabska. Nie sprawuje jednak nad nią całkowitej kontroli. Emirowie galijscy samodzielnie rządzą w swych włościach. Musi ich dopiero przekonać do swego zamysłu, udobruchać darami... pociągnąć za sobą... zajmie to sporo czasu. Trochę więc go jeszcze mamy, alіści sama podróż do stolicy Abbasydów zabierze wam miesiące, a może i rok! Na miejscu też sprawy nie muszą potoczyć się piorunem... Nawet jeżeli od razu zmusicie wezyra, by działał zgodnie z moją intencją, wprawienie w ruch maszyny imperium potrwa miesiącami! Al-Hakam się spieszy i ja się spieszę. Jeżeli zwali się na nas cała potęga muzułmańskiego Zachodu, pozostanie nam tylko odwrót w knieje. Być może wypchną nas aż na ziemię pogan. Wtedy zginiemy, zalani słowiańskim morzem. Najgorsze, że jesteśmy podzieleni i skłóceni. Inni baronowie nie dostrzegają niebezpieczeństwa! Próżno im to tłumaczyć. Znam ich ciemnotę, dobrze widzę, jak bardzo są malutcy. Opór stawiać będą w pojedynkę. Część złoży broń, jeśli kalif zagwarantuje im dotychczasowe przywileje. A zrobi tak na pewno. Marzą mu się laury wielkiego zdobywcy; rozumie, iż trwałość podboju zależy głównie od polityki. Przeto będzie ją uprawiał. Na pewno ma wszystko przemyślane w najdrobniejszych szczegółach! Chce przenieść działanie wojenne za Ren i nic go nie powstrzyma! Nic, poza tym, co wymyśliłem. Przerazi się domniemaną inwazją abbasydzką! W porównaniu z nami Abbasydzi są potęgą nie do wyobrażenia. On

doskonale zdaje sobie z tego sprawę! Już sama groźba abbasydzkiego najazdu może odwieść go od zamiaru wyprawy za Ren! A jeśli nawet ją podejmie, wyśle tylko część wojska, i nie będą to siły zbyt poważne. Jeżeli chrześcijanie byliby zjednoczeni, mogliby walczyć długo. Niestety tłuczemy się między sobą! Jezu, jak nad tym boleję! Jak bardzo boleję!

Płomiennie przemawiał wojowniczy starzec. Błyszczały mu oczy, pot na czoło wystąpił. Zmienił się nie do poznania! Zniknął gdzieś żądny krwi prymitywny wojownik! Pojawił się wielki statysta o dalekosiężnym spojrzeniu! Słowa nie umiałem z siebie wydusić.

- Ruszacie jeszcze dziś - powiedział. - Łodzie przygotowane.

- Będziemy spływać do morza? - spytał Arab.

- Spływać? - uśmiechnął się szyderczo. - Wiosłować pod prąd! Podaruję wam mapę nieprzyjacielskich punktów warownych. Radzę je obchodzić.

- Targając łódki przez chaszczce, wnosząc je na urwiste brzegi, przedzierając się przez podmokłe łąki!

- Tak będzie!

- Umordujemy się!

- Nabierzecie tężyzny.

- Ja nie będę nosił - rzekł Arab, a na jego smągłych policzkach pojawił się rumieniec złości.

- I ja nie - powiedziałem. - Jestem człowiek uczony.

Lancelot zastanawiał się przez chwilę.

- Zaiste, wzrok masz słaby. Zwalniam cię z tego obowiązku.

CZEŚĆ TRZECIA

MISJA

ROZDZIAŁ I

Do Marsylii dotarliśmy bez przygód. W porcie zaczęliśmy rozpytywać o statek do Konstantynopola. Ponieważ nie zanosiło się na to, że szybko go znajdziemy, zwiedziłem miasto, ze zdumieniem przekonując się, iż zabudowę ma typowo śródziemnomorską, a jedynym akcentem arabskiej obecności jest ceglasta cytadela o wielu wieżach.

Ponieważ nie zachodziło niebezpieczeństwo pobłądzenia (do portu zawsze bym trafił, choćby ściągnięty jego zapachem), pokręciłem się trochę po wąskich uliczkach, zaglądając do tawern, i każdorazowo odczuwając dreszczyk emocji, kiedy przyszło mi zanurzyć się w ciemny zaułek.

Chodziłoby się przyjemnie, gdyby nie to, że wszędzie unosił się wszechobecny smród. Jako człowiekowi z przyszłości, niezmiernie trudno było mi do tego się przyzwyczaić.

Towarzyszy podróży zastałem w porcie, w tym samym miejscu, gdzie się rozstaliśmy. Arab na mój widok gwałtownie zerwał się z krzeselka, odkładając spożywaną rybę, i jął czynić mi wyrzuty, że opuściłem ich na tak długo, dodając, że nocleg już załatwiony, a o statku nadal nic nie wiadomo.

- Bierzmy tedy nasze toboły i idźmy tam - powiedziałem.

Po tygodniowym oczekiwaniu, które niespecjalnie nadszarpnęło nasze zasoby finansowe, pojawiła się jednostka pływająca w postaci dwumasztowca z

prostokątnymi białymi żaglami. Jej kapitan zażądał trzydziestu solidów za dowieszenie nas do Wschodniego Rzymu.

Zrazu myślałem, że Grek domaga się trzydziestu złotych monet od głowy, co zrujnowałoby nas na amen, lecz nie, on życzył sobie takiej kwoty za nas wszystkich, łącznie z bagażami. Oczywiście przyczyną pomyłki były nieporozumienia językowe... a ściślej, nasza marna znajomość mowy Bizantyjców.

Arab sięgnął po kabzę (nosił ją na brzuchu, pod kaftanem) i począł wyliczać pieniądze, sztuka po sztuce. Żeglarz pokręcił głową. Co gorsza, cofnął rękę, którą uprzednio trzymał natarczywie wyciągniętą!

- Co się dzieje? - spytałem naszego dowódcę.

- Na Wszechmocnego, nie mam pojęcia! - krzyknął, wyraźnie zdenerwowany. - Ale na pewno coś niedobrego!

- Dobrze by było, gdybyśmy wiedzieli, czym mu się naraziliśmy!

Greki gestykulowali i nieustannie tokowali; bezspornie objawiał swe niezadowolenie; źródeł jego nie umieliśmy dociec.

Pomyślałem, że prawdziwe jest to, co pisano zawsze o żywołości ludzi Wschodu. Bizantyjczycy tworzyli mieszaninę rozmaitych nacji i plemion; cesarzami i strategami bywali Izauryjczycy, dzicy górale z serca Azji Przedniej, do stolicy, ogromnej, milionowej metropolii, ściągali Syryjczycy i Ormianie, a jeńców słowiańskich osadzano w pogranicznych ternach, czyniąc z nich żołnierzy - rolników, przypominających dawnych rzymskich limitanensis.

- Potrzebny będzie tłumacz - rzekłem. - Znajdź kogoś. Ja zatrzymam żeglarza.

Arab westchnął i bezradnie rozejrzał się dokoła. Na nabrzeżu roił się tłum; wielobarwny i wrzaskliwy; prostacki i prymitywny. Ojciec Narodu napisze kiedyś, że człowiek jest miarą wszechrzeczy.

Tłum na nabrzeżu przypominał wszystko, tylko nie - miarę wszechrzeczy.

Wszakże w owej hałaśliwej cizbie nasz Arab wyszukał tłumacza. Stało się jasne, dlaczego podpadliśmy kapitanowi. Nie chciał przyjąć naszych dziwnych monet; domagał się solidów.

Aż plasnąłem się w czoło! Jak mogłem zapomnieć, że w tej epoce bizantyński solid, następca rzymskiego aureusa, odgrywał rolę amerykańskiego dolara!

Poszliśmy szukać kantoru (Grek obiecał, że nie odpłynie bez nas) odkrywając go obok tawerny, do której wciąż ktoś wchodził.

Kantorem było zwyczajne okienko we wnęcie w kamiennie - ceglany murze.

Siedział w nim ponury jegomość o schorowanej twarzy. Mój towarzysz wytłumaczył mu istotę sprawy. Tamten wyciągnął łapę. Arab wręczył dwadzieścia złotych krążków, arabskich i innych, zachowując w kabzie jedenaście solidów. Kasjer zrazu zamierzał nas strasznie obłupić, biorąc dziesięcioprocentową prowizję, jednakże po naszych protestach wziął tylko dinara za fatygę, czyli zadowolił się pięcioma procentami, co i tak uznałem za rozbój w biały dzień.

Wróciliśmy do portu. Kapitan pertraktował z innymi kandydatami na pasażerów. Spytaliśmy go, kiedy odpływamy.

- Pokażcie pieniądze - warknął.

Uczyniliśmy zadość jego aroganckiej prośbie. Grecki żeglarz przeliczył złoto i oznajmił, że możemy wchodzić do łodzi, która dostarczy nas na pokład dwumasztowca.

Odpłynęliśmy dopiero następnego dnia, kiedy nastał sprzyjający wiatr. Czas ów wykorzystałem na dalsze zwiedzanie miasta, ze zdziwieniem przekonując się, iż funkcjonują w nim odpowiedniki współczesnych barów szybkiej obsługi. Serwowano w nich gorące potrawy: fasolę i bób. Ten drugi był nawet strawny; smakowałby lepiej, gdyby nie trzymano go w obrzydliwych pojemnikach wpuszczonych w kuchenną płytę.

Z rozkoszą wciągnąłem w nozdrza zapach świeżej bryzy. Dobrze zrobiłem, bo rychło pogoda pogorszyła się i żeglarze zapędzili pasażerów pod pokład, aby nie przeszkadzali im w manewrowaniu. Było tam okropnie ciasno, ponuro i smrodliwie. Statek przewoził jakieś towary, ukryte w amforach; nas, pasażerów, było ledwie dziewięciu, sami mężczyźni.

Sztorm trwał wystarczająco długo, abyśmy się porzygali i poumierali ze strachu. Na szczęście w nocy morze trochę się uspokoiło. Wyglądało na to, że nadal żyjemy. Arab modlił się bez przerwy; ludzie Lancelota krzyczeli: „Jezus, Maria”; ja wpierw przeklinałem, a potem też się modliłem, małpując tamtych.

Ranek powitał nas na pełnym morzu. Bizantyjczycy pozwolili na wyjście z ładowni i nawet zaproponowali nam śniadanie, ale nikt nie miał apetytu, czemu trudno się dziwić.

Na statku woda była ściśle racjonowanym skarbem; nie było szans na to, aby się umyć. Ślady kału, moczu i rzygowin mogliśmy zmyć z siebie dopiero po przybyciu do portu.

Pamiętałem z książek, że żegluga po Morzu Śródziemnym, kolebce naszej cywilizacji, nosiła „od zawsze” charakter żeglugi przybrzeżnej. Na szczęście nic w tej mierze nie uległo zmianie. Żaglowiec dobijał do portu, wyładował towary, brał nowe i odpływał. Postoje były najczęściej kilkugodzinne. Czyniło to żeglugę mniej uciążliwą. W Ostii natomiast odpoczywaliśmy aż dwa dni.

Pechowo się złożyło, iż tak długi postój nie był przewidywany i nie zdążyłem wybrać się do Rzymu, a bardzo byłem ciekaw, czy rzeczywiście znajduje się on w tak opłakanym stanie, jak to Lancelot przedstawił.

Pierwszego wieczoru załoga wróciła na statek urznięta. Kiedy zaczęliśmy rankiem czynić kapitanowi wyrzuty, Grek lekceważąco machnął ręką i poradził nam, byśmy przeznaczili ów dzionek na zapoznanie się z rozkoszami portowego życia, bo podobna sposobność może już się nie trafić.

Posłuchałem dobrej rady. Ulicę okalał szpaler drzew rosnących przed domami, zwykle jednopiętrowymi i z niewielkimi otworami wejściowymi. Okna przesłonięte były okiennicami. W otwartych widniały kraty. Domeczki sprawiały wrażenie małych forteczek; odwracały się od zgiełkowej i niebezpiecznej ulicy, wybrukowanej na całej szerokości. Terkotały po niej wozy zaprzężone w woły, względnie niewielkie wózki ciągnięte przez osła. Nikt nie jechał konno. Większość ludzi przemieszczała się kamiennymi chodnikami. Górowały one nad jezdnią przynajmniej na łokieć; dzięki czemu wozy nie mogły wjechać na chodnik.

Wtem ujrzałem jakiś dziwny symbol wryty na płycie z szarego piaskowca. Nie od razu zrozumiałem, że to fallus. Aliści nie taki zwyczajny fallus, a pokazujący kierunek! A więc: fallus - przewodnik!

Również trochę trwało, nim skojarzyłem elementarne fakty; prawdą jest bowiem, że człowiek potrzebuje silnych bodźców, by chciało mu się żyć, lecz wiadomo od zawsze, iż nadmiar emocji potrafi być niszczący dla prawidłowej pracy mózgu. Ów znak z całą pewnością prowadził do domu rozkoszy cielesnej. Podążyłem za nim.

Wiodła mnie ciekawość; ta cecha gatunku zwanego homo sapiens, która w prehistorycznych czasach dała mu przewagę nad człowiekiem neandertalskim.

Wreszcie, po pokonaniu dwóch przecznic usłyszałem wycie.

Wycie wilków, a ściślej - wilczyc. Tym razem kojarzyłem już szybciej. Słowo lupanar wywodzi się od „lupy”, wilka. Pracownice przybytków uciech miały obowiązek właśnie w ten sposób obwieszczać o swej gotowości bojowej.

Minąłem rząd wymarłych domków i znalazłem się przed solidną insulą dającą

niewątpliwe oznaki życia.

W małych okienkach na piętrze ukazywały się roześmiane główki niewieście; dziewczyny wpierw naśladowały wilczyce, a potem wycofywały się, parszkając perlistym śmiechem.

Parter kamienicy był ślepy; tynk już oblaźł; ślady murarskiej roboty były przez to łatwo rozpoznawalne.

Insula posiadała fundament uczyniony z kamienia ciosanego; nad nim widniały pasy cegieł i różnobarwnego kamienia łamanego; zdarzały się też fragmenty wyłożone kamieniem polnym. Wyglądało to na robotę z czwartego bądź piątego wieku. Na pewno stała długo; parter zdążył zapaść się do połowy; bez trudu mógłbym dosięgnąć okienka na piętrze i złapać dziewczynę za rozszczebiotaną buziuchnę, gdyby nie to, że na mój widok zniknęła.

Wejście do lupanaru było niczym przejście pod jarzmem kaudyjskim, którym Sammici poniżyli pokonanych Rzymian. Należało niemalże doń się wczołgać, a na pewno - pochylić głowę! Wcześniej trzeba było skorzystać ze schodków nie remontowanych od wieków.

Przybytek rozkoszy absolutnie nie potrafił niczym zachęcić do skorzystania z jego usług. Mimo to miał powodzenie. Właśnie wyłazili z niego dwaj osobnicy o gębach ogorzałych od słońca i wiatru, o wyraźnie lewentyńskich rysach. Syryjczycy? Ormianie? Egipcjanie? Jeden rzekł coś do drugiego; rozpoznałem mowę grecką.

Domniemani potomkowie Leonidasa jęli poklepywać mnie po ramieniu i popychać do drzwi, ponieważ jednak nazbyt się do tego nie kwapiłem, poszli sobie z pieśnią na ustach.

Spadł deszcz. Głupio było moknąć; wszedłem do środka, szeroko rozwierając oczy, by dojrzeć cokolwiek w tych ciemnościach.

Niemal fizycznie czułem wszechobecny kurz i brud; odór gotowanej kapusty był zaś prawie uchwytny. W przedsionku nie zastałem żywej duszy. Rozejrzałem się - sceptycznie. Po prawicy mej widniała smuga jasności. Eureka! - pomyślałem, naśladując słynny okrzyk Syrakuzanczyka Archimedesesa. - Tam coś jest!

Wąski otwór bezdrzwiowy prowadził do... perystylu. Stały tam nawet kwiatowe klomby i proste ławeczki. Na jednej wylegiwał się wypasiony osobnik. Co ciekawe, kiwnął na mnie! Tupeciaż!

Kiwnął i coś zaskrzeczał. Nie rozumiałem jego dialektu. Rozłożyłem ręce. Chyba nie pierwszy raz spotkał się z taką sytuacją. Na pewno nie pierwszy, jeśli był

pracownikiem zamtuza, a może nawet samym głównym rajfurem. Pokazał coś na palcach. Potem gwizdnął. Z sieni wynurzyła się miejscowa piękność.

W nocy jeszcze by uszła. Aliści był to dzień - choć ponury, pochmurny, dżdżysty. Nawet jednak jak na piękność dnia dżdżystego, ponurego i pochmurnego, prezentowała się nader przeciętnie. Nie należała do kobiet wysokich i smukłych; co do urody, ta była trochę ładniejsza od starej pomarszczonej Ginewry. Niska i przysadzista, o rozłożystych biodrach, jedną miała tylko zaletę: długie, czarne, swobodnie spływające na ramiona włosy. Musiała jednak wydzielać jakieś ponętne feromeony, bo coś poruszyło mi się poniżej pasa.

Tłuszcioch nadspodziewanie energicznie zerwał się z ławy, podskoczył do dziewczyny, pchnął ją w moim kierunku, unosząc dwa palce.

Dwa - zgoda; ale, czego dwa? Dwa dinary? Dwie sztuki złota? Złoto nie wchodziło w grę. Kasę trzymał Arab. Przed wyjściem do portu wydzielił każdemu garsteczkę miedziaków, a po awanturze z trójką wojowników Lancelota, dorzucił po srebrnym pieniążku, arabskim dirhamie. Pamiętałem, że dirham to już było coś. Kilkadziesiąt dirhamów wystarczyło na miesięczne utrzymanie dla rodziny w Bagdadzie. Miedziaki miałem za pieniądz zupełnie bezwartościowy, za monetę zdawkową, wystarczającą na bochen chleba, lecz nie na to, by kupić sobie chwilę przyjemności.

Wzruszyłem ramionami.

Na twarzy grubasa pojawiło się niedowierzanie. A potem złość! Przeraziłem się. Sięgnąłem do moich skromnych zasobów. Natręt wybrał dwie miedziane monety, po czym rozdziawił gębę w szerokim uśmiechu.

Oniemiałem wewnątrz. Czy miłość może być tak obrzydliwie tania? Człowiek jest dziwnym stworzeniem: kiedy coś jest arcytanie, korzysta z tego nie mając zbytnej ochoty, czy wręcz nie wykazując śladów entuzjazmu! Wydaje mu się bowiem, że zarabia - choć w istocie traci.

Skorzystałem przeto z usługi świadczonej przez brzydką długowłosą; poszliśmy do ciasnego i ciemnego pomieszczenia bez okien, za to z twardymi kamiennymi ławami, wyłożonymi okropnymi, zatęchłymi materacami.

Usiadłem i gestem nakazałem jej, by uklękła przede mną.

Marynarz w każdym porcie ma dziewczynę, lecz zazwyczaj jest to dziewczka sprzedajna, co znakomicie upraszcza pewne sprawy. Okazało się, że nie tylko ja

trafiłem do burdelu; inni również, tyle że niekoniecznie do tego samego... Było o czym rozprawiać wieczorem!

Podnieśliśmy żagle następnego dnia. Znow rozpoczęła się monotonia i niewygoda morskiej podróży, przerywanej paroksyzmami strachu, kiedy wiatr się nasilił. Nigdy jednak nie przeżyliśmy sztormu tak okropnego, jak ten z początku podróży.

Jeszcze kilkakrotnie była okazja odwiedzić zamtuz, atoli pierwsza wizyta zniechęciła mnie wystarczająco do tej idei. Próbowałem się za to upić, lecz zabrakło drobnych. Srebrnego dirhama nie ruszyłem, chowając go na czarną godzinę. Obsesyjnie bowiem dręczyłem się myślą, że mogę się zagubić, a statek nie będzie czekał i odpłynie beze mnie. Poza tym nie uważałem się za ulubieńca Araba. Kto wie, czy nie radby był pozbyć się mojej skromnej osoby?

Byliśmy na morzu już chyba ze trzy tygodnie, gdy majtek z bocianiego gniazda skrzekliwym głosem obwieścił, że widzi obcy żagiel.

Stałem wtedy blisko kapitana i zobaczyłem, jak blednie. Zrazu nie umiałem dociec, co spowodowało tak gwałtowną zmianę nastroju Greka, przedtem emanującego witalnością. Potem jednak pomyślałem, że widocznie wpłynęliśmy już na wody bizantyńskie i żeglarz obawia się piratów. Pamiętam, że Arabowie uwielbiali ten proceder, a nasz dwumasztowiec był praktycznie bezbronny.

Przyspieszyć nie mogliśmy, gdyż już płynęliśmy pod pełnymi żaglami. Zresztą wypełniona towarem jednostka była bez szans w ewentualnym wyścigu.

Obcy żagiel przybliżał się. Z oczywistych względów nie posiadaliśmy na pokładzie chronometru. Nie dało się ocenić, jak długo to trwało. Wszelako był to czas trwogi.

Uratowała nas zmiana pogody. Wpłynęliśmy w strefę mgły. Wiatr ucichł. Nim zamarł zupełnie, kapitan nakazał załodze wyciągnąć oręż.

Mój Arab podszedł do Greka śmiałym krokiem, oznajmiając stanowczo, że ma pod swoją komendą trzech ludzi odważnych i wprawnych w machaniu mieczem (czyli że mnie do tego grona nie zaliczył). Szkopuł w tym, że swą kwestię wyrzekł po arabsku i bizantyński żeglarz nic nie zrozumiał.

Tak już bywa, iż coś podobnego człowieka złości. Kapitan gwałtownym gestem nakazał mu odejść. Arab zrobił się czerwony na gębie - chciał chyba w rewanżu, za doznane upokorzenie, naskoczyć na mnie, lecz po krótkim namyśle zrezygnował. Odstraszyłem go groźną miną.

Na szczęście we mgle zgubiliśmy tajemniczy statek.

I to był koniec pierwszego etapu morskich przygód. Do konstantynopolskiego portu w Złotym Rogu wprowadził nas wojenny okręt z eskadry patrolującej przybrzeżne wody. Na redzie stało mnóstwo statków; maszt przy maszcie. Wyglądało to niczym wielobarwny i różnokształtny las unoszący się majestatycznie na falach.

Zanim tam się schowaliśmy, należało uiścić opłatę za zdjęcie łańcuchów broniących dostępu do wnętrza basenu portowego.

W porcie kręciły się łódki z pokrzykującymi wioślarzami. Nietrudno było odgadnąć, iż chcą zawieźć nas na brzeg. Ale za ile? Negocjował Arab, czyniąc to przy pomocy rąk. Przypuszczam, że nie wyszliśmy na tym najlepiej.

Jakoś jednak dogadał się z wioślarzem, ponieważ Grek zaprowadził nas nawet na nieodległą kwaterę, o której zapewniał, że jest tania.

Rankiem dowódca oświadczył: - Wszechmocny nam sprzyja. Statek do Basry odpływa nazajutrz.

- Tak wcześniej? - zdumiałem się, przelękając kawałek pszennej placki.

Teraz z kolei zdziwił się Arab:

- Chcesz tu zostać?

- Na stałe nie - odparłem. - Wszak chętnie bym obejrzał miasto.

- Konstantynopol rozległy. Mieszka tu dziesięć razy po sto tysięcy ludzi. Trzeba by na to najmniej tyle czasu, ile tu płynęliśmy.

- Toż nawet nie marzę o tym, aby obejrzeć go w całości!

- Czy coś interesuje cię w sposób szczególny? - spytał Arab, dając złośliwym uśmiechem do poznania, że dzikus z brytańskich lasów nie może mieć bladego pojęcia o tutejszych skarbach.

- Oczywiście! - rzekłem żarliwie.

- Co niby? - wciąż wykrzywił twarz w ironicznym grymasie.

Wypaliłem jak z armaty:

- Przede wszystkim zamierzam obejrzeć wielkie kościoły Konstantynopola na czele z Hagia Sophią oraz wspaniałe pałace cesarza Teofila!

- Słyszałeś o pałacach Teofila? - spytał po chwili z niedowierzaniem w głosie.

- Wiem, że nie poprzestał on na odnowieniu miejskich murów, co uwiecznił inskrypcją, lecz zbudował jeszcze wiele pałaców naśladujących wzory z Samarry i Bagdadu. Mistrz naszego bractwa opowiadał nam, że cesarz był wielkim miłośnikiem kultury arabskiej.

- To wiesz więcej ode mnie!

Pochyliłem głowę w geście udawanej czołobitości.

- Raczyłeś wprowadzić mnie wcześniej w zawile sprawy Wschodu, przeto dozwolisz może, że opowiem ci co nieco o tej przewspaniałej metropolii...?

Zasłonił twarz.

- Tylko nie zamęczaj nas za bardzo! Szkodzi to na trawienie.

Było oczywiste, że liczy na moją kompromitację. Znacząco popatrzył na kompanów, strojąc przy tym dziwne miny. Chyba znaczyło to: „nawet ślepej kurze trafia się czasami ziarno”. Poważnie musiałem wysilić pamięć, by nie dać mu satysfakcji.

- Cesarz Teofil zbudował pałac Tzykanisterion, sąsiadujący z pałacem do gry w polo, a położony wśród pięknych ogrodów. Grę tę Grekom zresztą próbował zaszcześcić, ale chyba bez powodzenia. Wzniósł też pałac Trikonchos, zawdzięczający swą nazwę trzem półkolumnom wieńczącym trzy apsydy budynku, który posiada ściany tylko po bokach od strony południowej i zachodniej, w środku natomiast wsparty jest na czterech kolumnach. Do pałacu wchodzi się przez jedną z trzech bram, prowadzących do apsyd. Brama środkowa powinna być ze srebra, bramy boczne - z brązu.

Arab aż pokręcił głową, a wojownicy Lancelota spojrzeli na mnie tak, jak nigdy dotąd mi się nie przyglądali. Byli po prostu niebotycznie zdumieni.

- Radbym tę srebrną bramę zobaczyć - powiedział dowódca.

- To nie będzie łatwe - rzekł naraz obcy głos.

Arab odwrócił się. - Kim jesteś? - spytał z irytacją.

- Też Teofil - odparł zagadnięty - lecz nie cesarz, a syn gospodarza.

- Witaj Teofilu - rzekłem życzliwie.

- Dlaczego uważasz, że nie będzie to łatwe? - czepiał się Arab, by po chwili zreflektować się: - Prawda, nie jesteśmy zagranicznymi posłami.

- Och! - powiedział Bizantyńczyk. - Nie wszystkich dostojnych gości tam się wpuszcza, muszę niezwykle na ten zaszczyt zasłużyć, albo być osobami bardzo ważnymi dla Cesarstwa!

- Nie mamy po co tam iść?

- Próbować zawsze można - odparł syn właściciela gospody. - Najwyżej wtrąca was do kazamatowi

- Aleś dowcipny! - zachnął się Arab. - Grecy zawsze uchodzili za ludzi

ponurych, nawet przy winie rozprawiających o religii i zabijających się wzajemnie z powodu różnic doktrynalnych!

- Tu się mylisz - odrzekł młody Bizantyńczyk. - Kochamy życie i naszą wiarę, do której odnosimy się poważnie. Stąd bierze się zaciekleść naszych teologicznych sporów. Prawdą jest, że nawet największy prostak pośród Greków potrafi cały wieczór kłócić się co do hierarchii Osób Trójcy Świętej. Jest też jednak niestety prawdą i to, że w nasze umysły zakradło się zwątpienie właściwe nacjom świadomym starożytności własnej kultury. Z czego ono wynika? Nieraz gadaliśmy o tym w zacnej kompanii. Przez takową rozumiem grupkę dobrych przyjaciół, nie mniejszą od czterech osób i nie większą od pięciu. Arabowie powiadają, że od sześciu biesiadników zaczyna się bazar - i trzeba przyznać im rację. Sześć to liczba nieszczęśliwa. Rodzi się wtedy wzajemna niechęć, płynąca z niemożliwości porozumienia się. Picie w samotności jest ponurym obrzędem, nieco tylko wznioślejszym od picia w dwójkę. Trzech biesiadników to również za mało. Starczy, że jeden ma kiepski nastrój i cały czar pryska. Przy czwórce jest szansa na miłą pogawędkę. Towarzystwo złożone z pięciu osób już ją gwarantuje!

- Czyli z czego wasz smutek wynika? - zniecierpliwił się Arab.

- Miarkuję, że ze świadomości skończoności i kruchości ludzkiego istnienia.

- Bizantyńczycy są tchórzami - wypalił nagle jeden z wojowników Lancelota.

- Wy, ludzie Zachodu, nigdy nas nie rozumieliście - powiedział Grek z cokolwiek wymuszonym uśmiechem, jednakowoż panując nad sobą bez zarzutu. - Obroniliśmy się przed słowiańską, awarską i arabską nawałą. Wy zaś daliście się wyprzeć za Ren, w dzikie chaszczce, gdzie tylko wilki wyją.

Na takie dictum frankijski barbarzyńca skapitulował; de facto skapitulował, bo stroił jeszcze groźne miny i coś bełkotał, przeżywając niepokój związany z niemożnością należytego wysłowienia się. Toporka bojowego użyć nie mógł; przebywał na obcym terytorium; nakazywało to ostrożność.

Zadowolony z siebie Grek oznajmił, że jeśli nie okazemy się ostatnimi kutwami, gotów jest opowiedzieć o pałacach cesarskich, a nawet doprowadzić nas w ich pobliże.

- Nie wypadłem sroce spod ogona - powiedział Bizantyńczyk z nieklamana dumą. - Mój wuj sprawuje na dworze ważny urząd. Nie jest co prawda mistrzem ceremonii, aliści pracuje w kancelarii jednego z zastępców tej dostojnej osoby.

- Czyli jest zwykłym skrybą, to chciałeś rzec? Grek zaśmiał się zwycięsko.

- To nie tak - powiedział. - Każdy, kto bierze pensję od cesarza, musi zdać

trudny egzamin, ze znajomości prawa, literatury i teologii. Nieuków do pałacu nie biorą. Krewniak mój nie jest pospolitym kancelistą. Posiada dostęp do cesarskiego ceremoniarza! Kiedyś umożliwił mi przeczytanie tej księgi. Wiem przeto wszystko, choć nigdy tam nie byłem.

- Wyniósł księgę?

- Nie inaczej. Poprosiłem go o to i zrobił to dla mnie.

- Musi cię bardzo kochać - rzekłem nagle. Grek spojrzał ze zdumieniem w moją stronę; nie potwierdził, ani nie zaprzeczył. Zamiast tego przypomniał nam o winie.

Rządzący kasą Arab uniósł się z ławy. Wkrótce przed każdym z biesiadników pojawiły się dzbanuszki z oczywistą zawartością.

Młody Teofil ochoczo wychylił do dna swoje naczynie. Powinienem mu właściwie powiedzieć, że pośpiech nie przystoi przedstawicielowi starożytnej kultury.

- Urzędników na wyższe stanowiska nasz pan, który jest zastępcą Chrystusa na ziemi, uroczyście mianuje podczas świąt Bożego Narodzenia. Owi oficjele przybywają potem do pałacu. Aby ubiegać się o posłuchanie u cesarza, muszą skorzystać z pośrednictwa logotety tou dromou. Osobę wizytującą witają cubicularii, którzy prowadzą przybysza do cesarskich apartamentów. Odwiedzający składa hołd naszemu władcy. Jeżeli petent nie ma szczęścia zaliczać się do grona senatorów, musi paść z rozpostartymi ramionami do stóp cesarza i je ucałować. Senator składa pocałunek na piersi cesarza. Cudzoziemski poseł zaś klęczy... Nie pada na twarz! Ach, zawołałoby się: gospodarzu wina!

Arab zrozumiał; rychło pojawił się nowy trunek, a nasza sakwa znowu zubożała. Spostrzegłem, że muzułmanin pije wino z przyjemnością. Zabraniała mu tego wiara, lecz zdawał się o tym nie pamiętać.

- Posła wita się już u granicy. Przy tej sposobności miejscowy dowódca armii wręcza mu podarki w imieniu cesarza. Poseł się odwzajemnia. Nie są to jedyne dary, jakimi go zaszczycamy. Trasa marszruty wysłannika obcego mocarstwa ustalona jest wcześniej. W wyznaczonych miastach witają go deputacje wygłaszające przyjazne mowy tudzież wręczające prezenty. Dwór określa dokładnie, jakie podarki winien poseł otrzymać i kto ma wejść w skład powitalnych delegacji. Niczego nie zostawiamy przypadkowi! W stolicy wita go najważniejszy z naszych dostojników. Wspomniałem już, kto nim jest. Wierzę, że zapamiętaliście... Logoteta składa posłowi wizytę jako pierwszy. Posiada ona ściśle protokółarny charakter. Wiadomo z góry, o czym będzie mowa. Logoteta tou dromou musi zapytać wysłannika obcego mocarstwa, ile spłodził

dzieci, jakim zdrowiem cieszy się jego małżonka, i tak dalej. Musi też zaprosić posła na audiencję. Przed wspomnianą, protokół przewiduje uroczystą wymianę prezentów. Następnie gwardziści cesarscy eskortują posła do pałacu. Przemarsz owego przez Konstantynopol odbywa się w ściśle określony, wysoce ceremonialny sposób. Gromadzą się radosne tłumy; poselstwo zapowiada pokój, jest przeto niezaprzeczalny powód do radości, jako iż wojna potrafi być straszna, każda wojna. Eskortujący cudzoziemca kawalerzyści dosiadają białych koni, a tułowiem chronią złożonymi pancerzami. Wysłannik obcego mocarstwa zawsze jedzie na wierzchowcu sprezentowanym przez bazileusa. Przemieszcza się zaś wśród pięknie przystrojonych budynków. Ospalemu właścicielowi posesji groziłby loch. Loch, z którego niełatwo się wydostać... Wina! Pić się chce!

- Jeszcze masz - powiedział Arab, bezczelnie zaglądając Teofilowi do dzbanuszka.

- Prawda... Orszak podąży do Magnaura. To najpiękniejszy z cesarskich pałaców. Także największy. Najwspanialszy. Uosabia on cały prastary urok Cesarstwa. Widok tej rezydencji zbija z nóg każdego cudzoziemskiego posła. U wrót pałacu obcy wysłannik zsiada z wierzchowca. Przypominam, może niepotrzebnie, iż ów koń zalicza się do jednego z niezliczonych prezentów bazileusa... Poseł spogląda w kierunku portalu. Co widzi? Pytam: Co widzi? Czy sam przewspaniał portal? Nie. Po trzykroć - nie. Przed wejściem tłoczą się przyodziani w najprawdziwszą purpurę najwięksi dygnitarze, na czele z nieodłącznym logotetą! Odprowadzają oni posła wraz z świtą do sali audiencyjnej. Kiedy dostojny gość wchodzi, rozchylają się kotary. Przedtem zasłaniały Niewysłowione, teraz już nie zasłaniają! Sam cesarz siedzi na Złotym Tronie, a wokół niego - tłum. Wszyscy klękają; gość idzie naprzód, z wzrokiem wbitym w majestat. Dochodzi wreszcie do płyty z czerwonego porfiru. Logoteta wcześniej go pouczył, że w tym miejscu powinien się zatrzymać. I zatrzymuje się! Tuż przed sobą widzi cesarza. W tej sytuacji nie pozostaje mu nic innego, jak oddać trzykrotny pokłon. Musi to zrobić! Później poseł przekazuje życzenia zdrowia od swego monarchy i wręcza majestatowi pismo od swego pana. Bazileus czyta list i zadaje pytanie o zdrowie owego „brata” bądź „syna”. To ważne rozróżnienie. Tytuł „brata” przysługuje tylko kalifom: bagdadzkiemu, kordobańskiemu i egipskiemu. Tych nasz cesarz uważa za równych sobie. Inni władcy są dla niego ledwie „synami”.

- I to już wszystko, Teofilu?

- Tak. Ma się rozumieć, podczas pierwszego spotkania zostaje wyznaczony

termin audyencji właściwej. Atoli wcześniej odbywa się uczta, uczta oficjalna! Kiedy o tym czytałem, dostałem wypieków na twarzy, moi mili przyjaciele! O Jezusie, jak gorąco pragnąłem w niej uczestniczyć, zdając sobie przy tym sprawę, że to niemożliwe! Tak nasze życie wygląda: przychodzimy na świat i stale widzimy ludzi, którzy są nikim, acz niestety opływają we wszelkie dostatki!

Coraz trudniej było mi spamiętać opowieść młodego Greka. Złośliwy trunek w końcu poskutkował. Zmorzył mnie sen. Innych także.

ROZDZIAŁ II

Spiliśmy się jak nieboskie stworzenia. Rankiem obudziłem się przed innymi i odważnie ruszyłem na zwiedzanie miasta. Szczególnie zależało mi na przepysznym kościele Mądrości Bożej, wzniesionym na rozkaz Justyniana przez dwóch genialnych architektów, którym pomagało dziesięć tysięcy robotników.

Chcieć nie zawsze znaczy to samo co móc; zawrócono mnie z pierwszego mostu. Powód był prozaiczny: brak karmy, czyli - monet użytkowych. Smutny wróciłem do gospody, trafiając na awanturę. Arab krzyczał, że nas okradli; gospodarz zaś udowadniał, iż po prostu tyle przepiliśmy.

Wyszedłem i pokręciłem się po nadbrzeżu, przyglądając się rybakom, wykładającym swą zdobycz do koszy. Zaraz zjawili się potencjalni nabywcy ryb i zaczęli sprzeczkę. Z goryczą pomyślałem, jaką potęgą jest pieniądz.

Na szczęście Arab nie stracił wszystkiego i mogliśmy się zaokrętować. Nawet starczyło jeszcze na niewymyślne jedzenie, w skromnych co prawda ilościach. Zanosilo się na to, że będziemy srodze pościć w trakcie morskiej podróży.

Wieźliśmy - jak to wywachał Arab - tekstylia do portu w Attalii, położonego na południowo - zachodnim wybrzeżu Azji Mniejszej. Z Attalii statek miał wrócić do Konstantynopola, zabierając ze sobą ładunek korzeni i barwników, a być może także jedwabiu, choć o tym się głośno nie mówiło.

Płynęliśmy nie sami, a w konwoju. Eskortowały nas okręty wojenne uzbrojone w wyrzutnie ognia greckiego. Morze tradycyjnie kołysało, a pod pokładem panował

okropny smród. Rzygaliśmy. Miało to swoje dobre strony, ponieważ dzięki temu oszczędzaliśmy na jedzeniu.

W pewnym momencie powiedziałem do Araba:

- Mówiłeś, że popłyniemy prosto do Basry? Czy starczy nam pieniędzy?

- O to się nie troszcz - warknął.

- Twoja wola, panie - ukloniłem się z prześmiewczym uśmiechem i odszedłem, trzymając się lin.

Do portu w Attali dotarliśmy po tygodniu monotonnej podróży, podczas której nie wydarzyło się nic szczególnego, jeśli nie liczyć pokazania się paru żagli na horyzoncie.

Jeden z majtków skomentował to następująco:

- Zobaczyli dromony i wycofali się, psubraty!

- Piraci? - zagadnąłem, podchodząc bliżej.

- Arabowie, czyli piraci - odparł.

- Co zacz, dromony? Okręty wojenne, tak?

- Okręty wojenne z opancerzonym pokładem. Najlepsze są do tego płyty ołowiu. Niestety, muzułmanie też nauczyli się je budować.

Marynarz rozgadał się - widocznie miał taką duchową potrzebę - wyznając, iż ogień grecki, który uratował Konstantynopol niesłusznie nosi taką nazwę, a przynajmniej nie całkiem trafnie. Szkopuł w tym, że wynalazł go pewien Syryjczyk, przychodząc z tym do kalifa. Władze arabskie zlekceważyły wynalazcę. Ten nie dał się odepchnąć od razu, próbował, stale próbował, wydeptując ścieżki do różnych urzędów, wszędzie jednakowoż spotykając się ze wzgardą. W najlepszym przypadku domagano się baczyszu za samo rozpatrzenie sprawy. Syryjczyk pieniędzy nie miał, a na wynalazku zamierzał zarobić, a nie dokładać!

Wyraziłem pełne zrozumienie dla jego postawy;

- Zgłosił się do was?

- W jaki sposób miałby to zrobić - zaśmiał się żeglarz - skoro dzieliło go od nas tysiące mil nieprzyjaznego terenu!

- Dla chcącego nic trudnego...

- To się tylko tak wydaje - burknął. - Na szczęście nie musiał. Wywiad zgłosił się sam. Do naszego rezydenta w Attali, właśnie w tym porcie, do którego płyniemy, dotarła wieść o cudownej broni. Rezydent sprowadził wynalazcę, hojnie obdarował i wysłał do stolicy. W Konstantynopolu znaleźli się mądrzy urzędnicy, którzy

przyklasnęli pomysłowi. Wnet zabrano się do dzieła, budując całą flotyllę małych, szybkich łódek, zwanych karabos. Na nich to postawiono wyrzutnie płynnej, łatwo palącej się substancji. Łodzie podpływały do arabskich okrętów, posyłały im ogniste podarki i umykały. Ich miejsce w szyku zajmowały nowe. Nieprzyjaciel był jak ogłupiony. Po raz pierwszy spotkał się z czymś takim. Zdruzgotany, musiał wycofać resztki swej floty. Kiedy zbudował nową, byliśmy już silniejsi, albowiem cesarzowi udało się zawrzeć pokój z Awarami i Słowianami. Gdyby kalif w Damaszku od razu połapał się w wartości wynalazku Syryjczyka, nie istniałyby już resztki dawnego imperium rzymskiego. Aliści istniejemy - wyspa w muzułmańskim morzu. Islam podbił cały świat!

- Tam, skąd przybywam, nie dotarł.

- Barbarzyńcy się nie liczą - rzekł z nieukrywanym lekceważeniem.

Milczałem ponuro.

- Niestety, wkrótce muzułmanie przeniknęli naszą tajemnicę. Ktoś musiał ją zdradzić, to pewne. Na szczęście nie załamaliśmy rąk. Podjęliśmy środki zaradcze. Małe łodzie były już nieprzydatne jako miotacze ognia. Wielkie okręty przeciwnika zostały opancerzone. Ich burty i pokłady pokryły warstwy ołowiu. Postąpiliśmy tak samo. Dromony same stały się miotaczami zapalających substancji. Uzbiliśmy je zarówno w wyrzutnie przeznaczone do walki z bliska, jak i w ciężkie syfony. Załoga takiego ogromnego okrętu to dwustu ludzi!

- Dużo wiesz - powiedziałem.

- Jestem dobrze wykształcony - rzekł z dumą marynarz, wciągając w płuca spory haust ożywczego morskiego powietrza. - Przygotowywałem się do egzaminu państwowego. Chciałem zostać kancelistą. Zdałem ten egzamin, lecz zabrakło wakatów. Zasugerowano mi przeto służbę we flocie, argumentując, że to dobre miejsce dla ludzi ciekawych świata. Pochodzę z temu Anatolikon. Mój ojciec i dziad byli żołnierzami. Tem Anatolikon strzeże granicy z zachłannym islamem, choć, dzięki Bogu, zapął wojenny wyznawców Proroka już wystygł. Dziad miał jeszcze działkę rolniczą, którą obrabiał podczas pokoju, przywdziewając pancierz jedynie w wojennym czasie, atoli ojciec już tylko służył zbrojnie, w orszaku przybocznym namiestnika. Mam świadomość mego mieszanego pochodzenia. Bóg jeden wie, jaka jeszcze krew we mnie płynie, lecz nie przeszkadza mi to uważać cesarza za swego pana... Staram się służyć mu wiernie, choć wołałbym służbę cywilną. Tak już jednak jest, że do pióra kandydatów jest wielu, a nadstawiać karku nikomu się nie chce... Odnoszę wręcz

wrażenie, iż zdałem egzamin lepiej od niejednego, co został przyjęty do urzędu w Konstantynopolu! Och żebym chociaż trafił do zarządu attalijskiego portu! W Attali pobierane jest cło na towary przywożone przez kupców ze Wschodu! Przepływa tam rzeka wszelakiego dobra! Wszakóż zabierzemy na pokład ładunek pieprzu i cynamonu, barwników i jedwabiu! Domyślasz się, jakie to stwarza możliwości?

I nie czekając mojej odpowiedzi oddalił się. Być może przestraszył się, że powiedział za dużo.

W Attali musieliśmy zdobyć pieniądze na opłacenie podróży do Basry, leżącej już na ziemi arabskiej. Rychło wyszło na jaw, iż gospody są tu tak drogie, że nie stać nas na nocleg!

Starczyło jedynie gotówki na ciepłą strawę; Arab wydzielił nam po parę miedziaków. Najedliśmy się bobu z ulicznej garkuchni.

Bób był całkiem, całkiem, acz u Ojca potrawa owa smakowała mi bardziej. Doprowadziło mnie to do konstatacji - nader oczywistej - iż średniowiecze jadło podle.

Miasto składało się z trzech części, opasanych oddzielnymi wałami. Arab naznaczył nam spotkanie w dzielnicy handlowej, o zmierzchu. Konkretnie - przed smażalnią mięsa. Pomyśl był to perfidny... Złość nam jednak przeszła, kiedy zorientowaliśmy się, w jakim oplakany wrócił stanie!

Oko miał opuchnięte, policzek zdobyła mu krwawa szrama; szedł zgarbiony, jakby grzbiet zmłócono mu kijami (jak wiadomo, często spotykało to dzielnego, acz nieco zwariowanego rycerza z Manchy!). Wszelako nasz Arab nie należał do gatunku Don Kichotów; szlachetności było w nim tyle, co kot napłakał. Jeśli oberwał, to dlatego, że próbował zbójowania.

- Jak było? - spytałem, może nazbyt impulsywnie.

- Tak jak widać - odparł ponuro.

- I co teraz?

- Nic. Czekamy.

- Na co? - mruknął jeden z milczków Lancelota.

- Bizantyńczycy słyną z dobroczynności - rzekłem. - Chyba nie dadzą nam zdechnąć z głodu?

- Nie - powiedział trzeci osiłek. - Nie będę żebrał, choć winy w sobie nie znajduję.

Wojownik uczynił zdecydowanie aluzję do tej nieszczęsnej biesiady w konstantynopolitańskiej tawernie, kiedy to zostaliśmy spici winem i obłupieni do cna.

Arab uniósł ramiona i zawołał:

- Na Boga, przysięgam, że to był pech, straszliwy pech! Wmieszał się w to wszystko zły duch, szejtan, i pokrzyżował mi szyki!

- A może raczej Anioł Stróż ostrzegł tych nieszczęśników?

- Nie - upierał się Arab. - Była to sprawka nieczystego ducha. Poszedłem do upatrzonego domostwa, wyglądającego na zamożne i wyludnione, i...

- W dzień - warknął drugi osilek. - Zwierzę zwane osłem stokroć jest sprytniejsze od ciebie, drogi Ibrahimie...

Drgnąłem. Po raz pierwszy usłyszałem imię naszego renegata. Byłem tym zaskoczony i zdziwiony. „Pogodziłem się” już z myślą, że po prostu Arab nie posiada imienia!

- Staralem się uczynić wszystko, abyśmy nie musieli znowu spać na plaży.

- Noce nie są jeszcze całkiem chłodne - rzekłem z uśmiechem.

- Ty pochodzisz z zimnej Brytanii, tobie to nie przeszkadza!

- Nie wściekaj się. Nie ja trzymałem kasę.

- Mądrze prawi - warknął jeden z ludzi Lancelota.

Arab uspokoił się.

- Znalazłem się na piętrze... i wtenczas zostałem napadnięty w sposób wyjątkowo zdradziecki!

- Jak to? - zdumiałem się. - Przecież to ty byłeś napastnikiem!

- Ba! - westchnął. - Tak sądziłem.

- Z przyjacielską wizytą się wybrałeś, do nieznanym sobie ludzi, z zamiarem złożenia im pokłonu, oddania należnego szacunku i - na ostatku - grzecznego poproszenia o mizerny datek w wysokości pięćdziesięciu solidów, bo tyle, mniemam, kosztuje, dalekomorska podróż?

Ibrahim ścierpiał moje uwagi w dostojnym milczeniu. Wzniósł ramiona ku zachmurzonemu niebu i krzyknął przeraźliwie:

- Nie ja jeden, rozumiecie? Byli tam inni, co mieli ten sam cel na widoku! Oni dali mi w łeb i policzyli wszystkie kości! Dlatego mówiłem, że wmieszał się w to wszystko zły duch!

- Wybaczcie - powiedział nagle ktoś obcy. - Zdaje się, cierpicie na brak gotówki?

Przyjrzałem się temu człowiekowi. Wyglądał na kupca. Był brzuchaty i dobrze ubrany.

- Skąd to wiesz? - spytałem odruchowo. - Rozumiesz naszą mowę?

Okazało się, że w zaciętrzewieniu posłużyłem się swym ojczystym językiem, czego skutek mógł być tylko jeden. Na szczęście Arab nie stracił kontenansu i uratował sytuację.

Kupiec z bazaru poradził nam, abyśmy zaciągnęli się jako wiosłarze i po prostu odpracowali podróż. Dodał, że jego mużułmański pociotek wysyła statek do Basry i ma kłopot, albowiem nie może skompletować załogi.

Było to upiorne doświadczenie, do tego trwające ładnych parę tygodni, w następstwie nie sprzyjających nam wiatrów; w ów zadziwiający sposób sprawdziło się później powstałe przysłowie: biednemu zawsze wiatr w oczy wieje!

Wiosła były wielkie i ciężkie; morze rozszalałe; niebo zachmurzone; popadywał deszcz, niekiedy przechodzący w ulewę; wypoczynek pod pokładem, gdzie brakowało powietrza, należał do jeszcze bardziej dolegliwych doświadczeń niż samo wiosłowanie.

Kiedy dotarliśmy do Basry, dłonie miałem parokroć zdarte do krwi, a duszę obolałą.

Aliści w końcu nadchodzi kres wszystkiego; kupieckie miasto Basra otworzyło się przed garstką wynędzniałych podróżników, w których nikt nie domyśliłby się średniowiecznych odpowiedników agenta 007. Byliśmy zgrają zniszczonych życiem, przepracowanych i przepracowanych nędzników, godnych uwiecznienia przez Wiktora Hugo.

Choć niepodobna było poznać, sądząc po naszym wyglądzie, istoty misji, jaką zostaliśmy obarczeni, była ona realna. W jakiś sposób dodawało to nam wewnętrznych, duchowych sił, wzmagając nasz upór.

Dzielny Arab padł na kolana przed właścicielem statku i poprosił go o jałmużnę. Nie domagał się zapłaty, czym trochę fortunata uspokoił, bo ten, gdy tylko zobaczył nieboraka u swych stóp, wyraźnie się najeżył i bliski był tego, żeby go kopnąć.

- Jesteś silny i zdrowy - rzekł kupiec - powinieneś pracować, a nie żebrać!

- Nie mamy pracy - odparł dowódca naszej spec grupy. - Pieniądzy też nie.

- Hm... Twoi kompani wyglądają na cudzoziemców. Skąd przybywają, i co ty, wyznawca Proroka, robisz w ich towarzystwie?

- Zaraz ci wszystko wyjaśnię, o dostojny! Ludzie owi pochodzą z najodleglejszej krainy na świecie, z Brytanii, która jest wyspą. Dalej nie ma już nic.

- Nie potrzebujesz mnie pouczać - prychnął gniewnie handlarz.

- Są oni kupcami, a mnie najęli jako przewodnika. Posiadali złoto, aliści oskubali nas Grecy w Konstantynopolu.

- Wierzę, że Bizantyńczycy was oszukali. To urodzeni szalbierze. Wszyscy chrześcijanie są tacy. Mahomet przewróciłby się w grobie, gdyby wiedział, że dziś, aby dojść w świecie islamu do jakichkolwiek godności, wcale nie trzeba wyznawać wiary w Koran, księgę objawioną!

Kupiec wykrzyczał swój żal, po czym prawił dalej:

- Mnie również próbowano okpić w Konstantynopolu, dokąd popłynąłem z cennym ładunkiem. Dlatego wam współczuję. Rząd cesarstwa nakłada straszliwe cła na szkło i barwniki, a bizantyńscy urzędnicy oczekują wielkich łapówek. O przyzwoitym baczysz nawet nie chcą słyszeć! Ci ludzie Boga w sercu nie mają!

Nasz Arab milcząco przytakiwał, czyniąc to samą mimiką twarzy.

Skoro tak to wygląda, polecę was mojemu dobremu przyjacielowi. On da wam pracę.

Przyjaciel kupca wybudował sobie dom poza murami miasta, w otoczeniu kwitnących ogrodów i szumiących strumieni. Dokoła pełno było takich przepysznych rezydencji. Zrozumieliśmy, że mieszkaniec tej luksusowej dzielnicy musi należeć do najzamożniejszych obywateli Basry i trochę nas ciekawiło, na czym nabił kabzę. Jego dom przypominał bardziej pałac niż willę. Otaczało go ogrodzenie z kutego żelaza, udekorowane pięknie rzeźbionymi grotami włóczni. Przed bramą stała się budka strażnicza. Wyszło z niej dwóch zbrojnych, na oko srogich zbójów. Ręce same składały się do modlitwy na widok ich okropnie pokiereszowanych, zawziętych mord. Nie bez strachu pokazaliśmy im pismo od armatora. Kazali czekać. Ponieważ trwało to dość długo, zacząłem spacerować wykładaną żwirem alejką. Trzeba trafu, że prowadziła ona wokół posiadłości naszego przyszłego chlebowawcy. Człowiek to ciekawskie stworzonko; niekiedy trudno mu powstrzymać się od zapuszczenia żurawia. Za zakrętem, kiedy byłem pewien, że strażnicy nie mogą mnie dostrzec, przypadłem do murku i starałem się coś zobaczyć, co jednak było niewykonalne, gdyż za ogrodzeniem znajdowała się ściana zieleni, utkana z krzewów i drzew wyglądających na egzotyczne.

O mały włos nie napytałem sobie biedy, albowiem po drugiej stronie rozległo

się dzikie warczenie; bardzo szybko wycofałem się stamtąd i jak niepyszny wróciłem pod bramę.

Strażnicy cały czas przyglądali mi się podejrzliwie, a jeden nawet zapytał, czy nie próbowałem przeskoczyć płotu.

Zaprzeczyłem. Uwierzył, ale niechętnie.

Na szczęście rozwarły się wrota od rezydencji i stanął w nich odziany na biało Arab w długiej galambiji, ze srebrzystą brodą niewiele krótszą od szaty. Ów sędziwy mąż musiał być ważną personą, gdyż zbiry wyprężyły się i wszelkie polecenia przyjmowały tak, jakby pochodziły od samego Allaha. Majordomus wprowadził nas w obręb posiadłości.

Jeśli nie był to rajski ogród, to Eden nigdy nie istniał!

Zmysły moje nie potrafiły poradzić sobie z nadmiarem nagromadzonych tu wspaniałości! Dom posiadał dach i elewację z marmuru. Zadaszone wejście przyozdobiono posągami. Ścieżki wyłożono drobno tłuczonym kamieniem o barwie cesarskiego porfiru. Prócz drzew naturalnych odkryłem i sztuczne, o srebrnych gałęziach i pozłacanych listkach. Na trawie wylegiwały się hurysy. Dwie leżały w cieniu krzewu nieopodal dróżki, którą podążaliśmy. Ładniejsza z nich zadarła nogę, ukazując niepokojącą czerń swego przyrodzenia. Trwało to krótko, lecz rzuciło się w oczy, iż jej ogródek nie był strzyżony.

Spodziewałem się, że majordomus wprowadzi nas do pałacyku, lecz skrzył w bok, tak że zwiewna budowla, zdająca się unosić w powietrzu, została po naszej prawicy. Przed nami znajdował się wielki staw.

Nagle rozległ się dziwny wrzask, ni to syk, ni to ryk, i z wody wyjrzała złowroga paszcza. Aż zbladłem. Inni również. Zbiornik roił się od krokodyli. Chyba nie staniemy się obiadem?

Starzec wkroczył na mostek. Na dole pokazało się więcej potwornych łbów. Jak na Eden, niezły kontrast!

Przedtem wyobrażałem sobie gospodarza jako leniwego hedonistę, który swój majątek odziedziczył; w błysku olśnienia pojąłem jednak, że nasz przyszły pryncypał to bezwzględny dorobkiewicz.

Gady przyciągały moje spojrzenie. Pamiętałem, z filmów naukowych, że krokodyl nie zmienił się od dwustu milionów lat! Rówieśnik dinozaurów, jest tak nieskomplikowaną (i zarazem doskonale wydajną) maszyną do zabijania, że umiał przystosować się do najgorszych warunków.

Przewodnik doprowadził nas do pawilonu o ażurowych ścianach, z góry osłoniętego skośnym dachem. Drewniane pokrycie imitowało cegłę. Lekko falowały wejściowe kotary. Przed budyneczkiem straż trzymało dwóch zbrojnych. W niedalekiej kępie drzew odkryłem jeszcze dwóch. Fortunat musiał być człowiekiem nie tylko bogatym, także ostrożnym.

Starzec ostrożnie zajrzał za kotarę; wartownicy stali nieporuszeni, z włóczyniami wycelowanymi w naszym kierunku.

Majordomus odwrócił się i kiwnął. Całkiem rozsądnie odebrałem to jako przyzwalające zaproszenie.

Wnętrze pawiloniku olśniewało bogactwem kobierców i dywanów. Od różnorodnych barw mieniło się w oczach. Przy przeciwległej ścianie stała sofa. Półleżał na niej, częściowo rozebrany muzułmanin pokaźnej tuszy, o włóchatym torsie i sterczącym brzuszku. U jego stóp przycupnęły dwie niewieście istoty: czarna i biała. Bogacz spożywał winogrona i pluł pestkami na bladolicą dziewczynę. Zaś dłoń hebanowej piękności pieściła jego krocze.

Uniósł wolną rękę. Znieruchomieliśmy w pewnym oddaleniu. I tak nie śmielibyśmy podejść bliżej. Gady w stawie były aż nadto rzeczywiste. Jeden z osiłków Lancelota aż pierdnął ze strachu!

Przeraziłem się, że smród dojdzie do wrażliwego powonienia Araba! Aż bałem się pomyśleć, co może z nami zrobić, gdy wpadnie w złość!

Hebanowa piękność odwróciła się do nas plecami, wypinając krągły, jędrny, apetyczny goły tyłek. Gapiliśmy się w ten podrygujący, ponętny zadeczek. Wykonywał on takie ruchy, jak jej ciało. Co ciekawe dziewczyna wtuliła kędzierzawą główkę między uda mężczyzny i coś tam wyprawiała.

Nagle bogacz donośnie krzyknął. Niewolnica odsunęła się, oblizując wargi. Właściciel Edenu ciężko westchnął i rzekł:

- To Nubijka. Dałem za nią sto pięćdziesiąt dinarów. Ceny stale idą w górę, świat kroczy ku upadkowi! Wyczytałem gdzieś, iż jeszcze dwieście lat temu przeciętna cena niewolnika wynosiła ledwie sto dirhamów. Zgroza! Aliści nie mam nic sobie do zarzucenia. Nubijki sprzedawane są nawet za trzysta dinarów, zwłaszcza, jeżeli ocenia się je jako młode i urodziwe. Tak więc nie przepłaciłem. Przepłacić jest niedobrze. Nie śpi się wówczas, człowiek gryzie się i chodzi naburmuszony. Nie dopisuje mu apetyt, a w chorej głowie lęgną się ponure myśli... Atoli trzysta dinarów za dobrą konkubinę, wprawioną w arkana miłosnej sztuki, to prawie jak za darmo, zwłaszcza, jeżeli

porówna się tę cenę z cenami artystek. Pieśniarki idą po pięć tysięcy sztuk złota! Słyszałem, że zarządca Babilonii dał za słynną śpiewaczkę czternaście tysięcy, z czego tysiąc dinarów wziął niegodziwy pośrednik. Niektórzy ludzie potrafią chodzić wokół swych spraw, potrafią... Ja muszę ciężko pracować. Nawet nie zdajecie sobie sprawy, jak ciężko. Ale się dowiecie. .. Niebawem!

Popił wody i monotonnym głosem (który mógłby uśpić, gdyby nie ekscytująca świadomość bliskiej obecności stawu z krokodylami) mówił dalej:

- Nubijki są najrozkoszniejsze z czarnych kobiet. Odznaczają się niestety słabym zdrowiem. Długo żyją tylko w Egipcie. Tutejszy klimat im nie służy. Moja luba za dziesięć lat zachoruje na zapalenie stawów... Patrzcie na nią! Uśmiecha się słodko. Błogosławiona nieświadomość!

Znów popił. Przypominał mi naczelnika ze stacji granicznej. Tamtego też stale suszyło.

Murzynki są na ogół niewiele warte i tak też wycenia się je na targu. Targ znajduje się w każdym większym mieście. Towaru na nim w bród: mężczyźni, kobiety, eunuchowie. Kolor biały, żółty, czarny i śniady do wyboru. Każdy znajduje coś dla siebie. Prawo nasze dopuszcza, żeby kilku mężów dzieliło się jedną niewolnicą, służącą im do ulżenia napiętym zmysłom

Arab umilkł. Nie byliśmy pewni, czy skończył, przeto zgodnie milczeliśmy.

- Coście tacy cisi? - rzekł z wyrzutem. - Niemowy mi się trafiły? Chyba nie...

- Panie - powiedziałem. - Nie wiemy, czy wolno nam mówić!

Ktoś obok mnie gwałtownie sapnął. Odruchowo zerknąłem w tym kierunku. Jeden z wojowników Lancelota, jasnowłosy młodzian o byczym karku, zrobił się tak czerwony na twarzy, jakby miał za chwilę paść, rażony apopleksją.

- Pozwalam - wycedził gospodarz.

Zaczerpnąłem tchu.

- Szukamy pracy - rzekłem. - Będziemy wdzięczni za każde zajęcie.

- Znam waszą historię - powiedział obojętnie. - Co potraficie?

- Wychodzi na to, że niezbyt wiele - odparłem ze skruchą.

- Jednak tu dopłynęliście...

- Tak, panie.

- Jakiej domagacie się zapłaty?

I wtedy wtrącił się osioł dowódca, arogancko domagając się trzech dirhamów za dniówkę.

- Mogę ofiarować wam po dirhamie - wycedził bogacz - To moje ostatnie słowo.
Pracować będziecie od świtu do zmierzchu.

- A co z jedzeniem? Dostaniemy darmowe?

- Wykluczone!

Zapanowała cisza. Niewolnice fortunata zaczęły go wachlować. Wyglądał niczym alegoria powodzenia i wszelakiej szczęśliwości.

Chrząknąłem; myślę, że znacząco.

- Chciałeś coś rzec, nieboraku?

- Tak, panie. Nie znamy cen w Basrze. Czy ten dirham dziennie starczy na żarcie i wynajęcie jakiegoś lokum, gdzie moglibyśmy przytulić głowy do poduszek?

Właściciel cudownego ogrodu usiadł na łożu, a damy haremowe legły u jego stóp.

Doprawdy nie wiem - powiedział. - Jak widzicie, Allah jest dla mnie łaskawy. Nie muszę niczego wynajmować... Zaraz... Dawno nie rozdzieliłem jałmużny... W akcie miłosierdzia zezwolę wam na nocleg w mojej stajni.

Pochyliłem głowę.

- Dzięki, panie. A na czym polegać będzie nasza praca?

Jakby się trochę zaniepokoił.

- Jak to na czym! Na wywożeniu gówna! A teraz wynoście się! Wnet rozlegnie się sygnał z minaretu. Muzułmanin modli się pięć razy dziennie, nie to, co wy, skurczybyki!

ROZDZIAŁ III

Nasz pryncypał był handlarzem fekaliami! Zbił majątek na gównie!

Nowi znajomi objaśnili mi, iż ich pracodawca zawarł wieloletnią umowę z władzami Basry na wywóz nieczystości, co zapewnia mu spokojny sen, bowiem konkurencję zdążył już przetrzebić. Dawano do zrozumienia, że doszło nawet do fizycznej eliminacji rywali. Poznikali nagle, a ciała nie znaleziono. Jeden podobno udał się w pielgrzymkę do Mekki, drugi przepadł na pustyni, a trzeci niby wyjechał do

Bagdadu. Niby.

Jakby na to nie patrzeć, zestawienie cudowności Edenu ze źródłem pozyskania środków finansowych koniecznych do jego wzniesienia, było szokujące.

Niestety: nasze zmysły, aż zbyt dokładnie odbierały to, co nazwać można było sednem sprawy. Codziennie rzygaliśmy; apetyt raczej nam nie dopisywał; zmuszaliśmy się do tego, aby dwa razy dziennie zjeść po zbożowym placku, kupowanym w ulicznej garkuchni. Ludzie krzywili się na nasz widok, bowiem szybko zaczęliśmy cuchnąć. Pierwszej nocy zrezygnowaliśmy z noclegu w stajni, łaskawie użyzionej przez pryncypała. Doprawdy, tak w niej śmierdziało, że woleliśmy wyspać się na plaży. Nazbyt długo nie pospaliśmy - obudził nas przenikliwy ziąb. Myślałem zrazu, że tylko ja jestem taki delikatniś, ale nie. Drugiej i trzeciej nocy nocowaliśmy już w stajni, za podgłówek mając wiązkę słomy, a za przykrycie - stary, brudny i śmierdzący płaszcz. Zrozumiałem, że żarty się skończyły. Powiedziałem mojemu Arabowi, że długo w ten sposób nie pociągniemy.

Zgodził się ze mną dodając, że Lancelot nigdy nie wybaczyłby mu porażki.

- Masz jakiś plan? - zapytał. Przyznałem, że jeszcze nie.

- To się staraj, na Boga!

Zacząłem rozważać różne możliwości... Mijały godziny, później jeden dzień, drugi, a ja nie potrafiłem wykombinować niczego sensownego! Tak to niestety jest; im człowiek bardziej się wysila, tym gorsze ma wyniki.

Wreszcie postanowiłem - jak to się mówiło u Ojca - „przespać” problem. Sen, zdrowy sen dobry jest na wszystkie dolegliwości.

* * *

Obudziły mnie brutalne dźwięki dochodzące z korytarza. Ktoś rozbijał drzwi. Zadrzałem.

Niszczycielskiemu procesowi kasacji ulegały - ponad wszelką wątpliwość! - drzwi do mojego własnego mieszkania!

Zbawiciele! Tylko ONI postępują! Nigdy nie pukają, nie dzwonią! Już mnie zbawiali, już tryskał opiekuńczy gaz...!

Ocknąłem się w samochodzie wjeżdżającym na pas startowy lotniska.

Wniesiono mnie do samolotu; na noszach, do których byłem przytroczony. Potem znów uszczęśliwiony zostałem sporą dawką środka nasennego.

Otwarłem oczy w tajemniczym wnętrzu. Siedziałem, a jakaś siła wgniatała moje

sterane ciało w głąb fotela.

- Lecisz do Ojca - burknął mężczyzna w skafandrze. - To jest prom kosmiczny, a ja odpowiadam za to, żebyś bezpiecznie dostał się do nieba.

OJCIEC naprawdę załatwił sobie deifikację, a my, jego niegodni poddani, ludzie małej wiary, nie byliśmy o tym wcale przekonani... Odzyskałem przytomność dopiero w chwili, kiedy prom dobijał do orbitalnej stacji. Wyglądała jak obrzydliwy pająk.

Mimo powrotu świadomości, niewiele potrafiłbym powiedzieć o Stacji. Zbawiciele prowadzili mnie krótkimi, ustawicznie załamującymi się korytarzykami. Sceneria przypominała grę komputerową bądź virtuality.

- Zaraz zobaczysz Ojca - powiedział przewodnik. - Módl się, ale głośno, żeby słyszał.

Posłusznie wybełkotałem słowa modlitwy. Ściana rozsunała się.

- Idź - warknął zbawiciel.

Niepewnie ruszyłem do przodu, wchodząc do ciasnego pomieszczenia, zupełnie pustego, choć na szczęście dość jasnego. Nagle owa skromna jasność przeobraziła się w wielką, nadprzyrodzoną jasność. Głos płynący z sufitu wyrzekł ze słodyczą:

- Witaj w niebie, Marcinie.

Upadłem.

Kiedy się ocknąłem, zobaczyłem przed sobą przerażający, opancerzony trójnóg, z gadającą głową:

- Tak. To JA. Tyle ze mnie zostało. Sama świadomość, sam wszechpotężny umysł. Cieszysz się?

Tym razem utrzymałem się na nogach.

- Kosmos nie dla nas. Nader szczęśliwym okoliczności zbiegiem, choć częściowo ocalałem z katastrofy pod Aldebaranem. Wiesz po co cię wezwałem? Boś ty uosobienie lojalności. Na czterdzieści jeden milionów obywateli, którymi się opiekuję, znajdujesz się na arcywysokim, czternastym miejscu. Co zaś tyczy się owych trzynastu przed tobą, to isticie feralna to liczba! Półgłówki i nieudacznicy. Ty jesteś pierwszy normalny. Dlatego koniecznie pragnąłem cię zobaczyć.

Wyznam - musisz zachować to dla siebie - że osobiście jestem nielojalny wobec siebie samego. Jedyne sześć tysięcy siedmiuset czterdziestu czterech obywateli jest bardziej nielojalnych. Co za swołócz!

Nie wierzę w siebie, to mój problem. Ale czuję, że dodałeś mi sił. Idź tedy w

pokoju! Niechaj gwiazda pomyślności nigdy ci nie zgaśnie, nieboraku! Ha, ha, ha!

ROZDZIAŁ IV

Z wrażenia upadłem, a kiedy znowu się ocknąłem, poczułem, jak wstrętne zbawiciele targają mnie za ramię i leją po mordzie.

Rozwarłem powieki.

O dziwo, ulegli transformacji, ponieważ wyglądali jakoś inaczej. Co więcej, byli podobni do wojowników Lancelota!

- Wstawaj - warknął jeden z nich. - Musimy uciekać!

- Co się stało?

- Zbieraj się. Pogadamy później. O ile uda nam się unieść cało głowy.

Wielki Boże, co tu snem, a co jawą! Ubrałem się pospiesznie i pobiegłem za nimi.

Na szczęście nasze legowisko znajdowało się na obrzeżach Basry, niedaleko rzeczno-portu. Mimo wczesnej pory ruch panował tu niesamowity. Port wręcz tętnił życiem! Łodzie przyływały i odpływały, a w powietrzu unosił się zapach morskich ryb, łagodzony przez oceaniczną bryzę. Zewsząd dochodziły dzikie wrzaski, kojarzące mi się z krzykami wydawanymi przez hordy koczowniczych najeźdźców.

Byliśmy w komplecie. Wszyscy zdrowi i cali. Arab gębę miał posępną, a osiłkowie Lancelota tryskali zadowoleniem. Przyjemnie się na nich patrzyło.

- Wsiadamy do łodzi - powiedzieli.

- Co się wydarzyło? - spytałem. - Umieram z ciekawości!

- Później! - krzyknęli pospołu.

Kiedy znaleźliśmy się na wodzie, odważyłem się powtórzyć pytanie.

- Oświecimy go? Należymy do ludzi czynu i nie jesteśmy skorzy do załamywania rąk. Wybraliśmy się na małą przechadzkę do naszego pryncypała i korzystając z osłony ciemności, przytknęliśmy bogaczowi sztylet do gardła, żądając, żeby wskazał miejsce, gdzie ukrywa swój skarbczyk.

- Będą nas ścigać?

- Sądzę, że tak. Niestety, niełatwo pozbyć się zapachu fekalii. Pryncypał zapewne domyślił się, kto go naszedł.

- A skąd on może wiedzieć, którądy uciekamy?

- Nie może tego wiedzieć, aliści Bagdad jest jednym z narzucających się kierunków ucieczki - odparł całkiem roztropnie wojownik. - Musimy być czujni.

Rzecz nie ulegała wątpliwości. Żeby jakoś zapanować nad natrętnymi myślami, skoncentrowałem się na obserwacji okolicy. Potraktowałem po prostu tę część wyprawy jako turystyczny wypad, dzięki czemu świat wydał mi się bardziej przyjazny.

Brzegi nie były zadrzewione, a krajobraz wyglądał na bezleśny. Jak okiem sięgnąć, wszędzie rozciągały się pola uprawne, upstrzone domkami i zagrodami wieśniaków. O ile dobrze pamiętałem, ziemia była tutaj aluwialna, zdatna do rodzenia pszenicy. Brak drzew nie dziwił mnie. W Babilonii lasy wycięto już w starożytności i to tej zamierzchłej, nie greckorzymskiej.

Kiedy słońce zaczęło zachodzić, zatrzymaliśmy się na popas przy urwistym brzegu. Nim zdążyliśmy postawić namioty, zza zakrętu wynurzyła się cała kawalkada tratw. Było ich przynajmniej kilkanaście, z odpowiednio liczną i dobrze uzbrojoną załogą. Na nasz widok rozległy się rozkazujące okrzyki; niektórzy flisacy złapali za oręż. Szczególnie nie podobali mi się łucznicy. Nawet dziecko wie, iż Arabowie łukiem posługiwali się wybornie.

- Jeśli to pogoń, to po nas - wyszeptał nasz przywódca.

- Nie może być - zaprzeczył najbardziej gadatliwy z mruków, przydanych nam przez sędziwego i despotycznego pana na zamku Berth. - Nie widzisz, jak te tratwy są obładowane? To handlarze!

- Myślisz, że to kupiecka karawana, która wybrała szlak wodny zamiast lądowego?

- Tak.

Jeden z wojowników Lancelota zszedł nad samo lustro wody i wyciągnął w górę ramię w przyjacielskim geście.

Na szczęście dla nas to była karawana. Jej członkowie odetchnęli z ulgą, że nie muszą walczyć. Zostaliśmy powitani nad wyraz serdecznie i obdarowani owocami: arbusami i granatami. Dary przyjęliśmy z wdzięcznością - urozmaiciły nam skromne menu. Wyszło na to, że flisacy zamierzają rozbić obóz w tym samym miejscu. Oznajmili wręcz, że zawsze tu się zatrzymują, gdyż jest ono dogodne do obrony, z racji swego położenia na stromym pagórku.

Noc minęła spokojnie. Skoro świt zaczęliśmy zwijać obóz. Karawana czyniła to samo. Kupcy i flisacy wstawali radośni jak skowronki. Spytałem ich przywódcy, czy zezwoli nam na przyłączenie się do tak zacnej kompanii.

Nie widział przeszkód. Zajęliśmy miejsca w ariergardzie kolumny.

Płynęliśmy do Bagdadu, docelowego punktu naszej misji. Minęło chyba ze sto dni od wyruszenia z nadreńskiego kasztelu Lancelota.

W świecie muzułmańskim drogi wodne występowały niezbyt często; spławnych rzek było tylko dwanaście, na czele z Nilem, Tygrysem, Eufratem, Oksosem i Jaksartesem. Poza Nilem system żeglugi wewnętrznej istniał jedynie w Dwurzeczu; właśnie te tereny radośnie przemierzaliśmy, przy śpiewie obsługi tratw i w huku urządzeń nazywanych przez tubylców noriami. Czerpiące wodę z rzeki i nawadniające polećka norie wydawały charakterystyczny odgłos, miły dla uszu, jeśli ktoś akurat ten nie do opisania dźwięk lubił. A tacy się zdarzali. Uwielbiał go pewien muzułmański dowódca wojskowy, który powiedział, że woli przejażdżki łodzią po Tygrysie od wizyt w pałacu wezyra. Szczerą swą przepłacił życiem.

Na wodach Dwurzeczu babilońskiego żeglowało się nieźle dzięki temu chociażby, że Eufrat leży nieco wyżej od Tygrysu, przez co na odchodzących od niego kanałach statki z łatwością płynęły na wschód, a w drugą stronę można je było bez trudu przeciągać. Eufrat, który był żeglowny od Samosaty, zapewniał połączenie między Syrią a stolicą kalifatu. Innych rzek nie dawało się tak łatwo wykorzystywać. Na środkowym Oksozie chyżość nurtu podczas wysokiego stanu wód uniemożliwiała pływanie nawet lekkim jednostkom. Żeglugę utrudniały też mielizny. Właśnie ze względu na nie, żadnego z miast nad Oksosem nie wybudowano po obu stronach rzeki, tak jak zrobiono to z Bagdadem. Jedynym wyjątkiem było miasto Kilif. Na Jaksartesie nie potrafiła się utrzymać nawet łódź rybacka. Podróżujący do Al-Mansury mieszkańcy Kaszmiru płynęli w dół Indusu na tratwach z workami. Do worków wsadzali korzenie drzewa madżad, następnie wkładali je w skóry i smarowali smołą, by woda nie mogła dostać się do środka. Worki związywali parami, co pozwalało im na nich siedzieć. Po przybyciu do portu okazywało się, że korzenie są całkiem suche.

Drugiego dnia od spotkania handlowej karawany, dotarliśmy do murowanej zapory. Wpierw podziwiałem jej ogrom, a potem przez wiele godzin przeklinałem, gdyż wszystko, co mieliśmy, musieliśmy przenosić. Wprawdzie pomagali nam tragarze wynajęci w pobliskiej wiosce, ale mimo to nie szło uniknąć fizycznego

wysiłku!

A nie szło skutkiem skapstwa Godlifa. Tak zwał się najwyższy i najsilniejszy z osiłków Lancelota. Trzymał kasę, zdobytą na opasłym handlarzu fekaliami, a kto kasę dzierży, ten skupia w swych dłoniach realną władzę. Nasz Arab wyraźnie skapcaniał; nie umiał jakoś podźwignąć się z klęski doznanej w bizantyńskiej Amalfi.

Daremnie przedkładałem wrednemu kutwie, że wszakoż nie musimy sami się męczyć, wystarczy, jeżeli najmiemy więcej tragarzy.

On na to: - A kto za to zapłaci? Przecież nie ty!

I gadał tak w kółko. Zrozumiałem, że Godlif nie bez kozery nosi germańskie imię. Prawdziwie jest Germaninem. Kocha złoto i nad wyraz niechętnie z nim się rozstaje. Tacy sami byli germańscy naczelnicy plemienni najeżdżający zachodnie Cesarstwo; łupili tak długo, aż nie zostało nic.

ROZDZIAŁ V

„Sekta karmatów przypisywała boską naturę Muhammadowi Ibu Ismalowi Ibn Dżafarowi Ibu Muhammadowi! Byli w niej i tacy, co cząstki natury Boga poszukiwali w osobie Abu Saida, a potem widzieli ją w jego latoroślach. Inni heretycy przypisywali boską naturę Abu Al-Kasimowi, zamieszkałem w prowincji Hamdan, znanemu szerzej pod imieniem Al-Mansura. Pewien ich odłam twierdził, że Bóg zamieszkał w człowieku, którego nazwano Ubajd Allah. Jeszcze inni karmaci widzieli Boga w Abu al-Chattabie, handlarzu pszenicą. Ówże mieszkał w Kufie i kupczył z plemieniem Banu Asad. Liczba tych, którym przypisywano boską naturę, jest bardzo wielka, dochodzi do pełnego tysiąca! Powiadano, iż Abu Al-Chattab posiada boską naturę, atoli i Dżafar Ibu Muhammad również ją przejawia, tyle że większą! Oby Bóg przeklął ich wszystkich!”

Ledwie wyszedłem na brzeg, by rozprostować kości po całodziennym wysiłku, zaraz natknąłem się na tego szaleńca. Chyba zaliczał się do derwiszów. Kości bolały mnie jak jasna cholera. Pokonywanie zapory na Tygrysie - ponoć tylko tama w Habace była od niej większa; jak to dobrze, że ziemie dawnej monarchii Sasanidów

znajdują się poza zasięgiem naszych zainteresowań - dało mi się nieźle we znaki. U Ojca żyło się jednak łatwiej; dźwigało się wyłącznie ciężar win duchowych.

Derwisz wynurzył się z zarośli, bosy i radosny, klaszczący w dłonie, i momentalnie zaczął tokować. Chyba dawno nie dopadł słuchacza.

Budził odrazę i lęk. Wszakże było też w nim coś fascynującego. Płonął namiętnością - nie seksualną, a religijną! Krzyczał, że co drugi święty to oszust. Jedyną pewną drogą do raju jest śmierć w walce z niewiernymi! Żadna asceza, żadne ćwiczenia duchowe, żadne podróże w głąb siebie nic nie pomogą! Pochwalam stracenie Al-Hadżadża! Imię jego znaczy tyle co „oczyszczający wełnę”, i na rękodziele też winien poprzestać, a nie brać się za rzeczy, na których absolutnie się nie wyznawał! Stracono go w Bagdadzie; to nieprawda, że był sufim. Al-Birumi grubo się mylił. Może także wplątał się w sidła herezji? Studiowałem nauki Al-Hadżadża! Nie wierzysz? Opowiem ci o nich... żeby cię przestrzec przed zboczeniem na manowce! Grzeszymy nie tylko ciałem, także umysłem! Otóż Al-Hadżadż, który ponoć dziennie odprawiał czterysta rak, zasadniczo należał do gnostyków.

To prastara herezja. Istniała na tych terenach znacznie wcześniej niż nimi zawładnęliśmy! Grubo wcześniej! Pół tysiąca lat wcześniej! Metoda rozumowania Al-Hadżadża, przystrzygacza wełny, jest na wskroś mutazelicka! Nieprawdaż, że przejmuje on od mutazylitów ideę Allaha oczyszczoną ze wszystkiego, co ludzkie? Bierze też od nich nazwę „hakk” na określenie istoty rzeczy! Wyróżniał on u Najwyższego dwie formy percepcyjne: ludzką i boską, posługując się obco brzmiącymi wyrazami, najwyraźniej zaczerpniętymi z syryjskich opowieści o Chrystusie! Wedle Al-Hadżadża, podczas Sądu Ostatecznego, kiedy to każdemu człowiekowi, niezależnie od tego, czy był wierzący czy niewierzący, oddana zostanie sprawiedliwość, Bóg objawi się właśnie w ludzkiej formie! Jako pracłowiek! Czyli, jako „proon anthropos” gnostyków! Al-Hadżadż wydzielił wokół Wszechmocnego cztery kręgi. Są to Jego Wola, Jego Mądrość, Jego Siła i Jego Wiedza. Podczas przeszukiwania domu heretyka znaleziono księgi, napisane na papierze chińskim, wyklejone brokatem i oprawione w cenne skóry. Tytuły rozdziałów pisane były złotym atramentem. Wspaniałe wykończenia ksiąg to obyczaj gnostyków. Treść ich także była nikczemna. Są tam odniesienia do Jezusa jako najwyższego ideału. W księgach Al-Hadżadża Ten, którego chrześcijanie uważają za Mesjasza, a my, wyznawcy prawowiernego islamu, tylko za jednego z proroków poprzedzających naszego Proroka, ćwiczy się w pobożności, oczyszcza swoją duszę, dzięki aktom posłuszeństwa wobec woli Bożej, tudzież w

następstwie stronienia od wszelkich przyjemności. Postępować w podobny sposób - twierdził Al-Hadžadz, występny odszczepieniec - może każdy prawy człowiek. Ktoś taki osiąga kolejne stopnie oczyszczenia, aż do momentu, kiedy w jego naturze nie zostanie nic, co ludzkie. Ludzkie - czyli skażone złem. Wtenczas zamieszka w nim duch Boży!

Derwisz nabrał tchu. Wydawało mi się, że znad rzeki dobiegają jakieś krzyki. Nie zdążyłem się jednak dobrze wsłuchać. Rychło obdartus zalał mnie ponownie kaskadą słów.

„To głosił Al-Hadžadz. Nie uwierzysz, pisał nawet wiersze inspirowane owymi obłąkańczymi poglądami. U nas każdy nieuk uważa się za wielkiego poetę. Zacytuję ci parę wersów: - Jestem tym, kogo kocham, a on jest mną; jesteśmy dwoma duchami, które znalazły schronienie w jednym ciele; jeżeli ty mnie widzisz, ja widzę ciebie; jeżeli widzisz jego, dostrzegasz nas oboje... Prawda, że kiepskie wiersze?”

Derwisz na chwilę umilkł. Nawet największy gorliwiec potrzebuje odrobiny wytchnienia... Lunął deszcz. Derwisz powiedział, abyśmy schronili się w zaroślach. Patrzył przy tym tak dziwnie, że zaniepokoiłem się jeszcze bardziej.

Niepokój mój wzrósł z chwilą, kiedy złapał mnie za ramię. Uścisk miał nadszperkowanie silny. Zdołałem się jednak wyrwać. Rączy pobiegłem w kierunku rzeki. Chyba mnie nie gonił.

Tam doznałem wstrząsu, dreszcz przerażenia ogarnął moje ciało.

Nasz obóz był splądrowany, po kupcach ani śladu, przy brzegu - zwłoki jednego z wojowników Lancelota. Już zlatywały się sępy. Pierwszy usiadł na piasku i czekał. Ruszyłem w jego stronę. Nie odfrunął. Odszedł, nad wyraz niechętnie i doprawdy niedaleko, kryjąc się w wysokiej trawie.

Z duszą na ramieniu spenetrowałem okolicę.

Pozostali na szczęście żyli. Powiadało się u Ojca, że „gówno nie tonie”. Faktycznie: jedyną osobą, która wyszła z opresji obronną ręką, był Ibrahim. Znalazłem go zamaskowanego bładozielonkawymi gałęziami. Nakrył się nimi nader sprytnie.

Dwaj ocaleni wojownicy broczyli krwią, lecz ich rany nie były poważne. Właściwie już zasychały. Godlif skarżył się na ból głowy.

- Zaszli mnie od tyłu i zdzielili maczugą - wymamrotał, niechętnie udzielając wyjaśnień. - Zupełnie się tego nie spodziewałem. Nie wyglądali na wrogo nastawionych.

- Kto mianowicie?

- Kupcy! Przekłęci złodzieje! Okradli nas doszczętnie! Zabrali złoto, bagaże... uczynili nas żebrakami! I oni ośmielają się wytykać nas, chrześcijan, że jesteśmy szalbierzami! A kim oni są?!

- Co czynimy? - spytałem po jakimś czasie.

- Przede wszystkim - powiedział Godlif - musimy godnie pogrzebać naszego zabitego.

- Po co? - wtrącił się do rozmowy Arab. - Wrzućmy ciało do rzeki. Krokodyle szybko zrobią z nim porządek. Po to stworzył je Wszechmocny Bóg, ażeby dbały o czystość wód...

Godlif skrzywił się.

- W żadnym wypadku - rzekłem. - Walczył dzielnie. Godny pochówek należy mu się bez wątpienia.

- To strata czasu... - grymasił Ibrahim, lecz nikt go nie słuchał.

Po tym wszystkim ruszyliśmy wzdłuż brzegu Tygrysu, kierując się stolicę abbasydzkiego kalifatu, gdzie oczekiwał nas tajemniczy przyjaciel. Potrzebowaliśmy pomocnej dłoni, los rzucał nam kłody pod nogi, lecz Lancelot nie obiecywał rozkoszy; wydał rozkaz i to wszystko. Szczegóły go nie obchodziły.

Marsz był niezwykle uciążliwy, nawet dla zdrowych, a przecież mieliśmy dwóch rannych. Ścieżka to ginęła z oczu, to pojawiała się w najmniej oczekiwanym miejscu. Teren był nieuporządkowany, porośnięty krzewami. Z niektórych gałęzi zwisały ciężkie grona dziwnych owoców. Pomyślałem, że lepiej być głodnym i spragnionym niż to żreć; owoce niekoniecznie musiały być jadalne.

Kiedy za bardzo odbijaliśmy w lewo, wchodziliśmy już na uprawne pola, nawadniane wodą z Tygrysu. Stopy grzęzły w miękkiej i czarnej ziemi. Uznawaliśmy to za wystarczający powód do zarządzenia odwrotu.

Wreszcie uśmiechnęło się do nas szczęście. Arab krzyknął: - Łodzie, łodzie!

Przedarliśmy się przez zarośla. Stał po kostki w wodzie i pokazywał ręką wzdłużny kształt kołyszący się w sitowiu.

- Pospolita dłubanka - powiedział wojownik. - Chyba używają jej do łowienia ryb.

- Wieśniacy?

- Ani chybi.

Arab, nie zwracając na nic uwagi, wpatrzony w dłubankę niczym w obietnicę zbawienia, poszedł dalej, zapadając się po pas.

Wydąłem ostrzegawczy okrzyk.

Odwrócił się, czerwony ze złości i oznajmił podniesionym głosem, że wychował się nad jeziorem, i pływa doskonale. Rzecz w tym, iż w tej rzece przebywał ktoś, kto umiejętność pływania posiadał w jeszcze wyborniejszym stopniu, i prócz tego zaliczał się do groźnych drapieżców. Tafla wody nieznacznie drgała w dwóch miejscach i owe drgania przesuwwały się w kierunku Ibrahima.

Był łajdakiem, lecz należał do naszej kompanii i jemu Lancelot powierzył dowództwo. Musiałem go ostrzec! Wszelako zostałem uprzedzony:

- Uważaj! - ryknął Godlif. - Krokodyl!

- Gdzie!?! - zawołał Arab.

- Dwa krokodyle! - wrzasnąłem.

Człowiek jest nader dziwnym stworzeniem; na jednego krokodyla Arab nie zareagował; kiedy usłyszał o dwóch, rzucił się do ucieczki. Wszelako woda, nawet stojąca, ma podły zwyczaj stawiać opór; Ibrahim pogubił się, na moment grzęznąc w miękkim dnie.

W paradoksalny sposób to właśnie go uratowało!

Rzeka zabulgotała i wynurzył się z niej opancerzony łeb. Krokodyl, wiedzion instynktem, uwzględnił w swych rachubach to, że „obiad” stara się umknąć; nie przewidział wszelako słabości niedoszłej ofiary; bestia złapała tylko kępę sitowia, rosnącą w odosobnieniu; Ibrahim, niewiele myśląc wskoczył krokodylowi na grzbiet, wykorzystując go niczym trampolinę, skacząc na twardy grunt.

Z wody wynurzył się tymczasem drugi potwór rzucając się na nas trzech, zbitych w gromadkę. Paszczę otwartą miał szeroko; widać było ohydne, jasnoróżowe podniebienie, zdobione rzędami okropnych zębisk! Na domiar złego - przerażająco białych!

Rozpierzchlił się. W niebezpieczeństwie człowiek myśli tylko o sobie.

Straciliśmy się z oczu, lecz nie na długo. Wnet natknąłem się na Godlifa, a ściślej na jego nogi. Zahaczył mnie nimi w głowę. Spojrzałem do góry; siedział na solidnym konarze i trząsł się. Mężny Godlif narobił chyba też w gacie, bowiem skądys było czuć smród, jakże charakterystyczny dla ludzkich wydzielin!

- Złaź - powiedziałem.

- Nie zejść.

- Niebezpieczeństwo minęło - obwieściłem.

- Akurat!

- Krokodyle wróciły do rzeki.

- Widziałeś? Nie mogłeś widzieć. Uciekłeś pierwszy.

- To potwarz - syknąłem. - Ty uciekłeś przede mną. Jak na rannego, biegłeś bardzo szybko. Zupełnie zaś mnie zdumiewa, że dałeś radę wdrapać się tak wysoko.

Godlif spurpurowiał ze złości, lecz nie rzekł nic.

Poszedłem dalej po zakrzaczonym terenie, z wielką uwagą przypatrując się zarośłom. Gady mogły się w nich ukryć. Krokodyle niekiedy czyhają na zdobycz poza swym naturalnym środowiskiem. Rówieśnicy dinozaurów, mózg mają rozmiarów ludzkiego palca, co nie przeszkadza im być wyjątkowo sprawnymi i bezlitosnymi zabójcami. Ich zdolność przetrwania zasługuje na podziw. Potrafią zmagazynować w swych cielskach tyle tłuszczu, że przez sześć miesięcy mogą obywać się bez pokarmu. Żrą głównie padlinę, ale i nie gardzą żywą zwierzyną. Instynkt każe im zabijać nawet wówczas, kiedy nie są głodne.

To wszystko przypomniałem sobie w jednej chwili, w przysłowiowym ułamku sekundy, nie zaniehbując obserwacji najbliższej okolicy, od czego zależało moje życie. Pierwszy błąd byłby ostatnim; krokodyl uderza błyskawicznie.

Miałem trochę fartu; nie natknąłem się na żadną z groźnych bestii, odnalazłem za to naszego Araba. O dziwo nie siedział na drzewie; również rozglądał się w poszukiwaniu towarzyszy niedoli.

Wystraszył mnie, a ja jego. - Myślałem - powiedział - że to krokodyl.

- Chyba nie jestem podobny?

- Nie jesteś. Co z innymi?

- Godlif odpoczywa, a tego drugiego nie widziałem - odrzekłem zgodnie z prawdą.

- Co mu jest?

- Zesrał się ze strachu i nie chce zleźć z drzewa. Obejmuje konar niczym umiłowaną niewiastę.

- No, no! Godlif! Nie spodziewałem się! To by raczej do ciebie pasowało.

Nadrzeczny piasek odkrył tajemnicę zaginięcia drugiego wojownika; dotkliwiej poturbowany od Godlifa nie zdołał umknąć. Krokodyle dopadły go i wciągnęły do wody. Na brzegu pełno było krwi.

- Zostało nas trzech - wyrzekł Arab ze smutkiem. - Rzekę tę zwą Tygrysem i

prawdziwie jest ona jak tygrys.

Nie odmówiłem sobie przyjemności sprzeczki; belferskim tonem oznajmiłem, że rzeka niewinowata; jeden z naszych zginął z rąk kupców, którym naraz zachciało się zbójowania, a drugiego pożarły bestie.

- Aliści stało się to tutaj - odparł. - Nad tą rzeką.

- Też prawda - zgodziłem się. - Łódź nadal kołysze się na wodzie...
Potrzebujemy jej. Mam serdecznie dość pieszej mordegi.

Arab pokiwał głową. Kątem oka zauważyłem, że uważnie przygląda się sitowiu.

- Czy widzisz to, co ja?

- Czyli co?

- Krokodyla.

- Nie może być! - zawołałem.

Potem zawstydziłem się swego okrzyku; ponieważ doskonale wiedziałem, że są to prawdziwie nienasycone bestie.

- Jest tam na pewno - rzekł Ibrahim z rezygnacją w głosie. - Widzisz ten nieruchomy pień? To przyczajony w zasadzce krokodyl.

- Co gorsza, potrafi on trwać tak całymi dniami... - szepnąłem.

- Wyjąłeś mi to z ust. Nie dostaniemy się do łodzi. Chodźmy po Godlifa.

Byłem przekonany, że wojownik opuścił już swoje schronienie, ale nie. Poblądziłem, i żeby go odnaleźć, musiałem posłużyć się głosem. W końcu usłyszał nasze nawoływania.

- Bestie pożarły Godwina - oświadczyłem.

- O Jezu! - jęknął Godlif. Twarz wykrzywił mu grymas bólu.

- Złaź! - warknął Arab, nie na żarty rozzłoszczony.

- Nie mogę. Wszystko mnie boli.

- Udajesz! - Wrzasnąłem.

- Przebóg, że nie! Ranili mnie w paru miejscach! Ranny wojownik zaczął osuwać się, rozpaczliwie jednak przytrzymując się pnia.

- On naprawdę traci siły! - krzyknął Arab, z zaskakującą zwinnością wspinając się na drzewo, drzewo boleści męznego Godlifa. Padający Godlif zwałił go na ziemię. W okamgnieniu obaj znaleźli się na murawie, tuż przed moimi stopami.

Zamarłem z przerażenia. Obaj byli poturbowani, lecz wojownik chyba bardziej. Na pewno głośniej krzyczał. Może złamał rękę? Albo, co nie daj Boże, pękł mu kręgosłup? W takim przypadku byłby już nie do uratowania!

Zrządzeniem losu Ibrahim tylko się potłukł podczas upadku; dał przeto radę podnieść się o własnych siłach. Gorsza była sytuacja Godlifa. Powiedziałem do Araba:

- Skoro tak pięknie rozprawiłeś o doskonałości waszej sztuki medycznej, to pewnie wiesz, jak nieborakowi pomóc!

- Ja? - zdziwił się. - Kiedy rozprawiałem?

- W kasztelu. Nad Renem.

- Przebóg, rozprawiałem, aliści nie mówiłem nigdy, że jestem lekarzem!

- Nie możemy go tu zostawić. Zabrać też nie możemy, chyba, żebyśmy przepłoszyli krokodyle i zdobyli w końcu tę przeklętą łódź!

Zwróciłem się do Godlifa:

- Słyszałeś? Idziemy nad rzekę.

Jęknął w odpowiedzi. Spojrzałem na jego znękaną oblicze i przeraziłem się nie na żarty. Wyglądał nad wyraz okropnie. Nie był to już ten Godlif, którego skrycie podziwiałem i trochę się nawet obawiałem. Cierpienie wyostrzyło rysy twarzy tego urodzonego wojownika. Emanowała z niego jakaś niesamowita aura, aura śmierci...

Tak pomyślałem, starając się jak najprędzej myśl tę odepchnąć; ona jednak uparcie powracała. Godlif jęknął ponownie i wyszeptał: - O Jezu, o Jezu słodki...

- Chodźmy - rzekłem chrapliwie. Mój głos dla mnie samego brzmiał obco, inaczej niż zazwyczaj.

Niewątpliwie - była to ucieczka. Czulem, że nie wolno mi tu pozostać ani chwili dłużej. Ojciec napisze kiedyś w swych Dziennikach, że doskonale potrafimy znieść cudze cierpienie, lecz jak zwykle przesadzi. Przybyliśmy nad rzekę pełni nadziei. Arab dwukrotnie wysunął przypuszczenie, że krokodyle wreszcie się wyniosły, ale rzeczywistość zakpiła sobie z nas!

Bestie czuwały, wcale się nie kryjąc. Łby wystawały im nad lustro wody. Widać było, że czują się pewnie. Ibrahim zaczął rzucać w nie czym popadło. Nic to nie dało. Krokodyle okazały się być nieugięte; z wypracowaną przez miliony lat cierpliwością oczekiwały na nową zdobycz. Arab padł na kolana.

Ibrahim modlił się do Allaha. Gorąco Go prosił, aby raczył nakłonić potwory do odpłynięcia. Allah chyba jednak nie raczył, ponieważ bestie nadal strażowały przy dżubance.

Ibrahim wstał, otrzepał piasek z kolan i rzekł z wielkim smutkiem:

- Wracajmy do Godlifa.

- Co mu powiemy?

- Prawdę.
- Przeżyje ją?
- Będzie musiał.

Wojownik Lancelota leżał w tym samym miejscu, gdzie go zostawiliśmy. Złe wieści przyjął z pozornym spokojem. Być może zegnał się już z życiem.

Wpatrywał się w nas jednak takim przesyconym boleścią spojrzeniem, że po prostu oddaliłem się, wykorzystując jako pretekst, konieczność oddania hołdu naturze.

Między linią rachitycznych drzewek, a pasmem dzikich zarośli biegła dość szeroka dróżka, prowadząca w nieznanym kierunku. Wędrując nią, zbliżyłem się ponownie do rzeki, zataczającej tu spory łuk. Wtedy usłyszałem śpiew, potężniejszy w miarę mojego podchodzenia do brzegu.

Zwykła ciekawość nakłoniła mnie do zdwojenia wysiłku. Wnet ukazał mi się intrygujący widok. Grupa marynarzy ciągnęła w górę Tygrysu statek. Obserwowałem ich poczynania z napiętą uwagą; mój racjonalistycznie ukierunkowany umysł domagał się wyjaśnienia tego zjawiska.

Wychodziło na to, że pływająca jednostka, sporych rozmiarów, przeciągana była w przemyślny sposób. Długa lina holownicza była na przeciwnym brzegu, a ludzie holujący statek stali na pokładzie z przerzuconą przez ramię pętlą, umocowaną do głównej liny. Ci z przodu wciąż przechodzili do tyłu, dopóki cała lina nie znalazła się na pokładzie zwinięta w uporządkowane koła. I właśnie temu zajęciu towarzyszyły pieśni. Ponownie przypomniałem sobie zdanie wypowiedziane przez muzułmańskiego generała, że przedkłada przejażdżki po Tygrysie i przysłuchiwanie się śpiewom marynarzy nad wszystkie inne przyjemności, a także nad obowiązek pielgrzymowania na dwór kalifa i zupełnie dobrze go w tym momencie rozumiałem, czując wręcz coś w rodzaju braterstwa dusz. Mógłbym tak stać i słuchać! Przysłuchiwać się w nieskończoność, kontemplując urokliwe piękno babilońskiego krajobrazu!

Trzeba było jednak wracać. Wróciłem, od razu chwając się moimi spostrzeżeniami.

Arab chyba zamierzał mnie zrugać, lecz naraz plasnął się dłonią w czoło i krzyknął: - Za mną! Żwawo, żwawiej!

Pędził nad rzekę, w to samo miejsce, które wcześniej opuściliśmy w niesławie i ze smutkiem w sercu. Przebóg: niewiele z tego pojmowałem.

- Patrz - rzekł, kiedy się zatrzymaliśmy. - Nie ma ich! Allah wysłuchał mojej

modlitwy! Krokodyle wystraszyły się i odpłynęły!

Nateżyłem wzrok.

- Nie ma ich - powtórzył. - Dzięki Ci, Allahu Wieczny i Mocny! Tylko TY jesteś Bogiem! Wchodzimy?

I naprawdę wtargnął do wody, z impetem godnym kronikarskiego uwieńczenia. W tym momencie zaczęło mi się wydawać, że dostrzegam szybko poruszający się pod powierzchnią kształt.

Z całą zaś pewnością na środku groźnego Tygrysu ukazał się ów duży statek, holowany przez rozśpiewanych wodniaków.

Ibrahim dotarł do dłubanki i szczęśliwie przyprowadził ją do brzegu. Przenieśliśmy na nią naszego rannego. Godlif mężnie zniósł podróż na zaimprovizowanych z gałęzi noszach. Triumfujący Arab nie ustawał w wychwalaniu Allaha; osobiście uważałem, że to raczej hałas wywołany przez przepływający statek wystraszył gady, lecz zachowałem to dla siebie, nie chcąc drażnić współtowarzysza niedoli, tak ochoczo teraz napierającego na wiosła, że szybko wyprzedziliśmy statek borykający się z silnym prądem.

Nurt zelżał dopiero, kiedy nasza drogocenna łódź pokonała zakole i w pewnym oddaleniu pokazało się szumiące morze trzcin.

- Znajdujemy się niedaleko miasta Wasit - rzekł na ten widok Ibrahim. - Tu Tygrys się rozdziela.

- Skąd wiesz? - spytałem bez potrzeby, dając mu okazję do przechwałek.

- Nim nas napadli, uciałem sobie z niektórymi pogawędkę i dokładnie wypytywałem ich o szlak.

- Jak ten duży statek tędy przepłynie? - zafrasowałem się nie swoim problemem.

- Przeładują towar na małe łódki... a zresztą, nie nasze zmartwienie. Zastąp mnie. Dosyć się umordowałem.

Zamieniliśmy się miejscami. Siedziałem tyłem, zdany na Araba, który donośnie komenderował, raz każąc mi mocniej ciągnąć lewą, raz prawą.

- Przepływamy przez moczary - gadał. - Wiosłuj bardzo ostrożnie. Na mój znak kładź wiosła na burzę.

Na tym odcinku rzeki, zabagnionym i bardzo niebezpiecznym, były tylko wąskie pasma czystej wody, którymi przepływaliśmy niczym ulicami miasta wzniesionego na palach. Co mnie najbardziej zaskoczyło, na owych trzciniowych

uliczkach znajdowały się szałasys pełniące bodajże rolę strażnic! Wyglądały jak ule - ich kosze nie posiadały okien.

- To chyba po to, żeby strażników robactwo nie zeżarło - domyślił się Ibrahim. - Hej tam, wy w koszu! - krzyknął. - Daleko jeszcze do Bagdadu?

Wreszcie ukazała się pojedyncza głowa i tubalny głos rzekł: - Dwa dni, lecz musicie strzec się rozbójników! W szuwarach czai się banda Imrana Ibu Szahuna, a między Wasitem a Bagdadem rozciąga się królestwo rozbójnika Ibu Hamduna!

- Tak spokojnie o tym prawicie? Nie dacie nam ochrony?

- Człowieku, jesteśmy szczęśliwi, że w ogóle żyjemy! Zbóje zgładziły samego Badżkana, wodza tureckich najemników wezyra!

- Mamy rannego...

- Trudno.

- Nie pomożecie nam?

- Pomożemy. Damy wam dobrą radę. Płyńcie nocą, a w dzień kryjcie się w sitowiu.

ROZDZIAŁ VI

Posłuchaliśmy ostrzeżenia; zresztą nie mieliśmy innego wyboru. Udało nam się dotrzeć cało i zdrowo do ufortyfikowanego miasta Wasit. Tam Ibrahim wybrał się na łowy. Polował jednak nie na grubą zwierzynę, a na dobrych ludzi, którzy by nam pomogli. Odnosiłem się zrazu sceptycznie do tej idei, lecz potem uzmysłowiłem sobie, że jałmużna należy wszak do podstawowych obowiązków muzułmanina. Zwiększyło to nasze szanse. Potrzebowaliśmy jedzenia i świeżej odzieży, a poturbowany Godlif wymagał opieki.

Ibrahim znalazł tych dobrych ludzi. Niestety, byli tak biedni, iż mogli podzielić się tylko lichą strawą. Powiedzieli, że znają pewnego medyka, lecz bardzo wątpią, czy zgodzi się na samą zapłatę w niebie.

Nic się nie pomylili. Lekarz mieszkał w ładnym domku z ogrodem. Wyraźnie źle oceniał nasze możliwości finansowe, ponieważ przyjął nas z ugrzecznoną

uprzejmością. Zadaszone wejście prowadziło z ulicy na obszerne czworokątne podwórze, otoczone mnóstwem pokoi ukrytych w cieniu krużganka. Towarzyszył mu młodzieniec, z zapamiętaniem kołyszący biodrami.

Kiedy gospodarz poznał prawdę, rzekł:

- Spójrzcie na to, co posiadam. Urodziłem się biedny, a umrę bogaty. Nigdy bym do niczego nie doszedł, gdybym tracił czas na takich jak wy.

Nie można było wyrazić się dosadniej; mimo to pożegnał nas z uśmiechem i polecił obdarować arbusami, które przyniósł ów kołyszący się młodzieniec.

Wróciliśmy na przystań i wręczyliśmy owoce Godlifowi. Nie chciał jeść. Prosił tylko o wodę z lodem. Szkopuł w tym, że dzban takiej wody kosztował dirhama. Czuliśmy naszą bezradność; wojownik stawał się coraz słabszy, a czekała nas dalsza podróż, równie niebezpieczna jak dotychczas. O ile strażnik z morza trzciny nie przesadzał, na odcinku rzeki między Wasitem a Bagdadem rozciągało się królestwo innego wodza rozbójników. Arab rzucił myśl, aby poczekać, aż zbierze się karawana statków, alisci przypomniałem mu, że z taką jedną już płynęliśmy, od czego wzięły się wszystkie nasze nieszczęścia.

Zdecydowaliśmy się na samotną podróż; ponieważ Godlif pilnie potrzebował opieki medycznej.

Dopisało nam szczęście; rozbójnicy wyraźnie wzgardzili naszą starą krypą, nastawiając się na poważniejszą zdobycz.

Jeszcze dwukrotnie skorzystaliśmy z pomocy uczynnych wieśniaków, którzy obdarowali nas żywnością; parę razy spotkaliśmy stado krokodyli, leniwie wygrzewających się na płyciźnie i zupełnie nami nie zainteresowanych.

Bodaj po tygodniu od wyruszenia z ufortyfikowanego Wasit, ujrzeliśmy wreszcie Bagdad. Ku mojemu zdziwieniu przypominał miasto, do którego ongiś się wybierałem (na kongres specjalistów od Orientu), czyli Wenecję. Znaczna jego część leżała na wodzie. Ruch był piekielny. Wszędzie pływały barki transportowe, docierające do bazarów. Ulice co krok wznosiły się wysokimi murowanymi łukami nad lustrem rzeki. Mijały nas łodzie spacerowe i wycieczkowe stateczki. Niektóre miały kształty zwierząt. Widziałem okręty przypominające lwa i upodobnione do węży. Domy z obu stron Tygrysu były pięknie ozdobione. Na bulwarach gromadziły się rozkrzyżowane tłumy. Stały tam liczne namioty.

- Co to za święto? - spytałem.

Arab wzruszył ramionami. Nic już nie mówiłem. Po prostu chłonałem to, co

podziwiała moje oczy.

Tajemniczy Wschód robi wrażenie na każdym przybyszu z Zachodu, lecz nie zawsze tajemnica godna jest odczytania. Mieszkańcy stolicy abbasydzkiego kalifatu nie obchodzili uroczyscie jednego z licznych religijnych świąt; świętowali coś znacznie bardziej prozaicznego: stłumienie powstania buntowników zwanych Dajlamitami. Łodzie z jeńcami przepływały przez szalejący z radości Bagdad. Ludzie błogosławili zwycięskiego wodza, a na rebeliantów pluli i przeklinali ich do siódmego pokolenia. Bez wątpienia wieziono tych łajdaków na miejsce kaźni; nie mogliśmy jednak przyglądać się egzekucji, bo spieszyło się nam do człowieka, od pozyskania wzajemności którego zależało powodzenie naszej misji.

W tej materii zdałem się całkowicie na Ibrahima. Powiedział, że Lancelot nie tylko wręczył mu rozpoznawczy pierścień; opisał także okolicę, gdzie mieszkał Aziz ab-Radi, nasz egzotyczny sprzymierzeniec.

Przypomniałem sobie wtenczas, co prawił stary możnowładca, zanim posłał nas w tę długą i niebezpieczną podróż: wyznał mianowicie, że człowiek ów „ma haka” na wezyra, co powinno owego wielkiego dostojnika uczynić spolegliwym, nakłaniając go do zmiany polityki kalifatu.

Rozpaczliwy zamysł Lancelota, pana zamku Berth, polegał na skłóceniu dwóch islamskich mocarstw, kalifatów bagdadzkiego i kordobańskiego; najlepiej, gdyby te mocarstwa wszczęły działania zbrojne, walcząc o dominację nad całym przegromnym muzułmańskim światem.

Rokowało to pewne szanse powodzenia. Abbasydów i Umajjadów oddzielało od siebie przynajmniej parę stuleci wzajemnych waśni. Łatwo było - wedle Lancelota - konflikt ów podsycić, rozgrzać na nowo. A to z kolei uniemożliwiłoby władcom islamskiego Zachodu ostateczne rozprawienie się z takimi jak on nieugiętymi samotnikami, którzy uparcie nie chcieli uznać muzułmańskiej dominacji na rubieżach dawnego Imperium Romanum.

Nieoczekiwanie dla siebie samego przejąłem się misją, wręcz utożsamiając się z jej przesłaniem! Chyba imponowało mi to, że mogę wpłynąć na losy świata. Jakże radykalnie odmienne to było od życia u Ojca Narodu, gdzie nie posiadało się wpływu na nic; a kiedy człowiek się starał, męczył i poświęcał, to na koniec dostał przysłowiowego kopa w tylnią część ciała, pospolicie zwaną dupą.

Tak mi się wzniosie myślało. Już się nie przyglądałem architekturze

tajemniczego miasta. Czułem, że nic mnie nie obchodzi sprawy jego mieszkańców. Mój Arab coś do mnie powiedział; nie rozumiałem; musiał powtórzyć:

- Idę - rzekł. - Ty tu zostaniesz. Pilnuj Godlifa.

Nie podobało mi się przebywanie z umierającym w jednej łodzi; wyszedłem więc na brzeg i spacerowałem po nadbrzeżu, dopóki nie ujrzałem Ibrahima wracającego z jakąś nowością.

- Ona zajmie się na razie naszym towarzyszem - rzekł. - My zaś idziemy do Aziza.

- Znalazłeś go?

- Tak - oświadczył z radością.

Aziz ab-Radi nie mieszkał jak Rotchild, ani nawet jak Abu-Bakr; domek jego był maleńki, nieskanalizowany i po prostu śmierdzący; nie posiadał też kranów, z których ciekłaby woda; a wiedziałem, że dużo domów w Bagdadzie podłączonych było do akweduktu. Oczywiście, muzułmanie nie odznaczała się podobną do rzymskiej pasją budowlaną; raczej konserwowali dawne instalacje niż wznosili nowe; łaźni jednak nabudowali sporo; ponoć ilość szła w dziesiątki tysięcy; a to dlatego, iż uznawali oni za konieczne odbycie ablucji przed modlitwą piątkową, w tygodniu najważniejszą.

Bezsporne jednak było to, że przyjaciel był biedakiem. Wszelako: czytanym i znakomicie wykształconym biedakiem!

Podjął nas duchową ucztą: wyrecytował dwie kasydy. Abu-Bakr, oby spoczywał w spokoju, zanim zginął od kuli wystrzelonej przez nikczemnego rudzielca, opowiedział mi historyjkę o swoim wuju - bibliofilu. Ówże krewniak nosił szatę z zaszytym jednym rękawem (traktowanym jako zbędny), w drugim natomiast, niczym w podręcznej biblioteczce, trzymał co ciekawsze zwoje. Aziz ab-Radi był dokładnie taki sam, nosił identyczne odzienie!

Trochę mnie to zmroziło; sprawy nasze nie mogły na tym zyskać. Uczeni są mało przydatni w politycznych intrygach.

Co bardziej zasmucające, Aziz odznaczał się on wyjątkowo gadatliwą naturą! No i egoistyczną przy tym: w ogóle nie spytał, co słyhać u Lancelota (a przecież niby zawdzięczał mu życie!). Po kasydach uraczył nas prozą; lecz nie była to proza życia. Codziennością jakby się w ogóle nie interesował. Oznajmił nam, że pracuje właśnie nad „Historią Bagdadu” i żywi nadzieję, że jego księga przebije dzieła, znanego ze swej

brzydoty fizycznej, Al-Dżahiza, którego ocenia jako zwyczajnego plotkarza, co jednak bardzo podobało się jego zwolennikom, zniechęconych do pedantycznej, naukowej metody pisania! Szejtan sprawił, że najbardziej zagmatwane ze swych dzieł Al-Dżahiz zatytułował, jak na ironię, „Księgą jasnego stylu”! Głupiec Al-Masudi stawia ówże utwór na niebotycznym piedestale, wychwalając wszechstronność owego! Tymczasem jest to chaotyczne bajdurzenie, wystawiające nienajlepsze świadectwo gustom czytelniczemu.

Zacnemu Azizowi nie przychodziło głowy, by pofolgować utrudzonym podróżnikom. Męczył nas nadal:

- Zacytuję wam fragment listu, skopiowanego przeze mnie w bibliotece mojego przyjaciela wezyra! Chcecie posłuchać? Już zaspokajam wasze niewypowiedziane pragnienie!

Zamknął powieki, skupił się i zaczął śpiewnie mówić:

„Nadszedł list mojego pana, emira... - niechaj Wszechmogący zachowa jego potęgę! - z wiadomości o tym, w czym Najwyższy mu dopomógł, pozwalając zdobyć góry Kufs i Beludżystan, oraz podbić ludność tamtejszą, która wroga była religii i zбочyła ze ścieżki wiary. Ludność ową emir przeganiał z jednej twierdzy do drugiej i wykurzał z kolejnych kryjówek. Zabił ich strażników, unicestwił bohaterów, zamienił w pustynię to, co było zielone, zniszczył ich ślady i zamki, zmusił, by się upokorzyli, poprosili o pokój, uwolnili zakładników, oddali skarby, zwrócili się ku właściwej religii i weszli między muzułmanów... Zrozumiałem go, i chwała niechaj będzie Wszechmogącemu za to, czym obdarzył emira. Sławię Najwyższego, bo jestem człowiekiem, który przekonał się, że obdarzył On emira cieniem swej łaski. Cieszę się tym wszystkim, co pozwolił mu osiągnąć...”

I bredził dalej w tym duchu, aż widząc nasze kwaśne miny urwał w pół zdania, uśmiechnął się złośliwie i rzekł:

- Sami się przekonaliście... Najgorsze, że czynię to samo.

- Jak to? - wyrwało mi się.

- Wiem, co sobie o mnie pomyśleliście. Ale to nieprawda. Nie jestem dwulicowy. Po prostu muszę z czegoś żyć, jak każdy. Wy tego nie rozumiecie, bo wywodzicie się z barbarzyńskiej krainy, gdzie pieniądz praktycznie nie istnieje, ale my potęgę jego znamy od dawna. Ceny stale idą w górę. Zoczyliście już, jak mieszkam. Bynajmniej nie opływam w dostatki. Prawdę powiedziawszy, żyję w nędzy.

Chrząknąłem.

- Panie, nie pomyśleliśmy wcale, żeś dwulicowy.

Uśmiechnął się pogodnie.

- Utrzymuję się z pisania listów. Mam wielu klientów. Na nieszczęście przychodzą rzadko, tylko wtedy, kiedy ich przypili. Nie mogę pisać tak, jakbym chciał; muszę dostosowywać się do ich wyobrażeń. A są to ludzie o gustach jak najbardziej typowych, nawet pospolitych. Kiedy domagam się od nich lepszej zapłaty, z szyderstwem w oczach mówią, że Al-Chuwarizmi to ja nie jestem. To prawda; nie potrafię tak ładnie kłamać.

- Kłamać? - zdumiał się Ibrahim.

- Łgarstwo to fundament wszelkiego ładu. Al-Chuwarizmi uczynił z niego sztukę. Pisane przez niego listy trafiają do wezyrów, emirów, namiestników, kadich i teologów. Zwiedził wszystkie ważniejsze dwory: pracował w Bucharze i Heracie, Isfahanie i Szirazie. Sława przysporzyła mu wielu uczniów; a nauka u tego łajdaka kosztuje. Z największej błahostki potrafi wyczarować wydarzenie na miarę podboju Hiszpanii przez Tarika. Tak udatnie fantazjuje, że autorzy baśni to przy nim nudni kronikarze. Wpadł mi w ręce list, w którym dziękuje komuś za przyjęcie do kancelarii jego protegowanego. Pisze mniej więcej w ten sposób: - Twoje listy, synu, są dla mnie skarbem, wonnościami, kwiatami i wiosennym deszczem. Pierwszy raduje mnie, lecz liczę dni i noce, czekając następnego. Zużyj wiele atramentu i napisz jak najwięcej liter. Wiedz, że kocham cię miłością jawną i tajemną; całuję znaki uczynione twoją ręką; drzę cały, kiedy kładę na piersi klejnot twego wielkiego umysłu...

Aziz aż splunął na glinianą podłogę.

- Tfu! Klejnot twego wielkiego umysłu! Skarby, wonności i kwiaty! Zużyj wiele atramentu! Całuję znaki uczynione przez ciebie! Co za bezczelne łgarstwa! Atoli ludziom właśnie to się podoba!

- Nie możesz, panie, pójść jego śladem? - grzecznie spytał Ibrahim. Szczerze podziwiałem jego opanowanie. Na pewno był tak samo głodny i zły, jak ja.

- Próbowałem - przyznał gospodarz. - Nawet mi to wychodziło, lecz kiedy spojrzałem na moje rymy z rana, po nocy spędzonej nad cierpliwym papierem, jakiś dżin wstąpił we mnie i z wściekłością podarłem owoce moich długich trudów.

- Niedobrze...

- Zapewne, aliści zachowanie tego było ponad moje siły - odrzekł z żalem.

- Wspomniałeś, panie, że szczycisz się przyjaźnią wezyra... - Zacząłem ostrożnie.

W odpowiedzi machnął ręką. Zmroził mnie tym gestem.

- Już nie...? - spytałem z niedowierzaniem.

- Nie żyje - odrzekł krótko, objawiając swój smutek zmianą wyrazu twarzy na jeszcze bardziej posępny.

- Co się wydarzyło!?

- Został stracony.

- Stracony? Uczestniczył w spisku?

- Nie. Mój przyjaciel wezyr stał się zwolennikiem religijnej sekty, uznanej za heretycką, i nie potrafił, bądź nie chciał tego ukryć. Dał głowę wraz z Ab-Hadżadzem.

Coś poruszyło się w mojej pamięci. Przypomniałem sobie niedawne spotkanie z szalonym derwiszem i jego namiętne filipiki skierowane przeciw temu właśnie heretykowi.

- Czy to ten, kto udawał sufiego i twierdził, że uwznioślonej duszy wszystko wolno, nawet kraść i cudzołożyć, bowiem czyni to w łączności ze Stwórcą, którego częśćka zamieszkuje w takiej duszy?

Gospodarz oburzył się.

- To potwarz! - wykrzyknął. - Al-Hadżadż był święty! Taki jest już los wybitnych mężów, że ludzie ich nienawidzą! To samo spotkało Jeremiasza! Nie wierzone mu, kiedy przestrzegał przed gniewem Jahwe!

- Wezyr naprawdę umarł? - spytał Ibrahim.

- Panie, lubię cię, bo bolejesz nad tym podobnie jak ja.

- Zaiste - rzekł mój Arab. - Bardzo boleję, gdyż nasza misja traci wszelki sens. Pan mój, znany ci dobrze niezłomny Lancelot, poruczył mi dotarcie do wezyra i przekazanie mu ważnego posłania. Szejtan sprawił, że cierpieliśmy daremnie.

- Snadnie takie było wasze przeznaczenie - odparł Aziz, na którym wspomnienie naszej mordęgi nie wywarło żadnego wrażenia.

- Napadli na nas zbóje, pobili, poranili i obłupili do cna.

- Jakże mi przykro... Nic wam na to nie poradzę. To już się stało. Nie rozpamiętujcie. Nie warto. Rolnik ciągnący pług też nie ogląda się za siebie.

- Panie, my nie rozpamiętujemy - wycedził mój Arab, robiąc tak groźną minę, jak wtedy, kiedy groził mi torturami w nadreńskim kasztelu. - My ci tłumaczymy, że nie mamy ani danika. Musimy wrócić, a nie mamy jak.

- Nie możecie zostać w Mieście Pokoju?

- Dziękujemy - wymamrotał Ibrahim. - Przyglądaliśmy się miastu z łodzi. Co

niewiele udało nam się zauważyć.

- Z rejestrów wynika, że łodzi jest w Bagdadzie aż trzydzieści tysięcy. Cech przewoźników należy do najpotężniejszych w mieście. Ich dzienny dochód oblicza się na dziewięćdziesiąt tysięcy dirhamów. Każdy zamożny bagdadczyk posiada osła w stajni i łódź zacumowaną na przystani. Panujący w dwusetnym roku kalif Al-Amin kazał wybudować sześć okrętów zwanych harrakat. Służyły mu do przejazdów po Tygrysie i Eufracie. Łodzie odgrywają wielką rolę w naszym życiu. Dwie trzecie miasta leży na wodzie bądź w jej bezpośrednim sąsiedztwie. Tygrys dostarcza nam wody pitnej, niestety niezbyt zdrowej. Doznaję od niej obstrukcji. Rozwożą ją wozowodowie, i kubał kosztuje pół danika. Nie stać mnie na taki wydatek. Wodę noszę sam, względnie posyłam moją niewolnicę. Gdybym otrzymał skądś spadek, co jest raczej niemożliwe, podłączyłbym się do akweduktu. Mamy dwa. Są znacznie skromniejsze od rzymskich, zbudowane z cegieł; rynna uszczelniana jest wapnem. Rzymianie, ci to potrafili budować!

- Panie... - wystękał Ibrahim. - Brakuje nam pieniędzy.

- Pokażcie mi kogoś, kto powie, że starcza mu na najpilniejsze wydatki! Nie znam takiego! Nawet kalifowie pożyczają u bankierów!

- Nie mamy za co wrócić - powtórzył ze złością.

- Jako rzekłem, nie zaliczam się do bogaczy. Jest we mnie jedynie wielkie bogactwo duchowe. Posiadam rozległą wiedzę. Mój zmarły przyjaciel wezyr był taki sam. To właśnie nas złączyło. Oby Wszechmogący ulitował się nad jego grzechami! Wynikały one u niego nie ze złej woli, a z ludzkich słabości. Znam trochę waszą wiarę. Czyż Jezus nie powiedział: „Kto jest bez grzechu, niech pierwszy rzuci kamieniem?” Tak zostało zapisane w waszej świętej księdze. Czy nasz wspólny znajomy, sędziwy już emir Lancelot, gorliwie pości i wypełnia inne praktyki religijne? Znając jego przekonanie o własnej wszechwiedzy i wszechwładzy, śmiem w to wątpić... Zmarły wezyr był inny. Kochał księgi i lubował się w towarzystwie ludzi ceniących słowo pisane. Często zapraszał nas na uczy. Wspominam je z przyjemnością i bólem. Ach, jakże często śni mi się, że do moich skromnych drzwi kołacze długonogi eunuch, uprzejmymi słowy zapraszający mnie, chudego literata, na biesiadę w pałacu! Przyznaję, że mi tego mocno brakuje... Podziwiam kastratów. Dobrzy z nich szybkobiegacze i urodzeni wojownicy. Eunuchami byli admirałowie i wodzowie; czytałem o pewnej bitwie morskiej, w której naszą flotą i flotą bizantyńską dowodzili rzezańcy. Lud Bagdadu natomiast za „chasimi” nie przepada. Często drwi z nich,

posuwając się nawet do bicia. Zdarzyło się, że pospólstwo strąciło do Tygrysu eunucha biegnącego przez most z kalifowym posłaniem. Odtąd biegaczom towarzyszą kawalerzyści, pilnujący, iżby nie stała im się krzywda... Lud zarzuca kastratom, że są chciwi, skąpi, żarłocznicy, wyniosli i brzydko pachną. Co tyczy się ich wyniosłości, to zgoda. Rzezaniec, opiekun Fatymidy Al-Hakima, opierał stopę na ramieniu młodego kalifa, kiedy ów przybliżał się do niego. A taki był głupi i zaślepiony, że nie zaniechał tej obraźliwej praktyki nawet wtedy, kiedy Al-Hakim wyszedł z lat młodzieńczych. Ma się rozumieć, zapłacił za to głową. Aliści jest to jedyny znany mi przypadek wyniosłości rzezańca, posuniętej - tak mi się wydaje - do granic obłędu, a może nawet granice te przekraczający! Doprawdy, ścięcie tego właśnie eunucha uważam za słuszne. Ha, ha! Trafiała kosa na kamień - Al-Hakim był szalony, wiecie?

- Tak - warknąłem. - Nie sądz, że masz przed sobą przyglupów!

- Chorobę władcy Egiptu nazwano melancholią. Kalif całkowicie zdziwaczał, nie strzygł swych długich włosów, opadających mu do połowy pleców, i błąkał się samotnie po pustyni, bardziej podobny zwierzęciu niż istocie rozumnej, na domiar złego sprawującej rządu nad prastarą krainą, o świetności której świadczą odwieczne piramidy...! Przekonany jestem, że wmieszał się w to duch nieczysty... zawładnął jego umysłem... zabrakło egzorcysty... dobry wypędzacz duchów jest na wagę złota... Szaleństwo Al-Hakima miało szlachetne podłoże. Zapragnął on szczerze rozstać się z dotychczasowym życiem. Swoje nabożnice kazał wpakować do skrzyni i tak zamknięte wrzucić do Nilu. Szło mu naturalnie o likwidację zarzewia grzechu... Bardzo był radykalny w swych poczynaniach, bardzo... Nie znosił jasności, kochał noc. Wszechmogący jest światłem; ten, kto unika światła, zdradza upodobanie do występku... Al-Hakim objawił je najpełniej w chwili, kiedy nakazał zamknąć kościoły chrześcijańskie, a stawiających opór wiernych - wymordować. Zapewne pragnął w ten nieczyny sposób przypodobać się wyznawcom Proroka. Niestety, pospólstwo dało się nabrać na te plewy, biorąc ochoczy udział w masakrze. Potępiam za to moich współwyznawców. Zarówno muzułmanie, jak i chrześcijanie, posiadają wspólnego Ojca - Abrahama. Żydzi zresztą również. Wszyscy wierzymy w Jedyne Boga, wszyscy jesteśmy ludźmi Księgi. Prorok Mahomet nakazał szanować innowierczych ludzi Księgi. Maryja, matka Jezusa, uważana jest przez nas za bardzo wielką postać. Każdego, kto bluźni przeciw Niej, wbijemy na dobrotliwy pal, aby mógł przez straszliwą mękę odkupić choć w małej części swój potworny grzech.

Coś poruszyło się w moim sercu; nieziemska jasność wstąpiła we mnie; kiedy

mogłem ponownie otworzyć oczy, ujrzałem ten świat jakoś inaczej.

- Chwała ci, panie, za te słowa! - rzekłem żarliwie.

Zdziwił się.

- A co ja powiedziałem?

- Jeśli tego nie wiesz, znaczy to, że spłynęła na ciebie łaska Pana Zastępów.

- Czego nie wiem? - dociekał Arab. - O czym ja właściwie mówiłem? Wybaczenie staremu grzesznikowi...

- Prawieś o szaleństwach Al-Hakima - rzekł mój towarzysz. - Zaiste, Wszechmocny obdarzył cię pewnymi darami, lecz my potrzebujemy pieniędzy.

- Nagle kalif zaprzestał prześladowań chrześcijan i zwrócił się przeciw muzułmanom, czyniąc coś niewyobrażalnego. Zakazał pielgrzymek do Mekki. Doprawdy, Al-Hakim całkowicie znalazł się pod władzą złego ducha! A wszystko przez to, że do szczytnego celu dążył niegodziwymi środkami!

- Panie, nie praw tyle!

Aziz zlekceważył okrzyk Ibrahima; z lubością ciągnął swą przemowę, doskonaląc się w sztuce monologu.

Biedni rzezańcy... Niektórzy uczeni w piśmie twierdzą, że eunuchowie mogą płodzić dzieci... Brzmi to dziwnie, sami przyznacie. Uczony Abu Hanifa pisał, że kastrat zdolny jest do stosunku... Rozmawiałem kiedyś z pewnym eunuchem, podczas uczty u wezyra. Ten eunuch był kancelistą, a w wolnych chwilach zajmował się poezją. Odrzekł mi; „Wiedz, że podczas kastracji rozcina się mosnę i wyjmuje z niej jądra. Zdarza się, że kastrowany dzieciak - pozbawiać męskości należy za młodu, daje to najlepsze rezultaty - przerazi się, a wówczas jedno jądro podchodzi do góry. W czasie zabiegu nie można go znaleźć. Potem, kiedy chirurg zszyje ranę, jądro schodzi w dół. Jeśli jest to lewe jądro, młodzieniec będzie kochliwy. Jeśli prawe - brodaty. Po kastracji, w miejscu, gdzie wypływa mocz, umieszcza się ołowiany sztyft. Należy wyjmować go w trakcie oddawania moczu. Sztyft jest konieczny. Gdyby go nie włożyć, ranka mogłaby zabliznić się całkowicie i kastrat marnie skończyłby, a przecież kosztuje on pięć razy więcej aniżeli niewolnik nie poddany temu zabiegowi. Wysoka cena eunuchów wynika stąd, że operację przeżywają tylko najsilniejsi. Ciekawą metodą na zapobieżenie powikłaniom jest zakopywanie młodziutkich rzezańców w pustynnym piasku. Tkwią tak nieraz po parę dni. Jeżeli przeżyją, karawana rusza dalej. Postępuje się w ten sposób z nubijskimi eunuchami, sprzedawanymi w Kairze. Nie osiągają oni zbyt wysokich cen. Drożsi są słowiańscy rzezańcy. Co ciekawe, słyną

oni z odwagi. Słowianinem i kastratem był dowódca gwardii Al-Hakima, który ośmielił się wyrzucać swemu panu nieludzkie traktowanie jeńców. Al-Hakim kazał ich torturować; być może nawet raczył przyglądać się tej ohydnej czynności. Za swą odwagę eunuch zapłacił życiem...”

- Panie - powiedział mój Arab - opowiadasz niezwykle ciekawe historie, lecz zważ na to, że jesteśmy twoimi gośćmi, nadto protegowanymi człowieka, wobec którego żywisz jakoby uczucie wdzięczności, a przynajmniej żywić powinności, a ty nawet kawałek chleba nam nie zaproponowałaś!

- Jesteście głodni? - zdziwił się Aziz. - I tak długo milczycie!

Powiedziawszy to, klasnął w dłonie. Odruchowo nadstawiłem uszu, lecz... daremny był to wysiłek.

- Czemu nikt nie przychodzi? - zapytał gospodarz, niekoniecznie do nas pytanie owo kierując. - A... prawda. Sam ją posłałem do waszego przyjaciela. Nie mam drugiej niewolnicy. Jestem biedny.

- Nie możesz sam przygotować nam jedzenia? - spytał Ibrahim, cokolwiek obcesowo. Musiał być jeszcze bardziej głodny niż ja. W brzuchu burczało mi od dawna, ale nie posunąlbym się aż do czynienia wyrzutów, zabiegu niewątpliwie mało eleganckiego.

- Sam? - Aziz wyraźnie się zgorszył. - Ja, potomek Alidów, niezwykle utalentowany pisarz, miałbym poniżyć się do własnoręcznego szykowania sobie stawy? Chyba oszaleliście! A zresztą nie byłem jeszcze na zakupach. Sam chodzę po sklepach... co za upokorzenie! Dzisiaj nikomu nie można wierzyć, a najmniej służbie. Ona mnie nienawidzi, rozumiecie? Chowa urazę o to, że jeszcze jej nie wyzwoliłem! Podła Greczynka! Nigdy nie była ładna, może stąd wziął się jej sekutniczy charakter? Jak ja mogę ją wyzwolić, skoro nie stać mnie na inną niewolnicę!

- Długo służy?

- Ćwierć wieku.

- Kawał czasu - powiedziałem. - Nigdy nie uciekała?

- Niechby tylko spróbowała! - zaśmiał się. - Nosi na zadku wypalony mój znak, a drugi ma na ramieniu. Zawsze by ją złapali. Gdzie zresztą pójdzie? Stara jest, nikt jej nie weźmie... Kary za zbiegostwo są surowe.

Urwał na moment.

- Niewiasty to przewrotne istoty - rzekł znowu. - Ona jest tylko niewolnicą, a zachowuje się gorzej niż prawowita małżonka. To przez swoje greckie pochodzenie.

Kobiety arabskie są o wiele bardziej potulne.

- Panie - powiedział Ibrahim po chwili, groźnie marszcząc brwi - nic nas to nie obchodzi.

- Wy stale o jednym! Wezyr, och, ten to potrafił karmić! Aleśmy się nabiesiadowali! Zza kotary dochodziły śliczne głosy śpiewaczek, niewolnicy na początek wnosili ostre zakąski, a potem dania główne, czyli mięsiwa, przyprawione piżmem i kamforą! Wezyr częstował nas najdroższymi delikatesami: indyjskimi oliwkami, jadalną ziemią z Chorezmu, syryjskimi jabłkami oraz trzcina cukrową maczaną w wodzie różanej... Nigdy nie podawał granatów i arbuzów; to ludowe owoce, człowiek wytworny musi ich unikać!

Mój Arab wściekł się. Dorskoczył do gospodarza, silnie nim potrząsnął i zapowiedział, że łeb mu rozbije, jeżeli natychmiast nie zaprowadzi nas w miejsce, gdzie napełnią nam żołądki, a on za to zapłaci.

Nadal potrząsając pobladłym Azizem, dodał, że jeżeli usłyszy choć jeszcze słowo skargi na rzekomą biedę, to go w tym samym momencie udusi jak kurczaczka.

- Dobrze już, dobrze - mamrotał przestraszony gospodarz. - Właśnie chciałem was prosić, abyście poszli ze mną na bazar.

Szliśmy ciasnymi uliczkami. Nad nami piętrzyły się balkony wysokich domów i panował ogólny rozgardiasz, któremu przyglądałem się z ciekawością, choć w brzuchu burczało, ale była już nadzieja, a z nią łatwiej znieść głód.

Zauważyłem, że idziemy przez zasobną dzielnicę, ponieważ drzwi wejściowe wykonane były z pięknie rzeźbionego drewna, w każdych osadzono kołatki. Potem rzeźbione drzwi zniknęły, a wraz z nimi - wypusty i balkony. Domyśliłem się, że kutwa Aziz prowadzi nas do biedniejszej dzielnicy, aby wydać jak najmniej. Nagle mój czuły organ powonienia wychwycił cudną woń smażonego mięsa! Zerknąłem na Ibrahima. I jemu oczy zaszły mgiełką radości!

- Nie idziemy na bazar - powiedziałem do Aziza. - Chcemy mięsa. Krwistego, dobrze przysmażonego mięsa.

- Tam jest tylko wieprzowina, niedobre, nieczyste mięso - odrzekł natychmiast, nie rezygnując bez walki.

- Nam to nie przeszkadza. Przeciwnie, uwielbiamy smażoną wieprzowinę! Prawda Ibrahimie?

Mój Arab skinął głową i mocniej szczapał skąpego pobratymca. Aziz zamruczał coś niewyraźnie i z rezygnacją zaprowadził nas do smaźalni. Kubek w kubek

przypominała analogiczne przybytki małej gastronomii u Ojca Narodu; było brudno i nieapetycznie.

Zażyczyłem sobie jedzenia za dwa dirhamy. Stojący za kontuarem gruby jegomość w przyczernionym chałacie popatrzył na nas dość dziwnie, na co dodałem, że płaci za wszystko ten oto - pokazałem na Aziza - szlachetny i wielkoduszny pan.

Literat wykrzywił twarz i kiwnął potakująco głową. Po chwili z ociąganiem wyciągnął dwie srebrne monety, wręczył je właścicielowi baru i powiedział, że nadchodzi czas modlitwy.

- Co to znaczy? - ostro zareagował Ibrahim. - Ty tu ostajesz!

Nazarliśmy się tak, aż zaczęliśmy zgodnie bekać. Aziz ostentacyjnie spoglądał w sufit. Po jakimś czasie zaciekawilem się, co on też tam widzi; okazało się, że widzi wędrujące sobie czarne stworzonka, jako żywo przypominające karaluchy.

Właściciel smażalni nachylił się w moją stronę i jął konfidencjonalnym szeptem tłumaczyć mi, że dobrze zrobiliśmy naciągając Aziza. On ma pieniądze, biedaka tylko udaje, z czego jest znany w całym Bagdadzie.

- Przyjdźcie jeszcze - dodał, już głośno.

Zaraz po opuszczeniu baru powiedzieliśmy Azizowi, że potrzebujemy na podróż stu pięćdziesięciu dinarów (ja mówiłem o pięćdziesięciu, Arab o stu; jakby nie rachować, zawsze uczyni to sto pięćdziesiąt).

On wtedy zażył nas tak:

- Może chcecie wejść do winiarni?

Zdziwiłem się; Prorok zakazywał wszak wina. Aziz wyjaśnił, że w Bagdadzie pijaństwo jest nader rozpowszechnione. Od wina nie stronią nawet kalifowie i sędziowie. Uraczył nas historyjką o Al-Kahirze. Ten kalif zabraniał ludowi picia, choć sam nie trzeźwiał tygodniami. Jego następca przyrzekł Bogu, że nie będzie pił. Wytrzymał aż dwa lata. Po tym posłał po prawników. Ci zapoznali się z treścią przysięgi i znaleźli wyjście z niewesołej sytuacji. Kalif z rozkoszą wrócił do nałogu. Co tyczy się kadich, to i oni ulegali owemu zgubnemu przyzwyczajeniu. Aziz utrzymywał, że w Bagdadzie pijaństwo jest rozpowszechnione zarówno wśród pospólstwa, jak i w kręgu najwyższych dostojników świeckich i religijnych. Miało to chyba, nas przekonać do końca.

Częściowo przekonani już byliśmy; mięso zostało ostro przyprawione i jednoznacznie wymagało przepłukania!

- Kiedy wręczysz nam pieniądze? - spytał Ibrahim, nieczuły na syreni głos

bagdadzkiego przyjaciela Lancelota.

- Nie wejdziecie do środka?

- Ty płacisz! - rzekłem, groźnie wymachując palcem.

- Ma się rozumieć, że ja. Zapraszam. Ibrahim nadal nie wyglądał na pokonanego.

- Coś nam się należy od życia - kusilem. - Wolałbym dziś jeszcze opuścić to miejsce – burknął w odpowiedzi.

- Czyż można coś zarzucić wspaniałemu Bagdadowi? - rzekł Aziz. - Pojmuję! Nie widzieliście jeszcze kolistego miasta Al-Mansura, ani innych wspaniałości. Jutro was tam zaprowadzę, klnę się na Proroka!

- Nie sądzę - warknął Ibrahim.

- Dlaczego?

- Już to wyjaśniałem.

- Ibrahimie - rzekłem. - Po co ta złość? Zbawi nas ten jeden dzień? Chyba nie. Pogadajmy o tym w winiarni.

Mój Arab machnął w końcu ręką i pozwolił sprowadzić się schodkami w dół. Schodził wszelako niechętnie, pochmurnym wyrazem twarzy objawiając swoje niezadowolenie. Piwnica była ciemna i ponura. Goście siedzieli na ławach, przy dwóch stołach. Trzeci był wolny. Od razu tam się skierowaliśmy.

Aziz wyczarował kolejnego dirhama, co zaowocowało słynnym: stoliczku, nakryj się”. Nie ulegało jednakowoż najmniejszej wątpliwości, że bardziej podziałała tu magia srebra aniżeli czarnoksiężskiego zaklęcia.

Myśl owa sprowokowała mnie do wypytywania o popularność literatury rozrywkowej w tej epoce. Interesowałem się zwłaszcza bajkami o Sindbadzie Żeglarzu.

Aziz spojrział na mnie jakoś inaczej, bardziej przychylnym okiem, i powiedział, że Sindbad jest szalenie popularny, kto potrafi czytać, sięga po ten zbiorek, i co najciekawsze, opowieści o perypetiach sprytnego podróżnika wyszły ponoć spod pióra medyka, pochodzącego z Indii, gdzie prawdziwa wiara dotarła stosunkowo niedawno.

I bardzo z siebie rad wychylił kielich do dna, wołając zaraz o następny! Wtenczas do dyskursu włączył się Ibrahim, mówiąc z szyderczym uśmiechem:

- Jaka prawdziwa wiara? O czym ty bajdurzysz?

Aziz pobladł. Kiedy wrócił do równowagi, rzekł z obłudną minką: - Ależ, Ibrahimie! Masz słabą głowę! Nie powinieneś pić wina!

Zapadła głucha, ponura cisza. Inni goście jak na komendę zwrócili głowę w

naszą stronę. Było to tym bardziej niepokojące, że wcześniej nie zwracali na nas najmniejszej uwagi.

- Twoje słowa brzmią dziwnie, zważywszy na twe upodobanie do herezji - uśmiechnął się złowieszczo Ibrahim.

- Jakiej herezji?

- Prawdziwa jest wiara w Jezusa - rzekł Ibrahim.

- Nie przeczymy, był On prorokiem, Jego Matkę szanujemy, lecz Koran cenimy nade wszystko!

- Przekonał mnie Lancelot. Przedtem myślałem jak ty, Azizie.

- Straszny staruch! - krzyknął bagdadczyk. - Musi liczyć już sobie dwieście, albo i trzysta wiosen!

- Lancelot wcale nie jest taki stary, za jakiego uchodzi - odrzekł Ibrahim. - Ale skąd ty, zrobiony miękkim kutasem, możesz o tym wiedzieć!

Piwniczni goście zanieśli się śmiechem. Choć był to raczej zły rehot niż wesoły śmiech.

- A ty, uczyniony sztywnym palcem, niby wiesz wszystko?

- Nie inaczej - odrzekł dumnie Ibrahim.

- Toż to prawie herezja! - zapiał w złości fundator. - Tylko Allah jest wszechwiedzący! Chcesz jeszcze wina, przyjacielu?

Ibrahim kiwnął głową. Powiedziałem do niego, że już mu szumi w głowie, atoli nie słuchał.

Aziz rzekł po chwili, ściszym głosem, nachylając się do nas:

- Żyją w Mieście Pokoju damy, które za niezbyt wygórowaną opłatą, założmy, za dwa dinary, są w stanie, i wyrażają taką ochotę, umilić mężczyźnie samotne chwile... Co wy na to?

- Właściwie - rzekł mój Arab - czemu nie... Przeżyliśmy tyle przygód, że i Sindbad by się ich nie powstydział...

- Ja nie jestem skłonny - powiedziałem.

- Czy pyta cię ktoś o zdanie? - urągliwie odezwał się Ibrahim, objawiając swą zadawnioną niechęć w stosunku do mej skromnej osoby.

- Nikt - odparłem, pociągając solidny łyk. - Aliści dwa dinary to niemało.

W Ostii można uprzyjemnić sobie życie za kilka miedziaków.

- Tu jest Bagdad - rzekł Aziz. - Stolica kalifatu. Poza tym nie mówiłem o zwykłych ulicznych.

- Tylko o nieco lepszych?

Uśmiechnął się.

- Rozumiem, że nie odrzucacie mojej sugestii?

- Nie odrzucamy - powiedział Ibrahim. - Ale biada ci, jeśli sprowadzisz pokraki.

Powiększysz wtedy szeregi eunuchów.

Nasz dobroczyńca wstał za ławy i oznajmił, że wkrótce powróci. Ibrahim, nie w ciemną bity, zażądał, aby zostawił pieniądze. Aziz położył - jednak niechętnie - mieszek na stole. Ibrahim przeliczył złoto i machnął ręką.

- Ile tego jest? - spytałem po pewnym czasie, koniecznym do otrząśnięcia się spod chciwych spojrzeń gości tej winiarni.

- Dziesięć dinarów i piętnaście dirhamów - odparł niezwłocznie mój podpity towarzysz.

- Szybko rachujesz.

- A tak.

- Myślę, że nie należało pozwolić mu odchodzić. Potrzebujemy przynajmniej ze stu dinarów, jeżeli chcemy wygodnie podróżować, a chyba chcemy tego...

- Wróci - orzekł Ibrahim, beztrąsko uśmiechając się.

Aziz wnet nadszedł, prowadząc dwie bladolicie niewiasty, nieco przesadnie wychwalając, jak na moją trzeźwą głowę, ich urodę.

Ibrahim jednak nie okazywał niezadowolenia. Porwał pierwszą z brzegu i zniknął z nią za kotarą.

- Wyposzczony, niczym po ramadanie - uśmiechnął się fundator. - Ta druga też została już opłacona.

Spojrzałem na mieszek; powabowi złota uległem zdecydowanie silniej niż urokowi ladacznicy. Ta zresztą nie wysilała się. Odebrała już swoją nagrodę i było jej wszystko jedno.

- Ty skorzystaj - rzekłem.

- Mnie nie uchodzi - odparł z frasobliwą miną.

- Nie staje ci?

- Skądże! - zapeszył się. - Po prostu z czego innego czerpię przyjemności. Napijesz się jeszcze?

Postawił nową kolejkę i tym mnie przekonał. Poszedłem z dziewczyną do obskurnego pokoiku. Nawet nie zdążyłem jej ani siebie rozebrać. Ktoś naparł na drzwi, a znajomy, piskliwy głos krzyknął: - To oni! To ci odszczepieńcy! Bierzcie ich!

W ten oto sposób ponownie trafiłem do sirdabu, oskarżony o herezję. Zarzut był absurdalny, lecz trudny do obalenia. Aziz musiał nałgać bardzo umiejętnie, bowiem prowadzący śledztwo Arab z uporem maniaka wypytywał mnie o nauki herezjarchy Al-Hadžadża, i nie wierzył moim zapewnieniom, że bynajmniej im nie uległem, a w jednym pomieszczeniu z damą nie najcięższych obyczajów znalazłem się w następstwie szczególnego zbiegu okoliczności, które wytrwale objaśniałem, aczkolwiek bez pożądanego skutku.

Standard średniowiecznego aresztu doprawdy był niewysoki, a o prawach człowieka nikt nie słyszał. W pojedynczej celce samotność umilała mi rodzina szczurów, a policjant groził, że jeżeli się nie przyznam, zrobią ze mną to samo, co z pewnym słynnym rozbójnikiem: nakarmią obficie solą i powieszą w koszu nad powierzchnią wody, bym tym dotkliwsze cierpiał przedśmiertne katusze.

Już myślałem, że przyjdzie mi marnie szczeznąć, gdy wtem śledczy oznajmił, że ktoś się za nami wstawił, dając poręczenie za naszą prawomyślność. I pokazał mi tego tajemniczego filantropa. Był nim Aziz. Nie wiedziałem: rzucić się nań z pięściami czy raczej lizać mu stopy. Na szczęście opanowałem gniew i stałem nieruchomo.

- Hi, hi - zasyczał nasz dobroczyńca. - Jak się czujesz? Dziwnie jesteś spokojny, przyznaję. Ibrahim próbował mnie opluć. Czy wiesz, kim jest ów mąż, który go uczynił sztywnym kutasem? Sam Lancelot, ośle! Ja się tego od razu domyśliłem! Nawet nie zaprzeczał!

Nie ujawniłem zdziwienia, udając, że i ja to rozważałem.

- Atoli mało to ważne - machnął ręką. - Przez wzgląd na dawną przyjaźń łączącą mnie z Lancelotem, okażę miłosierdzie jego wysłannikom. Pożegnajcie się wszelako z nadziejami na wyciągnięcie ze mnie jakichkolwiek pieniędzy. Ze szczodrego serca dam wam po kilka sztuk srebra, abyście nie zdechli z głodu po dopłynięciu do Samarry. Zaprowadzę was na statek. Podróż już opłacona.

- Dzięki ci, panie - rzekłem ponuro. - A co z Godlifem?

- Jeszcze dycha. Jeśli wydobrzeje, sprzedam go do pałacu. Kalif potrzebuje żołnierzy. Jeśli nie...

- Rozumiem - powiedziałem, niezmiernie rad, że tak to się wszystko skończyło.

ROZDZIAŁ VII

Nie każdemu można dogodzić; syn Lancelota, owoc cudzołożnego miłosnego szaleństwa, był jak najdalszy od zadowolenia: ze szczęśliwego zakończenia bagdadzkiego epizodu naszej wielomiesięcznej peregrynacji po krajach muzułmańskiego imperium.

Aziz w towarzystwie stróżów prawa „odprowadził” nas na statek. Tak mówił, że nas odprowadza, lecz w rzeczywistości powodowały nim pobudki wcale nie szlachetne. Jak to się niepięknie u Ojca powiadało, Aziz chciał „mieć problem z głowy”.

Ibrahim usiłował opluć go nawet na przystani... Oczywiście, nie pozwolili na to przedstawiciele islamskiej sprawiedliwości, karcąc go wielkodusznymi uderzeniami pałek (mogli użyć swych długich noży, które nosili u pasa).

- Czy znowu będziemy musieli wiosłować? - wołał wielkim głosem Ibrahim, przeklinając co drugie słowo.

- Przesadzasz, cny Ibrahimie - mówił na to Aziz. - Aż takim skąpcem nie jestem. Zapłaciłem za waszą podróż... Co więcej, daję wam pismo polecające do mojego przyjaciela mieszkającego w Samarze! Wielki to człowiek, choć rozległe przestrzenie Wschodu przemierza jedynie dla zysku, a nie dla wzniosłych celów! Jak ja, dziejopisarz i poeta, mogłem zaprzyjaźnić się z kimś tak przyziemnym? Nie pytacie: wasz błąd. Aliści i tak wam odpowiem! Wiem, że wstydzicie się pytać i wyłącznie dlatego nie zaspokajacie waszej ciekawości! Wszystko, co mnie dotyczy, ociera się o sprawy nadprzyrodzone! Allah wybrał mnie, bym dał świadectwo prawdzie i opisał, jak żyjemy, czego dokonaliśmy i jakie są nasze zasługi! Niechaj potomni zapoznają się z owocami mego trudu, czerpiąc zeń zbawienną naukę! Niech choć oni mnie docenią, skoro nie mogę doczekać się uznania w oczach współczesnych, rozczytujących się w jakowychś dyrdymałkach tudzież oddającym cześć pustym figurom retorycznym! Co znaczy piękno stylu, skoro brak w nim treści? I jakie to piękno, skoro przedarcie się przez te wszystkie ozdobniki i górnolotności, męczy czytelnika do tego stopnia, że zaraz kładzie się spać, utrudzony niczym pielgrzym wędrujący pod palącym słońcem pustyni!

Znad rzeki docierała ożywcza bryza; z przyjemnością wciągałem w płuca jej świeży powiew; z mniejszą już satysfakcją przysłuchiwałem się tyradzie bagdadzkiego literata.

- Drogi mojemu sercu Al-Sabaf - prawil Aziz - zaczynał jako handlarz indygiem, a potem jeździł w okolice jeziora Urmia po biały boraks, używany przez złotników;

opowiadał mi po którejś podróży, że w Transoksanii, a ściślej w górach Buttam, znajduje się pieczara, nad którą stoi dom z zamkniętymi otworami wejściowymi oraz zabitymi na głucho oknami. Z pieczary wydostaje się para, w nocy podobna do ognia. Kiedy opada, wydziela się z niej salmiak. Wchodzący do tego pomieszczenia muszą owinać się w wołokowe koce. Para ta wydziela się z różnych miejsc; jeśli się wyczerpie, należy wykopać dół gdzie indziej. Można zbliżyć się do niej bez obawy tylko wówczas, gdy żaden budynek nie hamuje jej swobodnego wyziewu. Salmiak stał się również przyczyną najdalszej z wypraw Al-Sabafa. Dotarł on aż do kraju zwanego Państwem Środka. Żółci ludzie mieszkający w tej bezmiernej krainie mają wszystkich innych za ostatnich barbarzyńców i święcie są przekonani o swej wyjątkowości. Władcę swego tytułują Synem Nieba i naprawdę wierzą, że pozostaje on w jakimś tajemnym porozumieniu z bóstwami zamieszkującymi wyższe sfery. Liczbę ich obliczają na cztery miliony. Zdaniem Hanów, tak albowiem owi osobnicy o żółtawej cerze sami siebie nazywają, jeżeli Syn Nieba żyje pobożnie i rządzi sprawiedliwie, na ziemi panuje pokój i dobrobyt. Jeśli nie - niebiosa gniewają się i zsyłają rozliczne plagi: a to potworną suszę, a to ogromną powódź, a czasem wręcz - wojnę. Tamtejsi zbieracze salmiaku noszą buty o drewnianej podeszwie, ponieważ skórzane wnet się spalają. Dobywają go z góry położonej na północ od miasta Kucza, pełnej szczelin. Prócz zimy otwory te zawsze wypełnione są ogniem. W nocy postronni ludzie sądzą, że góra przyozdobiona jest tysiącami lamp. Hanowie bardzo cenią salmiak i nawet płacą nim daniny należne Synowi Nieba. Al-Sabaf opowiadał, że w ich krainie znajdują się rzeki wielkie niczym Tygrys, a ogień unoszący się nad niektórymi takimi górami, widoczny jest ze stu farsangów. Z kolei w Iranie rozciąga się dolina, przez którą trzeba się przedostać, wracając do Chorasanu z ziem poddanych władzy Syna Nieba. Al-Sabaf udał się do tubylców mieszkających na skraju owej doliny i obiecał im dobrą zapłatę. Ci zaś wzięli na ramiona bagaże całej karawany i poprowadzili ją przez ową dolinę. Kiedy on i jego ludzie omdlewali, przewodnicy bili ich kijami, aby wrócili do przytomności. Kto nie miał sił iść dalej, umierał z pragnienia, palony okrutnym słońcem. Tak szczyła połowa karawany. Ci jednakowoż, co przeżyli, wrócili bogaci. Kupiec ryzykuje życiem, lecz jeżeli mu się poszczęści, osiąga niekiedy większe zyski niżli bankier... Takim człowiekiem jest ten, do którego was posyłam! Wielki to zaiste podróżnik...! Bądźcie mili dla niego, to oczaruje was przepięknymi opowieściami, wcale nie zmyślonymi, jak bajki o Sindbadzie, godne jedynie uwagi zakutych łbów!

Gorąco przemawiał bagdadzki literat. Kiedy raczył wreszcie skończyć, w

mieszkańcu znów zawrzała krew. Jego atak naturalnie udaremniła czujna islamska sprawiedliwość. Zbity Ibrahim wylądował w łodzi. Pospiesznie udałem się w to samo miejsce, unikając potężnych rąk.

Rzeczna jednostka, która winna dostarczyć nasze znękane ciała do Samarry, dawnej stolicy kalifów, po dokładniejszej lustracji okazała się być czymś pośrednim między galerą, łodzią i statkiem. Zawierała w sobie wszystkie te trzy elementy, aczkolwiek w nierównych proporcjach. Na pewno nie była trierą ani pięćorzędowncem; ani nawet pięćdziesięciowłowncem; co tyczy się napędu, posiadała zarówno żagiel, jak i wiosła. Wioseł było po cztery z każdej strony; maszt był jeden. Większość pokładu była odkryta; upodobniało ją to do długich korabi wikingów, bądź też do najstarszych statków starożytności greckiej. I z dzioba, i z rufy widniało coś na kształt nadbudówek; dopatrzyłem się nawet śladów pokładu spacerowego przeznaczonego dla pasażerów. Chyba Aziz nie przesadził, prawiąc nam o wsadzaniu na statek.

Ba! Samarra, a co dalej? Dopłynięcie tam w niczym nie przybliżało nas do celu. Wręcz od niego oddalało! Płynąc w górę rzeki, niestety wydłużaliśmy sobie drogę powrotną.

Nic jednak nie szło na to poradzić. Stateczek ruszył. Hałaśliwe Miasto Pokoju zostawało za nami. Po godzinie skończyły się bulwary nadrzeczne, a zabudowa zaczęła wyglądać na czysto podmiejską. Stałem nieruchomo, kontemplując ten widok, a także, oczywiście w miarę niepostrzeżenie, przyglądając się pasażerom.

Było ich tylko kilku, ponieważ arabska jednostka służyła przede wszystkim do przewozu towarów. Rzeczony towar załadowany był w skrzyniach. Również mu się przyjrzałem. Doprawdy, był zadziwiający. Kojarzył mi się z ziemią, ale o jakiej barwie! Owa „ziemia” posiadała mocno zielonkawy odcień... O czymś podobnym nigdy nie czytałem, nie mówiąc już o oglądaniu tego na własne oczy!

Jeden z pasażerów, gibki, kruczoczarny młodzieniec, przyciągał moją uwagę. Coś pilnie studiował. Był przeto pokrewną duszą...

- Niechaj pozdrowiony będzie miłosierny i wszechmocny Allah - rzekłem, radośnie zbliżając się do niego.

- Chwała Jezusowi Chrystusowi - odparł spokojnie młodzieniec.

Zdziwiłem się.

- Nie jesteś muzułmaninem?

- Nikt nie zmusi mnie do zmiany wiary. To straszny grzech.

- Chwała Jezusowi - powiedziałem. - Teraz wierzysz, że nie przyszedłem w niezbożnym celu?

- Jeszcze nie wierzę.

- Jak mam cię przekonać?

- Zawsze możesz odejść.

- Co czytasz? - spytałem, udając głuchego. - Pismo Święte?

Jakby się zmieszał.

- Nie - rzekł. - Powinienem, ale nie czytam. To itinerium, przewodnik, księga geografa Ibu Maktrinięgo. Znawcy cenią go niemal na równo z Al-Mukkadasim i Ibu Haukalem. Chcę dotrzeć na Zachód przez Damaszek, Antiochię i być może Bizancjum.

- My też się tam wybieramy - rzekłem.

Spojrzał na mnie niezbyt przyjaźnie.

- Niekoniecznie musimy podróżować razem - powiedział, znowu pograżając się w lekturze.

Czytał aż do Samarry. Ja natomiast nudziłem się jak przysłowiowy mops. Widok czytającego młodego człowieka wzbudził we mnie stłumioną tęsknotę. Pragnąłem dobrej książki bardziej niż cielesnej rozkoszy. O tym ostatnim nie myślałem. Niebezpieczeństwa i trudy misji zabiły żądzę.

W dawnej stolicy kalifów okazało się, że szczęście nadal nam nie sprzyja. Odszukaliśmy rezydencję Al-Sabafa i przedstawiliśmy nawet czarnoskóremu odźwiernemu nasze pełnomocnictwa, które niewolnik chętnie przejrzał, ale co z tego, skoro pana domu nie zastaliśmy, ponieważ wyjechał do Basry w jakichś interesach.

Basra była kupieckim miastem, słynnym nie tylko ze swych handlarzy fekaliami, lecz także z nadmorskiego handlu. Wymówki służącego wyglądały przeto na prawdziwe. Marną to było pociechą. Nie chciał nas nawet ugościć. Oznajmił, że jego właściciel zalecił mu wystrzegać się złych ludzi.

Tak zelżeni, błakaliśmy się w rozpaczycy ulicami Samarry, aż dotarliśmy do bazaru. W pobliżu suku sprzedawców noży i innych narzędzi domowego użytku, natknęliśmy się na zaczytanego młodzieńca ze statku. Uznałem to za zrządzenie losu; oburącz chwyciłem się tej szansy, roztaczając przed nim całą nędzę naszej sytuacji.

Wykształcony młodzieniec znajdował się w towarzystwie paru osiłków. Chyba dodało mu to pewności siebie.

- Rozumiem - powiedział. - Cóż jednak ja mam do tego? Czego się po mnie spodziewacie? Abym żywił was, karmił i niańczył?

- Szlachetny panie - rzekłem. - Jezus zalecił swym wyznawcom miłosierdzie. W Ewangelii jest napisane: błogosławieni miłosierni, albowiem oni miłosierdzia dostąpią.

Ożywił się.

- To jedno z błogosławieństw. Wymień przynajmniej jeszcze trzy, a obiecuję rozważyć twoją prośbę. Na razie tylko rozważyć.

Z pewnym trudem udało mi się przywołać je z przepastnych zakamarków mej pamięci.

- Zabierzesz nas?

Nie miał najweselszej miny. Jeden z osiłków zaczął mu coś szeptać do ucha. Pokiwał mądrą głową.

- Przychylę się do waszej prośby, jeżeli wykażecie się przydatnością. W przeciwnym wypadku będziecie musieli zadowolić się jałmużną.

- Będziemy na twe rozkazy, panie - wtrącił Ibrahim.

Młodzieniec zignorował go. Najwyraźniej nie przypadł mu do gustu.

- Co potraficie? - zapytał.

- Możemy robić wszystko - odpowiedział nieprawy syn dzielnego barona.

- Ten, kto tak mówi, najczęściej nie umie nic.

- Bywają wyjątki...

Młodzieniec znów poszeptał ze swoimi. Potem rzekł, zwracając się do mnie:

- Pospolite umiejętności i próżna mądrość mnie nie interesują. Zadam ci dziesięć pytań. Powinieneś udzielić prawidłowych odpowiedzi. Jeśli wykażesz się wiedzą, zabiorę cię ze sobą, gdyż towarzystwa mądrych osób nigdy za wiele.

- Pytaj.

- Kim był Tarik?

- Zdobywcą Hiszpanii dla islamu.

- Czym wsławił się kalif Al-Hakim?

- Szaleństwem.

- Kto napisał „Apokalipsę”?

- Święty Jan.

- Jaki przydomek nosił rzymski cesarz Julian?

- Apostaty, z racji jego powrotu do pogaństwa.

- Dobrze! Gdybyś jeszcze wiedział, z kim on tak zaciekle i z powodzeniem wojował!

- Z barbarzyńskim plemieniem Franków.

Młodzieniec zasepił się. Odniosłem wrażenie, jakby mocno zastanawiał się nad następnym pytaniem.

- Teraz dobrze uważaj - rzekł. - Gdzie wiara chrześcijańska znajduje się obecnie w największym rozkwicie?

- Na Hibernii. To wyspa zamieszkała przez Szkotów.

Podniósł brwi w impulsywnym geście.

- Czym rzekomo wsławiły się Amazonki?

- Te kobiety - wojowniczkami zabijały niemowlęta płci męskiej i obcinały sobie prawą pierś, ażeby nie przeszkadzała im w napinaniu łuku.

- Kogo potępił sobór w Nicei?

- Zwolenników aleksandryjskiego kapłana Ariusza.

- Z czego zasłynął święty Antoni?

- Z pustelniczego trybu życia i wielu objawień.

- Dam ci trzy możliwości: pustelnia jego leżała w Egipcie, Syrii bądź w jednej z krain Zachodu?

- W Egipcie.

- Wszystko wiesz! - wykrzyknął. - Na Boga, chyba znalazłem właściwego kompana podróży!

Odetchnąłem.

Przedwcześnie jednak, jak się okazało. Ten z osiłków, który już wcześniej szeptał mu coś do ucha, delikatnie odciągnął go na bok, między stragany, w miejsce, gdzie na pewno nie mogłem nic usłyszeć.

- Zadałem ci już dziesięć pytań - powiedział młodzian po powrocie - i właściwie powinno to wystarczyć. Jednakże jeden z moich ludzi przekonał mnie, że jesteś w czepku urodzony... On sam chce zapytać cię o coś. Jeśli odpowiesz trafnie, pojedziesz z nami.

- Bez Ibrahima?

- Tak.

- Pan mój, a jego ojciec, nigdy mi tego nie wybaczy.

- Trudno.

- Podróżowaliśmy tyle czasu... jest on dla mnie jak brat... - targowałem się, może dlatego, że byliśmy na bazarze, co mnie w jakiś sposób rozochociło.

- Trudno - powtórzył wspaniałomyślny młodzian. Można mu było jedynie

zarzucić zbytnią ustepliwość. Dziesięć to dziesięć; Dekalog też składał się z dziesięciu przykazań. Nie powinien, wręcz nie wolno mu było zgadzać się na to, aby rządził nim sługa. Lancelot nigdy by sobie na coś takiego nie pozwolił. Co więcej: żadnemu ze służących mu rycerzy przenigdy nie przyszłoby do głowy wpływać na decyzję swego pana! Prędzej umarliby ze strachu, choć nieraz wykazali się odwagą, męstwem i sprawnością w boju... Oto złe skutki nadmiernego przywiązania do interesujących lektur! Klasyczne pięknoduchostwo!

- Powiadasz, że ten tutaj jest dla ciebie jak brat? - głośnie przemówił osilek.

Co było począć, zełgałem ponownie. To nie były najlepsze okoliczności dla wyjaśnienia postronnym osobom rodzaju łączących nas więzi.

- Mam więc dobrą wiadomość dla ciebie...

- Jaka? - spytałem nieufnie.

- Udzielając prawidłowej odpowiedzi, wywalczysz i dla niego podobne prawo...

- Znaczący, zabierzecie i jego?

Osilek nie zdążył nic powiedzieć; wykształcony młodzian uniósł się szlachetnym gniewem i począł czynić mu - wszelako nader łagodnie - wyrzuty za wtrącanie się w nie swoje sprawy.

- Panie, pozwól na chwilę - rzekł winowajca skruszonym głosem.

Znów się oddalili, niktąc w ciżbie kupujących i oglądających towary. Co mnie się tyczy, to uważałem, że tych drugich jest zdecydowanie więcej. Kupujący zaś więcej się kłócili i handryczyli, aniżeli naprawdę kupowali.

Kiedy wrócili, na ich twarzach gościły uśmiechy. Młodzieniec uśmiechał się niepewnie, natomiast jego barczysty kompan - z gruntu nieszczerze i jakoś podejrzanie radośnie. Pomyślałem, że przyszykował mi takie pytanie, na które już nie będę miał szans odpowiedzieć.

- Możemy zaczynać?

- Bardzo proszę - odrzekłem.

Młodzieniec wskazał na swego towarzysza i odszedł o kilka kroków.

- Uważaj - rzekł osilek. - Pytanie prościutkie jest, na pewno będziesz znał odpowiedź... W jaki strój był przyodziany kalif Al-Muktandir, kiedy wyruszył na wojenną wyprawę, z której już nie powrócił żywy?

Zapytał i serdecznie się roześmiał! Aż wzniosłem oczy ku niebu, czekając na natchnienie! A nawet nie na to! Kto niby miałby mi go udzielić!

Młodzieniec podszedł bliżej i wbił we mnie uważny wzrok. Nie zrobiło mi się od

tego lepiej. Naraz coś zacząłem kojarzyć... Było to nieoczekiwane i niepojęte.

- Nie wiesz? - dociekał osiłek.

Przypomniałem sobie nadreński kasztel i „szkolenie”, jakie odebrałem od Ibrahima, kiedy skończyły się już te hece z przesłuchiwaniami i rzekomą egzekucją. Mój Arab opowiadał wtedy o obyczajach i prawach rządzących imperium islamu; wspomniał też o kalifach...

Znów coś poruszyło się w mojej pamięci. Szepnąłem: - Boże...

Po chwili uświadomiłem sobie, że tego Słowa nie wypowiadałem od dzieciństwa!

- Słuchaj - zdenerwował się barczysty mąż. - Nie będziemy stać tu wiecznie!

- Odmówię Credo - rzekł młodzieniec. - Po tym czasie musisz się zdecydować, przyjacielu. To przykre, ale mój towarzysz podróży ma rację.

Popatrzyłem po ludziach przelewających się między rzemieślniczymi i kupieckimi sukami, zwracając naraz uwagę na dziwnie ubraną grupkę brodaczy o rudawym odcieniu włosów. A jakiś wewnętrzny głos szepnął: - Płaszcz Proroka!

Potem te same słowa usłyszałem wypowiedziane półgłosem. I powtórzyłem je donośnie.

- Brawo! - krzyknął młodzieniec. - Kalif miał na sobie naprawdę płaszcz Proroka!

Osiłek zrazu oniemiał, a potem zawołał: - I jeszcze czarny kaftan! A tego nie powiedział!!!

I znów wewnętrzny głos, podsunął mi replikę:

- Co jest ważniejsze - płaszcz Proroka czy jakiś kaftan?

- Święte słowa! - wrzasnął młodzian, aż się ludzie za nim obejrżeli. - Płaszcz Proroka jest o stokroć ważniejszy! Przyjmujemy ciebie i twego duchowego brata do naszej zacnej kompanii!

Tak oto zacząłem wierzyć w cuda. Aby się jeszcze upewnić, następnego dnia spytałem Ibrahima, czy czasem nie był tym, który niepostrzeżenie podsunął mi trafną odpowiedź.

- Milczałem jak grób - odrzekł Arab - pogrążony w czarnej studni mej rozpaczliwej ignorancji.

Musiałem wyrazem twarzy objawić swój brak zdecydowania, ponieważ po chwili dodał:

- Czy myślisz, że nasz wróg by tego nie wychwycił? Stał przecież blisko, a na

głuchego i ślepego nie wygląda.

- Prawda - powiedziałem. - To człowiek niezbyt nam przyjazny, lecz czujny nad podziw.

Rozmawialiśmy o tym na popasie, w bezpiecznym oddaleniu od reszty karawany, dość nawet licznej. Niby rządził nią ów pięknoduch, aliści wiele na to wskazywało, że nie sprawuje pełnej kontroli nad poczynaniami swych ludzi.

Nazajutrz dotarliśmy do niezbyt rozległej miejscowości, położonej wśród aluwialnych pól. Domy w miasteczku kształtem swym przypominały te w Samarze czy Valterii. Budowane były wedle z góry ustalonego schematu: zadaszone wejście prowadziło z ulicy bądź z zaułka na obszerne czworokątne podwórze. Jeden jego bok był nieco szerszy. Po węższej stronie znajdowała się komnata główna; w jej rogach kaprys architekta rozmieścił mniejsze pokoiki, właściwie kliteczki. Dziedziniec otoczony był szeregiem prostokątnych pomieszczeń. Jedne służyły celom mieszkalnym, inne - gospodarczym. Wszystkie domy w owej miejscowości, ewidentnie zamieszkałej przez ludzi zamożnych, miały łaźnie i kanalizację. Jak na moją wiedzę historyczną, standard cywilizacyjny był wyższy niż w Galii w czasach rzymskich, a była to bodaj najbogatsza prowincja imperium! Na pewno zaś - najludniejsza.

W niektórych domach odkrywaliśmy nawet oszklone okna oraz wentylowane mieszkalne piwnice, będące świetnym schronieniem podczas upałów.

Odkryliśmy też jeszcze coś innego: wszyscy mieszkańcy miasta byli martwi.

Wszyscy. Co do jednego. A przyczyna ich zgonów była co najmniej dziwna.

Ludzie ci nie zginęli od miecza. Nie spłonęli w pożarze. W pobliżu brakowało wulkanu, którego wybuch mógłby zrobić z nimi to, co Wezuwiusz uczynił z Pompejami.

Myślę, że nie było pośród uczestników wyprawy nikogo, czyjego serca nie poruszyłby ów zatrważający widok. Nawet jeżeli nie współczuli umarłym, to z pewnością odczuwali strach. Lękamy się niezrozumiałego; to zaś było nie tylko niepojęte, lecz i straszne.

Najbardziej przykry dla oka był widok przedśmiertnych konwulsji ofiar. Zdawały się nas oskarżać, choć, jako żywo, nie mieliśmy nic wspólnego z tajemnicą ich zgonu.

Wszystko jednak przemija, przeminęło więc i nasze oszołomienie. Niektórzy wcześniej zabrali się do rabunku, inni później, ale też ulegli amokowi grabieży.

Daremnie wyznawca Jezusa usiłował powstrzymać swoich ludzi! Nie skutkowały ani groźby, ani połajanki, ani odwoływania się do przyrodzonej jakoby człowiekowi wielkoduszności.

Zniknął gdzieś i Ibrahim, cudzołożny syn rozpustnego starucha. Też kradł, to pewne. Tylko ja i szlachetny młodzieniec wzgardziłyśmy dobrami wymarłego miasta. Staliśmy na placyku przed meczetem ze zdobionym płaskorzeźbami portalem (były tam same motywy geometryczne i roślinne; Koran bezwzględnie zakazywał ukazywania wizerunków ludzi) i bezradnie przyglądaliśmy się sobie wzajemnie.

Trupią orgię przerwało dopiero nadejście zmierzchu. Grabieżcy ściągali na placyk jak niedźwiedzie do barci; Ibrahim przyprowadził aż cztery wierzchowce wyładowane zdobyczą. Przykro to przyznać, lecz zaliczał się do najbardziej zapobiegliwych, choć sam temu przeczył, z goryczą oznajmiając, że inni przegonili go z domostwa, gdzie znalazł złoty skarb.

Nocowałem w oliwnym gaju poza miastem; nie uśmiechał mi się dalszy pobyt w wymarłym mieście. Inni byli mniej wrażliwi; co gorsza, popili sobie i z owego zbiorowego cmentarza długo dochodziły odgłosy kłótni.

Teraz nie dziwiłem się już opowieściom o tłumach wiernych szturmujących pałac kalifa po każdorazowym zgonie następcy Mahometa. Wszystko wszak może się przydać...

W południe następnego dnia nasz słaby przywódca doliczył się ledwie połowy swego oddziałku. Reszta zapewne szukała dalej.

- Nie będziemy na nich czekać - powiedział młodzieniec.

- Lepiej nie - odezwałem się nieproszony. - Jeszcze wpadną na pomysł zabrania nam tego, co posiadamy?

- Ja nie zabrałem niczego.

- Ani ja - powiedziałem. - Atoli są wśród nas tacy, co sobie nie folgowali.

Ruszyliśmy z kopyta. Wypoczęte wierzchowce mimo upału niosły dobrze, ale nie każdego równo. Bardziej objuczeni łupami zostawali w tyle. Do wieczora rozciągnęliśmy się chyba na milę, a może nawet dwie. W czołówce było nas tylko trzech; w kolejnym gaju, tym razem pomarańczowym, posadzonym nieopodal kanału, młodzieniec zarządził popas. Widząc moją nie najweselszą twarz zapytał, czy nie chcę czekać na swego towarzysza.

- A znajdzie nas tutaj?

- Powinien.

Dobrze prorokował szlachetny młodzian. Ibrahim z jeszcze jednym Arabem dołączyli do nas niebawem. Zważywszy na to, że prowadził cztery objuczone konie, należało uznać to za pewien wyczyn.

Od razu krzyknął, że nie powinniśmy tu siedzieć.

- Co się wydarzyło, na Boga!

Uniósł tylko ramiona... Zrozumieliśmy.

Następnego dnia przeprawiliśmy się przez płytki kanał rozprowadzający wodę na poletka okolicznych wieśniaków.

Na drugim brzegu syn Lancelota zabrał się za objaśnianie swej tajemnicy, lecz nader zgodnie - najpierw szlachetny młodzian, a potem ja - podziękowaliśmy mu za trud, mówiąc, że i bez jego pustej gadaniny domyślamy się, co się stało.

Młodzieniec zaś dodał: - Chciwość najgorszą jest przywarą. Prowadzi nawet do bratobójstwa. Pospieszajmy.

Bez przeszkód dotarliśmy do Damaszku. Tam rozdzieliliśmy się. Młodzieniec okazał się być duchowo silniejszy niż sądziłem, ponieważ bez żalu przyjął utratę karawany, oraz to, że ostał mu się tylko jeden jedyny sługa.

Miłośnik literatury - rzekł - nie może przepuścić okazji zwiedzenia tutejszej biblioteki. Wprawdzie zawiera ona głównie dzieła autorów muzułmańskich, lecz spodziewam się zastać tu również rękopisy Jana Złotoustego i Grzegorza z Nazjanzu. Nie wiem, czy mówią wam coś te imiona... Zresztą o to mniejsza. Bóg z wami, a zwłaszcza z tobą, przyjacielu erudyto... Marzyła mi się piękna dysputa, wszelako Wszechmocny zrządził inaczej.

Zgodziłem się z nim, oznajmiając uroczyście, iż również żałuję.

- Czy macie dość pieniędzy na dalszą podróż?

- O tak - rzekłem z przekonaniem. - Ibrahim z pewnością o to zadbał.

Ówże wcale nie okazał radości („dinarów nigdy za wiele” - powiedział), posuwając się nawet do złośliwych uwag pod moim adresem (że niby jestem nieprzydatny i nie mam po co wracać do Lancelota), lecz ostatecznie gróźb swych nie wprowadził w czyn, dzięki czemu szczęśliwie pokonaliśmy anatolijski płaskowyż, po morderczej parotygodniowej podróży docierając do portu w Attali, skąd do Konstantynopola był już przysłowiowy żabi skok, zwłaszcza w porównaniu z przebytą wcześniej drogą.

W porcie Ibrahim podpił sobie, a po powrocie z tawerny zaczął się chwalić, że nim w wymarłym domostwie dopadli go źli kompani na czele z zawsze nam

niechętnym barczystym osiłkiem, zdążył z tego skarbu, co nieco uszczknąć, dzięki czemu jeszcze żyjemy, a do Konstantynopola i potem do Marsylii, popłyniemy jak emirowie; nie ma nawet mowy o pracy w charakterze wioślarzy, co jest zajęciem ogłupiającym, niegodnym jego uczonego umysłu.

- Przeto możemy - rzekłem - pozbyć się tego zagrabionego bagażu...

- O nie - zaprzeczył. - Tyle nabrałem cennych szat, jedwabnych i purpurowych, że nastąpi to jedynie po moim trupie!

A po chwili dodał, śmiejąc się już całkiem obrzydliwie: - i coś ci powiem, drogi bracie... Ty to będziesz dźwigał! Jakoś musimy dostać się na statek!

- Też coś ci powiem, bracie... Spieniężmy towar. Pieniądz mniej ważą! Oraz łatwiej go ukryć...

- Boisz się zdradzieckiej napaści?

Ponuro przytaknąłem.

- Tu nie sprzedam - oznajmił. - W stolicy cesarstwa wytarguję wyższą cenę. Taki towar ma to do siebie, że z każdą milą staje się coraz droższy!

Wyciągnął skądys sakwę i pokazał mi złoto; całe mnóstwo błyszczących monet.

- Postaramy się dotrzeć z naszym łupem aż do samego zamku ojcowego - powiedział. - Pora pomyśleć o przyszłości.

ROZDZIAŁ VIII

Nie wiem, w jaki sposób przyszłość tę sobie wyobrażał; nic mnie to nie obchodziło. Coś knuł; to pewne.

W Konstantynopolu zabawiliśmy krócej niż poprzednio; Ibrahim nieoczekiwanie wpadł na pomysł płynięcia do Hiszpanii Umajjadów, czyli pakowania się w samą paszczę lwa! Kiedy objawiłem zdumienie, wyraźnie poirytowany dał do zrozumienia, że w tej materii nic nie mam do powiedzenia; on tu rządzi! Naturalnie, nie muszę się podporządkowywać; Bóg każdego obdarzył wolną wolą. Mogę wstąpić na służbę do cesarza. Tyle tylko, że z pewnością mnie nie przyjmą. Na gwardzistę czy żołnierza armii polowej się nie nadaje, a kandydatów do służby cywilnej jest multum,

jak tłumaczył ów Grek wydrwigrosz, który nas wonczas okpił.

- Słuchaj - powiedział następnego dnia, kiedy złość już mi przeszła. - Droga lądowa wcale nie jest bardziej niebezpieczna ani nawet dłuższa aniżeli podróż morską!

- Niestety: jest trudniejsza. Znajdziemy się na wrogim terytorium i będziemy musieli przedzierać się przez wysokie góry. Zasypią nas lawiny i obrabują rozbójnicy. Dobrze, jeżeli ujdziemy z życiem.

- Nic złego się nie stanie, zapewniam.

- Skąd ta pewność?

- Czuję się Bożym wybrańcem - odparł, przecinając w ten autorytarny sposób wszelką dyskusję.

Wsiadliśmy na statek. Pod jednym względem dotrzymał słowa, mimo swej przeniewierczej natury mieszańca. Nie kiwnął przysłowiowym palcem w bucie: sam wszystko wnosilem na pokład. Pożałował też pieniędzy na tragarza, a chętnych do pracy było wielu. Aż przebierali nogami, żeby zarobić te dwie nomismy, co pozwoliłoby im kupić chleb na parę dni dla całej rodziny - bądź też urznąć się w tawernie, jeżeli samotnie borykali się z uciążliwą codziennością.

- Pewnie nie zastanawiałeś się nad moimi słowami - oświadczył pogodnie, wpatrując się w piękną panoramę Złotego Rogu. - Przyznajesz, że nie?

- Wybacz.

- Pomyśl tylko: przeżyliśmy tyle przygód, tylekroć zaglądaliśmy śmierci w oczy, lecz wciąż żyjemy i wracamy do Lancelota.

- Z pustymi rękami - powiedziałem. - Nic nie wyszło z misji, jaką nam poruczono. Nadal nad frankijsko-chrześcijańskim pograniczem wisi straszliwa groźba umajjadzkiego najazdu. Na Lancelota i jemu podobnych drobnych panków, zwali się cała potęga muzułmańskiego Zachodu. Kalif w Kordobie nie przestraszy się groźby inwazji ze strony Abbasydów, albowiem nie będzie miał ku temu żadnych przesłanek. A naszym celem było stworzenie takiej iluzji.

- Kraczesz!

- Ibrahimie, jak możesz tak mówić! Czasem żałuję, że nie zostawiłem cię w Samarze! Albo zdechłbyś z głodu, albo żyłbyś jak nędzarz!

Zanim mi odpowiedział, dwumasztowiec podniósł żagle. Na razie jeszcze nie wszystkie, lecz już wypływaliśmy, prowadzeni przez wiosłowe łodzie z harującymi Bizantyńczykami. Mój Arab przyglądał się im z perwersyjną przyjemnością. Zupełnie

go nie rozumiałem. Osobiście wolałem podziwiać wspaniałą panoramę Nowego Rzymu. O gustach jednak niby się nie dyskutuje.

Na pełnym morzu Ibrahim oznajmił nagle:

- Zapewne uważasz mnie za szaleńca... Aliści nie masz racji. Niepowodzeniem zakończyła się dopiero pierwsza część naszej misji.

Wciągnąłem powietrze w płuca:

- Jest więc i druga? Lancelot nie powiedział wszystkiego?

Ibrahim roześmiał się ironicznie.

- On zalicza się do ludzi opanowanych i nader powściągliwych w uczuciach. Sądziś, że go poznałeś? Jak to możliwe? Ile godzin ze sobą spędziliście? Czy łączyły was więzy szczególnego rodzaju?

- Pojmuję, do czego pijesz.

- Wydaje ci się. Tylko tak ci się wydaje.

- Przecież jesteś jego synem.

- Jestem. I co z tego?

- Nigdy cię nie miłował?

Ponownie parsknął śmiechem, niedobrym śmiechem.

- Lancelot kocha jedynie siebie i własne obmyśły. Dla nich gotów jest poświęcić życie. Zwłaszcza cudze.

Kilka następnych dni albo nie rozmawialiśmy w ogóle albo po prostu gadaliśmy o niczym, na przykład o pogodzie.

To znaczy: w trakcie morskiej podróży, zwłaszcza w warunkach żeglugi średniowiecznej, nie było to zagadnienie całkiem błahe. Byłe sztorm mógł posłać na dno naszą łupinkę. Już to, że utrzymywaliśmy się na wodzie, mimo sporej fali, zakrawało na cud. Pamiętałem jednak, iż mniej więcej w tym samym czasie Skandynawowie przemierzać będą, lub już przemierzają, Atlantyk, na jednostkach mniejszych i nawet gorzej wyposażonych, aż dotrą do Ameryki i założą tam pierwsze kolonie.

- Naprawdę czuję się wybrańcem Bożym - rzekł niespodziewanie. - Ojciec spalił parę osad i zgwałcił moją matkę. Potem zaś zabrał ją na zamek, darując życie. Czyż nie był to palec Opaczności? Mógł nie zabierać...

- Co zamierzasz przedsięwziąć, Ibrahimie? Skoro jesteś owym wybrańcem?

- Tak jak wcześniej celem naszej podróży był Bagdad, stolica kalifatu abbasydzkiego, tak teraz będzie nim Kordoba, stolica muzułmańskiego Zachodu.

- To twoje rodzinne miasto?
- Trochę je znam - odrzekł.
- Z tego, co mówiłeś kiedyś, wynikało, że znasz je świetnie.
- Lancelot zezwolił na powrót mojej matce.

Przed Kretą zaskoczył nas sztorm; statek stracił część takielunku, aliści na dno nie poszedł. Wspominam to z pewnym spokojem; wówczas byłem od niego jak najdalszy.

Kretę zamieszkiwali głównie Słowianie; co drugi przeszedł już na islam, jak wyznał to właściciel naszej kwatery, z dumą podkreślający swą wierność Chrystusowi. Nad portem górowała cytadela zbudowana z suszonej cegły wzmocnionej pasmami drobnego kamienia. Na pewno kamienne były też fundamenty warowni. Zwykle domki w owej sennej mieścinie - nazwy jej nie zapamiętałem, bo i nie było po temu żadnego sensownego powodu - uczyniono z gliny. Ich dachy kryte były najczęściej trzcina, rzadko kiedy - ceramiczną dachówką.

Z wyspy tym samym statkiem popłynęliśmy do fatymidzkiego Al-Mardż, rozłożonego już na afrykańskim wybrzeżu. Tamtejsze minarety przyjąłem spokojnie; już mnie nie drażniły tak, jak widok meczetów na Krecie.

W Al-Mardż musieliśmy poszukać sobie innego żaglowca. Nieoczekiwanie okazało się to być nad wyraz łatwe. Jeszcze tego samego dnia odpływał frachtowiec do libijskiego Tarabulus al-Gharb. Nie dochodziłem zawartości ładunku, z obawy, aby nie wzięto nas za szpiegów.

Żegluga przybrzeżna wcale nie była bezpieczna. Huśtało nami jak przysłowiową łupinką; Ibrahim wzywał kolejno muzułmańskiego Boga oraz imienia Jezusa; inni pasażerowie także nie ustawiali w modlitwie; poczułem, jak coś we mnie się przelamuje, pęka; porzuciłem swój sceptycyzm; między Al-Mardż a tą drugą miejscowością, zwaną przez Arabów Tarabulus al-Gharb, stałem się człowiekiem mocniej wierzącym w Opatrzność. Z doktryną jeszcze co prawda było u mnie nietęgo, lecz cały mój wyniesiony od Ojca Narodu pseudonaukowy pogląd na świat legł w gruzach. Co ciekawe, nastąpiło to w błysku olśnienia, w jednej chwili, choć przyznaję, że i wcześniej miałem podobne myśli.

W Tarabulus al-Gharb znaleźliśmy statek, którego właściciel raczył zabrać nas do portu Al-Kajrawan, skąd niby było niedaleko do Tunisu. W rzeczywistości mimo sprzyjającej pogody płynęliśmy tam tydzień. Pewnego dnia powiedziałem do Ibrahima, że według moich obliczeń droga powrotna z Bagdadu trwa już tyle samo, co

podróż z Marsylii do Basry; on zaś temu nie zaprzeczył.

Coś zaczęło się ze mną dziać dziwnego; w porcie Annaba upiłem się i nocą wznosiłem bluźniercze okrzyki w niezrozumiałym dla nikogo języku; na statku płynącym z Annaby do Al-Dżazair o mały włos nie pobiłem sternika, co niekoniecznie musiałyby zakończyć się szczęśliwie...

W Al-Dżazair zaokrętowaliśmy się na inną jednostkę; Ibrahim - patrząc na mnie podejrzliwie - powiedział, że za dwa tygodnie będziemy w Tandży, skąd już jest naprawdę blisko do ziem zajmowanych przez Umajjadów.

- Odkąd opuściliśmy Złoty Róg, znajdowaliśmy się cały czas pod władzą Fatymidów - dodał po chwili.

- Mnie wszystko jedno - rzekłem.

Ponuro pokiwał głową, nie odzywając się więcej!

Do hiszpańskiego brzegu dobiliśmy jakoby w tym samym miejscu, gdzie przed wiekami wylądował przywódca Berberów Tarik, przez wielkorządcę Afryki wysłany na podbój królestwa Wizygotów.

Arabski port na iberyjskim wybrzeżu pysznił się kobiercem przepięknych barw. Wnet podpłynęły łódki z okolicznymi mieszkańcami oferującymi swe usługi. Tym razem Ibrahim nie poskąpił grosza. Mocno musiało go uradować szczęśliwe zakończenie morskiej podróży! Jedyne w ten sposób potrafię to wytłumaczyć!

Rozlokowaliśmy się w gospodzie jak królowie; syn Lancelota szastał pieniędzmi, wydając je bez opamiętania. Zamówił ćwiartkę barana i poprosił gospodarza, aby wraz z synem pomógł nam ją spożyć. Zwróciłem mu uwagę, że możemy napytać sobie biedy. Po namyśle przyznał mi rację.

- Widzisz moją radość - rzekł - lecz nie pojmujesz jej powodów. Oto pod twą nieobecność znalazłem karawanę ciągnącą prosto do Kordoby. Przyłączymy się do kupców i bezpiecznie dotrzemy do miasta umajjadzkiego władcy, gdzie czeka nas, a w szczególności mnie, druga część misji. Na razie cię w nią nie wtajemniczę. Nadmiar wiedzy unieszczęśliwia!

- Wcale nie jestem ciekaw twojej tajemnicy.

- Naprawdę nie?

- Naprawdę. Zależy mi jedynie na bezpiecznym powrocie do domu.

- Aleś mnie zadziwił! Kasztel Lancelota nazywasz swoim domem?

- Innego nie posiadam.

- A ojczysta Northumbria?
- Lękam się, że po tak długim czasie nikt już tam na mnie nie czeka, Ibrahimie, synu dzielnego Lancelota!

ROZDZIAŁ IX

Z Algericas nadmorskim traktem pociągnęliśmy do Malagi, skąd dość porządna droga, wybudowana jeszcze przez Rzymian, doprowadziła nas do Sewilli. Ibrahim wyjaśnił, że gdybyśmy podróżowali sami, nie zobaczylibyśmy tego miasta, lecz skoro przystaliśmy do kupców, musimy od losu ścierpieć i tę zniewagę!

- Naturalnie - rzekłem - nasi przyjaciele chcą pozbyć się tu części towaru. Trudno im się dziwić.

- Dlaczego nazywasz ich przyjaciółmi?

- Nie obrabowali nas i nie poturbowali, jak ci, z którymi płynęliśmy wielką rzeką Babilonii.

- To wystarcza? Przyznaję ci rację. Są naszymi przyjaciółmi.

- I będą nimi dalej?

Zamrugnął powiekami.

- Odłączymy się od nich czy nie? - spytałem.

- Przenigdy - powiedział. - W kupie różniej.

- Ciekawe, czym handlują...

- Na pewno nie pieprzem. A tylko to ciebie interesuje...

- W obcym świecie wszystko jest zajmujące.

- Dla mnie nie - rzekł. - Ja jedno mam w głowie.

- Misję?

- Daremnie prosisz. Nie wyjawię niczego.

- Nawet tego - odezwał się czyjś głos - że, jak powiada Al-Mawardi, należy kierować się rozsądkiem we wszystkich sprawach tego świata?

Ibrahim gwałtownie zwrócił się w kierunku natręta.

- Kim ty jesteś, i kim był ten, na którego się powołujesz?

Obcy uklonił się z godnością.

- Jestem jednym z tych, których raczyłeś nazwać swoimi przyjaciółmi - odpowiedział spokojnie. - Trochę dziwię się temu, że mnie nie rozpoznałeś. Zaś Al-Mawardi był pisarzem i poetą. Znakomitym pisarzem.

- Dobrym pisarzem, rzeczesz?

- Uważam, że tak. Nie posiadam wprawdzie jego pism na własność, lecz po to są biblioteki, aby miłośnicy słowa pisanego mieli gdzie oddawać się swojej pasji! Lubicie czytać?

- Bardzo - powiedziałem.

- Każdy większy meczet ma swoją bibliotekę - mówił kupiec. - Nie mogą się one jednak równać z bibliotekami wielkich władców. Mój znajomy z Kordoby, ten któremu wieziemy nasze towary, opowiadał mi, że kalif Al-Hakam wszędzie wysyła swoich ludzi, skupujących wyłącznie oryginały świętych ksiąg; szukają ich nie tylko na Zachodzie, także na Wschodzie i w Kairze. Wiedział to stąd, że kiedyś przyniósł na dwór kalifa egzemplarz dzieła At-Tabariego, żądając aż stu dinarów! Skierowano go do głównego bibliotekarza. Ten rzucił okiem na księgę i od razu odmówił rzeczając: - „Historii” At-Tabariego u nas dostatek. Mamy tego dziesięć czy dwadzieścia zwojów! - kupiec zakasłał. Po chwili wznowił swą opowieść:

- Istnieją i biblioteki prywatne, niektóre o wartości kilku tysięcy dinarów. U Miskawajhiego czytałem o pewnym wezyrze. Padł on ofiarą złości rycerzy wiary. Byli to ochotnicy, którzy, owiani religijnym zapałem, zgromadzili się, aby walczyć z Romajami, najeżdżającymi nasze pogranicze. Zebrali się owi ochotnicy, lecz nic z tego nie wyszło, bowiem nie miał kto ich poprowadzić, a na domiar złego szwankowało zaopatrzenie w żywność. Wojownicy znaleźli winowajcę w osobie owego dostojnika! Naszli jego rezydencję i obrabowali go do cna. Zabrali mu wszystkie dywany, sprzęty domowe i księgi. Przyjaciół wezyra podesłał biedakowi naczynia i zydle, aliści serce obrabowanego tęskniło za biblioteką. Toteż wielce ucieszył się, kiedy Miskawajhi przyniósł mu wieść, że znalazł ją porzuconą na pustyni, acz - nienaruszoną. Była to jedyna rzecz z majątku wezyra, która uratowała się w całości. Po prostu rycerze wiary nie umieli czytać i wzgardzili biblioteką. Nie znając zaś jej wartości, nie pomyśleli nawet o tym, że mogliby ją korzystnie sprzedać: Kupcy by się znaleźli. Zamożnych miłośników ksiąg u nas nie brakuje!

- Aliści - wpadłem mu w słowo - z czegoś żyć trzeba!

Mówca rozpromienił się.

- Jak dobrze, że ulitowałem się nad wami! W nagrodę Allah zesłał mi wdzięcznych słuchaczy! Nielatwo o nich w dzisiejszych czasach! Jedni gonią za złotem, inni wyciągają dłoń po żebracze miedziaki! Jeżeli miarą wartości człowieka jest pieniądz, to co wart jest taki świat?

- Nic - wtrącił Ibrahim, prychnąwszy ze złości.

- Prawdę rzekłeś: nic. Opowiem wam o pewnym młodzieńcu, pochodzącym bodaj z Mosulu, a może z Basry... Jego ojciec odziedziczył spadek i podzielił się nim z synem. Ten wziął dziesięć tysięcy dinarów i wyruszył na poszukiwanie PRAWDY. Studiował w wielu madrasach. Wszystkie pieniądze wydał na sury Koranu. Kiedy ujrzał w kieszeni płótno, wrócił do rodzinnego domu. Ojciec spytał go: „Cóżeś czynił?” Syn na to: - Nic zdrożnego. Szukałem mądrości. - Znalazłeś? - Znalazłem. - Chodź więc ze mną na bazar.

Zaprowadził go w miejsce, gdzie sprzedawano mięso baranie i powiedział do kupca, że chce kupić kawałek baraniny, lecz płacić zamierza nie srebrem, a komentarzami do sur Koranu.

Sprzedawca rzekł: „O, panie! To jest dobry towar i wymagam zań porządnej zapłaty!”

Ojciec mocniej ujął syna pod ramię i poprowadził go ku handlującymi owocami. Jak się zapewne domyślicie, wszyscy handlarze wzgardzili uczonymi komentarzami. Wtedy powiedział ojciec do młodzieńca: „Synu nieszczęścia! Zobacz, co warta jest twoja wiedza! Nie napełnisz nią żołądka!” Czy dobrze mu powiedział?

- Niby tak - odparłem - lecz...

Kupiec rozpromienił się ponownie.

- Uważam, choć nie wiem, czy się ze mną zgodzicie, że największym naszym twórcą był Baszszar z Basry. Poetą uczyniło go nieszczęście: urodził się niewidomy. Był wielki i zwalisty; ułożył ponoć dwanaście tysięcy kasyd. Recytował je przed samym kalifem. Czasami zachowywał się dziwnie. Ludzie trochę lękali się go ze względu na kąśliwość języka. W zachowaniu nie był jednak tak odpychający, jak inny poeta, który, recytując swoje wiersze, wołał: „Ale piękne! Na Allaha, sama słodycz! Osły, czemu nie klaszczecie!? Nie znacie się na niczym, a już najmniej na poezji!”

Nasi poeci na szczęście piszą nie tylko o miłości. Ibn al-Mutazz przyrównuje huk gromu do głosu emira przemawiającego ze szczytu wzgórza do wojowników stojących niżej. Inny twórca tak pokazuje swego bohatera: „Wbrew własnej woli pozostał w Bagdadzie, jak impotent, który zniewala staruchę.” Prawda, że cudowna

metafora?

- Zachwycająca - powiedziałem.

- Iście zniewalająca - dodał Ibrahim.

- Zapraszam na wino! - krzyknął wniebowzięty kupiec. - Nazywam się Al-Jakubi, ale nie jestem tym słynnym podróżnikiem, o istnieniu którego wie każdy czcigodny człowiek! To jedynie przypadkowa zbieżność imion! Al-Jakubi był największym ze wszystkich. Podziwiam go, zwłaszcza za to, że najczęściej wędrował samotnie! W drogę wyruszył jako młodzieniec i odtąd nigdzie już nie zagrzał miejsca! Zwiedził cały świat, docierając nawet do Indii! Zostawił po sobie opasłą księgę, złożoną z bardzo wielu zwojów! Znam je na pamięć!

Nieustannie tokujący kupiec wyprowadził nas poza miejskie mury. Kiedy przechodziliśmy przez bramę, tak szeroką, że jednocześnie mogło przez nią przejechać kilka wozów, przyjrzałem się tym murom, o bezspornie rzymskiej proveniencji; lico ich przecinały pasma cegły i kamienia, a wiązała je - znakomita wapienna zaprawa, słynny rzymski cement, wykorzystujący własności materiałów odkrytych w italskiej miejscowości Putteoli! Śladów rzymskiego władania w Sewilli było zresztą więcej; miasto zaopatrywał w wodę akwedukt, a na rogach ulic stały fontanny w kształcie nimfeów.

Al-Jakubi powiedział, że jego wielki imiennik niezmordowanie wypytywał pielgrzymów o przemierzone przez nich kraje, i on pozwolił sobie zrobić to samo, gdyż także ciekaw jest świata, a my z pewnością wiedzieliśmy niemało.

W podmiejskiej gospodzie - gdzie kupca podjęto z honorami, a on od razu pokazał, że czuje się tu jak u siebie - przyszło mi na myśl, że imperium chyba rozkłada się, skoro wszyscy tyle piją, mimo że Prorok zakazywał trunków.

Nasz dobroczyńca rychło wznowił swój monolog:

- Ulubioną porą żłopania wina jest noc bądź poranek. Niektórzy powiadają, że nawet piejący świtem kogut nawołuje: spieszcie się do wina! Pije się też podczas wstrętnej, deszczowej pogody. Poeci porównują wówczas niebo do czarnego jedwabiu lub do karego ogiera. Posłuchajcie wiersza Abu-Nawasa:

„Poranek rozsunał zasłony ciemności,
dzień zaś zrzucił z ramion przytulne okrycie.
Podaj tedy kompanom najczarniejsze wino,
Bowiem nadeszła upragniona chwila!”

Natomiast Ibn al-Mutazz zachęca do pijaństwa w ten oto sposób:

„Wstań, towarzyszu, czarnym winem powitamy ranek,
bo słońce zaraz wszędzie, a może już się pokazało?
Widzę przecież Plejady na krawędzi nieba!
Są niczym stopy, które chcą uciekać spod
żałobnych szat.”

- Bardzo ładnie deklamujesz - rzekłem.

- Naprawdę? Aliści znam i inne wiersze, sprzeciwiające się pijaństwu...

- Proszę, powiedz choć jeden...

- Prosisz o wiersz? Jak mi miło! Oto on:

”Chcesz pić wino o świcie,
kiedy gwiazdy już nikną wśród otchłani nocy?
Wtedy chłód drży od powiewów wiatru,
i nawet ślina zamarza na zębach.
Przeklinasz służbę i złościsz się na nią,
a oni w swej piersi powstrzymują wściekłość.
Sługa idzie, lecz jego pogrążone w śnie nogi
plączą się,
a wino biesiadnikom spływa po kolanach!”

- Jakież obrzydliwy wiersz! - krzyknąłem. - Nigdy już nie sięgnę po puchar!

- Ależ, proszę cię, nie ociągaj się... Wino czyni umysł lotniejszym!

Z powagą kiwnąłem głową, niby mu przytakując, a w rzeczywistości zastanawiając się, co tamten knuje! Ibrahim siedział osowiały; powędrowałem za jego wzrokiem; przyglądał się usługującej nam dzierlatce, lecz w jego spojrzeniu nie było śladu namiętności; pojąłem, że stale myśli o drugiej części naszej misji, która miała pozostać dla mnie zagadką do samego końca.

Kupiec wyciągnął na stół trzos i rzekł z namaszczaniem w głosie:

- Poezję w pełni pojmie tylko ten, kto przeciskał się przez jej wąskie przesmyki. Próbowałem kiedyś pisać, lecz wzgardzono płodami mego umysłu... Nie można dobrze nauczyć się poezji na pamięć, nie uprawiając jej samemu. Zauważyłeś, że ładnie recytuję. Dlatego, że ją zrozumieniem. W poezji zawsze pociągały mnie sprawy ogólne. Kiedyś znajomi zaprosili mnie na polowanie, prosząc, żebym je później uwiecznił. Były to łowy z udziałem niezwykłego psa, który sam potrafił na śmierć zagonić gazelę. Opisałem to inaczej niż chcieli. Nie wspomniałem ani o gospodarzach, ani o polowaniu, ani o gazeli. Skupiłem całą uwagę na tym charcie. Wściekli się, kiedy

wyrecytowałem im mój utwór. Zaczęli ze mnie kpić bez litości! Och, jeszcze ich dostanę!

Coraz lepiej go rozumiałem; Al-Jakubi stawał mi się coraz bliższy.

- Nie sądźcie, że wszyscy poeci są ludźmi o szlachetnych sercach - powiedział po chwili. - Pewien mieszkaniec Bagdadu, piszący zresztą doskonale wiersze, rzekł sam o sobie: „Jestem podlec, który ma szacunek i pieniądze.” Ów poeta zyskał sławę dzięki temu, że wszyscy się go obawiali. Potem przeznaczenie zrobiło go dzierżawcą podatkowym, a w końcu nawet nadzorcą rzemiosł w stolicy, co wiązało się z ogromnymi możliwościami domagania się bakczyszu. Jego wiersze potrafiły być nader frywolne. Chętnie pisał o wychodku, gnoju i sraniu. Pokazywał życie od najbardziej obrzydliwej strony. Gdy mu to zarzucano, bronił się następująco:

„Moim wierszom potrzeba lekkomyślnej ręki.

Stajemy się wymyślni, zarzucając skromność.

Bo czyż dom zamieszkały przez mędrca,

mógłbym wyzbyć się miejsca, jakim jest wychodek?

Gdy milczę, widzisz mnie w sklepie między

wonnościami

Gdy śpiewam, rusza na ciebie wychodek.

Niech więc sklepy poezji zbierają słodkości,

ja będę czyścił wychodki, a wiersz mój niech

będzie kloaką.”

- Wielki musiał być z niego łajdak - rzekłem ponuro. - Tacy mają najlepiej w życiu.

- Wyjąłeś mi to z ust - ucieszył się Arab. - Co powiesz na to, że zdobył on niebываły rozgłos, mimo że sam przyznawał się do podłości, a wszyscy, co go znali, doskonale wiedzieli, jaki jest nikczemny? A wcale nie był lepszym poetą od swych poprzedników. Ci jednakowoż nie marzyli nawet o takim powodzeniu! Jego wiersze fatymidzki kalif kupił za tysiąc dinarów, a najlepszy wódz Abbasydów opiewał jego śmierć w elegii!

- Niewiarygodne! - rzekłem.

- Trzeba przyznać, że ów podlec nie znał kłopotów z właściwym metrum, pisał z nadzwyczajną łatwością, nazywał rzeczy po imieniu, i, co najważniejsze, wprowadził do poetyckiej sztuki codzienność szarych ludzi. Dlatego cieszył się wielkim powodzeniem, mimo nagminnego świntuszenia. Wyobraź sobie wiersz, w którym

pewna Alidka skarży się na swego małżonka, że zamiast ją szanować i dbać o ich małe dzieci, utracjusz ów przepuścił wspólny majątek, na rozmaite zresztą sposoby. Mąż jej też był z Alidów; Alidzi to potomkowie Alego. Niewiasta udała się więc ze skargą do zwierzchnika Alidów. Ten zaś przystąpił niezwłocznie do wymierzania sprawiedliwości. Obwinionego polecił rozciągnąć na majdanie i bić go kijami. Kiedy nieszczęsny utracjusz otrzymał już sto batów i był ledwie żywy, skarżypytką zawołała: „Moje dzieci zostaną sierotami. Co z nimi się stanie, kiedy mój mąż umrze?” Na to odpowiedział jej srogi wódz: „Czy uważałaś, że skarżysz się na niego u nauczyciela?” (Piękna, piękna to odpowiedź!) Na tym utwór się kończy. Nie wiemy, czy utracjusz przetrzymał chłostę. Nie to jest istotne. Poeta obrazowo - i często obraźliwymi słowami - przedstawił złość żony, jej przestרח i głupotę. Chyba nie kochał niewiast. Miał ich setki, jak sam się chwalił, więc znał je wybornie. Znał też życie. Powiedział o sobie, że jest podłym człowiekiem otoczonym powszechnym szacunkiem! Jakże często powtarza się to w dziejach! Dodam, iż świntuszający poeta był nie lada spryciarzem, skoro potrafił zaskarbić sobie wdzięczność abbasydzkiego wodza! Ówże był najskromniejszym spośród wybitnych Alidów; zrzekł się nawet białego stroju! Sam wódz upatrywał przyczynę swej wstrzemięźliwości w dręczącej go melancholii. Napisał wiersz, w którym wyjaśniał, iż od siebie wymaga więcej niż od innych, oraz wyznał, że jeśli człowiek nie jest w przyjaźni z własną duszą, to między ludźmi również nie znajduje przyjaciół. Naturalnie siebie miał na myśli... „Mówili do mnie: porzuć smutek... życie jest snem tylko... wielbiłbym życie, gdyby było ono spokojnym snem nocy, lecz ono jest snem pełnym lęku...”

- Życie jako sen pełen lęku... - wyszeptalem. - Piękne porównanie.

- Bardzo piękne - zgodził się Al-Jakubi. - Mnie też dręczy melancholia. Nie pomyśleliście nawet o tym?

- Skądże!

- Bracia! Do dna! Urznijmy się!

Wychyliłmi jeszcze chyba z tysiąc pucharów; po tym tysiącu przestałem liczyć. Ze snu wyrwał mnie koszmar: Ojciec Narodu groził mi kopalniami na Marsie.

W istocie dławilem się od nadmiaru wina... i cierpiałem od ukąszeń pluskiew. Uznałem to jednak za sympatyczniejsze od przejażdżki na czerwonej planecie.

Spróbowałem wstać.

Tylko spróbowałem. Obok chrapał Ibrahim. Rozejrzałem się za Al-Jakubim.

Nigdzie go nie było. Straszne podejrzenie opanowało mój umysł! Tym razem zwlekłem się z barłogu i wyjrzałem, po pokonaniu rozlicznych przeciwności, na świat boży.

Wyglądał jak zawsze, a nawet lepiej, bo cały był skąpany w słońcu.

Przy studni stał Al-Jakubi i obmywał się wodą. Chwiejnym krokiem ruszyłem w jego stronę.

Zobaczył mnie i rzekł:

- Aleś się upił! Widać, żeś wina niezwyčajny. A twój towarzysz podróży? Śpi jeszcze?

- Nie inaczej.

- Obudź go. Wracamy do miasta.

Poszedłem na piętro i z przyjemnością jałem raczyć Araba orzeźwiającyymi kopniakami.

O, gdyby życie było naprawdę spokojnym snem nocy! Ileż bym za to dał!

Okazało się, że nie mieliśmy po co wracać.

Karawana zniknęła, a wraz z nią rozpląnął się cały nasz dobytek. Przepadło złoto, przepadły kosztowności, zniknęły cenne szaty, które „pozyskaliśmy” w Babilonii, a których Ibrahim uparcie nie chciał spieniężyć na azjatyckim wybrzeżu, co mu teraz wyrzucałem, doprowadzając nieprawego syna Lancelota do szewskiej pasji.

- Przeklęty głupcze! - krzyczał. - Ukradli nam też pieniądze! Gdybyśmy je wcześniej sprzedali, po prostu złupiliby nas z większej liczby dinarów!

- A ile straciliśmy?

- Teraz ci mogę powiedzieć! Tysiąc pięćset dinarów!

- Toż to majątek! - zawyłem.

- Nie rwij sobie włosów - powiedział. - Nie wyrywaj sobie włosów z głowy. To raczej ja powinienem tarzać się w piachu i płakać, bo to ja wpadłem na pomysł dołączenia do tej karawany!

- Czy wszyscy kupcy arabscy to utajnieni złoczyńcy?

- Na to wychodzi - warknął. - Dumny jestem ze swej frankijskiej krwi. W połowie jestem Frankiem, w połowie - Arabem... Taki już mój los mieszańca... Nigdzie nie mam domu... wszędzie czuję się obco...

Nadbiegł Al-Jakubi, machający rękoma, toczący pianę z ust:

- O ja nieszczęsny!!! - wołał. - Zabrali mi wszystko! Banda złodziejasków!

Dopadnę ich jeszcze i kości im policzę, co do cząsteczki! Najgorsze jest to, że właściwie ich nie znam... Tak samo dołączyłem do karawany jak wy, tyle że wcześniej. Nie rozumiecie?

- Czego niby nie rozumiemy? - zdenerwował się Ibrahim.

- To ja jestem tym synem nieszczęścia, o którym wam opowiadałem!

- Kim?

- Byliście łaskawi wysłuchać mej opowieści o młodym człowieku, żądnym Prawdy. Kiedy ów młodzieniec przepuścił w trakcie zdobywania wiedzy cały swój zapas gotówki, wrócił do domu rodzinnego, pokłonił się swemu ojcu...

- Już kojarzymy - rzekłem.

- Rodzic nazwał mnie synem nieszczęścia, ponieważ za uczone komentarze do sur Koranu nie mogłem kupić nawet ochłapu mięsa. Przyznałem mu rację i zająłem się tym, co miało przynieść mi zyski... A oto są moje zyski...

Al-Jakubi zatoczył ręką w powietrzu, odszedł na skraj dziedzińca i splunął pod nogi. Potem gwałtownie wdeptał ślinę w ziemię, wzniecając tuman kurzu.

Ibrahim odciągnął mnie na bok.

- Słuchaj - szepnął. - Nie wierzę temu złotoustemu. Mógł być w zмовie z tamtymi.

- Udajmy się do władz po sprawiedliwość - powiedziałem.

- Straciłeś rozum? Nie mamy dowodów. A nawet gdybyśmy je mieli, to...

Urwał znacząco. Al-Jakubi podszedł do nas z łzami w oczach. Ibrahim cofnął się, jakby zobaczył węża.

- Naprawdę wszystko straciłem - rzekł. - Nie wierzycie mi?

Był samą rozpaczą; nie wyczuwałem w jego zachowaniu żadnej nieszczerości.

- Ależ wierzymy - rzekłem.

Syn Lancelota ponownie „wziął mnie na stronę”, ostentacyjnie oddalając się od Araba.

- Nie straciliśmy wszystkiego - rzekł. - W tajemnicy przed tobą zaszyłem w odzieniu pięćdziesiąt dinarów. Mam jeszcze te pieniądze... To nasza jedyna nadzieja.

- Nadzieja? Na co? Ciągłe myślisz o Kordobie?

- Już nie. Zdradzę ci teraz tajną część planu Lancelota. Ojciec przykazał mi, w razie niepowodzenia w Bagdadzie, co też niestety nastąpiło, zasadzić się na kalifa Al-Hakama i ...

- Rozumiem - powiedziałem.

- Skoro jednak ostało nam się jeno marne pięćdziesiąt dinarów, to próżny nasz wysiłek. Może wszakże wystarczać to na powrót do domu.

- Przez góry?

- Wypadnie taniej - warknął Ibrahim. - Nie szukajmy już szczęścia. I tak go nie znajdziemy.

- Szczęście? - pytająco rzekł Al-Jakubi, podchodząc do nas z miną zbitego psa. - Szczęście to pustynny miraż... niestety...

- Wiemy o tym - burknął syn Lancelota. - Co tak się nas uczepiłeś?

- Zostałem sam na tym świecie... Czyż to nie wystarczający powód?

Jakoś nie mieliśmy serca odpędzić „syna nieszczęścia”! Znaczy - ja nie miałem. Ibrahim przeciwnie. Był do tego skory. Złość w nim aż kipiała! I to właśnie zachęcało mnie do zatrzymania Al-Jakubiego. Cynicznie myślałem, że syn Lancelota w obecnej sytuacji pilnie potrzebuje kogoś, na kim mógłby się wyżyć; Arab nadawał się do tej roli. Był niewątpliwie winien. Nawet jeżeli nie skumał się z tamtymi, zgrzeszył brakiem rozwagi. Wyciągnął nas na alkoholową biesiadę, upił do nieprzytomności, pozbawiając wszelkich szans.

- Tak całkiem sam nie zostałeś na tym łożu padole - powiedział w pewnym momencie Ibrahim do Al-Jakubiego. - Syn nieszczęścia posiada jeszcze ojca.

- Nie mogę do niego wrócić - odrzekł Arab z całą stanowczością.

- Czemuż to?

- Wypędzi mnie jako ostatniego nieudacznika!

- Czy to twoja wina, że cię okradli? Zastanów się.

- Moja!

- Zawsze mi się wydawało - rzekł Ibrahim - że winna jest nie ofiara przestępstwa, a jego sprawca. W jakiego Boga by nie wierzyć, Boga chrześcijan czy Boga muzułmanów, wszędzie, w każdej religii, pojawia się zakaz kradzieży.

Arab popatrzył nań ze smutkiem.

- Ten, kto mnie zrodził, myśli inaczej - powiedział. - Dla niego liczy się tylko to, jak kto sobie radzi w życiu.

- Cel uświęca środki? - wtrąciłem.

Al-Jakubi przyjrzał mi się z nagłym zaciekawieniem.

- Nie znałem tej maksymy - rzekł - atoli wydaje mi się, że można by przypasować ją do sposobu rozumowania najszlachetniejszego z ludzi!

- Czyli? - zakpił Ibrahim.

- Mojego ojca!

- Przed chwilą powiedział nam co innego!

Al-Jakubi uklonił się z przesadną unizonością.

- Nie zgadzam się - powiedział. - Przykro mi, ale nie mogę się z tym zgodzić.

I wyprostował się, przybierając dumną postawę.

- Niech cię licho... - warknął Ibrahim.

Ubawilem się setnie, przysłuchując się tej ożywionej wymianie zdań; utwierdziło mnie to w przekonaniu, że Arab nie był w zмовie z kupcami; niewątpliwie należało go zaliczyć do grona ludzi o wybitnej inteligencji, a tacy rzadko kiedy uciekają się do tak pospolitego przestępstwa jak kradzież!

- Chcesz być z nami? Nawet nie znasz celu naszej podróży!

- Podróżujecie? To świetnie. Będę jak mój wielki imiennik!

Ibrahim popatrzył nań znacząco i powątpiewająco. Prawie się roześmiałem, z trudem zachowując panowanie nad sobą.

- Obawiam się, że to nie takie proste - burknął. - Nie każdy wędrowiec staje się wielkim podróżnikiem. Poza tym naprawdę obawiam się, że nie będziemy mogli cię zabrać. Nie masz pieniędzy. A nas nie stać na to, iżby żywić dodatkową gębę.

W odpowiedzi młody człowiek wyciągnął z zakamarków szaty zapisany papier i podał go mnie. Spojrzałem nań pytająco, nie rozumiejąc sensu tego gestu.

- To jest list zastawny - powiedział. - Opiewa on na trzysta dinarów, płatnych w Kordobie. Adresat listu to jeden z przyjaciół mego ojca.

- Niewiele to dla mnie znaczy - rzekł Ibrahim. - Nigdy nie słyzałem o żadnych tego rodzaju listach... Aby litery były coś warte... Niemożliwa!

- Panie, nie macie racji - żywo zaprzeczył młody Arab. - Historyk Miskawajhi tak oto słał swego bohatera: „Nieraz opowiadał mi, jak to mu się zdarzyło w młodości zakładać z przyjaciółmi, że potrafi w dzień wyuczyć się tysiąca wierszy, po czym duma nakazywała mu nauczyć się aż dwóch tysięcy! Posiadł on głęboką znajomość przyrody, w tym znajomość niezwykłych typów ruchu, przyciągania, ciężaru i równowagi. Wynalazł wiele machin służyących do zdobywania twierdz... Były wśród nich maszyny strzelnicze o dużej sile miotania oraz lustra wywołujące pożar ze znacznej odległości... Podczas rozmowy potrafił w ciągu godziny wyryć w jabłku paznokciem twarz tak doskonałą, że inni, posługując się wszelkimi narzędziami, nie potrafili tego w ogóle uczynić!”

- Wybacz młodzieńcze, ale jeśli ma to być dowód na wartość liter, to ja jestem

mutazylitą!

- To jest dowód na wartość słowa pisanego, bowiem wspomniany autor opiewał w ten sposób wezyra Ibu al-Amida, za co wezyr sownie go wynagrodził!

- Chyba że tak - burknął Ibrahim. - Pochlebstwo zawsze było w cenie.

- Im bardziej nieprzyzwoite, tym lepiej dla chwalącego.

- Myślę - rzekłem - że możemy zawierzyć naszemu przyjacielowi!

- Jaki z niego przyjaciel!

- Godnie nas ugościł - przypomniałem.

- Co się skończyło, jak się skończyło - powiedział Ibrahim z sarkazmem. Już jednak robił się bardziej ugodowy.

- Jedziemy do Kordoby?

- Tak - odparł. - Atoli jeśli kłamiesz, własnoręcznie cię uduszę. Nie odstępimy od ciebie nawet na krok. Jeszcze możesz się wycofać. Przyznaj się: nie masz żadnych pieniędzy?

- Tutaj nie - powiedział Arab. - W Kordobie tak. Chyba że...

- Chyba że co!

- Zawsze może się zdarzyć coś nieprzewidzianego.

- Na przykład?

- Adresat listu mógł odejść do wieczności; chociażby to.

- Nie wyobrażaj sobie, że tego nie sprawdzę - zachnął się Ibrahim. - Zresztą pójdziemy tam razem!

- Będę bardzo rad z twojego towarzystwa.

- Ja mniej - warknął Ibrahim.

Młodzieniec wyprostował się i wojowniczo wysunął szczękę.

- Czemu tedy się zgadzasz? - zapytał gniewnym głosem.

- Omamił mnie blask złota, a raczej liter, które winny w nie się zamienić.

- Wielka jest potęga listu zastawnego - powiedział Arab. - Przekonacie się niebawem.

- Oby! - burknął Ibrahim. Koniecznie musiał mieć ostatnie słowo; taka natura.

Nim dotarliśmy do stolicy zachodniego imperium, zahaczyliśmy o położoną nieopodal Az-Zahrę, miasto rozkoszy, zbudowane przez Abd ar-Rahmana. Nasz młodzieniec powiedział, że znajduje się tutaj jedno z najdziwniejszych urządzeń wymyślonych przez muzułmanów; mianowicie staw z rtęcią, w którym sypia - na łodzi

- kalif.

„Zahaczyliśmy” - to dobre słowo, bo do samego miasta nas nie wpuszczono, albowiem byliśmy niegodni tego zaszczytu. Al-Jakubi ostrzegł, abyśmy nie dyskutowali ze strażnikami. Kiedy ponownie znaleźliśmy się na szlaku, powiedział, że widocznie los tak chciał.

Do Kordoby wjeżdżaliśmy Bramą Mostu, mając po prawej ręce zabudowania potężnej warowni. Młodzieniec rzekł, że ten dziwny odgłos, który męczy nasze uszy, to ukryte za nią, a wiecznie pracujące młyny wodne, sąsiadujące z owym mostem.

- Widziałeś je? - spytał Ibrahim.

- Nie, układ miasta znam z lektur.

- A ja mieszkałem tu wiele lat!

Zdziwiłem się.

- Nie może być! Jesteś szczęśliwym człowiekiem, synu Lancelota!

- Pierwsze słyszę o tym, że jestem szczęśliwy - warknął Ibrahim. - Nie czuję się szczęśliwy. Przy mnie o szczęściu nie rozprawiaj!

Brama była dwukondygnacyjna i trójprzejezdna; jej centrum stanowił starożytny łuk; bogato zdobione dziwnymi hieroglifami boczne części zostały dobudowane później; innego koloru był nawet kamień użyty do ich wzniesienia.

- Jak teraz? - spytał Ibrahim.

- Jedziemy główną ulicą - odrzekł Al-Jakubi. - Ten wielki pałac po lewej stronie to Al-Kasr, a ta wieżyczka po prawej, widoczna w dali, to szczyt Wielkiego Meczetu. Chyba tam wejdziemy, nie sądzicie?

- Nie - burknął Ibrahim.

- Tak - rzekłem. - Przyjechać do Kordoby i nie zajść do Wielkiego Meczetu... to gorzej niż zbrodnia, to niewybaczalny błąd.

Czułem się prawie jak w domu. Miasto miało wszelkie cechy metropolii, a jego największą zaletą było to, że nie jeździły po nim samochody!

O, błogosławiony braku postępu technicznego! Kiedyś do Wespazjana, założyciela dynastii flawijskiej, przyszedł człowiek i powiedział, że wynalazł maszynę, która może zastąpić pracę setki ludzi. Cesarz pochwalił wynalazcę, lecz pomysł odrzucił, pytając: „A co ci ludzie będą robić? Może z nudów i rozpaczycy zbuntują się przeciwko mojej władzy?”

Przesuwaliśmy się środkiem wielkiej alei (Ibrahim powiedział, że główna ulica nazywa się Al-Mahadżdżat al-Uzma), dzięki czemu nie docierał do nas smród bijący

niewątpliwie z kanałów.

Naraz po prawej stronie ujrzeliśmy zbiegowisko. Znaczący, ja na to zwróciłem uwagę moim towarzyszom.

- To niechybnie będzie procesja z Koranem - odrzekł Al-Jakubi. - W każdy piątek święty kordobański Koran, zawierający cztery kartki z Koranu Usmana Ibn Affana, a na nich krople jego krwi, wnoszony jest z meczetu przez dwóch mężów, gdyż jest tak ciężki, że jeden nie dałby rady go udźwignąć. Przed nimi idzie trzeci sługa ze świecą. Ludzie uwielbiają temu się przypatrywać. Dlatego się tłoczą.

- Podjedźmy tam! - poprosiłem.

- Nie ma mowy - stwierdził autorytatywnie syn Lancelota. - W ciżbie nasz ptaszek łatwo mógłby się zgubić.

- Nie myślę o tym - zachnął się Al-Jakubi. - Kiedy mi uwierzycie?

- Jak zobaczymy złoto - pogodnie rzekł Ibrahim. - Podziwiam twoją wiedzę, młodzieńcze. Chyba naprawdę jesteś tym, za kogo się podajesz.

- Pewnie, że jestem!

- Od siebie dodam, iż ów święty egzemplarz jest jednym z sześciu, które przez wiernych otaczane są czcią tak wielką. Są to, prócz kordobańskiego, w którym są rzeczywiście wklejone cztery kartki z Koranu Usmana, stare rękopisy, oddające prawdziwe Słowo Boże. Co do nich wierni nie żywią nijakich wątpliwości, albowiem napisał je sam Usman. Pierwszy taki rękopis znajduje się w meczecie Amra w Al-Fustacie. Czytany jest trzy razy w tygodniu, a kalif z rodu Fatymidów bije przed nim czołem. Drugi rękopis spoczywa w meczecie w Damaszku. Po zakończonych modłach damasceńczycy go całują. Trzeci i czwarty przechowywane są w Misrze. Piąty posiada kalif w Bagdadzie. Nasz Koran przechowywany jest w skarbcu Wielkiego Meczetu.

- Oddaję ci cześć, Ibrahimie! - zawołał Al-Jakubi. - Dopowiem, że meczet w Hebronie posiada but Proroka, a w mihrabie meczetu w Kurh znajduje się kość, która niegdyś przemówiła do Mahometa: „Nie jedz mnie, jestem zatruta!” Są to jedyne nasze relikwie. Chrześcijanie mają ich więcej.

Czułem się przytłoczony ich erudycją i mocno zawstydzony własną niewiedzą. Cóż ze mnie za specjalista od Orientu, skoro nie znałem takich znaczących szczegółów? Albo zapomniałem, albo nas źle uczono. Woląłem, iżby prawdziwe był to drugie.

Na ulicy utworzył się zator. Musieliśmy się zatrzymać. Przed nami stała karawana Berberów.

- Czy to też złodziejska nacja? - zapytałem Ibrahima, ruchem głowy pokazując na mieszkańców północy Afryki.

- Ciszej - zgromił mnie syn Lancelota. Na jego smagłej twarzy zagościł strach.

Głośno zaś rzekł:

- Drogi przyjacielu Al-Jakubi! Raczyłeś powiedzieć prawdę, za co cześć ci i chwała. Nie dodałeś jednak, iż Koran z czterema kartkami własnoręcznie napisanymi przez Usmana Ibn Affana będzie teraz zawinięty w haftowaną serwetę i ustawiony na podstawce w mussali!

- Zostawiłem to tobie, Ibrahimie.

Naraz poczułem na sobie wzrok jednego z Berberów. Przypomniałem sobie wszystko, co wiedziałem o tych sławnych wojownikach i absolutnie nie zrobiło mi się od tego lżej na duszy! Słyszeli, jak ich zelżyłem? Miałem nadzieję, że nie, choć powiadają, iż nadzieja matką jest głupców.

Teraz już kilku berberyjskich kupców wpatrywało się we mnie. Nie śmiałem podnieść oczu. Byliśmy otoczeni zewsząd przeogromnym tłumem. O ucieczce nie było mowy.

Naraz rozległ się uroczysty głos czytający Koran.

- To imam - szepnął nabożnie Al-Jakubi. - Musi odczytać jedną część, po czym święty egzemplarz trafi do skarbcza.

Chyba właśnie słowa Proroka nas uratowały! Kiedy imam skończył, Berberowie uspokoili się, powściągając swą przyrodzoną gwałtowność.

Ruszyliśmy dalej. Ibrahim oznajmił, że podążamy do Al-Madiny i zwrócił się do młodego Araba z pytaniem, czy to dobry kierunek. Ów odrzekł, że jak najbardziej, gdyż bankier, który na podstawie listu zastawnego wypłaci nam pieniądze, mieszka na północnym przedmieściu, położonym za głównym miastem.

- A przepych jego posiadłości powali nas zapewne na kolana - burknął zawistnie syn starego barona. - Czy godzi się zarabiać na ludzkiej krzywdzie?

Wciąż jechaliśmy ową szeroką arterią z kanałami po boku; co kawałek odchodziły od niej mniejsze ulice, zagłębiające się między kłębowisko budynków.

- Dlaczego tak uważasz? - zaciekawiał się Al-Jakubi.

- Pieniądz niczego nie tworzy. Dostatek bierze się z pracy. Pan Zastępów powiedział człowiekowi wygnanemu z Raju, że w pocie czoła zarabiał będzie na chleb swój powszedni!

- Obracanie gotówką wcale nie należy do rzeczy łatwych ani przyjemnych, o

czym przekonałem się na własnej skórze. Zawsze istnieje groźba bankructwa. I co wówczas? Czy ktokolwiek poda rękę człowiekowi, który miał wszystko i wszystko utracił?

- Ja bym nie podał.

- Właśnie!

Ibrahimie - odezwał się po chwili Al-Jakubi. - Nie zgadzam się z tobą. Pieniądz sam w sobie nie jest zły. Mówi to do ciebie człowiek nie potrafiący się nim posługiwać, którego oskarżyć wręcz można o lekceważenie spraw tego świata! Można więc uznać mnie za osobę wiarygodną, niezbyt zainteresowaną w chwaleniu czegoś, na czym wyznaję się słabo! Przyznaję, że pieniądz potrafi rodzić zło, ale nie zawsze! Pewnemu zarządcy prowincji przyniesiono dużo złota - akurat wtedy, kiedy biesiadował. Dodam, że biesiada była suto zakrapiana! Prorok tego zakazuje, lecz mało kto zwraca na to uwagę. Poszczą i żyją wstrzemięźliwie jedynie ludzie najbardziej świątobliwi, bardzo nieliczni... O czym to ja mówiłem? Ach - już wiem. O pewnym dostojniku. Pił ostro, wychylając puchar za pucharem. Spojrzał na natrętów i zapytał, czyj jest ten złoty skarb. - Twój, panie - rzekli uniesienie. - Jak to mój? Nie rozumiem. - Panie - powiedzieli przybysze. - Odszedł do Allana pewien kupiec. Zmarł nagle, a był człowiekiem samotnym. - Pewnie dlatego umarł niespodziewaną śmiercią - odparł namiestnik. - Ja na szczęście otoczony jestem przyjaciółmi. Biesiadujemy w czwórkę. - Panie - rzekli ci, co przynieśli złoto. - Ów kupiec nie zostawił spadkobierców. - Dobrzy ludzie - odezwał się namiestnik - wybaczenie staremu opojowi, atoli nie mogę przyjąć tych dinarów. - Panie, jesteś całkiem trzeźwy! Jak możesz nazywać się opojem? - Bo taki miałem kaprys - odpowiedział. Zaś oni rzekli na to: - Niech Allah cię błogosławi i da dużo dzieci. - Nie mam dzieci - odparł. - Siądźcie przy stole, ale na krótko. - Panie, boimy się. - Słusznie się lękacie. Zostawcie pieniądze. Niech czekają do momentu, aż się ktoś po nie zgłosi! - rzeki dostojnik, odprawiając gości... Mili moi! Stało się tak, że istotnie zgłosili się prawdziwi spadkobiercy! Z Egiptu przybył brat zmarłego z papierami, na podstawie których wypłacono mu całą sumę, tak iż nie możecie powiedzieć, że pieniądze zawsze rodzą zło! Wiele zależy od samych ludzi... od tego, jaki jest ich charakter... Przyznaję, że złoto często budzi w nas diabła... Kiedy po świecie islamu rozeszła się wieść o chwalebny postępku owego zarządcy prowincji, wszyscy wysławiali go, wielce się dziwując. Najlepszy to dowód, że wielkoduszność rzadką jest cnotą, zwłaszcza u osób sprawujących władzę... Niby częściej spotkać ją można u prostaczków, lecz chyba tylko dlatego, że tych drugich jest znacznie więcej!

- Co do tego: zgoda - mruknął Ibrahim, syn Lancelota. - Sam jednakowoż raczyłeś przyznać, że podobne przypadki nie zdarzają się często.

- Niestety - rzekł młodzieniec, ocierając łzy, lub udając, że je ociera. - W moich uczonych peregrynacjach zetknąłem się z wiernym, który swego czasu podróżował do Aleksandrii. Uważałem go za przyjaciela. Tak samo jak ja kochał wiedzę, za nic mając złudy tego świata, jego rzekome powaby i bogactwa. Cóż one są warte, skoro nie możemy zabrać ich na drugą stronę? Każdy stanie kiedyś przed obliczem Najwyższego Sędziego... Przed Jego Majestat zaniemiemy jedynie dobre uczynki.

- Podobnie myślą chrześcijanie - ucieszył się Ibrahim.

Al-Jakubi spochmurniał.

- Nie wierzysz w Proroka?

- Skąd wiesz? - odpowiedział pytaniem Ibrahim. - Wychowany byłem zarówno w wierze chrześcijańskiej, jak i muzułmańskiej. Ostatnio wszelako coraz bardziej skłaniam się ku Jezusowi.

- Nie może być!

- Coś ci się nie podoba?

Ton głosu Ibrahima był mało przyjemny. Odruchowo spojrzałem w jego oblicze. I dobrze! Wyjrzały zeń rysy Lancelota; straszego Lancelota.

- Ależ wszystko mi się w tobie podoba, drogi przyjacielu - rzekł Al-Jakubi, przymilnie uśmiechając się. - Mówił to jednak głosem cokolwiek drżącym, tyleż znamionującym zauroczenie, co i bojaźń.

Ciągle przemierzaliśmy główną ulicę stolicy Zachodniego kalifatu. Trochę szła pod górkę; nasze muły wyraźnie zwolniły.

- W Kordobie znajduje się trzy tysiące miejsc modlitwy - rzekł Al-Jakubi, raptownie zmieniając temat rozmowy. - Wszędzie chwali się Allaha.

- A ile jest domów mieszkalnych?

- Sto tysięcy.

- Żyłem tu dość długo, lecz nigdy nie zdołałem ich policzyć.

- Jest ich nazbyt wiele... - Al-Jakubi usiłował być ugodowy, lecz spod maski uprzejmości wyzierała już złość.

W milczeniu dotarliśmy do zewnętrznego muru opasującego Kordobę. Strażnicy przy bramie zażądali dwóch dirhamów; Ibrahim zapłacił z ciężkim sercem. Całym zachowaniem obwieszczał, że dzieje mu się krzywda; żołnierze jednak byli niewzruszeni.

Po jakimś czasie znaleźliśmy się przed rezydencją naszego fortunata.

Oczekiwaliśmy niesłychanego przepychu, iście bajkowego bogactwa, czegoś podobnego, co widzieliśmy w rajskim ogrodzie handlarza fekaliami! Nie wiem, dlaczego tego oczekiwaliśmy. Tak jednak było. Ja byłem dziwiony skromnością domostwa rzekomego bogacza; Ibrahim także. Jeden Al-Jakubi wyglądał na nie spieszonego!

Dostępu do drzwi wejściowych broniła kołatka w kształcie głowy sowy, i jeszcze coś; napis przed wymalowanym na przedprożu wizerunkiem psa, głoszący dumnie: - Ja tu czuwam! Strzeżcie się, złodzieje!

- Jesteś pewien, że dobrze trafiliśmy?

- Tak - odparł Al-Jakubi. - Jestem pewien.

- Och - rzekłem. - To pociągnij za sznur.

- Zrobię to - odrzekł niedbale Al-Jakubi. - Ja wejdem, wy zostaniecie.

- Nie - powiedział Ibrahim, trzęsąc się ze złości. - Nie opuścimy cię w potrzebie.

- Przykro mi.

- Z jakiego powodu?

- Z powodu waszej nieufności.

- Czasem warto być niedowiarkiem - odrzekł Ibrahim.

- Jak apostoł Tomasz?

- Chociażby!

Wkrótce nam otworzono; stary, pomarszczony sługa spojrział pytająco, a kiedy dowiedział się celu wizyty, wziął do ręki list, pobieżnie rzucił nań okiem, poprowadził nas przez zapuszczony ogród do drzwi równie zaniedbanego domostwa, które tak różniło się od okolicznych domów, jak noc od dnia.

Tam kazał nam czekać. Przyjeliśmy to ze zrozumieniem.

Niebawem wynurzył się z sieni i oznajmił, że pan jego oczekuje swych zacnych gości - w sali rycerskiej.

Na te słowa poczułem się trochę głupio, a Ibrahim przyjął je szyderczym wyrazem twarzy. Tylko Al-Jakubi zachował się godnie i dwornie podziękował za gościnność.

Prawdziwie, tak jak dzień słoneczny różni się od dnia pochmurnego, tak wnętrze domu odróżniało się od zniechęcającej fasady! Ściany korytarzyka inkrustowane były kamieniami znacznej wartości, a kiedy stanęliśmy na progu, prawie doznałem oczopląsu!

Imponujące wrażenie wywierała już sama liczba okien rozmieszczonych wzdłuż owalu przestronnego pomieszczenia! Te okna były oszklone bądź zdobione mozaikami; przebijające się przez nie promienie słońca stwarzały zadziwiające efekty świetlne! Obłożone czerwonym (względnie zielonym) piaskowcem ściany wyglądały naprawdę na salę jakiegoś donżonu! Podłogę wyłożono lamparcimi oraz niedźwiedzimi skórami. Posesjonat siedział na wygodnym krześle z rzeźbionymi poręczami i przyglądał się nam z uśmiechem.

- Wiem, co was sprowadza - powiedział. - Spocznijcie, drodzy przybysze.

Usiedliśmy w kucki na skórach.

- Nie mam przy sobie takiej sumy - rzekł - atoli posłałem już po pieniądze i lada chwila posłaniec je przyniesie... Jak zauważyliście, zaliczam się do ludzi ostrożnych. Kto spojrzy na mój dom z ulicy, ten pomyśli; oto bankrut, człowiek, któremu niegdyś się powodziło, a dziś znalazł się w poważnych tarapatach! - zaśmiał się chrapliwie. - A to nieprawda... Choć, oczywiście, coraz trudniej robi się interesy... Nasz kalif, przedtem wzór skromności i pobożności, stale węszy za pieniędzmi, zupełnie tak, jakby jakąś wielką wojnę szykował! Przyczaiłem się przeto, iżby jakoweś nieszczęście mnie nie spotkało... Gotówką prawie nie obracam, używam jedynie weksli i listów kredytowych. Noszą one perskie nazwy, ponieważ w Persji je wymyślono. Przemierzający ogromne przestrzenie tamtejsi kupcy potrzebowali jakiejś innej formy rozliczeń, takich środków płatniczych, które byłyby nieprzydatne rozbójnikom. List kredytowy zwie się suftadża, a weksel - sakk. Ten drugi odgrywa też rolę czeku. Ibn Haukal widział w Andaguszcie sakk na czterdzieści tysięcy dinarów. Dokument ten bezpiecznie pokonał pustynię opanowaną przez Tuaregów. Rozbójnicy kilka razy zatrzymywali karawanę, żądając okupu i starannie przetrząsając bagaże podróżników, lecz żaden z nich nie zainteresował się tym papierem. A był on wystawiony na okaziciela! Ba, ale jeszcze musieliby wiedzieć, do kogo się udać! Na Wschodzie bankierzy są tak liczni jak ziarnka piasku, a u nas zajmują się tym tylko nieliczni Żydzi. Napijcie się czegoś? A może jesteście głodni?

Bardzo uprzejmie podziękowaliśmy; znaczy, zrobił to podejrzliwy do przesady Ibrahim.

Bankier jakiś czas jeszcze perorował, a kiedy przyniesiono złoto, od razu wypłacił je uśmiechniętemu Al-Jakubiemu, który popatrzył na nas triumfującym wzrokiem, do czego miał niezbywalne prawo!

ROZDZIAŁ X

Zostaliśmy w Kordobie całe dwa tygodnie. Ibrahim próbował, dysponując częścią złota Al-Jakubiego (wielkoduszny młodzieniec wręczył mu trzysta dinarów i nie pytał o przeznaczenie pieniędzy), dotrzeć do kalifa, lecz nie odniósł najmniejszego sukcesu. Po tych czternastu dniach dał za wygraną i powiedział, że wracamy.

- Przedzieramy się przez Pireneje? - zagadnąłem go, kiedy opuściliśmy już stołeczne mury.

Spojrzał na mnie z politowaniem.

- Aby rozbójnicy odebrali nam życie? Szaleju się napiłeś? Popłyniemy do Marsylii, a potem kupimy łódź i spłyniemy z nurtem rzeki. Tak będzie i szybciej, i bezpieczniej.

Jak postanowił, tak uczynił. Podróż minęła nam bez przygód. Nawet za bardzo nie huštało. Być może przywykłem już do kaprysów morza. W cichości ducha żywiłem nadzieję, że zatrzymamy się w Ostii i nadarzy się jednak sposobność do obejrzenia Wiecznego Miasta, lecz nasz kapitan miał inne plany; musieliśmy się do nich dostosować.

Cytadelę strzegącą marsylskiego portu powitałem z pewnym wzruszeniem; oto, pomyślałem, jesteśmy już prawie w domu, a już bez wątpienia na Zachodzie (ciągle wszelako na islamskim Zachodzie). Kupiliśmy niby wygodną łódź i rozpoczęliśmy ostatni etap misji. Wartki nurt popychał nas do przodu; ograniczaliśmy się do sterowania łodzią. Kłopoty mieliśmy jedynie u kresu podróży. Naraz podniosła się obrzydliwa mgła i daremnie wypatrywaliśmy kasztelu.

O dziwo zauważył go dopiero rzekomy nieudacznik Al-Jakubi! Młodzieniec okazał się być najbystrzejszy z naszej trójki.

Przybiwszy do brzegu, uwiązaliśmy łódź do zwalonego drzewa, i, taplając się w wodzie po kolana, wydostaliśmy się na grunt znacznie pewniejszy aniżeli cienkościenne denko chybotliwej łódki.

Ibrahim od razu spostrzegł ścieżkę i energicznym krokiem poprowadził nas w stronę warowni.

Szedłem zatopiony w myślach, wspominając to, co przeżyłem podczas pozorowanych tortur w tymże kasztelu. Nie wspominałem natomiast lat spędzonych w kraju Ojca. Przeszłość (a ściślej: przyszłość) okryta została zasłoną niepamięci.

Czułem się już pełnoprawnym członkiem średniowiecznej społeczności.

- Hola - rzekł nagle młodzieniec. - Zatrzymaj się, drogi przewodniku!

Ibrahim obejrzał się niechętnie.

- W czym rzecz? - warknął. - Nie nadążacie? Stawy wam zastygły, a nogi odmawiają posłuszeństwa?

- Nie o to chodzi - odparł Al-Jakubi.

- A o co, na Boga!?

- Czujesz ten zapach? - odpowiedział pytaniem na pytanie wykształcony młodzian.

Ibrahim zdziwił się. Aż przystanął z tego zdziwienia.

- Czuję - rzekł. - To zapach smażonego mięsa. Nasi szykują posiłek. Nawet dobrze się składa.

- Ja też jestem głodny - powiedział Al-Jakubi - wszelako w niektórych okolicznościach głód może poczekać.

- Zupełnie cię nie rozumiem - warknął syn Lancelota. - Nie myśl, że skoro masz pieniądze, to ci wszystko wolno.

- Wcale tak nie uważam - odparł Al-Jakubi. - Zastanawiam się nad tym zapachem.

- Jeszcze nie widziałem nikogo, kto roztrząsałby podobnie uczoną kwestię!

- Znacie historię mojego życia. Wiecie, że przeszedłem niemało. Kiedy już przeputałem cały swój majątek, wydając go niestety na studia koraniczne, o co być może na starość będę miał do siebie pretensje, i skruszony niczym biblijny syn marnotrawny wróciłem do domu ojca, tenże, wrząc ze złości, zaprowadził mnie na bazar, gdzie stali sprzedawcy mięs, i jął złośliwie ich wypytywać, zadając to pytanie, które wam już wcześniej przedstawiłem. Nie koniec na tym. Jeszcze nieraz prowadził mnie do soku zajmowanego przez handlarzy mięsiwem, tak iż nauczyłem się je odróżniać nie tylko po wyglądzie, również po zapachu!

- Wydawanego przez mięso podczas smażenia? - spytałem.

- Właśnie!

- To ciekawe - powiedziałem. - Praw dalej.

Dowódca spojrział w górę, jakby chciał dostrzec niebo, akurat jednak przesłonięte konarami i gałęziami drzew. Przez leśną gęstwą przebijały się tylko nieliczne promienie słońca.

Arabski młodzian ponownie pociągnął nosem.

- Nie mogę się mylić - mruknął. - Wyczuwam zapach baraniny.
- To sobie wyczuwaj - burczał dalej Ibrahim. - Już odpoczęliście?
- Baraniny!

- Co wy gadacie?! - warknął Ibrahim, a potem na jego rozeźlonej twarzy pojawił się błysk zrozumienia. - Jezu! - krzyknął.

- Tak, Ibrahimie - powiedziałem. - Baraninę bardzo lubią Arabowie, którym religia zakazuje spożywania wieprzowiny. Może to znaczyć tylko jedno: kasztel został zajęty przez wojska kalifa z Kordoby. Wielka wyprawa ruszyła. Przed nami znajduje się jej foczporta. Musimy ostrzec Lancelota!

- O Jezu!

- Musimy to zrobić - rzekłem. - I musimy być diabelnie ostrożni.

I byliśmy. Od tej pory nie tyle maszerowaliśmy, co skradaliśmy się, zatrzymując się na każdy podejrzany odgłos. Wreszcie ujrzelśmy kasztel. Skąpany był w słońcu, a powietrze przesycone było odorem smażonego mięsa.

Długo przypatrywaliśmy się murom, lecz ani nie pojawił się na nich zarys żadnej sylwetki, ani nikt nie wyszedł przed bramę.

Zniechęcony młodzian zaczął szeptać wiersze:

- Kto teraz odważy się poić wielbłądzącą mowę? Kto wystrzeli słowami niczym ostrą strzałą? Gdy nawoływał, słowa biegły mu naprzeciw, kark schylając jak wielbłądy na zew poganiacza. Znakował słowa o grzbietach najgładszych, niczym ogiery z plemienia Lahik. A jego znaki trwalsze były niż te na wielbłądzych zadach. Kto zajmie się znaczeniami na stos rzuconymi przed tym, który odkrywa tajemnice losu? Kto wśród nich przebiega myślą i twardo przedziera się przez grząskie wąwozy? Bez żadnego potknięcia wspiął się na najwyższe szczyty i nieomylnie przekroczył najgłębsze przepaści... Jakże to piękne, na Allaha! Nie wierzycie, że piękne?

Przed warownią nie działo się nic. W powietrzu zaś nadal unosił się tajemniczy zapach.

- Wydaje mi się - rzekł Ibrahim - że cytowałeś Ar-Radiego.

- Prawda - odparł Al-Jakubi. - Był on mistrzem elegii.

- Elegii i nieznośnego patosu - kąśliwie zauważył nasz dowódca. - Chcę ci uświadomić, że przekręciłeś jeden wers.

- Jak to!?! Który wers? - zaciętrzewił się Arab.

- Cichajcie! - burknąłem. - Coś widzę!

- Przecież skarżyłeś się przed ojcem na słaby wzrok! Na Boga, to muzułmanie!

Po chwili to samo stwierdził Al-Jakubi: kawalerzyści ciągnący w stronę warowni nosili jego zdaniem arabskie stroje.

- Jeśli ich wpuszczą do środka, stracimy wszelkie złudzenia - powiedział syn Lancelota.

Tak też się stało. Brama rozwarła się przyjaźnie. Oddziałek jezdnych, wyglądający na jednostkę wysłaną na rekonesans, wjechał spokojnie do twierdzy.

- Nic tu po nas - burknął Ibrahim. - Wracamy. Ponownie zanurzyliśmy się w leśnej gęstwinie, podążając tą samą ścieżką.

Marsz dłużył mi się niemiłosiernie; innym zapewne tak samo. Ibrahim aż krzyknął z radości, kiedy zoczył łódkę na swoim miejscu.

- Ja przetnę cumy, a wy trzymajcie się burty - rozkazał.

Posłusznie wykonaliśmy jego polecenia, wnet odbijając od brzegu. W sam czas!

Nadrzeczną ciszę, przerywaną wcześniej tylko ptasimi odgłosami, przeciął teraz świst strzał. Jeden z bełtów wbił się nawet w dziób łodzi. Równie pomyślnym zbiegiem okoliczności tamci nie mieli czym nas ścigać, toteż bezpiecznie przedostaliśmy się pod przeciwległy brzeg rzeki, urwisty w tym miejscu.

Ibrahim nakazał wtedy wiosłowanie co sił w ramionach, abyśmy jak najszybciej pozbyli się towarzystwa nieproszonych i niezbyt przyjaźnie do nas nastawionych gości.

ROZDZIAŁ XI

Długo błakaliśmy się po lesie, na szczęście dysponując sporymi zapasami żywności, tak iż śmierć z głodu nam nie groziła, przynajmniej nie od razu. A błędziliśmy, bo Ibrahim zmylił drogę. Wylądowaliśmy w nieznanym miejscu - i to wystarczyło.

Uratowała nas zapobiegliwość (i ostrożność) starego barona. Mąż ten udały, miał dobry zwyczaj wysyłania patroli i jeden z nich nas ogarnął. Na szczęście w porę rozpoznali Ibrahima - inaczej padlibyśmy pod gradem strzał. Już się zasadzili, psubraty! Trochę się bałem, ale w sumie byłem zadowolony ze sprawności naszych

wojowników. Stąpali miękko jak koty, podchodząc bezszelestnie, jakby byli zjawami, nie ludźmi.

Wyznaliśmy, co się wydarzyło, a oni przyrzekli dać nam przewodnika. Po czym ruszyli w kierunku kasztelu. I to też mi się podobało, że nie wierzyli zbyt słowom i zapragnęli przekonać się o wszystkim osobiście.

Przewodnik zaprowadził nas do zamku. Do Berth dotarliśmy wymęczeni całodziennym marszem, atoli bardzo szczęśliwi.

- Nareszcie w domu - mruknął Ibrahim, syn Lancelota z nieprawego łoża, miłośnie patrząc na mizerne chaty podzamcza, o dachach krytych darnią i słomą, konstrukcji nader prostej, kojarzącej mi się z budownictwem kultury łużyckiej, o której uczyłem się u Ojca.

Al-Jakubi zaś na te same zabudowania spoglądał okiem nader krytycznym, wręcz - osłupiałym ze zdziwienia.

- Zwiedziłem wiele krajów islamu - wyrzekł wreszcie - lecz z taką nędzą spotykam się po raz pierwszy.

- Zamek też uważasz za nikczemny? - spytał Ibrahim z ponurą twarzą, gotów do kłótni. - Zważ, że to porządna kamienna budowla.

- Musiałbym obejrzeć go z bliska.

- Niebawem będziesz miał okazję - odrzekł syn Lancelota. - Bardzo jestem ciekaw, w jakim stanie znajdziemy ojca.

No cóż - w marnym. Baron źle wyglądał; i chyba tak samo się czuł. Mars zdobił mu pożółkłe oblicze, na domiar złego wykrzywione grymasem bólu.

Kiedy weszliśmy nawet na nas nie spojrzął, mimo że byliśmy zaanonsowani przez pokojowca, tego samego, którego podczas mojej poprzedniej tutaj bytności, Lancelot sponiewierał tak okrutnie. Długo staliśmy w milczeniu, patrząc na powagę bądź na ściany, choć nic tam nie było do oglądania.

- Panie... - odezwał się wreszcie Ibrahim. - Wróciliśmy.

Lancelot uniósł rękę, by - jak się domyśliłem - poprawić kosmyk siwych włosów, wymykających się w nieładzie spod brudnego czepca.

- Toć widzę - burknął.

Głos miał jednak dość silny. Nabrałem otuchy.

- Coście zwojowali...? Nic?

- Dokładaliśmy wszystkich możliwych starań... - zaczął mówić Ibrahim z błyskiem w oku, znamionującym iście orientalną ekscytację. - Aliści wezyr...

- Nie praw tyle. Poszkapiliście.

- Gdybym ci opowiedział choć połowę z moich przygód, byłbyś ze mnie dumny.

Lancelot uniósł głowę i podciągnął się wyżej kilkoma niezdarnymi ruchami.

Wstydzilem się przyjść mu z sukursem.

- Nigdy nie byłem z ciebie dumny i już nie będę.

Ibrahim drgnął. Po chwili zauważyłem, że tłumi gniew.

- Wezyr, na którego pomoc rachowałeś, nie pełnił swego urzędu...

- A kalif?

- Otoczony był tak silną strażą, że niepodobieństwem było dotrzeć przed jego oblicze, zwłaszcza, że brakowało czasu i pieniędzy... - mówił mieszaniec niby spokojnym głosem. - Wielcy dostojnicy muzułmańscy pędzą zupełnie inny żywot niż nasi władcy... Kalif kordobański przejął obyczaje Wschodu... Wiernym pokazuje się tylko z pałacowego okna... zwykle jest całkowicie niedostępny.

- Niedostępny, powiadasz? Nie dało rady ugodzić go sztyletem?

- Nie, panie!

- Aż bałeś się złożyć swe życie na ołtarzu sprawy?

- Bynajmniej. Pan Zachodu ukryty był przed niepowołanymi spojrzeniami... nikt nie mógł do niego się przybliżyć. Bóg mi świadkiem, że próbowałem. Wręczyłem sto złotych monet, bitych z najlepszego kruszcu, pewnemu słudze z otoczenia kalifa, prawiąc mu o swej wyimaginowanej krzywdzie, i bijąc się w piersi, że tylko księżę wiernych może w tej sprawie przyjść mi z pomocą. Służący kalifa pieniądze chętnie przyjął i nawet spojrzał na mnie przyjaźnie, snadnie wzruszony moimi łgarstwami, które przełknął nader gładko. Co więcej, obiecał w stosowniejszym czasie zwrócić się z tym do swego pana. Na koniec dodał, że kalif szykuje wojnę i przyjmuje jedynie dostawców broni tudzież handlarzy żywnością...

Dziwiłem się, że Ibrahim nie zająknął się do tej pory o zajętych przez Arabów kasztelu nad graniczną rzeką Ren.

- Pomóż mi - warknął Lancelot.

- Czego chcesz? - spytał Ibrahim z nieukrywaną niechęcią.

- Abyś pomógł mi usiąść. Sam nie wydołę.

- Twa wola, panie - odrzekł mieszaniec, zabierając się do owego samarytańskiego dzieła.

Kiedy stary baron znalazł się w upragnionej pozycji, oparty o poduszki dotykające kamiennej ściany, delikatny rumieniec wykwitł na jego poźółkłej twarzy, a

wyblakłe oczy, przedtem surowo patrzące znad krzaczastych brwi, zajaśniały dziwnym ogniem; gdybym wierzył w moc złego ducha, przysięgłbym, iż były to diabelskie ogniki. Zrozumiałem wonczas niechęć, jaką syn jego objawił... wszelako nadal nie pojmowałem, dlaczego milczy o najważniejszym.

- Nie będzie inaczej, jeno będę musiał zrobić cię jeszcze raz - rzucił Lancelot ze złośliwym uśmieszkiem, zupełnie jakby nie wierzył w to, iż upokorzył go już dostatecznie.

Ibrahim przełknął zniewagę. Na chwilę. Naraz wybuchnął:

- Nigdy mnie nie kochałeś!

- Miłość? - zdziwił się pan tej warowni. - A co to jest?

- Sam przyznajesz, że tego nie wiesz!

- Bóg kocha człowieka, a człowiek nie kocha Boga - odparł stary. - Tyle wiem o miłości.

- Twój hibernański spowiednik czegoś cię, panie mój, nauczył, lecz nędznym byłeś uczniem i nikczemne czyniłeś postępy!

Teraz poznałem, że prawdziwie mam do czynienia z synem Lancelota; nikt inny nie ośmieliłby się na coś podobnego; był to cios w samo serce. Tak sądziłem. Tak mi się wydawało.

Myliłem się. Nie po raz pierwszy. Ojciec Narodu, astronautyczny weteran, czuwający nad nami, tłumem pospolitych zjadaczy chleba, powiedziałby (powie, za tysiąc pięćset lat), iż człowiek jest miarą wszechrzeczy; czyli sformułuje definicję człowieczeństwa jako pana stworzenia, odpowiedzialnego za swe czyny jedynie przed sobą samym, przed własnym sumieniem.

Aliści, co warto jednak sobie uzmysłwić, kiedy ON pisał, mówił i myślał „człowiek”, to nie tyle szło mu o wszystkich ludzi, lecz o jednego, konkretnego człowieka; zaś sugestie co do owej osoby wyrażone zostały nader dobitnie.

Znaczy - ON był miarą wszechrzeczy, a ja nie. I tak trzymać!

Zdawało mi się tylko, iż Ibrahim zadał Lancelotowi cios w samo serce; że stary oburzy się, padnie i zemrze gwałtowną śmiercią.

Ani się nie wzburzył, ani nie padł. Dalej opierał się o poduszki i patrzył na nas złym wzrokiem zdegenerowanego starucha.

Potem zarechotał.

- Drogi syneczku - rzekł - co ci przyszło do twojej małej główki? Że niby słabym byłem uczniem? A może to tamten był kiepskim perceptorem?

Ibrahim milczał.

- Nie martw się. Mam teraz nowego opiekuna duchowego.

Postanowiłem - niebacznie! - wtrącić się do owego dyskursu.

- Skąd przybył? - zapytałem.

Już starożytni Grecy wiedzieli, że milczenie jest złotem (inna rzecz, czy naprawdę je praktykowali; wnosząc po atmosferze ich życia publicznego, chyba byli od tego jak najdalsi).

Niby też to wiedziałem; diabeł jednak mnie podkusił, abym się odezwał. Przez to, że się wtrąciłem, niechcący dałem im szansę na stworzenie wspólnego frontu.

Po mojej wypowiedzi nastąpiła cisza.

- A co cię to obchodzi, psubracie! - takim epitetem uraczył mnie Lancelot. Jak na niego, całkiem łagodnie.

Ibrahim był mniej dobroduszny. - Kanalio, łajdaku! - warknął. - Ciesz się, że dajemy ci zjeść nasz chleb! Zamknij się, bo wypędzimy jak psa! A przedtem każemy obić kijami!

Na szczęście dla mnie mieszaniec posłużył się - celem podkreślenia ważności swej wypowiedzi - liczbą mnogą; co sugerowało, że przemawia również w imieniu ojca.

Znacząco spojrziałem na starego. Zrozumiał.

- Mów jeno za siebie - burknął. - Poza tym on jest moim gościem, a ty też spożywasz mój chleb. Jeszcze nie pomarłem.

- Ale słabujesz, panie - odrzekł niezwłocznie Ibrahim. - A tymczasem kalif się na nas szykuje.

- Zawsze to czynił.

- Już zaczął wojnę - wypalił Ibrahim. - Nie czekał, aż wydobrzejesz...

- Cco!?! - Lancelot o własnych siłach zwał się z łoża boleści. - Zaczął, powiadasz?

- Nadreński kasztel zajęty.

- Ach... - znów usiadł. - Tylko tyle?

W tym momencie osłupiałem. Jego syn z nieprawego łoża również wyglądał na zaniepokojonego. Musieliśmy myśleć o tym samym. Czyżby demencja starca poczyniła już takie postępy, że baron nie zdaje sobie sprawy z powagi sytuacji?

- Jak to? - zdziwił się, gwałtownie się zdziwił Ibrahim, mieniając się na twarzy niczym delikatna paniątka z przyszłości. - Straciliśmy taki doskonały przyczółek, a ty

to sobie lekceważysz?

- Bliski jesteś powiedzenia, że niespełna rozumu - rzekł Lancelot z przyganą w głosie. - Uważaj...

Nagle rozległo się pukanie do drzwi sypialni.

- Kto zacz? - warknął Ibrahim, odwracając się.

- Pokorny sługa wielmożnego pana - rozległ się uniżony głos.

- Czego chcesz?

- Mam ważną wiadomość.

Ibrahim rzucił ojcu triumfujące spojrzenie.

- Otwórz temu huncwotowi - rzekł Lancelot - i spytaj, co to za wiadomość.

- Wydaje mi się, że wiem.

- Jeszcze musisz trochę pożyć na tym świecie, chłopcze...

Mieszaniec podszedł dostojnym krokiem do drzwi i niecierpliwym gestem zaprosił służącego do środka. Ten wszedł z boleściwą miną, pokłonił się i zatrzymał zaraz za progiem.

- Czy ja już tak cuchnę - spytał słabujący starzec - że wstydzisz się podejść do mego łóża? Odpowiadaj!

- Nie, panie. Wcale nie cuchniesz.

- O Jezu! - jęknął Lancelot. - Co za obyczaje!

- Prawda - rzekł Ibrahim. - Gdybyś był moim sługą, zdzieliłbym cię za to w kark.

Służący pokłonił się w pas i ze strachem w oczach (tak się bał, że aż przykro było patrzeć na jego znękaną i spoconą twarz, zresztą urody nader nikczemnej) przybliżył się do srogiemu barona.

Lancelot wyciągnął trzęsącą się dłoń i dotknął ramienia sługi.

- Co chciałeś nam rzec? - zapytał łaskawie.

- Panie...

- Nie lękaj się - szyderczo odezwał się Ibrahim. - Nie zbierzesz cięgów.

- Panie...

- Mów wreszcie! - znieczcierpliwiał się stary baron.

- Kto cię przysłał? Moja małżonka, tak?

Posłaniec posłusznie skinął głową.

- Czego sobie życzy?

Sługa nabrał powietrza - i tak pozostał. Strach więził mu słowa.

- No, czego?

- Panie, Ginewra, twa szanowna małżonka, prosi o pozwolenie na odbycie spowiedzi świętej i przyjęcie ostatnich sakramentów.

Lancelot zaśmiał się nieszczercze: a ściślej - zachrypił w rechocie radość udającym.

- No, no! Wszakóż wie, bo jej to przyobiecałem nieraz, że nie dam jej na to mej zgody! Niech idzie do piekła!

Ibrahim drgnął, jakby naraz ujrzał przed sobą to, co nazywano piekłem, i w realne istnienie czego ludzie tych czasów wierzyli z całą mocą.

- Panie, ona bardzo prosi... Całowała mnie po stopach i rękach, abym tylko odważył się przełamać mą ludzką słabość...

- Całowała ciebie, marnego sługę, królowa Ginewra, całowała cię po nogach...

- Padła u moich stóp - dodał sługa, dumnie prężąc swoją wynędzniałą pierś.

- Boże... - Lancelot zakrył oczy. - Jak ona musi się bać! A ty, jak ty opanowałeś strach przed zasłużoną karą? Zakazałem nawet myśleć o tym! Pozbyłem się hibernańskiego spowiednika, który mi to wyrzucał! Odpowiadaj psie!

Sługa zadrżał; chciał uciec, lecz ściśnięty przez Ibrahima musiał zamysł swój porzucić.

- Puść go - mruknął Lancelot.

Ibrahim posłuchał - co prawda niechętnie.

- No, odpowiadaj...

- Przełamałem swój strach dzięki modlitwie do Najświętszej Pani. Maryja jest opiekunką ludzi... Matką Kościoła... Nieustannie oręduje za nami u Pana Zastępów.

- No, no... - zamyślił się Lancelot.

- Co mam odpowiedzieć?

- Jeszcze tu jesteś?

Pokojowiec Ginewry błyskawicznie znalazł się przy drzwiach. Nie przekroczył jednak progu. Odwrócił się i pytająco popatrzył na starego barona.

- Rzeknij jej, że w tej materii nic się nie zmieniło.

- Odważny - rzeki Lancelot po chwili. - A ona szalona. Jak mogła na to liczyć! Mało razy powtarzałem, że trafi do najgłębszych piekielnych czeluści? Muszę dotrzymać słowa...

- Nie musisz - burknął Ibrahim.

Pomny wcześniejszej wpadki, już się nie wtrącałem.

- Muszę - rzekł baron. - Pomóż mi. Chcę się przejść.

- Wydolisz, panie?

- Podaj mi kostur i złap pod ramię. Odsunąłem się w kąt. Lancelot dwa razy przemierzył komnatę i ciężko oddychając usiadł znowu na łóżku.

- Panie - odezwał się Ibrahim. - Kasztel naprawdę zajęty.

- Nie znaczy to jeszcze, że wielka wyprawa ruszyła. Jak liczny był nieprzyjaciel? Mieszaniec pokrótce zdał sprawę z tego, cośmy widzieli.

- To nic nie znaczy - odparł Lancelot. - Ja uważam, że kalif jeszcze niegotowy. Poczekajmy, co powiedzą zwiadowcy.

Posłaniec Ginewry znalazł mnie w kuchni, do której zostałem przydzielony po powrocie z owej nieudanej misji. Oczywiście, odbierałem to jako ostatni upadek i czułem się upokorzony. Cierpienie moje było tym większe, że nie miałem tam do kogo gęby otworzyć.

Sługa wyciągnął mnie na dziedziniec zamkowy. Nieopodal stała szubienica. Kołysał się na niej stosunkowo świeży trup, atakowany przez padlinożercze ptactwo. Zmroził mnie ten widok. Pomyślałem, że skoro kończący swój żywot Lancelot sroży się jak dawniej, to w trosce o swoje bezpieczeństwo powinienem natychmiast wracać do mojej pracy. Niby stary baron trzymał mnie przy sobie we wiadomym celu, lecz po powrocie ani razu nie zaprosił mnie do komnaty i nie wspomniał nawet o tym, że powinienem zabrać się za spisywanie jego czynów. Doprawdy, zajęcia takie odpowiadałoby mi bardziej.

- Za co go stracono? - zapytałem.

Tamten bezradnie wzruszył ramionami.

- My tu stale jesteśmy w stanie wojny - odpowiedział - a pan nasz zwykł karać gardłem nawet błahe przewinienia.

Wyraźnie poszkapilem; gdybym w tym człowieku od razu rozpoznał sługę Ginewry, żadna siła nie wyciągnęłaby mnie z ciepłej kuchni.

- Czego chcesz ode mnie?

- Ginewra żąda, abyś ją odwiedził.

- Przenigdy!

- Królowa prosi.

- Milsze mi moje życie niżli jej nawoływania.

Następnym razem zdybał mnie przy wyjściu z kościoła. Każdego ranka chodziłem na mszę - iżby się nie wyróżnić spośród ogółu.

- Panie - rzekł sługa, w pośpiechu potykając się o kamienny próg. - Wielkie, wielkie szczęście. Lancelot się zgadza.

- Może on tak - odparłem - ale gorzej ze mną.

- Obiecałeś!

- Lancelot zdziwi się, kiedy ktoś mu powie, że nie nawiedziłeś królowej...

- A kto będzie tym „kimś”? - zapytałem, z głupia frant.

- Ja! Radzę po dobroci: udaj się do Ginewry, albo do Lancelota!

Wybrałem tę drugą możliwość. Stary baron najpierw kazał mi godzinami czekać, a potem łaskawie zgodził się na to, bym nawiedził królową. Uczynił to wszelako we właściwy sobie sposób. Rzekł: - Idź, ale wracaj z madami! Abym miał ci obciąć!

Spotkanego na zamkowym krużganku sługę poprosiłem, by zechciał mi towarzyszyć. Przystał na to nad wyraz niechętnie, dopiero po długich namowach; dodam jeszcze, że zastosowałem wobec niego mały szantaż, trochę podobny do tego, któremu sam uległem.

Ginewra spoczywała nieruchomo na łożu boleści, przykryta narzutą. Na nasz widok słowa skargi wydostały się z jej spierzchniętych ust: - Jezu, jak ciężko umierać! Pić dajcie...

Kubek z wodą stał na maleńkim zydelku. Podałem jej tę wodę. Nie była w stanie utrzymać niezbyt dużego kubeczka.

Towarzyszący mi sługa, moje byle jakie alibi, które miało mnie uchronić przed wybuchem wściekłości starego barona, podał Ginewrze łyżeczkę do lizania, dzięki czemu zmniejszyło się nieco cierpienie gasnącej królowej.

Skinęła na mnie.

- Umieram... wiesz...

Kiwnąłem głową.

- Nie chcę odejść z tego świata bez sakramentów. Przekonaj Lancelota.

- Jak?

Zostawiła to bez odpowiedzi.

Zaiste, trudno byłoby dać odpowiedź na to pytanie. Z ulgą opuściłem komnatę, zaraz po wyjściu natykając się na... Ibrahima!

- Byłeś u macochy?

- Tak. Za zezwoleniem Lancelota!

- Boisz się go nadal?

- Bardzo liczę się z jego zdaniem - odparłem dyplomatycznie, aczkolwiek na pewno prawdziwie.

- Nie wiem, czy słusznie...

Udałem, że nie słyszę.

- Zwiadowcy wrócili, a on ich nie przyjął.

Tym razem nie mogłem już udawać. Wszystko się we mnie zagotowało.

- Zlekceważył ich zupełnie?

- Tak.

- Widocznie czuł się kiepsko... To chory człowiek.

- Udaje.

- Nie.

- Mówię ci, że jeno słabość udaje.

- To co wtedy zrobimy? - spytałem po chwili.

- A czy możemy coś uczynić?

- Miarkuję, że nie.

Naraz usłyszeliśmy gwar dobiegający z dziedzińca. Natychmiast rzuciliśmy się w tę stronę, przekonani, że to nieprzyjaciel następuje.

Myliliśmy się - na szczęście.

Nie krzyczano na trwogę, były to okrzyki radości. Na zamkowy podwórzec wjechał zbrojny huf chrześcijańskiego rycerstwa.

- Poznaję Dagoberta! - zawołał syn Lancelota, wychylając się przez balustradę okalającą krużganki.

Wspomniany rycerz zdjął hełm i wielkim głosem jął domagać się widzenia z baronem. Przestraszony burgrabia odpowiedział mu, że pan słabuje.

- Musisz wyciągnąć go z łoża! Armia kalifa z Kordoby przekroczyła Ren! Mogą dotrzeć tu jeszcze dziś!

- Stało się - mruknął Ibrahim. - Dagobertowi będzie musiał uwierzyć. Szczęście, że znalazł się w pobliżu. Dostrzegam w tym palec Boży. Wszechmocny nie chce naszej zguby!

ROZDZIAŁ XII

Wróg nadciągnął dopiero dnia następnego, był więc czas na przygotowanie obrony i puszczenie z dymem podgrodzia. Ludzie z podzamcza bez kłopotu pomieścili się w warowni; niektórzy zasilili szeregi zbrojnych. Przeciw spaleniu osady nie protestowali, uznając to za naturalne. Zrozumiałem wtedy sens takiego byle jakiego budownictwa - nędzne chatki łatwo było odbudować, gdy niebezpieczeństwo minęło.

Aliści czy to akurat niebezpieczeństwo mogło przeminąć? Miałem wątpliwości. Każdy by je żywił, gdyby zoczył to, co myśmy widzieli!

Armia muzułmańska była liczna jak ziarenka piasku; nasze szanse od początku wyglądały na marne; z wysokości zamkowej wieży dane nam było „podziwiać” płonące okoliczne zameczki - w tym i rodowe gniazdo Dagoberta! - nie tak silnie obwarowane jak Berth.

Mijały dni, a wojska kalifa nie decydowały się na szturm. Rycerstwo uważało, że to tylko kwestia czasu; zaatakują, kiedy zajmą całą okolicę i zdobędą pewność, że znikąd nie nadejdzie odsiecz.

Lancelot przyjął wieść z zadziwiającą obojętnością. Nie przestraszył się ani nie wzruszył. Lekko tylko skrzywił się, kiedy doniesiono mu, że obowiązki komendanta fortecy pełni teraz Dagobert.

Ginewra umierała i nie mogła umrzeć. Lancelot umierał i nie mógł zejść z tego świata. Czwartego dnia niespodziewanie wezwał mnie do siebie.

Kiedym wszedł, zaraz zapytał, czemu mam taką posępną gębę; wystarczy niby na mnie spojrzeć, aby zwątpić w sens życia...

Jeżeli kiedykolwiek doznałem szoku, to właśnie w tej chwili! - Panie, a czy jest się z czego cieszyć? - odpowiedziałem.

- Chodzi ci o oblężenie? Nie pierwsze to, jakie przeżyłem !

- Panie, wszakoż stało się to, czego się najbardziej obawiałaś! Kalif Zachodu zgromadził wielką armię, a my, twoi wysłannicy, nie umieliśmy temu zapobiec! Jesteśmy winni!

- Niczego więcej nie mogliście dokonać. Tak myślę.

- Dzięki ci, panie!

- Nie dziwisz się?

- Czemu?

- Że tak silnie przemawiam?

- Dziwię, panie.

- To dlatego, że odchodzę.

- Nie może być...!

- Może być. Widziałem już wielu umierających. Tuż przed odejściem jakby zdrowieli. I tak jest ze mną.

- Oby nie! Jesteś naszą opoką, zawsze zwycięskim Lancelotem!

Naraz przekonałem się - z przeogromnym zdziwieniem - że po jego policzkach ciekną łzy.

- Ty płaczesz, panie?

- Tak. Nad sobą.

- Przecież...

- Zbliź się - rozkazał.

Nieśmiało podszedłem do łoża boleści groźnego wojownika.

- Miałem widzenie - rzekł.

- Jakie widzenie?

- Nie rozumiesz, kupczyku? Nie sen to był, a nadprzyrodzone widzenie...

Milczałem - cóż w tej sytuacji mogłem powiedzieć?

- Zoczyłem parę aniołów... aniołów w postaci promiennych młodzieńców, siedzących po obu stronach mojego obrzydliwego i zapaskudzonego legowiska. Wpatrzyli się we mnie smutnym wzrokiem. Potem dołączyły do nich demony, wyglądające jak przeokropne zwierzęta. Starszy z diabłów trzymał grubą księgę. Zapisane były w niej wszystkie moje nieprawości. Zaczął je odczytywać, a właściwie - pokazywać mi je. Długa to była lista. Kiedy wreszcie skończył, zapytał aniołów, czy chcą coś powiedzieć. Anielscy młodziankowie nawet się nie odezwali. Diabeł rzeki: „On jest nasz. Nieliczne jego dobre uczynki nie mogą w żaden sposób zrównoważyć ogromu wyrządzonego zła.” Potem wbił mi w bok ognisty sztylet. Drugi demon zrobił to samo. Oznajmili: „Kiedy te dwa ostrza połączą się, przyjdziemy po twą duszę i będziemy męczyć cię przez całą wieczność”. Następnie zniknęli.

Nadal zachowywałem milczenie.

- Czy nie powinienem przebaczyć Ginewrze? Jak sądzisz?

- Dobrze by było...

- Ba! Ale jak to zrobić!

Zdziwiłem się.

- Zwyczajnie - rzekłem. - Zgodzić się na spowiednika dla niej, nie chować więcej urazy...

- Ona mi tyle krzywd wyrządziła! Nigdy byś tego nie pojął! Co z niej za zmija!

- Och, panie, nie byłeś jej dłużny!

Spiorunował mnie wzrokiem. Znów obudził się w nim demon.

- Nie mogłem być! - krzyknął. - Chciała mnie upokorzyć! Ale ze mną niełatwo!

- Przebacz królowej.

- Jak? Mój nowy spowiednik rzekł, że słowami przebaczyć - to za mało. Przebaczyć należy sercem. A ja wciąż pamiętam. Wciąż.

- Dziwny jakiś spowiednik.

- Wiesz, co mówi? Prawi, że jeżeli Bóg zechce, zdejmie oblężenie z mojego grodu. Dał jako przykład to, że przeciw Asyryjczykom oblegającym Jerozolimę, Pan wysłał Anioła Śmierci, za którego sprawą padło trupem siedemdziesiąt tysięcy nieprzyjaciół. Dodał, że powinniśmy więcej się modlić. Myśleć raczej o zbawieniu duszy aniżeli o orężnej walce!

- Nigdy nie słyszałem o Asyryjczykach.

- I ja nie słyszałem. Poślij jednak po sługę. Niech zanieś Ginewrze radosną wieść... Och jak boli mnie, że nie ujrzę jej w piekielnych czeluściach, jak boli!

- Budują katapulty i wieże oblężnicze - rzekł Ibrahim, kiedy ujrział mnie wychodzącego z pustej zamkowej kaplicy. - Aliści, czy w ogóle będą one potrzebne? Lękam się zdrady Dagoberta. Poseł od kalifa jeszcze nie przybył, lecz na pewno się pojawi. Jeżeli dużo zaofiaruje, Dagobert ulegnie namowom. Ceni on swoją skórę.

Posmutniałem.

- A co z będzie z nami?

- Głupiś! - warknął. - Dobrze będzie. Ocalimy żywoty. Sprzedadzą nas komuś... Ocalimy żywoty pod warunkiem, że przetrwamy wielomiesięczny marsz... Największy targ niewolników znajduje się w Bagdadzie. Tam nas popędzą, ani chybi tam!

Wykrzyczawszy swoje, oddalił się pospiesznie, zostawiając mnie samego, pogrążonego w ponurych myślach.

Mądrze gadał bastard; Arabowie zakończyli przygotowania do szturm, w triumfalnym geście pokazując nam ogrom swych wież oblężniczych, wyraźnie górujących nad poziomem zamkowych murów.

Następnego dnia wysłali poselstwo.

Wraży poczet stanął przed bramą, powiewając białymi chorągwiami.

Wszyscy nadstawili uszu, ja też.

- Przysłał nas książę wiernych, zastępca Mahometa, przesławny i czcigodny kalif Al-Hakam! - zaczął główny poseł. - Pan nasz wzdryga się na myśl o niepotrzebnym krwi przelewie. Dzięki swej wrodzonej dobroci i płynącej z głębi serca łaskawości pragnie zaszczyścić was rozmową. Najbardziej mu zależy na mężnym Lancelocie. Zaprasza go do swojego obozu i obiecuje podjąć godną ucztą!

Po naszej stronie nastąpiła cisza. Nie zrażony tym herold ponowił posłanie. Wtenczas odezwał się tubalny głos, w którym (chyba dobrze) rozpoznałem głos barona Dagoberta:

- Lancelot słabuje... ja tu dowodzę.

- Kim jesteś?

- Jam sławny Dagobert.

- Zaniosę tę odpowiedź mojemu panu.

- Zanoś i rychło wracaj - dodał komendant forticy.

Odszukałem Ibrahima; stał w rogu dziedzińca i rwał włosy z głowy, zawodząc i szlochając.

Nie śmiałem mu przeszkadzać. On jednak wyczuł moją obecność.

- Mówiłem! - krzyknął. - Szykuje zdradę! Chce poddać zamek!

- Uważasz, że się obronimy? To przecież niemożliwe...

Nie odpowiedział, milczeniem przyznając mi słuszność.

Posł wnet wrócił i zawołał przed bramą:

- Dobrotliwy i szlachetny kalif Al-Hakam prosi wielmożnego Dagoberta, aby wyrządził mu ten zaszczyt i przyjął zaproszenie na rozmowy pokojowe w jego złotym namiocie...!

- Pomyśl tylko - syknął Ibrahim - „dobrotliwy i szlachetny”! Poznałem ja już ich wielkoduszność! Ty zresztą także!

- Może kalif jest inny - odparłem. Muzułmański wysłannik, nie speszony brakiem odzewu, ponowił zaproszenie.

- Czują się pewnie, psułaty... - judził Ibrahim.

- Lepsze życie niż śmierć.

- Lepsza śmierć w walce niżli haniebny żywot batożonego niewolnika.

- Co powie mężny Dagobert? - spytał poseł, już trochę zniecierpliwiony.

Na owo dictum dowódca załogi zamkowej wychylił się z wieżyczki i krzyknął:

- Rozmowy tak, aliści u mnie! Rzucimy ci linę, po której wdrapiesz się na mury!

- Nie mam pełnomocnictw... - odrzekł herold. - Jestem tylko posłańcem dobrej nowiny.

- Wracaj tedy, panie, do swego obozu, i przekazaj moje słowa szlachetnemu Al-Hakamowi...

Naraz poczułem obcy dotyk. Odwróciłem się. Obok stał sługa Ginewry.

- Czego sobie życzysz? - spytałem nieprzyjaźnie. - Dla twej pani zrobiłem już wszystko, co mogłem, a nawet więcej.

- Królowa docenia twoje starania i obiecuje cię za to sownie wynagrodzić.

Gdyby nie powaga sytuacji, roześmiałbym mu się w twarz.

- Przecież ona umiera - rzekłem.

- Królowa odchodzi do wieczności. Wie, że jej dusza nie będzie potępiona i znajdzie się w miejscu oczyszczenia, w szpitalu dusz. Stamtąd będzie czuwać nad swymi dobroczyńcami.

- Po śmierci?

- Tak.

- Wszelako jeszcze dycha i zapewne pragnie rozmawiać...

- Nie inaczej. Przyjdziesz?

- Nie mogę.

- Co cię powstrzymuje?

- Muszę czuwać nad tym, co się wydarzy.

- Nie musisz. Nie masz, panie, na to wpływu.

- Powiem szczerze. Nie odejdę stąd.

- Odmawiasz?

- Tak.

- Zdecydowanie?

- Tak.

- Będziesz tego żałował! - syknął.

Nie umiałem się zdobyć na ponowne odwiedziny u umierającej. Uważałem, że chce mi w jakiś sposób zaszkodzić. Poza tym doprawdy trudno było odejść spod bramy, do której przybliżało się kolejne poselstwo muzułmańskie.

Po zwyczajowych pozdrowieniach wysłannik kalifa oznajmił, że jego pan

przyjmuje warunki męznego Dagoberta.

Ten kazał rzucić linę. Herold zwinnie wspiął się na mury. Baron otoczył go ramieniem i poprowadził na skraj dziedzińca.

Naraz...

Było to niczym grom padający z bezchmurnego nieba. Na krużganku pokazał się niesiony w lektyce starzec.

Aliści jaki starzec! Lancelot we własnej, acz mocno zniedołężniałej postaci.

Rozległ się szmer, coś jakby szum wiatru. Lecz to ludzie szeptali. Mężowie orężni i spokojni oracze; ci wszyscy, co zgromadzili się przy blankach i na dziedzińcu - zabrzmiało to jak zgodny okrzyk zdumienia i trwogi.

Słudzy pomogli staremu możnowładcy nieco się unieść. W tej pozycji wygodniej mu było mówić. Bo też chciał przemawiać! I wreszcie rozległ się jego (wcale nie drżący) głos:

- Co czynicie! Dagobercie, kogo obejmujesz z taką czułością? Zaliż nawróciłeś się na sodomie? Już nie chcesz przebijać swym danym od Boga grotem nadobnych pieczar niewiast naszych i arabskich, które tak chętnie gwałciłeś? Wolisz ninie posmakować ciasnego muzułmańskiego odbytu? Tamto już ci się przejadło, Dagobercie? Czujesz się już znudzony, wypalony do szczętu? A może pragniesz, iżby ten czarny ci dogodził?

- Panie... - wykrztusił wreszcie otumaniony baron - to muzułmański poseł...

- Poseł, rzeczesz...?

- Wysłannik kalifa Al-Hakama.

- Z czym przychodzi? Niech to usłyszę!

Zapadło złowrogie milczenie.

Poseł zaczął mówić, tak cicho jednak, że mało kto mógł go zrozumieć.

Lancelot zebrał resztki sił i wrzasnął:

- Wrzucić go do ciemnicy, to zamorskie zwierzę! Żadnych pertraktacji! Ujrzałem anioła; tak go widziałem, jak was widzę! Anioł obiecał mi, że za trzy dni Wszechmogący zniszczy armię muzułmańską i okryje ropiejącym ranami ciało lubieżnego Al-Hakama! Dagobercie, nie będziesz chyba rozmawiał z trupem!

Znów szum się rozległ wśród załogi; jedni zaczęli nawet wygrażać posłowi; to byli ci, którzy niezwłocznie dali wiarę słowom apodyktycznego starca.

Dagobert wszakoż nie uwierzył.

- Tyś niespełna rozumu! - odkrzyknął Lancelotowi, wygrażając mu pięścią. -

Majaczysz w malignie! Ludzie, przecież on ledwie dycha!

- Winifrydzie - rzekł Lancelot, wskazując palcem na rycerza stojącego nieopodal posła. - Rozkazuję ci...

Wezwany postąpił parę kroków. Spiorunowany jednak wzrokiem przez Dagoberta, zatrzymał się i jął bezradnie kręcić głową, jakby tłumacząc się ze swej słabości.

Wtedy kilku innych wojowników wybiegło z szeregu i siłą oderwało od Dagoberta trzęsącego się posła.

Zamarłem z wrażenia. Oczekiwałem wybuchu bratobójczej walki; wszelako Dagobert nie potrafił zdecydować się na opór. I zbyt przywykł słuchać Lancelota, choć był przecież niby takim samym udziałnym pankiem jak ojciec Ibrahima.

- Zmieniam rozkaz - rzekł starzec. - Posłowi poderżnijcie gardło, bo to zwierzę nieczyste, a Dagoberta ciśnijcie do lochu. Wprzód jednak dajcie mu - na osłodę - posmakować krwi niedoszłego miłośnika. Na co czekacie, niewieściuchy! Biercie się do dzieła!

W tej sytuacji, skoro zarżnęliśmy posła, nieprzyjaciel musiał zaatakować. Lancelot polecił wyrzucenie odrąbanej głowy herolda przed zamkową bramę, z dołączoną do niej wieścią, że to samo spotka Al-Hakama. Kazał napisać tak: „Nawet jeśli kalif ucieknie spod Berth, to pójde do Kordoby i tam go dopadnę!” Wiem - bo sam to pisałem, nareszcie do czegoś się przydaję!

I zaatakował złowrogi nieprzyjaciel!

Ruszyła w wielkiej sile muzułmańska piechota, podjechały do murów wieże oblężnicze...

Wież było osiem. Pchały je zastępy opancerzonych wojowników, a z ich dachów szyli do nas łucznicy. Wieże miały po kilka galerii wypełnionych zbrojnymi. Strzelaliśmy do nich płonącymi strzałami, a nasze katapulty miotały garnki z wrzącą smołą. Przydałby się ogień grecki, lecz niestety tej cudownej broni zabrakło w zamkowym arsenale, toteż wieże podjechały do linii obwarowań, wyrzuciły pomosty i wnet wzdłuż całej naszej obronnej linii rozgorzała zacięta walka wręcz.

Szczerze mówiąc, uciekłem do kuchennej piwnicy. Doprawdy, nie mieliśmy szans. Nie chciałem na to patrzeć.

Z kryjówki jął wyciągać mnie nie kto inny, jak nieprawy syn Lancelota.

- Tyś tu? - rzekł. - To nie do uwierzenia, aliści odparliśmy atak.

W jego głosie rozbrzmiewało wielkie zdziwienie.

- Jak to? - spytałem. - Taką garstką?

- Nie inaczej.

- Straty... duże?

- Nie liczyłem zabitych ani rannych, lecz na pewno są znaczne.

- Jeszcze jedno takie zwycięstwo i nie będzie już komu walczyć.

- Tamtych też zginęło niemało.

- Ilu?

- Na oko licząc, najmniej trzy setki - odparł z dumą. - Dwie wieże spaliliśmy, w nich mało kto przeżył.

Roześmiałem się szatańsko.

- Głupcze! - zawołałem z rozpaczą. - Przecież jest ich ze trzydzieści tysięcy! A jeśli kalif zechce, sprowadzi nawet trzysta tysięcy wojowników!

- Skąd wiesz? - warknął rozeźlony.

- Jeżeli ruszył na nas całą siłą muzułmańskiego Zachodu, to nie może mieć mniej zbrojnych.

- Tylu nie zgromadził: co by biedacy jedli... A zresztą armia tak wielka nie jest mu wcale potrzebna.

- Rzekłeś!

Zasmucił się.

- Nie chcesz wyjść z tego loszku?

Przecząco pokręciłem głową. Zostawił mnie w spokoju. Czuję głód, lecz nie wychyliłem nosa na świat boży, czekając na to, co przyniesie islamskie Przeznaczenie.

Ibrahim odwiedził mnie ponownie dnia następnego. Chyba to był następny dzień. Są miejsca, w których łatwo o utratę oceny zdolności upływu czasu.

- Znów triumf - powiedział.

Milczałem.

- Odparliśmy kolejne natarcie. Spaliliśmy dwie wieże. Mają już tylko cztery.

- Na pewno budują nowe, jak znam życie. Stać nas tylko na pyrrusowe zwycięstwa.

- Jakie?

Zniecierpliwiłem się jego ignorancją.

- Pyrrus, król Epiru, pozazdrościł sławy Aleksandrowi Macedońskiemu. Tak jak

tamten zdobył Wschód, tak on zapragnął opanować Zachód, i ruszył na Italię, zdominowaną przez Rzymian. Odnosił w polu same zwycięstwa, lecz dzielnie walczący Rzymianie zadawali jego armii takie straty, że musiał zawrócić, bo czuł, że jeszcze jedna wygrana bitwa i nie będzie miał już wojska.

- My nie możemy zawrócić - mruknął bastard.

- Rzekłeś!

- Lancelot wcale zresztą nie myśli o obronie.

- A o czym?

- O ataku!

- Szalony!

- Zgadzam się - wyznał z smutkiem w oczach Ibrahim, jego syn zrodzony z arabskiej niewolnicy. - Ojcu przed śmiercią pomieszało się w głowie.

- Obawiam się, że to co innego - powiedziałem.

- Co?

- Potrzebuje orszaku, który będzie mu towarzyszył na tamten świat. Podobnych szaleńców było wielu. Herod, król Judei, toczony przez złośliwego robaka, wyzerającego mu wnętrzności, nakazał wypełnić stadion w Cezarei najznacześniejszymi Żydami i trzymać ich tam o suchym pysku w palącym słońcu. Ludzie ci byli pewni końca. Oczekiwali, że zginą z chwilą śmierci króla. Wiedzieli, że są otoczeni jego najemnikami. Szeptali między sobą, że siepacze Heroda wpadną między nich i wymordują wszystkich, wraz z małymi dziećmi, co było niejako specjalnością tego władcy.

- I zginęli?

- Nie. Jakoś im się udało. Władza największego despoty kończy się wraz z jego zgonem.

- I my nie zginiemy - rzekł Ibrahim. - To znaczy: niechybnie zginiemy, lecz z honorem. Poza tym myślę, że Lancelot naprawdę wierzy w zwycięstwo. Jest szalony, bo tylko szaleniec może mieć nadzieję.

- Ty jej nie masz?

- Ja pragnę walki. I podoba mi się myśl o niespodziewanym ataku! Jak te psy niewierne się zdziwią!

- Sam przecież byłeś wyznawcą Proroka... Jak możesz nazywać swych współwyznawców niewiernymi psami?

- Dałem się ochrzcić - rzekł z uśmiechem. - Chrzest zmazuje wszelki grzech i

każdą pośmiertną karę. Zaatakuję z przyjemnością, pewien zbawienia.

Roześmiałem się na głos. Oczywiście - popatrzył na mnie podejrzliwie i z wyraźną niechęcią.

- Co cię tak raduje?

- Taki jeden już był - ożnajmiłem z wyższością. - Zwał się Konstantyn.

- Dużo wiesz... - syknął.

- Nie inaczej...

- Atoli nie wiesz wszystkiego... - wyrzekł z obłudnym uśmiechem. - Nie wiesz tego, że również spotka cię ten zaszczyt.

- Co?

- Ojciec powiedział, że w naszym mało fortunnym położeniu liczy się każdy człowiek i że w zbrojnym wypadzie muszą wziąć udział wszyscy zdolni do uniesienia miecza. Nie zapomniał też o tobie. Jestem za to odpowiedzialny, abyś umarł jak bohater, a nie niczym kryjący się w piwnicy szczur.

- Nie umiem walczyć.

- Nie ma to znaczenia, zapewniam. Ojciec dodał, że tym, którzy nie zechcą pójść, każe wyrwać mądy. Osobiście ci je obetnę. I zostawię tutaj - krwawiącego i wyjącego z bólu.

- Boże...

Pomyślałem, że Lancelot jest już chyba od dawna impotentem, co by nie dziwiło, choćby z racji podeszłego wieku, i co zarazem tłumaczyłoby jego obsesję pozbawiania jąder innych mężczyzn.

Myślałem o tym stojąc w tłumie zbrojnych czekających na otwarcie furty. Może była nas setka, a może dwie. W ciemnościach trudno było policzyć. Zresztą, ilu by nas nie było, na jednego naszego przypadała minimum setka tamtych, co znakomicie upraszczało problem oceny szans.

Lancelot siedział w lektyce i cichym głosem zagrzewał swój hufiec do walki. Wpierw czynił to przy samej furcie, potem jął przesuwać się wzdłuż szeregów, niesiony przez wierne sługi. Byłem bardzo rad z tego, że już go nie widzę. Doprawdy, nie chciało mi się słuchać jego obłąkańczego bajdurzenia!

Jakie jednak miałem szanse na przeżycie? Postrzegalem je jedynie w rychłym oddaniu się na łaskę wroga.

Zamierzałem łąć i udawać muzułmanina. Trochę znałem islamską doktrynę, mogło to pomóc.

Był tylko jeden szkopuł: Ibrahim. Staął na czele zbrojnych i zażądał, bym szedł po jego lewicy.

- Czemu nie po prawej stronie?

- Zastrzegłem to miejsce dla najdzielniejszego z moich ludzi - odparł. - Czeka nas wielki i wspaniały bój.

- No i krwawy...

Otwarto furtę. Ibrahim odwrócił się i rzekł: - Za mną!

Wróg spał, nie spodziewając się niczego. Do jego obozowiska dotarliśmy niezauważeni. Wtenczas syn Lancelota wydał głośną komendę do ataku, podchwyconą zaraz przez gardziele zdesperowanych wojowników.

Z rykiem wpadliśmy między namioty, deptając po śpiących na ziemi muzułmanach! Praktycznie nie stawiali oporu... Słabi byli jak niemowlęta; sam zgładziłem paru ledwie ślaniających się na nogach!

Tajemnica wyjaśniła się, kiedy nadszedł brzask.

(Przynajmniej dla mnie się wyjaśniła.)

Obejrzałem kilkanaście ciał. Wyglądały strasznie... Naprawdę tak wyglądały - i nie był to skutek ciosów zadawanych przez rozwścieczonych chrześcijan.

Zmarli mieli poczerńnięte twarze, a ciała pokryte ciemnymi guzami, szczególnie okazałymi pod pachami.

Pomyślałem: eureka! Pomyślałem: Ibrahim! Pomyślałem: ukradzione w Iraku płaszcze!

Zrozumiałem, że nasza misja się powiodła!

Inaczej niż to sobie wyobrażaliśmy, ale uwieńczył ją sukces. Nieszczęśliwe ofiary wyglądały tak samo, jak trupy w wymarłym mieście za Bagdadem. A tamto miasto wygubiła zaraza, być może Czarna Śmierć. Ibrahim wziął stamtąd, co tylko się dało. Następnie już na ziemiach podległych władzy Al-Hakama, obrabowali nas kupcy, którzy niewątpliwie towar swój sprzedali, niechcący roznosząc zabójcze zarazki.

Aliści czemu my nie chorujemy, ja i Ibrahim? Czarna Śmierć tradycyjnie wybijała połowę populacji. Widocznie znaleźliśmy się w tej szczęśliwej połowce. To najprostsze wytłumaczenie. Dobrze jest być rycerzem Fortuny...

- A nie mówiłem? - triumfalnie rzekł Lancelot, kiedy wróciliśmy na zamek. - Wiedziałem, że Bóg da nam zwycięstwo! Teraz już mogę spokojnie umrzeć! Chociaż

nie! Tyle spraw jest jeszcze do rozstrzygnięcia! Zanieście mnie do mojej komnaty! Muszę odetchnąć!

- To nie Bóg, a my, a właściwie ty - powiedziałem do Ibrahima.

Rozmawialiśmy na osobności. Słońce stało już wysoko. Zwycięska załoga zamkowa najpierw rozbiła beczki z winem, a potem poszła spać. Normalka.

- Nie rozumiem!!! - odrzekł gwałtownie. - Miło mi, że mnie tak cenisz, lecz ja tylko prowadziłem atak! Nie sądzisz chyba, że dwustu ludzi dałoby radę całej muzułmańskiej armii, gdyby Niebo się w to nie wmieszało?

Podzieliłem się z nim moimi domysłami. Nie chciał uwierzyć. Cały czas powtarzał, iż Pan wysłał Anioła Śmierci, by zrobił porządek z niewiernymi.

- Tak, lecz to ty jesteś tym Aniołem - powiedziałem.

- Pleciesz byle co!

- Czujesz się grzesznikiem, a nie aniołem?

- Naturalnie!

- Skromność godna podziwu!

- Nie kpij ze mnie!

- Ibrahimie, jakbyś lepiej przyjrzał się wojownikom kalifa, to byś sam przyznał mi rację! Oni wyglądają tak samo jak zwłoki nieszczęsnych ofiar w mieście, do którego trafiliśmy w drodze powrotnej z Bagdadu! To Czarna Śmierć, zaraza!

- To czemu wybuchła akurat wtedy, kiedy goniliśmy już resztkami sił?

- Mógł to być palec Boży... zaiste.

- Był na pewno!!! Przecież wyruszyliśmy tylko po to, aby znaleźć godną śmierć. A tobie się wcale do niej nie spieszyło, stary łotrze!

- Zaraza musiała szaleć wcześniej. Jakbyś raczył przesłuchać jeńców...

- Nie ma jeńców.

- Zabiliście wszystkich?

- Kto nie uciekł, zginął.

- Niemożliwe. Bez wątplenia są jacyś ranni.

- Idę do ojca. Mam z nim tyle do omówienia...

- Liczysz na to, że zrobi cię następcą? Jesteś bastardecem i półkrwi Arabem.

- Nie przypominaj mi o tym! - warknął i odszedł.

- Królowa nie żyje - rzekł sługa. - Pan prosi cię do swej komnaty. Stań u jego łoża boleści.

Ubrałem się pospiesznie i ruszyłem za fagasem. Lancelot miał pod głową chyba

z dziesięć poduszek i spoglądał na nas z góry.

- Witaj, kupczyku - rzekł do mnie. - Opiszesz moje czyny, a zwłaszcza ten bój ostatni?

- Niech przysięgnie - wtrącił Ibrahim.

- Przyrzekam.

- Przyrzeczenie to nie to samo, co przysięga.

- Może to wystarczy - wycedził Lancelot. - Martwi mnie, czy znajdę po tamtej stronie spokój duszy...

- Czy miałeś, panie, nowe widzenie? - spytałem.

- Niestety nie.

- Bóg dał już znak - burknął Ibrahim. - Jesteś Jego wybrańcem, ojciec...

Nagle Lancelot zarechotał. Potem od tego rechotu przeszedł do rozpaczliwego kasłania. - Trzy dni temu skłamałem...

- Nie rozumiem - powiedział Ibrahim. - Anioł ci tego nie oznajmił?

- Skądże. Chciałem dać wam wiarę. Teraz mogę to wyznać. I coś jeszcze: jestem szczerze zdziwiony.

- A ja, bynajmniej - rzekłem. - Opowiem wam... wolno mi mówić?

- On bredzi, ojciec.

- Niech mówi - powiedział Lancelot.

Powtórzyłem mu to, co wcześniej powiedziałem Ibrahimowi. Stary możnowładca odpluł krwią i rzekł: - Ja mu wierzę.

- Tak, panie - powiedziałem. - Powiódł cię twój zamysł. Naszą misję uwieńczyło powodzenie. Rozmiary jego są większe niż mogliśmy spodziewać się tego w najśmielszych snach. Imperium islamu pustoszy zaraza. Gdybyś był silniejszy, mógłbyś ruszać na Kordobę i ją zająć.

- Nie mam armii - przypomniał mi o swej nędzy. - I jestem już jedną nogą na tamtym świecie.

- Wyślij Ibrahima.

- Panie - rzekł ów. - Zwołaj lud i każ podnieść mnie na tarczy. Niech zobaczą we mnie twojego następcę.

- Synu, zawsze cię miłowałem. Uczynię to jeszcze dziś. Przed wieczerzą. Do tego czasu nasi ludzie powinni zbudzić się z pijackiego snu. Teraz muszę odpocząć.

Chyba naprawdę chciał to zrobić - atoli nie zdążył. Kiedy weszliśmy do jego

komnaty, leżał na boku i trzymał się za serce.

- Musimy wyprawić mu uroczysty pogrzeb - rzekł Ibrahim przez łyżę. - Bardzo go kochałem. Był to wielki wojownik i dobry chrześcijanin. Bóg wysłał anioła, żeby go pocieszyć.

Zrozumiałem, że wciąż obstaje przy swojej wersji wydarzeń. Nie kłóciłem się z nim. Byłoby to nad wyraz nierozsądne.

- Powiedziałeś, że musimy wyprawić mu pogrzeb... Czy znaczy to...

- Tak - odparł. - Ojciec pragnął, abyś uwiecznił jego czyny. Zostaniesz ze mną. Poprowadzimy jego dzieło wspólnie.

Podziękowałem za okazaną łaskawość, dodając po chwili, że jeszcze nie jest baronem. - Czy ktoś w ogóle wie, że byłeś jego synem?

- Była to dziwna tajemnica, o której wiedzieli wszyscy, a każdy udawał, że jej nie zna.

- Ze strachu przed Lancelotem?

- Mieli do tego prawo, nie sądzisz?

Wyszliśmy na dziedziniec. Zewsząd ściągali rozespani wojownicy. Bastard krzyknął do nich: - Słuchajcie, słuchajcie! Wszechmogący powołał do siebie mojego ojca! Jego ostatnim życzeniem było to, abym przejął po nim schedę, co może potwierdzić ten oto człowiek! - i wskazał na mnie. - Przyjmuję tę godność, gdyż wierzę, że taka jest wola Boga! Raz już poprowadziłem was do zwycięstwa! Wnet przyjdą następne! Zdobędziemy Kordobę!

Odpowiedział mu radosny wrzask. Pomyślałem, że nie będzie to łatwe i wcale nie muszę tego doczekać.

Nad zamkiem zaświeciło słońce, które właśnie w tym momencie wynurzyło się zza chmur.

- Widzicie - ryknął Ibrahim. - Oto znak dany z Góry! Zwyciężymy!